

JANE AUSTEN

ROZWAŻNA I ROMANTYCZNA

Tłumaczenie: Anna Przedpełska-Trzeciakowska

ROZDZIAŁ I

Dashwoodowie byli rodziną od dawna osiadłą w hrabstwie Sussex. Mieli tam duże posiadłości ziemskie, okalające dwór Norland Park, ich gniazdo rodzinne, gdzie od wielu pokoleń wiedli zacny żywot, zyskując sobie w okolicznym sąsiedztwie powszechny szacunek. Zmarły właściciel majątku, stary kawaler w bardzo podeszłym wieku, przez wiele lat miał w swojej siostrze nieodstępną towarzyszkę, jak również gospodynię. Śmierć jej, na dziesięć lat przed jego śmiercią, wprowadziła duże zmiany we dworze. Chcąc bowiem mieć przy sobie kogoś w miejsce siostry, pan Dashwood zaprosił na stałe do Norland Park swego bratanka z rodziną, prawowitego dziedzica majątności, któremu zresztą sam chciał majątność zapisać. Dni starego pana płynęły spokojnie i dostatnio w towarzystwie bratanka, jego żony i dzieci, do których się coraz mocniej przywiązywał. Nieustanna dbałość pana Henry'ego Dashwooda i jego żony o to, by stryj miał wszystko, czego tylko zapragnie, dbałość płynąca nie tylko z poczucia interesu, ale z dobroci serca, pozwoliła starcowi zaznać wszelakich wygod, potrzebnych w jego wieku, wesołość zaś dzieci opromieniała radością jego dni powszednie.

Pan Henry Dashwood miał z pierwszego małżeństwa syna - jedynaka, z drugiego małżeństwa - trzy córki. Syn, poważny, szacowny młody człowiek, żył w dostatku, gdyż z chwilą dojścia do pełnoletności otrzymał był po matce połowę jej okazałej fortuny. Małżeństwo, które zawarł w niedługi czas później, poważnie zwiększyło jego majątek. Dziedziczenie majątności Norland nie było więc dla niego sprawą tak istotną, jak dla jego siostr, których fortuna, gdyby nie liczyć na spadek po starym panu Dashwoodzie, byłaby bardzo skromniutka. Matka ich nie posiadała nic, a ojciec miał tylko siedem tysięcy funtów w swej dyspozycji, pozostała bowiem część majątku jego pierwszej żony również została zapisana synowi, a ojciec otrzymywał z niej tylko dożywotni procent.

Stary pan Dashwood umarł: odczytano jego testament, który, jak niemal każdy testament, przyniósł tyle samo rozczarowania, co radości. Zmarły nie okazał się na tyle niesprawiedliwy ani niewdzięczny, by zostawić majątek komu innemu niż bratankowi, ale zostawił go na warunkach, które odejmowały spadkowi połowę wartości. Pan Henry Dashwood pragnął tego dziedzictwa bardziej przez wzgląd na żonę i córki niż na siebie i swego syna. Zostało jednak ono zagwarantowane temu właśnie synowi oraz synowi tego syna, czteroletniemu zaledwie dziecku, i to w sposób, który nie pozostawiał obecnemu gospodarzowi żadnej możliwości zabezpieczenia losu swoim najbliższym, którzy tego bardziej potrzebowali - czy to przez zaciągnięcie długu na majątność, czy też sprzedanie cennych lasów. Całość została zamrożona dla przyszłej korzyści owego dziecka, które

podczas składanych od czasu do czasu z rodzicami w Norland wizyt zdobyło sobie silne uczucie stryjecznego pradziada wdziękami nierzadkimi u dwu - czy trzyletnich dzieci: dziecinną wymową, upartym dążeniem do stawiania na swoim, różnymi sprytnymi figlami i ogromną hałaśliwością, co, widać, zdolne było przeważać okazywaną przez tyle lat troskliwość żony bratanka i jej córek. Stary pan Dashwood nie chciał się jednak okazać niewdzięczny i w dowód swego przywiązania do dziewcząt zostawił po tysiąc funtów każdej.

Pan Henry Dashwood był z początku gorzko rozczarowany, ale że usposobienie miał z natury pogodne i optymistyczne, mógł nie bez podstaw przypuszczać, iż pożyje jeszcze wiele lat, a oszczędzając na wydatkach, odłoży sporą sumę z dochodów majątku już i tak dużych, a zdolnych wkrótce wzrosnąć. Ale fortuna, która tak późno przysłała, pozostała w jego rękach zaledwie rok. Tyle tylko przeżył swego stryja; dla wdowy zaś i córek pozostało wszystkiego dziesięć tysięcy funtów, wliczywszy już ostatni zapis stryjowski.

Gdy zorientowano się, jak groźny jest stan chorego, natychmiast posłano po syna. Jego to pieczy powierzył umierający z całą mocą i żarliwością, jakie potrafi wzbudzić choroba, dobro macochy i sióstr.

Pan John Dashwood nie był człowiekiem równie uczuciowym, jak reszta jego rodziny, wzruszył się jednak ojcowskim poleceniem w tak ważnym momencie danym i obiecał, że uczyni wszystko, co w jego mocy, by damom niczego nie zabrakło. Słyszając to zapewnienie, ojciec odczuł widoczną ulgę, a pan John Dashwood mógł się teraz do woli zastanawiać, ile może dać macosze i siostrom, zachowując rozsądek i rozwagę.

Nie był to człowiek z natury zły, chyba żeby tą nazwą określić pewną oschłość serca i samolubstwo; ogólnie biorąc szanowano go, wywiązywał się bowiem jak należy ze swych powszednich obowiązków. Gdyby się ożenił z sympatyczniejszą osobą, stałby się może człowiekiem jeszcze bardziej szanowanym, ba, może nawet mógłby się stać miły, był bowiem bardzo młody i bardzo zakochany, kiedy się żenił. Lecz żona jego, pani Fanny Dashwood, jako osoba o wiele bardziej ograniczona i samolubna, stanowiła jego żywą karykaturę.

Kiedy składał ojcu obietnicę, rozważał ewentualność powiększenia majątku każdej z sióstr o tysiąc funtów. W owej chwili uważał się za zdolnego do takiego gestu. Wizja czterech tysięcy rocznie jako dodatku do dotychczasowego dochodu, nie mówiąc już o drugiej połowie majątku matki, rozciepliła mu serce i uczyniła zdolnym do hojności. Tak, da im trzy tysiące funtów; będzie to ładny i szczodry gest. Wystarczy im na całkiem dostatnie życie. Trzy tysiące funtów! Może im dać tę okazałą sumkę bez szczególnych trudności. Rozmyślał o tym przez cały dzień, potem przez wiele następnych i nie żałował.

Wkrótce po pogrzebie żona pana Johna Dashwooda zjechała do dworu z dzieckiem i

służbą, nie uprzedzając teściowej o swoim przyjeździe. Nikt nie mógł kwestionować jej praw do tego przyjazdu - z chwilą śmierci teścia dom stał się własnością jej męża - tym bardziej jednak niedelikatnie postąpiła. Gdyby nawet wdowa była osobą przeciętnie wrażliwą, musiałaby się poczuć bardzo dotknięta, lecz starsza pani Dashwood była tak czuła na punkcie honoru i tak romantycznie wrażliwa, że tego rodzaju przewinienie, bez względu na to, kto je popełnił i w stosunku do kogo, musiało w niej obudzić najwyższą odrazę. Żona pana Johna Dashwooda nigdy nie cieszyła się sympatią rodziny zmarłego, dotychczas jednak nie miała sposobności dowieść, jak lekceważąco potrafi się odnosić do uczuć innych, jeśli jej to na rękę.

Pani Dashwood tak boleśnie odczuła niedelikatność tego postępku i tak głęboką powzięła urazę do synowej, że w pierwszej chwili chciała opuścić dom na zawsze i uczyniłaby to, gdyby błagania najstarszej córki nie kazały jej się jednak zastanowić chwilę i gdyby najczulsza miłość dla wszystkich trzech córek nie skłoniła jej po namyśle do pozostania, by nie zrywać ich stosunków z bratem.

Eleonora, najstarsza, której wstawiennictwo wywarło taki skutek, obdarzona była zdolnością spokojnego rozumowania i chłodnego osądu, które to cechy, choć miała zaledwie dziewiętnaście lat, pozwalały jej być doradczynią matki i powściągać - ku pożytkowi wszystkich czterech pań - matczyną popędliwość, wiodącą na ogół do nierozważnych postępków. Była to panna obdarzona najzacniejszym sercem - usposobienie miała czułe, a uczucia silne, umiała jednak nad nimi panować. Tej umiejętności nie nabyła jeszcze jej matka, jedna z siostr zaś postanowiła nie nabywać nigdy.

Zalety Marianny dorównywały pod wieloma względami zaletom starszej siostry. Była rozsądna i inteligentna, lecz we wszystkim nadmiernie popędliwa - jej smutki i radości nie znały umiarkowania. Była osobą wielkoduszną, miłą, interesującą, brakowało jej jedynie roztropności. Uderzająco przypominała swą matkę.

Eleonora patrzyła z troską na tę nadmierną uczuciowość siostry, matka jednak bardzo ją lubiła i ceniła. Teraz wzajemnie podsycali w sobie gwałtowną rozpacz. Straszliwy ból, jaki je w pierwszej chwili przejmował, był teraz własnowolnie rozbudzany, podtrzymywany, wyglądany. Pograżyły się ze wszystkim w swym cierpieniu, szukając okazji do rozdrapywania ran w każdej uwadze, jaka by temu celowi mogła posłużyć, zdecydowane nigdy już w niczym nie znaleźć pociechy. Eleonora była równie zboląła, zdolna jednak do wysiłku, do starań. Potrafiła naradzać się z bratem, przyjmując bratową, która właśnie zjechała, i okazać jej należne względy, potrafiła również nakłaniać matkę, by spróbowała się otrząsnąć, uczyniła podobny wysiłek i zdobyła się na podobną wyrozumiałość.

Trzecia siostra, Małgorzata, była pogodną, uczynną dziewczynką, ale przyswoiła już

sobie od Marianny jej skłonność do romantyczności, brakowało jej natomiast rozsądku siostry. Nie zapowiadała w czternastym roku życia, iż dorówna swym siostrom w późniejszych latach.

ROZDZIAŁ II

Pani Fanny Dashwood rozgościła się teraz w Norland jako pani tego domu, jej zaś teściowa i siostry męża zostały zdegradowane do roli gości. Jako takie były jednak przez nią traktowane ze spokojną uprzejmością, przez męża jej zaś z taką dobrocią, na jaką go było stać w stosunku do kogoś, kto nie był nim samym, jego żoną czy synem. Nalegał nawet, by uważały Norland za swój dom, a zaproszenie zostało przyjęte, gdyż pani Dashwood nie pozostawało nic innego, jak pozostać we dworze, póki nie znajdzie do zamieszkania odpowiedniego domu w sąsiedztwie.

Rada by najchętniej pozostać w tych stronach, gdzie wszystko przypominało jej o minionym szczęściu. W pogodnych czasach nikt nie mógł być bardziej pogodny niż ona, czy też ufniej i z większą pewnością wyglądać nadchodzącego szczęścia, co już jest szczęściem samym w sobie. W bólu jednak dawała się tak samo ponosić wyobraźni i nic nie mogło umniejszyć jej smutku, tak jak poprzednio nic nie mogło umniejszyć jej radości.

Pani Fanny Dashwood nie pochwałała tego, co jej mąż zamierzał uczynić dla swoich sióstr. Przecież odjąć trzy tysiące funtów od majątku ich najdroższego synka to tyle, co zubożyć go najokrutniej. Błagała, by mąż ponownie przemyślał sprawę. Jakże będzie się czuł w swoim sumieniu, jeśli obędzie dziecko, swoje jedyne dziecko, z takich pieniędzy? I jakież prawo do podobnej hojności mogą sobie rościć panny Dashwood, związane z nim pokrewieństwem przez zaledwie jedno z rodziców, co jej zdaniem nie jest w ogóle żadnym pokrewieństwem? Powszechnie przecież wiadomo, że trudno szukać uczucia pomiędzy dziećmi tego samego mężczyzny z dwóch małżeństw. Czemu by więc miał rujnować siebie i malutkiego synka, biedaczka, oddając wszystkie pieniądze swoim przyrodnim siostrom?

- Ostatnią wolą mego ojca - odparł jej mąż - było, ażebym pomógł wdowie i córkom.

- Na pewno nie wiedział, co mówi. Jestem przekonana, że już wtedy majaczył. Gdyby był przy zdrowych zmysłach, nigdy by mu do głowy nie przyszło, żeby cię prosić o oddanie połowy majątku twojego dziecka.

- Nie żądał żadnej określonej sumy, mają droga, prosił mnie tylko ogólnie, żebym je wspierał i pomógł żyć bez trosk, czego sam nie był w stanie im zapewnić. Może byłoby dobrze, gdyby mi w tym zaufał bez przypominania. Nie mógł przecież wątpić, że nie opuszczę ich w potrzebie. Ale że prosił o przyrzeczenie, musiałem mu je dać, tak przynajmniej mi się wówczas wydawało. Obietnica została złożona i musi być dotrzymana. Trzeba coś dla nich zrobić, kiedy wyjadą z Norland i urządzią się w nowym domu.

- No więc dobrze, niech będzie, coś trzeba zrobić, ale czemu to ma być trzy tysiące

funtów? Zważ - dodała - że jak się raz rozstaniesz z pieniędzmi, nigdy już ich więcej nie zobaczysz. Siostry twoje wyjdą za mąż i pieniądze przepadną. Gdyby mogły kiedykolwiek wrócić do naszego synka, biedaczka...

- No cóż - powiedział z powagą jej mąż - w istocie, wówczas sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej. Może przyjąć czas, kiedy Harry będzie żałował, iż rozstaliśmy się z taką znaczną sumą. Gdyby, na przykład, miał dużo dzieci, suma taka bardzo by mu się przydała.

- Co do tego nie ma wątpliwości.

- Może więc, wzięwszy wszystko pod rozwagę, lepiej będzie zmniejszyć tę sumę do połowy. Pięćset funtów to i tak ogromna różnica w ich majątku.

- Nie do wyobrażenia! Jaki brat na świecie zrobiłby choć połowę tego dla swoich sióstr, nawet rodzonych sióstr. A to przecież tylko przyrodnie. Taki jesteś hojny!

- Nie chciałbym postąpić małodusznie. W podobnym wypadku człowiek powinien dać raczej więcej niż mniej. Tak przynajmniej nikt nie będzie mógł powiedzieć, że nie zrobiłem, co do mnie należało. Tak, nawet one same nie mogą się więcej spodziewać.

- Trudno powiedzieć, czego one się mogą spodziewać - rzekła dama - ale nie nad tym musimy się zastanawiać. Pytanie: na ile cię stać?

- Oczywiście, i sędzę, że stać mnie na to, by każdej z nich dać pięćset funtów. Obecnie, bez żadnych dodatków z mojej strony, każda z nich będzie miała po śmierci matki ponad trzy tysiące funtów, a to wcale ładna sumka dla młodej kobiety.

- Niewątpliwie ładna. I doprawdy myślę teraz, że nie trzeba im nic więcej. Przecież będą miały do podziału dziesięć tysięcy funtów. Jeśli wyjdą za mąż, to na pewno będzie im się dobrze powodziło, a jak nie wyjdą, to mogą zupełnie przyzwoicie żyć we trzy z procentów od dziesięciu tysięcy.

- Szczerza prawda, wobec tego nie wiem, czy, wszystko razem wzięwszy, nie postąpię rozsądniej, pomagając ich matce, póki żyje. Może jakieś dożywocie. Moje siostry odniosą z tego tyle samo korzyści, co ona. Sto funtów rocznie pozwoli im wszystkim żyć zupełnie dostatnio.

Żona jego zawahała się jednak przed wyrażeniem zgody na ten plan.

- Niewątpliwie - powiedziała - lepsze to, niż rozstawać się z tysiącem funtów naraz. Ale pomyśl, jeśli pani Dashwood pożyje piętnaście lat, to się oszukamy.

- Piętnaście lat! Droga moja! Przecież ona nie pożyje i siedmiu!

- Zapewne, ale zważ, że ludzie, którzy mają dożywocie, zawsze żyją w nieskończoność, a ona jest krzepka, zdrowa i ma ledwie czterdzieści lat. Dożywocie to sprawa bardzo poważna - trzeba je wypłacać co rok i nie sposób z tym skończyć. Sam nie wiesz, na

co się narażasz. Widziałam na własne oczy, ile jest z tym kłopotów, bo moja matka miała ręce związane trzema dożywotnimi zapisami dla starych, zgrzybiałych sług - ojciec tak postanowił w testamencie - i aż dziw, ile z tym było ambarasu i przykrości. Trzeba było wypłacać pieniądze dwa razy w roku, i jeszcze je dostarczać. Kiedyś powiedziano nam, że jedna ze sług umarła, a potem okazało się, że nic podobnego. Matka miała tego serdecznie dość. Powiadała, że nie czuje się panią własnych przychodów z takimi obciążeniami, a tym gorzej to świadczy o ojcu, że gdyby nie te zapisy, miałyby pieniądze w swojej dyspozycji, bez żadnych ograniczeń. Tak mi to obrzydziło wszelkie dożywocie, że za żadne skarby świata nie zobowiązałabym się do czegoś podobnego.

- Przykra to rzecz, w istocie - przyznał jej małżonek - mieć taki coroczny wylom w dochodach. Jak to twoja matka słusznie określiła, człowiek przestaje być panem własnego majątku. Związać się koniecznością regularnego uiszczania takiej sumy z tenuty dzierżawnej, to doprawdy bardzo przykre, odbiera człowiekowi poczucie niezależności.

- Bez wątpienia, a na dodatek nikt ci za to nie podziękuje. Uważa, że ma byt zabezpieczony, a to, co robisz, jest przecięz zupełnie oczywiste i nie wzbudza najmniejszej wdzięczności. Na twoim miejscu kierowałabym się własnym rozumem i nie wiązałabym się żadnymi stałymi zobowiązaniami. Może przyjsć rok, kiedy będzie ci bardzo trudno zaoszczędzić sto czy nawet pięćdziesiąt funtów ze swoich dochodów.

- Wydaje mi się, że masz rację, moja duszko. Lepiej nie ustalać w tym wypadku żadnego dożywocia, żadnych corocznych zobowiązań. Każda suma, ofiarowana od czasu do czasu, będzie im większą pomocą niż coroczna pensja, gdyby bowiem miały zapewniony wyższy dochód, zaczęłyby tylko żyć na wyższej stopie i z końcem roku nie miałyby nawet sześciu pensów więcej. Doprawdy, tak będzie najlepiej. Prezent w postaci pięćdziesięciu funtów ofiarowanych od czasu do czasu nie pozwoli im nigdy kłopotać się o gotówkę i, jak sądzę, będzie rzetelnym spełnieniem danego ojcu zobowiązania.

- Oczywiście! Chociaż pewna jestem, że twój ojciec w ogóle nie miał na myśli żadnej darowizny pieniężnej. Powiedziałabym raczej, że mówiąc o pomocy miał na myśli to, co było samo przez się zrozumiałe, na przykład, żebyś im znalazł jakiś mały wygodny domek, dopomógł w przeprowadzce i posyłał prezenty - ryby czy dziczyznę, czy co się akurat nadarzy. Dałabym głowę, że nic innego nie miał na myśli... Byłoby dziwne i nierozsądne, gdyby miał. Zważ tylko, drogi mój mężu, jak niezwykle wygodne życie może wieść twoja macocha i siostry z procentów od siedmiu tysięcy funtów, nie mówiąc już o tym tysiącu, który ma każda z dziewcząt, a który przyniesie każdej pięćdziesiąt funtów rocznie, co niewątpliwie dadzą matce na życie. Sumując to wszystko, będą miały na siebie pięćset funtów

rocznie, a czegoż więcej mogłyby chcieć cztery kobiety? Przecież tak się taniutko urządzają. Życie nie będzie ich prawie nic kosztować. Nie będą trzymały powozu, koni czy licznej służby, nie będą utrzymywały stosunków towarzyskich i nie mogą mieć żadnych wydatków. Pomyśl tylko, jak im będzie dobrze. Pięćset funtów rocznie! Powiadam ci, trudno sobie wyobrazić, jak one zdołają wydać choćby połowę tej sumy, a już myśleć, żebyś im dawał więcej, to czysta bzdura! Prędzej one mogą ci coś dać!

- Na mą duszę - stwierdził pan Dashwood - masz najzupełniejszą rację. Z pewnością ojciec nie co innego miał na myśli, kiedy zwracał się do mnie z tą prośbą. Jasno to teraz pojmuję i najskrupulatniej wypełnię obietnicę, świadcząc im pomoc i okazując dobroć tak właśnie, jak powiedziałaś. Kiedy macocha moja się przeprowadzi, będę jej najchętniej służył pomocą przy przenosinach. Nadarzy się wówczas okazja na jakiś mebelek w prezencie.

- Niewątpliwie - przytaknęła pani Dashwood. - Jedną sprawę należy wziąć pod uwagę. Kiedy twój ojciec z żoną przeprowadzali się do Norland, to chociaż sprzedali umeblowanie Stanhill, zatrzymali całą porcelanę, srebro stołowe, bieliznę pościelową i stołową. To wszystko pozostaje teraz dla twojej macochy. Dlatego więc z chwilą przeprowadzki będzie miała nowy dom niemal całkowicie urządzony.

- To jest ważki argument, niewątpliwie. Bardzo cenny spadek, rzecz jasna. Trzeba przyznać, że niektóre z tych sreber byłyby znakomitym uzupełnieniem naszej własnej zastawy.

- Tak, a komplet śniadaniowy jest o wiele ładniejszy niż zastawa z Norland. O wiele za ładny, w moim przekonaniu, na taki dom, na jaki one będą mogły sobie pozwolić. No, ale trudno. Tak już jest. Twój ojciec myślał tylko o nich. I jedno muszę powiedzieć: nie masz mu znowu tak bardzo za co być wdzięczny i tak się troskać o spełnienie jego pragnień, bo wiemy doskonale, że gdyby tylko mógł, zapisałby wszystko tylko im.

Był to argument nie do odparcia, argument o takiej mocy, że to, co dotychczas było zamiarem, stało się decyzją i pan Dashwood doszedł do ostatecznego wniosku, że nie tylko nie jest konieczne, ale w najwyższym stopniu niestosowne, by miał dla wdowy i sierot po swym ojcu zrobić cokolwiek nad wskazane mu przez żonę sąsiedzkie uprzejmości.

ROZDZIAŁ III

Wdowa z córkami pozostawała jeszcze w Norland przez kilka miesięcy. Nie wpływało to z niechęci do przeniesienia się, kiedy bowiem wszystkie dobrze znane zakątki przestały budzić gwałtowne wzruszenie, kiedy rozpacz przycichła, a myśli nie zaprzętała już wyłącznie chęć podsycaenia smutku własnymi wspomnieniami, wdowa zapragnęła jak najszybciej wyjechać i niestrudzenie prowadziła poszukiwania odpowiedniego domu w okolicy, gdyż zamieszkanie z dala od ukochanego miejsca wydawało się niemożliwe. Nie znalazła jednak żadnego domu, który zaspokajałby jej wymagania co do komfortu i wygód, a jednocześnie odpowiadał roztropnym warunkom postawionym przez jej najstarszą córkę. Ta, wiedzona rozważą i rozsądkiem, odrzuciła już była kilka domów, które uznała za zbyt okazałe na ich możliwości, choć matka uważała je za odpowiednie.

Mąż przed śmiercią powiadomił ją o uroczystej obietnicy złożonej przez syna, obietnicy, która przyniosła mu spokój w ostatnich chwilach na ziemi. Wdowa wierzyła w rzetelność tej obietnicy równie mocno, jak zmarły małżonek i cieszyła się nią z myślą o córkach, bo co do siebie samej przekonana była, że mogłaby dostatnio wyżyć nawet ze skromniejszego dochodu niż procenty od siedmiu tysięcy funtów. Cieszyła ją ta obietnica również ze względu na pasierba oraz własne do niego uczucia, wyrzucała też sobie, iż go dotychczas niesprawiedliwie sądziła, uważając za niezdolnego do hojności. Teraz widząc, jak troskliwie i miło odnosi się do niej samej i córek, uwierzyła, że ich pomyślność żywo go obchodzi, i przez dłuższy czas ufała jego szlachetnej obietnicy.

Niechęć, jaką czuła do synowej od początku znajomości, teraz przy bliższym poznaniu, podczas półrocznego pobytu pod wspólnym dachem, wzrosła ogromnie i, być może, przeważałaby względy uprzejmości i miłości matczynej, uniemożliwiając obu paniom dłuższe przebywanie w jednym domu, gdyby nie pewna nowa okoliczność, która, zdaniem wdowy, przemawiała za pozostaniem jej córek jeszcze przez pewien czas w Norland.

Okolicznością tą było rosnące uczucie pomiędzy najstarszą jej córką a bratem pani Fanny Dashwood, człowiekiem miłym i dżentelmenem, który przyjechał do Norland wkrótce po osiedleniu się tutaj jego siostry i odtąd spędzał z rodziną większość czasu.

Niektóre matki podsycalyby tę wzajemną skłonność młodych z interesownych względów, Edward Ferrars bowiem był najstarszym synem człowieka, który umarł bardzo bogato; inne mogłyby ją tłumić przez wzgląd na roztropność, cała jego fortuna bowiem, z wyjątkiem jakiejś sumki, uzależniona była od woli matki. Pani Dashwood dalekie były obie te racje. Wystarczyło, że młody człowiek wydawał się bardzo miły, że kochał jej córkę i miał jej

wzajemność. To, by różnica majątkowa mogła stać się przyczyną rozdzielenia dwojga młodych, których łączy podobieństwo usposobień, było sprzeczne z wszystkimi jej zasadami, a nie przypuszczała, żeby ktoś, kto znał Eleonorę, mógł się na niej nie poznać.

Edward Ferrars nie zaskarbił sobie jej życzliwości szczególnym urokiem osobistym czy ujmującym zachowaniem. Nie odznaczał się uderzającą urodą i wymagał bliższego poznania, by zyskać sympatię. Był zbyt nieśmiały, by umieć się awantażownie pokazać, i dopiero po przełamaniu pierwszych lodów dawał się poznać jako człowiek o gorącym i otwartym sercu, który wrodzone zdolności pogłębił rzetelną nauką. Lecz ani jego rozum, ani skłonności nie zaspokajały ambicji matki i siostry, które pragnęły, by został wybitną osobistością - tylko nie bardzo wiedziały, jaką mianowicie. Miał być po prostu ważną figurą w tej czy innej dziedzinie. Matka chciała, by zainteresował się polityką, został posłem do parlamentu albo związał się z jakimś wielkim współczesnym mężem stanu. Pani Fanny Dashwood miała podobne pragnienia, tymczasem jednak, póki się nie zrealizują, brat zaspokoiłby jej ambicję, powożąc jakimś eleganckim ekwipażem. Edward jednak nie miał najmniejszego upodobania ani do wielkich ludzi, ani do ekwipaży. Wszystkie jego marzenia skupiały się wokół domowych rozkoszy i spokojnego rodzinnego życia. Na szczęście miał o wiele bardziej obiecującego młodszego brata.

Edward spędził we dworze kilka tygodni, nim wdowa zwróciła na niego uwagę, gdyż w owym czasie pogrążona była w rozpacz, która uczyniła ją obojętną na cały otaczający świat. Zauważyła tylko, że jest spokojny, że się nie narzuca, i lubiła go za to. Nie mącił jej żalości, próbując niewczesnych rozmów. Po raz pierwszy spojrzała na niego z życzliwą uwagą, gdy Eleonora wspomniała, jak bardzo brat różny jest od siostry. Była to najlepsza rekomendacja.

- Wystarczy - powiedziała pani Dashwood - że jest inny niż Fanny. Świadczy to wyłącznie na jego korzyść. Już go kocham.

- Sądzę, że go mama polubi, kiedy go bliżej pozna - podsunęła Eleonora.

- Polubi? - uśmiechnęła się matka. - Nie znam innego uczucia jak miłość dla kogoś, kto mi odpowiada.

- Może go mamusia szanować.

- Nigdy się jeszcze nie nauczyłam oddzielać miłości od szacunku.

Pani Dashwood starała się od tej chwili lepiej go poznać. Miała ujmujący sposób bycia i szybko przełamała jego rezerwę. W lot pojęła, ile ma zalet - może przekonanie o uczuciu, jakim darzył Eleonorę, wzmogło nieco jej przenikliwość, tak czy inaczej naprawdę pewna była, że to człowiek zacny, i teraz już nawet jego powściągliwość, sprzeczna z wszystkimi jej

wyobrażeniami o tym, jak młodzieniec winien emablować damę - nawet owa powściągliwość straciła cechy prozaiczności, kiedy wdowa wiedziała już, że Edward ma serce gorące, a usposobienie czułe.

Kiedy zauważyła u niego pierwsze oznaki uczucia dla Eleonory, natychmiast uznała ich wzajemną miłość za rzecz pewną i wyglądała ślubu w niedługim czasie.

- Za kilka miesięcy, córeczko - zwróciła się do Marianny - Eleonora wedle wszelkiego prawdopodobieństwa rozpocznie własne życie. Zabraknie nam jej, to pewne, ale ona będzie szczęśliwa.

- Och, mamó, cóż my bez niej poczniemy!

- Droga moja, przecież to żadna rozłąka. Będziemy mieszkać od siebie o kilka mil zaledwie i widywać się co dzień. Ty zyskasz brata, prawdziwie kochającego brata. Mam najlepsze w świecie zdanie o sercu Edwarda. Ale zrobiłaś taką poważną minę, Marianno, czyżbyś nie pochwałała wyboru, jakiego dokonała twoja siostra?

- Może - odparła Marianna - był dla mnie pewnym zaskoczeniem. Edward jest bardzo miły i kocham go czule. Lecz nie jest to przecież taki młody człowiek... Czegoś mu brak... Jego postać nie przykuwa wzroku, nie ma tego wdzięku, jakiego oczekiwałabym u mężczyzny, który poważnie zainteresował moją siostrę. W oczach jego brak ognia, animuszu, które świadczą razem o cnocie i inteligencji. A poza tym obawiam się, mamó, że on nie ma gustu. Wydaje się, że muzyka nie pociąga go zbyt, i chociaż ogromnie się zachwyca rysunkami Eleonory, nie jest to zachwyt człowieka, który by rozumiał ich wartość. Mimo iż poświęca Eleonorze wiele uwagi, gdy ona maluje, widać przecież, że w istocie nie zna się wcale na rzeczy. To jest uwielbienie człowieka zakochanego, a nie znawcy przedmiotu. Mnie mogłoby zadowolić tylko jedno i drugie. Nie mogłabym zaznać szczęścia z człowiekiem, którego upodobania nie byłyby wiernym odbiciem moich. Musi umieć wnikać we wszystkie moje uczucia - te same książki, ta sama muzyka winna zachwycać nas oboje. Och, mamó, jak mdło, jak bez polotu czytał nam Edward wczoraj wieczorem! Z całego serca współczułam mojej siostrze! A jednak znosiła to z takim opanowaniem! Jakby tego zupełnie nie zauważała! Ledwo zdołałam usiedzieć w miejscu! Słuchać tych cudownych strof, które tak często wprowadzały mnie w uniesienie, czytanych z takim nieporuszonym spokojem, z taką potworną obojętnością...

- Z pewnością prosta i elegancka proza lepiej wypadłaby w jego ustach, lecz ty uparłaś się przy Cowperze.

- Ależ mamó, skoro nawet Cowper nie mógł go ożywić! Zresztą trzeba pamiętać, że różne bywają upodobania. Eleonora nie jest tak uczuciowa jak ja, może więc nie

przywiązywać do tego wagi i być szczęśliwa. Ale gdybym ja go kochała, serce by mi pękło po takim czytaniu bez czucia. Mamo, im bardziej poznaję świat, tym więcej nabieram pewności, że nigdy nie spotkam mężczyzny, którego bym naprawdę zdolna była pokochać. Tak wiele żądam! Musi mieć wszystkie zalety Edwarda, a nadto pewien urok w wyglądzie i obejściu, który zdołałby jego dobroć.

- Pamiętaj, moje serce, że nie masz jeszcze siedemnastu lat! Za wcześnie, byś traciła nadzieję na znalezienie szczęścia. Czemu los nie miałby być dla ciebie równie łaskawy, jak dla twojej matki? Niechże twoje życie pod jednym tylko względem różni się od tego, co jej przypadło w udziale.

ROZDZIAŁ IV

- Jaka to szkoda, Eleonoro - odezwała się Marianna - że Edward nie gustuje w rysunku.

- Nie gustuje w rysunku? - zdziwiła się Eleonora. - A czemu tak uważasz? Sam nie rysuje, to prawda, ale przyglądanie się, jak ktoś rysuje, sprawia mu wiele przyjemności i zapewniam cię, że nie brak mu wrodzonego smaku, chociaż nie miał sposobności go doskonalić. Gdyby kiedykolwiek uczył się rysunku, z pewnością szłoby mu bardzo dobrze. Nie jest pewny własnych sądów i to do tego stopnia, że niechętnie wyraża swoje zdanie w tej materii, ma jednak z przyrodzenia dobry gust i upodobanie do prostoty, co wiedzie go we właściwym kierunku.

Marianna obawiała się urazić siostrę, nie przeciągała więc rozmowy na ten temat, lecz opisany przez Eleonorę rodzaj aprobaty dla cudzych rysunków był bardzo daleki od entuzjastycznych zachwyty, jedynych, jej zdaniem, jakie mogły być świadectwem dobrego gustu. Uśmiechała się w duszy, słysząc tak mylne poglądy, lecz miała przy tym szacunek dla siostry za ową ślepą stronniczość, która te poglądy zrodziła.

- Mam nadzieję, Marianno - ciągnęła Eleonora - że nie uważasz go za człowieka bez gustu. To chyba niemożliwe, bo taka jesteś dla niego serdeczna, a wiem, że gdybyś podobnie myślała, nie zdobyłabyś się wobec niego na uprzejmość.

Marianna nie wiedziała, co odpowiedzieć. Za żadne skarby nie chciała urazić siostry, a przecież nie mogła powiedzieć czegoś, w co nie wierzyła. Odparła wreszcie:

- Nie miej do mnie urazy, Eleonoro, jeśli moje uznanie dla niego nie we wszystkim dorównuje twojemu przekonaniu o jego zaletach. Miałam niewiele okazji, by poznać tak dokładnie jak ty wszystkie cechy jego umysłowości, smaku i upodobań, mam jednak najwyższą opinię o jego dobroci i rozumie i uważam go za najzacniejszego i najmiłszego człowieka pod słońcem.

- Sądzę - uśmiechnęła się Eleonora - że ta ocena musiałaby zadowolić nawet najbliższych jego przyjaciół.

Marianna ucieszyła się, widząc, jak łatwo jej przyszło zadowolić siostrę.

- Sądzę - ciągnęła Eleonora - że nikt, kto widuje go na tyle często, by z nim szczerze rozmawiać, nie może wątpić w jego rozsądek i dobroć. Jest to człowiek wybornego umysłu i zasad, przesłoniętych tylko ową nieśmiałością, która zbyt często każe mu milczeć. Ty znasz go dostatecznie dobrze, by oddać mu rzetelną sprawiedliwość, lecz okoliczności sprawiły, że, jak to powiedziałaś, pewne cechy jego umysłowości są ci mniej znane niż mnie. Otóż miałam

ostatnio wiele okazji do rozmowy z nim, podczas gdy ty, powodowana najczulszymi względami, byłaś bez reszty zajęta matką. Widywałam go bardzo często, wysłuchiwałam jego zapatrywań i opinii na temat literatury oraz upodobań, i wszystko razem wzięwszy, mam podstawy twierdzić, że jest wykształcony, że lektura sprawia mu wielką przyjemność, że wyobraźnię ma żywą, spostrzeżenia słuszne i trafne, a gust dobry. Przy bliższym poznaniu ujawniają się zalety jego umysłu, zyskuje też obejście i wygląd. Z początku nie zwraca uwagi ani zachowaniem, ani urodą, bo trudno go nazwać przystojnym, póki się nie dostrzeże wyrazu jego oczu, przyznasz, wyjątkowo pięknych, i słodczy oblicza. Teraz znam go tak dobrze, że uważam doprawdy za przystojnego mężczyznę albo przynajmniej niemal przystojnego. Co ty na to, Marianno?

- Myślę, że ani się obejrzę, jak zacznę go uważać za przystojnego. Kiedy mi powiesz, że mam go kochać jak brata, przestanę zauważać niedostatki jego urody, tak jak dzisiaj nie widzę niedostatków jego serca.

Eleonora drgnęła na te słowa i pożałowała okazanego przejęcia. Miała o Edwardzie bardzo wysokie mniemanie. Ufała, iż jej uczucie jest wzajemne, lecz musiałaby mieć o wiele większą pewność, by ucieszyło ją przekonanie Marianny o łączącym ich sentymencie. Wiedziała, że u Marianny i matki od przypuszczeń do pewności jest jeden krok, że pragnąć - to dla nich znaczy tyle, co mieć nadzieję, a nadzieja równa się oczekiwaniu. Próbowała więc wyjaśnić siostrze, jak się ma rzecz naprawdę.

- Nie próbuję przeczyć - powiedziała - że mam o nim wysokie mniemanie... że go ogromnie cenię, że go lubię...

Tu Marianna wybuchnęła oburzeniem.

- Cenisz go! Lubisz go! Och, ty dziewczyno bez serca! Ty się tego serca wstydzisz! Jeśli jeszcze raz użyjesz podobnych słów, natychmiast wyjdę z pokoju.

Eleonora musiała się roześmiać.

- Wybacz - powiedziała - i uwierz, że nie chciałam cię urazić, mówiąc o moich uczuciach w sposób tak powściągliwy. Przyjmij, że są silniejsze, niż powiedziałam. Krótko mówiąc, przyjmij, że są takie, jakie można rozważnie i rzetelnie uzasadnić, znając jego zalety i przypuszczając... licząc na jego dla mnie afekt. Ale niczego więcej nie wolno ci zakładać. Nie otrzymałam żadnych zapewnień o jego uczuciu. Są chwile, kiedy w nie wątpię, a nie możesz się dziwić, że póki nie będę znała jego sentymentów, póty nie będę chciała podsycać własnych, myśląc czy mówiąc, że są czymś więcej, niż są. W głębi serca nie mam wielkich, właściwie nie mam żadnych wątpliwości co do jego afektu. Ale oprócz jego skłonności są jeszcze inne problemy. On nie jest niezależny materialnie. Daleko mu do tego. Nie wiemy,

jaka jest w gruncie rzeczy jego matka, lecz z przypadkowych uwag Fanny o jej postępkach i przekonaniach odniosłyśmy wrażenie, że nie jest osobą miłą, i chyba się nie mylę sądząc, że Edward zdaje sobie sprawę z ogromnych trudności, jakie by napotkał, pragnąc poślubić kobietę miernej fortuny i niewysokiego rodu.

Marianna słuchała ze zdumieniem, jak bardzo jej wyobraźnia i wyobraźnia matki wyprzedziły rzeczywistość.

- A więc ty naprawdę nie jesteś z nim zaręczona! - zawołała. - No, ale to się przecież wkrótce stanie. A z tej zwłoki będą dwie korzyści: ja cię nie stracę tak szybko, a Edward będzie miał większą sposobność doskonalenia swego wrodzonego smaku w twojej ulubionej dziedzinie, co jest nieodzowne dla waszego przyszłego szczęścia. Och, gdyby też twój talent tak go zachęcił, by sam się wziął do rysunku! Jakież by to było cudowne!

Eleonora powiedziała siostrze prawdę. Nie mogła uważać, by Edward odwzajemniał się jej uczuciem, którego dopatrywała się Marianna. Młody człowiek popadał od czasu do czasu w nastrój przygnębienia, które świadczyło, jeśli nie o zupełnej obojętności, to o czymś równie mało obiecującym. Przecież gdyby miał wątpliwości co do jej uczuć, byłby najwyżej niespokojny. Skąd więc ta melancholia, która go tak często nachodziła? Wydawało się bardziej prawdopodobne, iż jej przyczyną jest zależność materialna, która uniemożliwiała mu folgowanie własnym uczuciom. Wiedziała, że matka Edwarda nie ma zamiaru pozwolić mu na założenie w przyszłości własnej rodziny, jeśli się nie zastosuje we wszystkim do jej życzeń i nie robi kariery. Wiedząc tyle, nie mogła zaznać spokoju. Wcale nie była pewna, że skłonność Edwarda do niej doprowadzi do tego, co jej matka i siostra uważały za oczywiste. Wręcz przeciwnie, im dłużej przebywała z Edwardem, tym bardziej wątpiła w naturę jego względów i czasami przez kilka przykrych chwil sądziła, że nie jest to nic więcej nad przyjaźń.

Względy te jednak, choćby nawet niewielkie, okazywał dostatecznie jawnie, by zaniepokoić własną siostrę i sprowokować jej, jeszcze bardziej dla niej typową, niegrzeczność. Przy pierwszej sposobności obraziła świekrę, mówiąc jej bez osłonek o wielkich oczekiwaniach brata, o niewzruszonym postanowieniu pani Ferrars, że obaj jej synowie dobrze się ożenią, i o niebezpieczeństwie, na jakie narażaliby się każda młoda osoba, która by usiłowała go złapać. Pani Dashwood nie mogła udawać, że nie wie, o co chodzi, nie potrafiła też zachować spokoju. Odpowiedziała, nie ukrywając wzgardy, i natychmiast wyszła z bawialni postanowiwszy, że bez względu na trudności i kosztą nagłej przeprowadzki nie pozwoli, by jej ukochana Eleonora znosiła podobne insynuacje.

W takim właśnie nastroju otrzymała pocztą list z propozycją niezwykle na czasie. Była

to oferta wynajęcia na bardzo dobrych warunkach małego domku, należącego do jej krewniaka, zamożnego właściciela ziemskiego w hrabstwie Devon. List pisany był przez niego ze szczerą, przyjazną chęcią niesienia pomocy. Słyszał, że kuzynka szuka mieszkania, a chociaż mógł jej ofiarować tylko okazałych rozmiarów domek farmerski, zapewniał panią Dashwood, że jeśli jej się miejsce spodoba, dokona w budynku wszelkich przeróbek, jakie ona uzna za nieodzowne. Podawał szczegóły dotyczące domu i ogrodu i usilnie nalegał, by przyjechała z córkami do Barton Park, jego dworu, gdzie osobiście stwierdzi, czy proponowany jej Barton Cottage, leżący w tej samej parafii, będzie jej odpowiadał po stosownych przeróbkach. Cały list tchnął ogromną życzliwością człowieka, któremu szczerze zależy na przyjeździe pań, co było na pewno miłe adresatce, zwłaszcza w momencie, kiedy została zraniona zimnym i nieczułym zachowaniem bliższej rodziny. Nie traciła czasu na namysły czy zasięganie informacji. W miarę czytania krzepło w niej postanowienie. Najważniejszym argumentem była teraz odległość dzieląca Barton w hrabstwie Devon od Sussex, odległość, która jeszcze przed kilku godzinami przeważałaby wszelkie zalety proponowanego domku. Wyjazd z okolic Norland nie był już teraz złem, wręcz przeciwnie, był pożądanym, był dobrodziejstwem w porównaniu z koniecznością pozostawania w gościnie u synowej. Mniej będzie bolesne pożegnanie na zawsze ukochanego miejsca niż mieszkanie w nim czy odwiedzanie go, jak długo ta kobieta będzie tu panią. Natychmiast napisała do sir Johna Middletona, dziękując mu za uprzejmość i przyjmując propozycję, po czym pośpieszyła do dziewcząt, by pokazać im oba listy i uzyskać aprobatę swojej decyzji przed wysłaniem odpowiedzi.

Eleonora zawsze uważała, że rozsądniej będzie osiedlić się nieco dalej od Norland, a nie w bezpośrednim sąsiedztwie, nie mogła więc opierać się projektowi matki, szermując argumentem odległości, jaka dzieliła Devon od Sussex. Nadto, sądząc z opisu sir Johna, dom był taki skromny, a czynsz tak niezwykle umiarkowany, że i tu nie znajdowała powodów do sprzeciwu. Tak więc, choć projekt nie zawierał niczego, co byłoby jej w smak, choć było to przeniesienie dalej od Norland, niżby sobie życzyła, nie próbowała nawet odwołać matki od wysłania listu ze zgodą na propozycję sir Johna.

ROZDZIAŁ V

Natychmiast po wysłaniu odpowiedzi pani Dashwood zrobiła sobie przyjemność i poinformowała pasierba i jego żonę, że znalazła już dom i będzie korzystać z ich uprzejmości tylko do chwili, kiedy przeprowadzka stanie się możliwa. Słuchali jej ze zdumieniem. Młodsza pani Dashwood nie odezwała się ani słowem, ale jej mąż wyraził uprzejmą nadzieję, że macocha nie zamieszka daleko od Norland. Z ogromną satysfakcją odparła, że przenosi się do hrabstwa Devon. Słyszac to, Edward obrócił się ku niej spiesznie i głosem pełnym zdumienia i przejęcia, całkowicie dla niej niezrozumiałego, powtórzył: - Do hrabstwa Devon! To tak daleko! A do której części? - Wyjaśniła, gdzie leży jej nowy dom. Cztery mile na północ od Exeter.

- To tylko mały domeczek - ciągnęła - mam jednak nadzieję, że ujrzę w nim wielu moich przyjaciół. Bez trudu będzie można tam dobudować jeden czy dwa pokoje. A jeśli tak daleka podróż nie okaże się ponad siły moich przyjaciół, ja na pewno znajdę sposób, by ich ulokować pod moim dachem.

Zakończyła uprzejmym zaproszeniem państwa Dashwood do złożenia jej wizyty w Barton, a jeszcze serdeczniej zwróciła się osobno z takim samym zaproszeniem do Edwarda. Choć ostatnia rozmowa z synową kazała wdowie podjąć decyzję, że nie zostanie w Norland dłużej niż to nieuniknione, nie wpłynęła w żadnym stopniu na sprawę, o którą w rozmowie chodziło. Matce nawet w głowie nie powstało rozdzielać Eleonorę i Edwarda, a zwracając się do niego z wyraźnym zaproszeniem, pragnęła pokazać synowej, że jej dezaprobata dla tego związku nie ma najmniejszego znaczenia.

Pan John Dashwood kilkakrotnie powtórzył, jak bardzo mu przykro, że wynajęła sobie dom w odległości, która uniemożliwi mu pomoc w przewiezieniu rzeczy. W istocie sprawiło mu to prawdziwą przykrość; decyzja macochy bowiem nie pozwalała mu zrobić nawet tej drobnej uprzejmości, do jakiej sprowadził daną ojcu obietnicę. Rzeczy zostały wysłane drogą morską. Składały się na nie: bielizna stołowa i pościelowa, zastawa, porcelana, książki i zgrabne pianino Marianny. Pani Fanny Dashwood żegnała odjeżdżające skrzynie z westchnieniem - boleśnie odczuwała fakt, że macocha męża, choć ma w porównaniu z nimi tak skromne przychody, będzie w posiadaniu takich ładnych rzeczy.

Pani Dashwood wynajęła dom na rok; był już umeblowany, mogła się więc natychmiast wprowadzić. Ponieważ z umową nie było najmniejszych kłopotów, wdowa musiała jedynie pozbyć się resztek ruchomości z Norland i ustalić liczbę przyszłej służby, nim wyruszy na zachód, a że wszystko, czym się interesowała, robiła bardzo szybko, i teraz

więc uwinęła się z tymi sprawami. Konie, które zostawił jej mąż, sprzedała wkrótce po jego śmierci, a że nadarzyła się teraz sposobność sprzedania powozu, zgodziła się i na to pod silną presją starszej córki. Gdyby uległa własnym chęciom, zachowałyby powóz dla wygody córek, ale rozsądek Eleonory zwyciężył. Również dzięki jej roztropności ograniczono liczbę służby do trzech osób, dwóch pokojowych i służącego, którzy zostali szybko wybrani spośród dawnej służby dworskiej.

Służący i jedna z pokojowych natychmiast pojechali przodem do hrabstwa Devon, by przygotować wszystko na przyjazd dam, pani Dashwood bowiem, która nie знаła lady Middleton, wolała osiąść od razu w nowym domu, zamiast mieszkać z początku jako gość we dworze. Tak całkowicie zaufała opisowi domu, jaki przesłał jej sir John, że nie była ciekawa oglądać go wcześniej, nim wejdzie tam pod swój dach. Wyraźne ukontentowanie synowej ze zbliżającego się wyjazdu pań kazało jej niecierpliwie wyglądać tej daty, zwłaszcza że pani Fanny Dashwood próbowała niezręcznie ukryć swe zadowolenie, prosząc chłodno o odsunięcie rozstania. Nadeszła chwila, kiedy pasierb mógł spełnić daną ojcu obietnicę. Ponieważ zaniedbał to w chwili wejścia w posiadanie majątku, wydawało się, że następnym odpowiednim momentem będzie wyjazd macochy z Norland. Pani Dashwood jednak dawno już straciła wszelkie na to nadzieje i wyciągnęła z ogólnego tonu jego wypowiedzi wniosek, że pomoc ta nie wykroczy poza półroczne żywienie ich w Norland. Tak często mówił o wzrastających kosztach utrzymania i o ludziach, co nieustannie sięgają do jego sakiewki, na co wciąż narażony jest człowiek o pewnej pozycji w świecie, że wydawało się, iż to nie on powinien dawać, tylko jemu należałoby raczej coś dać.

W kilka tygodni po otrzymaniu listu od sir Johna Middletona wszystko było już na tyle przygotowane w ich nowym domu, by panie mogły ruszyć w drogę.

Wiele łez wylały, żegnając się po raz ostatni z miejscem tak bardzo przez nie kochanym. - Drogie, drogie Norland! - łkała Marianna, błakając się samotnie przed dworem ostatniego wieczora. - Kiedyż przestanę żałować, żem cię utraciła... Kiedyż to będę mogła gdzie indziej poczuć się jak w domu! O, szczęśliwy ty dworze, żebyś wiedział, co cierpię, patrząc teraz na ciebie, z tego miejsca, z którego pewno już nigdy cię oglądać nie będę. I wy, znajome drzewa! Lecz wy pozostaniecie zawsze takie same! Żaden wasz liść nie zwiędnie przez to, że nas tu zabraknie, żadna gałąź nie znieruchomieje, choć nam nie będzie już dany wasz widok! Tak, wy się nigdy nie zmienicie. Nieświadome radości czy smutku, jakich jesteście przyczyną, nieświadome zmiany w tych, co spacerują w waszym cieniu. Lecz któż tu pozostanie, kto by się wami radował?

ROZDZIAŁ VI

Pierwsza część podróży upłynęła w zbyt melancholijnym nastroju, by mogła się nie dłużyć i nie uprzykrzyć. Gdy jednak zaczęły się zbliżać do kresu drogi, ciekawość, jak też wygląda okolica, w której zamieszkają, przemogła przygnębienie, widok zaś rozwierającej się przed nimi doliny Barton nastroił panie pogodnie. Była to żyzna, ładna dolina, pokryta lasem i łąkami. Krętą drogą ujechały przeszło milę i wreszcie stanęły przed własnym domem. Od frontu przylegał do niego jedynie mały zielony trawnik, na który prowadziła zgrabna furteczka.

Barton Cottage, jako dom, wygodny i pojemny, choć mały, nie przypominał typowej farmerskiej chaty, gdyż był symetryczny, kryty dachówką, okiennic nie miał pomalowanych na zielono ani ścian oplecionych kapryfolium. Wąski korytarz prowadził przez środek domu prosto do drzwi wiodących do ogródka od tyłu. Od frontu, na prawo i na lewo z korytarza, wchodziło się do niewielkich kwadratowych pokoi bawialnych, dalej leżały pomieszczenia gospodarcze i schody. Na piętrze były cztery sypialnie, a na mansardzie dwa pokoiki. Dom nie był stary i znajdował się w dobrym stanie. W porównaniu z dworem Norland wydawał się istotnie ubogi i mały, lecz łzy, jakie napłynęły damom do oczu na wspomnienie rodzinnego gniazda, szybko wyschły po wejściu do środka. Radość służby na ich widok przyniosła im pocieszenie i każda z pań postanowiła robić dobrą minę ze względu na pozostałe. Był początek września, piękna jesień, dom oglądały po raz pierwszy przy korzystnej, ładnej pogodzie, toteż odniosły miłe wrażenie, które było podwaliną przyszłego przywiązania.

Dom był dobrze usytuowany. Wysokie wzgórza osłaniały go bezpośrednio z tyłu oraz w niewielkiej odległości po obu bokach. Niektóre wzgórza były nagie, niczym nie porośłe, inne uprawne lub pokryte lasem. Wioska Barton leżała na jednym z nich; roztaczał się na nią piękny widok z okien domu. Od frontu otwierała się rozleglejsza perspektywa na całą dolinę i hen, daleko. Otaczające domek wzgórza zamykały dolinę; tu się ona kończyła, a odgałęzienie jej prowadziło między dwoma najbardziej stromymi zboczami, w innym kierunku, i miało inną nazwę.

Wszystko razem wzięwszy, pani Dashwood była zadowolona z wielkości i umeblowania domu. Choć dotychczasowy styl życia wymagał, by dokupiła sprzętów, znajdowała przyjemność w ulepszaniu i uzupełnianiu, a miała dość gotówki, by kupić wszystko, co niezbędne dla podniesienia elegancji wnętrza. - Jeśli idzie o sam dom - stwierdziła - cóż, oczywista, za mały jest na naszą rodzinę, ale tymczasem urządzimy się jakoś całkiem znośnie, bo za późno już w tym roku zaczynać przebudowę. Może na wiosnę,

jeśli, jak się spodziewam, będę miała dużo pieniędzy, pomyślimy o tym. Obie bawialnie są za małe, by pomieścić naszych przyjaciół, których mam nadzieję często tutaj widywać, i tak sobie myślę, żeby połączyć korytarz z jedną i może jeszcze zabrać kawałek drugiej, a z reszty tej drugiej zrobić wejście, no i łatwo będzie dobudować nowy salonik, a nad nim sypialnię i mansardę i już będziemy miały bardzo przytulną chatynkę. Jakżebym chciała, żeby schody były ładniejsze. Ale nie można chcieć wszystkiego, chociaż, tak mi się zdaje, wcale nie byłoby trudno je poszerzyć. Zobaczymy na wiosnę, jakie zrobię oszczędności, i od tego uzależnimy nasze projekty przebudowy.

Tymczasem, póki nie zdołają dokonać tych wszystkich przeróbek z oszczędności osoby posiadającej pięćset funtów rocznie, która, na domiar złego, nigdy w życiu nie oszczędzała, postanowiły roztropnie zadowolić się takim domem, jaki zastały, i każda zajęła się pilnie porządkowaniem tego, na czym jej najbardziej zależało, a układając swoje książki i inne drobiazgi starała się stworzyć wokół siebie domową atmosferę. Wypakowano i ustawiono pianino Marianny, a rysunki Eleonory przyozdobiły ściany bawialni.

Takie zajęcia przerwała im następnego dnia zaraz po śniadaniu wizyta właściciela majątności, który przyszedł powitać je w Barton i ofiarować wszystko, czym jego ogród i dom może służyć, a czego w ich domu i ogrodzie tymczasem jeszcze brak. Sir John Middleton był przystojnym mężczyzną około czterdziestki. Złożył już kiedyś wizytę w Stanhill, lecz było to zbyt dawno, by młode kuzyneczki mogły go pamiętać. Miał złą twarz, a obejście równie ujmujące i życzliwe, jak jego list. Ich przyjazd sprawił mu wyraźnie wielką przyjemność, a ich wygoda była przedmiotem szczerzej jego troski. Podkreślał wielokrotnie, że gorąco pragnie nawiązania najściślejszych stosunków między obydwojma domami i nalegał serdecznie, by jadały obiad we dworze codziennie, póki się lepiej nie zadomowią w nowym mieszkaniu. Chociaż te prośby swoją natarczywością przekraczały granice uprzejmości, nie sposób było się nań obrazić. Dobroć jego nie ograniczała się do słów. W godzinę po jego wyjściu przysłano ze dworu wielki kosz pełen jarzyn i owoców, a pod wieczór przyszedł prezent w postaci upolowanej zwierzyny. Pan domu nalegał również, by mu pozwoliły odwozić i przywozić z poczty całą korespondencję, i nie chciał odmówić sobie przyjemności przysyłania im codziennie swojej gazety.

Lady Middleton przekazała przez męża uprzejme pozdrowienia, zgłaszając chęć złożenia wizyty pani Dashwood natychmiast, gdy się dowie, iż nie przysporzy tym kuzynce kłopotu. Otrzymała na to równie uprzejmą odpowiedź, wskutek czego złożyła im wizytę następnego dnia.

Bardzo, rzecz jasna, ciekawe były osoby, od której w dużej mierze zależało, jak im się

tutaj życie ułoży, a lady Middleton nie zawiodła ich oczekiwań, pod względem elegancji. Nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia sześć czy siedem lat, była ładna, wysoka, o uderzająco zgrabnej figurze i wdzięcznym obejściu. W zachowaniu odznaczała się wytwornością, jakiej brakowało jej mężowi, mogłoby ono jednak wiele zyskać na odrobinie otwartości i ciepła. Wizyta trwała dostatecznie długo, by pierwszy zachwyt dam nieco osłabł, lady Middleton bowiem pokazała, że choć doskonale wychowana, jest również chłodna, zamknięta w sobie i że nie ma nic do powiedzenia oprócz banalnych uwag czy pytań.

Rozmowa jednak toczyła się wartko, gdyż sir John był bardzo rozmowny, a lady Middleton zabrała z sobą przezornie najstarsze dziecko, ładnego sześciolatniego chłopczyka; zawsze można się było uciec do niego w potrzebie, zapytać o imię i wiek, zachwycić się jego urodą i zadawać mu pytania, na które odpowiadała za niego matka, gdy on, uczepiony jej sukni, stał ze spuszczoną główką, ku ogromnemu zdziwieniu lady Middleton, która nie mogła pojąć, jak też może być taki nieśmiały w towarzystwie, kiedy w domu robi tyle hałasu. Podczas każdej oficjalnej wizyty powinno być obecne dziecko jako zapasowy temat rozmowy. W opisanym przypadku trzeba było dziesięciu minut, by ustalić, czy chłopiec jest bardziej podobny do matki, czy do ojca i co po kim wziął, w których to punktach, rzecz jasna, wszyscy się różnili i każdy się dziwił zdaniu poprzednika.

Natychmiast też ofiarowano paniom Dashwood sposobność dysputy na temat pozostałych dzieci, ponieważ sir John nie chciał wyjść z domu, nie otrzymawszy wprzód obietnicy, że następnego dnia zjedzą obiad we dworze.

ROZDZIAŁ VII

Dwór leżał o pół mili od ich domu. Panie, jadąc doliną, minęły go z bliska, lecz nie mogły go zobaczyć z własnych okien, gdyż zasłonięty był wyniosłością wzgórza. Dwór był duży i ładny, a państwo Middleton prowadzili dom otwarty i elegancki. Pierwsze było potrzebą pana domu, drugie - pani. Rzadko się zdarzało, by nie mieli u siebie gościa na stałe, a przyjmowali częściej niż ktokolwiek w sąsiedztwie. Obojgu było to nieodzowne do szczęścia; choć bowiem różnili się ogromnie usposobieniem i sposobem bycia, mieli jedno wielkie podobieństwo: zupełny brak gustu i przyrodzonych talentów, co bardzo ograniczało wybór ich zajęć nie związanych z przyjmowaniem i bywaniem. Sir John był myśliwym. Lady Middleton - matką. On strzelał i polował, ona dogadzała dzieciom i na tym koniec. Lady Middleton miała tę przewagę, że mogła psuć dzieci przez okrągły rok, podczas gdy sir John miał tylko połowę tego czasu na swoje rozrywki. Lecz ciągle zajęcia towarzyskie w domu czy poza domem wyrównywały wszelkie braki natury i wykształcenia, podtrzymywały dobry nastrój sir Johna i dawały pole do popisu dobremu wychowaniu jego żony.

Lady Middleton szczyła się elegancją swego stołu i domu, a zaspokajanie tej próżności na wydawanych u siebie przyjęciach sprawiało jej największą przyjemność. Lecz sir John szczerzej się cieszył z kompanii - był wielce rad, kiedy mógł zebrać wokół siebie tyle młodzieży, że dom niemal pękał, i im było głośniejsze, tym większą odczuwał przyjemność. Okoliczna młodzież miała w nim prawdziwego dobroczyńcę, w lecie bowiem urządzał pikniki na świeżym powietrzu, a w zimie przyjęcia u siebie w domu tak często, że mogły zaspokoić wymagania każdej młodej damy, chyba że była to piętnastoletnia panna o nienasyconym apetycie.

Pojawienie się nowych sąsiadów w okolicy zawsze sprawiało mu wielką radość, a mieszkankami, które zdobył dla Barton Cottage, był wprost zachwycony. Panny Dashwood były młode, ładne i naturalne. To wystarczyło, by powziął o nich najlepsze mniemanie, ładnej dziewczynie bowiem potrzeba tylko naturalności, by umysł jej był równie urzekający jak uroda. Wrodzona życzliwość dla ludzi sprawiała, że cieszył się, mogąc zrobić przysługę tym, których obecna sytuacja w porównaniu z przeszłą mogła się wydać przykra i ciężka. Jednym słowem, okazując dobroć kuzynkom, odczuwał prawdziwą przyjemność zacnego człowieka, a osadzając w domeczku rodzinę złożoną wyłącznie z kobiet, odczuwał również przyjemność jako myśliwy, ten bowiem, choć spośród mężczyzn szanuje jedynie myśliwych, rzadko proponuje im zamieszkanie na swoich gruntach, gdzie mogliby polować.

Sir John wyszedł na próg domu, by najszczerzej powitać panią Dashwood i jej córki w

Barton Park, a wiodąc je do salonu, powtarzał młodym damom to samo, co mówił im już poprzedniego dnia, mianowicie, jak mu przykro, że nie zdołał dla nich zaprosić żadnego młodego człowieka. Zobaczą, powiedział, prócz niego tylko jednego dżentelmena, bliskiego przyjaciela, który gości teraz u nich, lecz który ani nie jest bardzo młody, ani wesoły. Miał nadzieję, że wybaczą mu szczupłość zebranego grona, i zapewniał, że to się już więcej nie powtórzy. Odwiedził był tego przedpołudnia kilka okolicznych rodzin w nadziei, że uda mu się kogoś zaprosić, ale była właśnie pełnia¹ i wszyscy mieli już wiele zobowiązań. Na szczęście w ostatniej godzinie zjechała do Barton matka lady Middleton - miła, pogodna kobieta, przypuszcza więc, że nie będzie tak nudno, jak panny mogłyby sobie wyobrażać. Panny, podobnie jak ich matka, uważały, że dwie zupełnie obce osoby to całkiem dla nich dość, i bynajmniej nie pragnęły więcej.

Pani Jennings, matka lady Middleton, była wesołą, dobroduszną starszą panią, która dużo mówiła i sprawiała wrażenie osoby bardzo z siebie zadowolonej i dosyć pospolitej. Śmiała się i żartowała nieustannie, a pod koniec obiadu zdążyła już powiedzieć masę dowcipnych rzeczy na temat mężów i kochanków. Wyraziła nadzieję, że panny nie zostawiły serc w hrabstwie Sussex, i udawała, że dostrzega rumieńce na ich policzkach. Gniewało to Mariannę, z powodu siostry, zwróciła też na nią oczy, by zobaczyć, jak to znosi, a powaga jej spojrzenia o wiele bardziej zabolą Eleonorę niż niewybredne kpinki pani Jennings.

Sądząc po sposobie bycia, pułkownik Brandon tak się nadawał na przyjaciela sir Johna, jak lady Middleton na jego żonę, a pani Jennings - na matkę lady Middleton. Był milczący i poważny. Powierzchność miał miłą, chociaż, zdaniem Marianny i Małgorzaty, wyglądał na zatwardziałego starego kawalera, przekroczył już bowiem trzydziesty piąty rok życia. Choć nie odznaczał się urodą, miał rozumną twarz i obejście dżentelmena.

Żadna z zebranych osób nie miała w sobie nic, co by mogło zainteresować panie Dashwood, lecz chłód i bezbarwność lady Middleton sprawiały szczególnie przykre wrażenie; w porównaniu z tym powaga pułkownika Brandona i nawet głośna wesołość sir Johna i jego teściowej były pociągające. Dopiero wejście po obiedzie czworga hałaśliwych dzieci zdołało rozbudzić radość pani domu, one zaś szarpały ją, ciągnęły jej suknię i nie pozwalały mówić o niczym, co nie tyczyło ich samych.

Wieczorem, kiedy towarzystwo dowiedziało się, iż Marianna lubi muzykę, zasadzono ją do pianina. Instrument został otworzony z klucza, każdy chętnie nadstawił ucha, gotów wyrażać zachwyt, a Marianna, która bardzo dobrze śpiewała, wykonała na prośbę zebranych

^{1*} Życie towarzyskie w leżących od siebie daleko dworach ożywiało się w porze pełni, kiedy łatwiej było podróżować przy świetle księżyca.

niemal wszystkie piosenki, których nuty lady Middleton przywiozła do Barton po ślubie. Leżały zapewne nie ruszone od tamtej chwili, gdyż uczciła swe zamążpójście zarzuceniem gry i śpiewu, choć, jak twierdziła jej matka, jako panna grała bardzo dobrze i chętnie.

Wszyscy gorąco oklaskiwali występ Marianny. Sir John głośno wyrażał swój zachwyt po każdej piosence i równie głośno prowadził rozmowy w czasie śpiewu. Lady Middleton kilkakrotnie przywoływała go do porządku, dziwiła się, jak człowiek może choćby na chwilę oderwać się myślą od muzyki - po czym poprosiła o odśpiewanie pewnej piosenki, którą Marianna właśnie była skończyła. Jeden pułkownik Brandon słuchał jej bez uniesień. Złożył jej tylko komplement swoją uwagą, za co ona poczuła dla niego szacunek, którym, rzecz jasna, nie mogła obdarzyć pozostałych, tak bezwstydnie wyzbytych smaku. Choć przyjemność, jaką czerpał z muzyki, nie była owym ekstatycznym zachwytem, który mógłby ją zadowolić, zasługiwała na uznanie przez kontrast z okropną niewrażliwością pozostałych; a przecież, rozumowała, mężczyzna trzydziestopięcioletni mógł być już ze szczętem postradać wszelką wrażliwość uczuć i wszelką zdolność przeżywania radości. Była pełna najlepszej woli i postanowiła w swoich ocenach wielkodusznie uwzględnić podeszły wiek pułkownika.

ROZDZIAŁ VIII

Pani Jennings była wdową z bardzo dostatnym dożywociem.

Miała tylko dwie córki, które wydała dobrze za mąż i teraz nie pozostawało jej do roboty nic innego, jak swatać resztę świata.

Temu celowi poświęcała wszystkie swoje siły i zdolności i nigdy nie traciła okazji, by przepowiedzieć wesele wśród znajomej młodzieży. Z niebywałą przenikliwością odkrywała łączące młodych uczucia, rada, gdy mogła wywołać rumieniec czy wzniecić próżność panny, której wmawiała, iż ma jakiegoś młodzieńca u swoich stóp. Taka właśnie wnikliwość pozwoliła jej wkrótce po przyjeździe do Barton dojść do zdecydowanego wniosku, że pułkownik Brandon zakochał się w Mariannie Dashwood. Prawdę mówiąc, podejrzewała to już od pierwszego wspólnie spędzonego wieczoru widząc, jak pilnie pułkownik słucha śpiewu panny, kiedy zaś Middletonowie przyszedli z rewizytą na obiad do domku pań, wszystko się potwierdziło, gdyż pułkownik znowu słuchał. A więc to na pewno prawda. Nie miała już najmniejszych wątpliwości. Znakomity mariaż, on bowiem jest bogaty, a ona ładna. Odkąd związek z sir Johnem pozwolił pani Jennings zawrzeć znajomość z pułkownikiem, bardzo się troskała o jego dobry ożenek, zresztą i bez tego zawsze się starała każdej ładnej pannie zdobyć dobrego męża.

Nie należało też lekceważyć korzyści, jakie sama z tego odnosiła, dawało jej to bowiem temat do nieustannych żartów. We dworze śmiała się z pułkownika, w domku - z Marianny. Kpinki te, jeśli tyczyły tylko jego samego, były zapewne obojętne pułkownikowi, Marianna jednak z początku nie mogła pojąć, o co chodzi, a kiedy zrozumiała, nie bardzo wiedziała, czy ma się śmiać z ich niedorzeczności, czy gniewać za zuchwalstwo, widząc w tym bezduszną drwinę z podeszłego wieku pułkownika i jego starokawalerstwa.

Pani Dashwood nie mogła uważać mężczyzny młodszego od niej o pięć lat za tak zgrzybiałego, jakim go widziały młodzieńcze oczy córki, toteż próbowała usprawiedliwić panią Jennings.

- Ale to już musi mama przyznać, że podobne przypuszczenie jest brednią, nawet jeśli nie uznać go za zamierzoną złośliwość. Pułkownik Brandon jest z pewnością młodszy od pani Jennings, ale dostatecznie stary na to, by być moim ojcem, i jeśli w ogóle miał kiedyś w sobie dosyć życia, żeby się zakochać, to już dzisiaj nie zostało z tego ni śladu, ni popiołu. To przecież śmieszne! Kiedy człowiek może się czuć bezpieczny od takich dowcipów, jeśli nie chroni go przed nimi ani wiek, ani zniedołężnienie?

- Zniedołężnienie? - zdziwiła się Eleonora. - Nazywasz pułkownika niedołęznym?

Łatwo mogę zrozumieć, że jego wiek wydaje ci się o wiele bardziej sędziwy niż mamie, ale przecież nie możesz w siebie wmawiać, że ten człowiek utracił władzę w członkach.

- Nie słyszałaś, jak skarżył się mamie na reumatyzm? A czy to nie jest najpospolitsza dolegliwość u schyłku życia?

- Najdroższa moja - roześmiała się matka. - Wobec tego musisz być w ustawicznym strachu o moje gasnące życie i pewno uważasz za cud, że doszłam do tak podeszłych lat jak czterdziestka.

- Nie chce mnie mama zrozumieć! Wiem doskonale, że pułkownik Brandon nie jest w takim wieku, by jego przyjaciele obawiali się, iż go utracą naturalnym biegiem rzeczy. Może jeszcze pożyje ze dwadzieścia lat. Ale cóż ma wspólnego z małżeństwem trzydziestopięcioletni mężczyzna?

- Może - powiedziała Eleonora - trzydzieści pięć i siedemnaście lat razem nie powinny mieć nic wspólnego z małżeństwem. Ale gdyby przypadkiem jakaś kobieta pozostała niezamężną do dwudziestego siódmego roku życia, nie sądzę, by trzydzieści pięć lat pułkownika Brandona było wówczas przeszkodą w małżeństwie.

- Dwudziestosiedmioletnia kobieta - powiedziała Marianna po chwili zastanowienia - nie sądzi chyba, że może wzbudzić miłość czy sama ją odczuwać, a jeśli w domu jej źle czy też fortunę ma niewielką, skłonna jest pewno przystać na rolę pielęgniarki ze względu na zabezpieczenie materialne i pewność bytu, jakie daje małżeństwo. Gdyby się więc ożenił z taką kobietą, nie byłoby w tym nic niestosownego. Zawarliby ugodę dla obopólnej korzyści i wszyscy byliby zadowoleni. W moich oczach nie byłoby to w ogóle małżeństwo, ale to nie ma znaczenia. Dla mnie byłaby to tylko handlowa wymiana, na której jedno chciałoby skorzystać kosztem drugiego.

- Wiem, że to niemożliwe - zwróciła się do niej starsza siostra - przekonać cię, że dwudziestosiedmioletnia kobieta mogłaby odczuwać do trzydziestopięcioletniego mężczyzny coś tak podobnego do miłości, by go pragnąć na męża i towarzysza. Muszę jednak stanowczo zaprotestować przeciwko skazywaniu pułkownika Brandona i jego żony na nieustanne łożo boleści tylko dlatego, że narzekał przypadkiem wczoraj (notabene dzień był zimny i dżdżysty) na lekki ból reumatyczny w ramieniu.

- Ale on mówił o kamizelkach flanelowych - zakrzyknęła Marianna - a dla mnie flanelowa kamizelka łączy się nierozdzielnie z bólem, skurczami, reumatyzmem i wszelkimi chorobami związanymi ze słabością starczego wieku!

- Gdyby miał szaloną gorączkę, nie traktowałabyś go tak bardzo lekceważąco. Powiedz, Marianno, czy nie pociągają cię czasem wypieki, zapadnięte oczy i przyspieszony

puls?

Po wyjściu Eleonory z pokoju Marianna zwróciła się do matki: - Kiedy mowa o chorobach, zaczynam się niepokoić i nie będę tego przed mamą ukrywać. Moim zdaniem Edward Ferrars nie może być zdrow. Jesteśmy tu już prawie dwa tygodnie, a on nie przyjeżdża. Przecież tylko prawdziwa dolegliwość może być przyczyną takiej niebywalej zwłoki. Cóż innego może go zatrzymywać w Norland?

- A ty się go spodziewałaś tak prędko? Bo ja nie. Wprost przeciwnie, jeśli odczuwam jakiś niepokój w tym względzie, to wówczas, gdy wspominam rozmowy z nim o przyjeździe do Barton. Okazywał jakby brak chęci do przyjęcia mojego zaproszenia. Czy Eleonora się go spodziewa?

- Nigdy z nią na ten temat nie mówiłam, ale na pewno tak.

- Sądzę, że się mylisz, wczoraj rozmawiałam z nią o konieczności zrobienia nowego rusztu w kominku pokoju gościnnego, a ona powiedziała, że nie ma pośpiechu, bo jest mało prawdopodobne, by ten pokój był nam potrzebny w najbliższym czasie.

- Jakież to dziwne! Cóż to może znaczyć? Ale całe ich zachowanie jest takie niezrozumiałe. Jakież zimne, jakież spokojne było ich pożegnanie! Jakaż ospała ich rozmowa w ostatni wspólny wieczór! Edward żegnał się z Eleonorą tak samo jak ze mną, bez żadnej różnicy. Były to najlepsze życzenia kochającego brata - dla jednej i drugiej. Ostatniego poranka zostawiłam ich umyślnie dwa razy samych i za każdym razem Edward z niepojętych przyczyn wychodził za mną. A Eleonora, opuszczając Norland i Edwarda, nie płakała tak jak ja. Nawet teraz jest wciąż opanowana. Kiedy to widziałyśmy ją smutną i melancholijną? Kiedy to starała się unikać towarzystwa, kiedy sprawiała wrażenie niespokojnej i niezadowolonej, będąc wśród ludzi?

ROZDZIAŁ IX

Panie były już teraz całkiem znośnie urządzone w Barton.

Ogród, dom i wszystkie otaczające przedmioty stały się dobrze znajome, a codzienne zajęcia, które stanowiły połowę uroku Norland, podjęte zostały z o wiele większą przyjemnością, niż można jej było zaznać w dawnym domu po śmierci ojca. Sir John Middleton, który przez pierwsze dwa tygodnie składał codzienne wizyty i który nieczęsto widywał własną rodzinę przy jakimś zajęciu, nie potrafił ukryć zdumienia, zastając panie zawsze przy pracy.

Prócz gości ze dworu niewielu miały odwiedzających, pomimo bowiem nalegań sir Johna, by więcej bywały w sąsiedztwie, i ciągle powtarzanych zapewnień, że jego powóz jest zawsze do dyspozycji pań, duch niezależności przeważał nad chęcią zapewnienia córkom towarzystwa i pani Dashwood uparcie odmawiała złożenia wizyty jakiegokolwiek rodzinie, mieszkającej dalej niż na odległość spaceru. Niewiele było takich, a i z nich nie wszystkie były osiągalne. Mniej więcej o półtorej mili od domku pań, w wąskiej i krętej dolinie Allenham, będącej odgałęzieniem doliny Barton, jak to już zostało uprzednio opisane, dziewczęta odkryły podczas jednego z pierwszych spacerów stary, szacownie wyglądający dwór, przypominający trochę Norland, który pobudził ich wyobraźnię i ciekawość. Kiedy jednak próbowały się czegoś dowiedzieć, usłyszały, że właścicielką jest starsza dama, ciesząca się najlepszą opinią, lecz nie wychodząca z domu, gdyż słabe zdrowie nie pozwala jej bywać.

Okolica obfitowała w piękne tereny do spaceru. Wysokie pagórki napraszały się niemal przez każde okno domku, zachęcając do szukania na nich świeżego powietrza, i można się było po nich przechadzać, kiedy błoto uniemożliwiałoby korzystanie z uroków dolin. Ku jednemu z takich wzgórz skierowały się pewnego pamiętnego ranka Małgorzata i Marianna, zwabione odrobiną słońca na zachmurzonym niebie, niezdolne wysiedzieć dłużej w czterech ścianach domu, do czego zmuszał je od dwóch dni padający nieustannie deszcz. Pogoda nie skusiła ich siostry i matki do porzucenia ołówka i książki, mimo zapewnień Marianny, że dzień będzie do końca piękny i wszystkie groźne chmury cofną się znad ich wzgórz. Dwie panny wyruszyły więc same.

Wesoło wchodziły na wzgórze, za każdym przebłyskiem błękitu na niebie wieszając sobie, że przewidziały pogodę, a kiedy ożywczy podmuch południowo - zachodniego wiatru uderzył im w twarz, żałowały, że zbędne obawy nie pozwoliły matce i Eleonorze dzielić z nimi takich cudownych wrażeń.

- Czy istnieje większe szczęście na ziemi? - wołała Marianna. - Małgorzato, będziemy spacerować jeszcze co najmniej dwie godziny.

Małgorzata przystała i przez następne dwadzieścia minut obie siostry szły razem dalej pod wiatr, opierając się podmuchom ze śmiechem i zachwytem, kiedy nagle chmury skłębiły się w górze i deszcz uderzył im w twarz ulewną strugą. Zmartwione i zaskoczone musiały, acz niechętnie, zawrócić, gdyż dom był im najbliższym schronieniem. Mogły jednak na pociechę zrobić coś, co w tej krytycznej sytuacji wydawało się całkiem właściwe - mianowicie zbiec w dół stromego zbocza, u którego stóp znajdowała się furtka do ich ogródka.

Ruszyły. Marianna z początku biegła przodem, ale w pewnej chwili źle stąpnęła i upadła na ziemię, a Małgorzata, nie mogąc się zatrzymać i pomóc siostrze, pobiegła mimo woli dalej i cała znalazła się na dole.

Idący w przeciwnym kierunku młody mężczyzna ze strzelbą i dwoma harcującymi wyżłami znajdował się o kilka kroków od Marianny, kiedy zdarzył się wypadek. Położył strzelbę na ziemi i podbiegł do panny. Ona podniosła się, ale nogę miała skrzywoną i nie mogła nawet stanąć. Myśliwy zaofiarował jej swoją pomoc, a widząc, że skromność nie pozwala jej prosić o to, co było w tej sytuacji koniecznością, wziął ją bez ceregieli na ręce i zniósł ze zbocza. Przeszedł przez ogród, gdzie Małgorzata zostawiła otwartą furtkę, i wniósł prosto do domu, po czym złożył swój ciężar na fotelu w bawialni.

Eleonora i matka wstały zdumione i utkwily w przybyszu wzrok z jawnym zdziwieniem i ukrywanym zachwytem, a on przeproszał za najście, dodając w ten sposób do niepospolitej urody miły głos i obejście. Gdyby był nawet stary, brzydki i prostacki, miałby zapewnioną wdzięczność pani Dashwood za pomoc okazaną jej córce, lecz jego młodość, uroda i elegancja budziły jeszcze inne uczucia.

Dziękowała mu wielokrotnie i z wrodzoną słodyczą prosiła, by usiadł, on jednak odmówił, gdyż był brudny i mokry. Pani Dashwood chciałyby wiedzieć, komu tyle zawdzięcza. Nazwisko jego, odparł, brzmi Willoughby, a przebywa obecnie w Allenham. Ma nadzieję, że będzie mu wolno przyjść jutro, by dowiedzieć się o zdrowie panny Dashwood. Otrzymał natychmiast zezwolenie, po czym odszedł w ulewnym deszczu, co rzecz jasna, dodało mu tylko uroku.

Męska jego uroda i niepospolity wdzięk stały się natychmiast przedmiotem ogólnych zachwyków, a świetna prezencja młodego człowieka dodawała szczególnej pikanterii kpinkom, jakie zaczęły się teraz sypać w związku z okazaną Mariannie galanterią. Sama Marianna mniej go widziała niż pozostałe panie, była bowiem skonfundowana i zapłoniona,

gdy ją tutaj niósł, i mało na niego patrzyła, kiedy już znaleźli się w domu. Ale nawet te nieliczne spojrzenia wystarczyły, by przyłączyła się do ogólnych zachwyty, tak jak to ona zawsze, żarliwie. Wyglądem i postawą przypominał jej wymarzonego bohatera, a to, że ją tak śmiało i bez ceregieli zaniósł do domu, świadczyło o porywczosci, która go szczególnie rekomendowała w jej oczach. Wszystko, co miało z nim związek, najmniejszy drobiazg, było interesujące. Nazwisko miał dobre, mieszkał w ich ulubionej wiosce, wkrótce też młoda panna doszła do wniosku, że ze wszystkich męskich ubiorów kurtka myśliwska jest najbardziej twarzowa. Wyobrażnia jej pracowała, myśli napływały miłe, zapomniała więc ze szczeniem o bólu skręconej kostki.

Sir John odwiedził panie tego przedpołudnia, korzystając z pierwszej chwili przejaśnienia. Damy opowiedziały mu o wypadku Marianny, po czym spytały skwapliwie, czy zna w Allenham pewnego młodego człowieka nazwiskiem Willoughby.

- Willoughby! - zakrzyknął sir John. - Czyżby zjechał na wieś? To dobra wiadomość. Pojadę do niego jutro konno i zaproszę na czwartkowy obiad.

- A więc go pan znasz? - spytała pani Dashwood.

- Czy znam? A to dobre! Przecież on co roku zjeżdża tu na wieś.

- Jaki jest ten młody człowiek?

- Bardzo porządny chłop, zapewniam panią. Wyśmienity strzelec, a niewielu jeźdźców w Anglii może się z nim równać.

- I to wszystko, co pan potrafi o nim powiedzieć! - zawołała z oburzeniem Marianna. - Jaki się okazuje przy bliższym poznaniu? Co go zajmuje, jakie ma zdolności i upodobania?

Sir John był nieco zakłopotany.

- Na mą duszę - powiedział - jeśli o takie sprawy idzie, to nie wiem o nim zbyt wiele. Ale to bardzo miły i wesoły kompan i ma najładniejszą czarną wyżlicę, jaką w życiu widziałem. Czy była z nim dzisiaj?

Ale Marianna w równym stopniu niezdolna była zadowolić go opisem maści pointerki, jak sir John - opisać jej subtelności umysłu pana Willoughby.

- A któż to taki? - spytała Eleonora. - Skąd pochodzi? Czy ma dom w Allenham?

W tej materii sir John mógł udzielić bardziej szczegółowych informacji. Wyjaśnił więc, że pan Willoughby nie posiada tutaj własnych majątkości ziemskich, że podczas wizyt mieszka u swojej kuzynki, starszej damy we dworze Allenham, które to dobra ma dziedziczyć. Dodał: - Tak, tak, warto go złapać, to ci powiadam, moja panno, ma poza tym ładniutki mająteczek w hrabstwie Somerset. Gdybym był na twoim miejscu, nie oddawałbym tego kawalera młodszej siostrze, choćby nie wiem ile razy spadała z górki czy czegoś tam.

Panna Marianna nie może anektować wszystkich mężczyzn. Lepiej niech się pilnuje, bo Brandon będzie zazdrosny.

- Nie sędzę - powiedziała z dobrodusznym uśmiechem pani Dashwood - by pan Willoughby miał być inkomodowany* staraniami którejs z moich córek, pragnącej go, jak powiadasz, sir Johnie, złapać. Nie nauczyłam ich tego. Mężczyźni są w naszym towarzystwie bezpieczni, choćby byli nie wiem jak bogaci. Rada jestem jednak, że jak powiadasz, to przyzwoity młody człowiek i można z nim utrzymywać znajomość.

- Najzacniejszy chłop pod słońcem - zapewnił ją sir John. - Pamiętam, podczas zeszłych świąt Bożego Narodzenia mieliśmy tańce u nas w domu i on tańczył od ósmej do czwartej i ani razu nie usiadł.

- Naprawdę? - zawołała Marianna, a oczy jej rozbliły. - I tańczył elegancko, z werwą?

- Tak, a o ósmej był z powrotem na nogach, by jechać na polowanie.

- To mi się podoba, taki właśnie powinien być młody człowiek. Cokolwiek będzie robił, winien to robić bez umiarkowania i bez zmęczenia.

- Oj, oj, widzę, co się szykuje - zmartwił się sir John. - Wiem już dobrze, jak to będzie. Teraz zastawisz pani na niego sidła i ani ci w głowie biedny Brandon.

- Tego wyrażenia, sir Johnie - zaprotestowała gorąco Marianna - szczególnie nie znoszę. Wstrętne mi są wszelkie wytarte zwroty, które mają być rzekomo dowcipne, a z nich wszystkich najokropniejsze to właśnie „zastawić sidła” albo „podbić czyjeś serce”. Są niewybredne, wręcz pospolite i nawet jeśli się je kiedykolwiek uważało za zabawne, czas je ze szczeniem obrał z dowcipu.

Sir John nie całkiem pojął jej słowa, ale roześmiał się tak serdecznie, jakby zrozumiał, a potem rzekł:

- Tak, tak, podbijesz jeszcze, pani, niejedno serce, tak czy inaczej. Tak czy inaczej podbijesz niejedno serce. Biedny Brandon. Jest już ze szczeniem pogrążony, a to człowiek wart, by na niego zastawić sidła, powiadam ci, moja panno, mimo tych wszystkich zlatywań z górki i wykręcań nóg.

*Inkomodować - trudzić kogoś, niepokoić, sprawiać kłopot.

ROZDZIAŁ X

Wybawca Marianny, jak z większą elegancją niż akuracnością nazywała Małgorzata Willoughby'ego, złożył wczesnym przedpołudniem następnego dnia wizytę w domku pań, by osobiście dowiedzieć się o zdrowie chorej. Przez panią Dashwood został przyjęty uprzejmie, a nawet więcej - z życzliwością wyrosłą z wdzięczności, a spotęgowaną opinią wydaną przez sir Johna. Podczas wizyty wszystko składało się na to, by upewnić przybyłego o rozsądku, wytworności, wzajemnym przywiązaniu pań i przemiłej atmosferze panującej w rodzinie, z którą zetknął go przypadek. Jeśli idzie o urok osobisty dam - zbędne było ponowne spotkanie - był o nim od wczoraj przekonany.

Najstarsza panna Dashwood miała delikatną płeć, regularne rysy i wyjątkowo zręczną figurę. Marianna była jeszcze ładniejsza. Figura, choć nie tak nieskazitelna jak Eleonory, sprawiała lepsze wrażenie, gdyż panna była wyższego wzrostu, a buzię miała tak uroczą, że pospolite określenie „piękna dziewczyna” użyte w stosunku do niej mniej obrażało prawdę niż zazwyczaj. Płeć miała ciemną, cerę olśniewającą, rysy drobne, słodki, pociągający uśmiech, a w bardzo ciemnych oczach iskrzyło się życie, werwa i budzący zachwyt temperament. Z początku skrywała wyraz tych oczu przed młodym człowiekiem, zaambarasowana wczorajszym wspomnieniem. Kiedy jednak i to minęło, kiedy zdołała zapanować nad sobą i stwierdziła, że ich gość łączy z doskonałym wychowaniem otwartość i żywość usposobienia, a przede wszystkim, gdy usłyszała, jak mówi, że uwielbia muzykę i taniec - rzuciła mu spojrzenie pełne takiego uznania, że młody człowiek przez resztę wizyty do niej zwracał się najczęściej.

Aby ją wciągnąć w rozmowę, wystarczyło wymienić jedną z jej ulubionych rozrywek. Nie potrafiła wówczas zachować milczenia, a w rozmowie obca jej była nieśmiałość czy rezerwa. Szybko stwierdzili, że oboje znajdują przyjemność w tańcu i muzyce i że wypływa to z ogólnej zgodności poglądów we wszystkim, co tyczy obu tych dziedzin. Zachęcona, zaczęła sondować jego opinie co do książek; wymieniła ulubionych pisarzy i rozwodziła się nad nimi z tak entuzjastycznym zachwytem, że każdy dwudziestopięcioletni młody człowiek musiałby być z kamienia, gdyby nie przyznał natychmiast, iż to znakomite dzieła, bez względu na to, co o nich dotychczas myślał. Gusta mieli uderzająco podobne. Ubóstwiali te same książki, te same ich ustępy - jeśli zaś wystąpiła jakakolwiek różnica, podniósł się najmniejszy sprzeciw, trwało to tylko, dopokąd Marianna nie wytoczyła swoich argumentów wspartych roziskrzonym spojrzeniem. On przychylił się do wszystkich jej wniosków i zarażał się jej entuzjazmem, toteż na długo przed końcem wizyty rozmawiali już z sobą ze swobodą,

jaką daje wieloletnia, bliska znajomość.

- Sądzę, Marianno - zwróciła się do niej Eleonora, kiedy drzwi zamknęły się za gościem - że dokonałaś nie byle czego jak na jedno przedpołudnie. Poznałaś poglądy pana Willoughby'ego niemal we wszystkich istotnych sprawach. Wiesz, co sądzi o Cowperze i Scotcie, jesteś pewna, że ocenia ich piękno jak należy, i zostałaś najrzetelniej zapewniona, że nie zachwyca się Pope'em bardziej niż to właściwe. Czymże jednak wasza dalsza znajomość będzie się mogła pożywić, jeśli dalej w takim tempie wyczerpywać będziecie tematy rozmowy? Niedługo zbraknie wam pomysłu. Przy następnym spotkaniu poznasz jego poglądy na malownicze piękno i powtórne małżeństwo - no i co ci jeszcze zostanie?

- Eleonoro! - zawołała Marianna. - Czy to ładnie? Czy sprawiedliwie? Doprawdy, taka jestem uboga w pomysły? Ale rozumiem, o co ci chodzi. Byłam zbyt swobodna, zbyt szczera. Popęłniłam wykroczenie przeciwko pospolitym pojęciom o tym, co pannie przystoi: byłam otwarta i szczera, kiedy powinnam być powściągliwa, zobojętniała, nudna i zakłamana, powinnam rozmawiać tylko o pogodzie i stanie dróg, a usta otwierać raz na dziesięć minut - wówczas nie zasłużyłabym na twoją naganę.

- Moja najmilsza - uspokajała ją matka - nie obrażaj się na Eleonorę, przecież ona tylko żartowała. Sama bym ją napomniała, gdyby zdolna była pragnąć powstrzymania toku twojej zachwycającej konwersacji z naszym nowym przyjacielem. - Marianna natychmiast zmiękła.

Willoughby jawnie okazywał, jak miła mu jest ta znajomość, i starał się ją pogłębić. Składał im codzienne wizyty. Z początku pretekstem było zdrowie Marianny, lecz życzliwość, z jaką został przyjęty, rosnąca później z każdym dniem, sprawiła, że ów pretekst stał się zbędny, jeszcze nim przestał istnieć - to znaczy, nim Marianna wróciła całkiem do zdrowia. Przez kilka dni musiała pozostawać w czterech ścianach domu, ale nigdy te cztery ściany nie były mniej przykre. Willoughby był młodzieńcem pełnym zalet, miał żywą wyobraźnię, wesołe usposobienie i otwarte, serdeczne obejście. Był jakby stworzony po to, by zawładnąć sercem Marianny, łączył bowiem z wymienionymi zaletami nie tylko urzekający wygląd, ale wrodzoną wewnętrzną żarliwość, pobudzoną jeszcze pod wpływem młodej panny, co nade wszystko zyskiwało mu jej sympatię.

Towarzystwo młodego człowieka stało się stopniowo jej największą przyjemnością. Wspólnie czytali, rozmawiali i śpiewali; Willoughby miał świetny słuch, czytał też z przejęciem i czuciem, których niestety nie dostawało Edwardowi.

Pani Dashwood, podobnie jak Marianna, nie dostrzegła w nim żadnych wad, Eleonora zaś miała mu za złe jedynie pewną właściwość, którą podzielała i uwielbiała jej

młodsza siostra, mianowicie, że za dużo mówił przy każdej okazji, nie bacząc na to, kto słucha i w jakich okolicznościach. Jego pochopnie formułowane i wygłaszane opinie o ludziach, lekceważenie ogólnie przyjętych zasad grzeczności po to, by zdobyć niepodzielną uwagę osoby, do której wiodło go serce, świadczyły o braku rozwagi, którego Eleonora nie mogła pochwalać, mimo wszystkich argumentów i pana Willoughby'ego, i Marianny.

Marianna zaczynała teraz rozumieć, że chyba niesłusznie i przedwcześnie biadała w siedemnastym roku życia, iż nigdy nie spotka mężczyzny, o jakim marzy. Willoughby uosabiał wszystko, co stało przed oczyma jej duszy zarówno w chwilach zwątpienia, jak i nadziei, kiedy wyobrażała sobie mężczyznę zdolnego wzbudzić jej uczucie. On zaś wymownie okazywał swoim zachowaniem, że - jeśli o to idzie - jego pragnienia są równie poważne, jak jego zalety.

W umyśle pani Dashwood ani przez chwilę nie powstała wyrachowana myśl o ich małżeństwie, związana z nadziejami młodego człowieka na przyszły majątek, lecz przed upływem tygodnia zaczęła już na to małżeństwo liczyć i w duszy gratulowała sobie dwóch takich zięciów, jak Edward i pan Willoughby.

Uczucie pułkownika Brandona do Marianny, tak szybko dostrzeżone przez jego przyjaciół, stało się widoczne dla Eleonory dopiero wówczas, kiedy tamci o nim zapomnieli. Ich uwagę i dowcip przyciągał teraz zwycięski rywal, a kpinki, jakie znosić musiał pułkownik, nim jeszcze zrodziło się jego uczucie, ustały właśnie w chwili, kiedy rzeczywiście mógł się narazić na śmieszność, jaka zwykle towarzyszy wrażliwości. Eleonora, acz niechętnie, musiała wreszcie uwierzyć, że siostra naprawdę zbudziła w nim uczucia, jakie pani Jennings przypisywała mu była uprzednio dla własnej przyjemności, i że choć ogromne podobieństwo usposobień mogło umacniać afekt pana Willoughby'ego, równie uderzająca odmienność charakterów nie przeszkadzała pułkownikowi kochać Marianny. Młoda panna myślała o tym z troską, jakież bowiem nadzieje może mieć milczący trzydziestopięcioletni mężczyzna wobec pełnego werwy dwudziestopięciolatka? Ponieważ nie mogła mu nawet życzyć powodzenia, życzyła mu z całego serca obojętności. Pomimo jego powagi i powściągliwości lubiła go i uważała za człowieka interesującego. Obejście miał stateczne, lecz delikatne, a powściągliwość wydawała się rezultatem jakiegoś zawodu, nie zaś wrodzonej ponurości. Sir John wspomniał coś kilkakrotnie o przeżytych przez pułkownika krzywdach i rozczarowaniach, co utwierdzało ją w przekonaniu, że jest to człowiek nieszczęśliwy, toteż okazywała mu szacunek i współczucie.

Może darzyła go szacunkiem i współczuciem również i dlatego, że zarówno pan Willoughby, jak i Marianna wyrażali się o nim lekceważąco, gdyż nie był ani młody, ani

zapalczywy, wobec czego nie potrafili docenić jego zalet.

- Brandon to taki człowiek - stwierdził pewnego dnia Willoughby, kiedy rozmawiali o pułkowniku - o którym każdy dobrze mówi i o którego nikt nie dba, którego wszyscy radzi witają, a potem zapominają ust do niego otworzyć.

- Dokładnie to samo myślę! - zawołała Marianna.

- To się nie chwal - skarciła ją Eleonora - bowiem obydwójce popełniacie niesprawiedliwość. Jest ogromnie szanowany przez sir Johna i jego rodzinę, a ja za każdym spotkaniem staram się z nim rozmawiać.

- Fakt, że jest pani protegowanym - powiedział Willoughby - niewątpliwie przemawia na jego korzyść, jeśli jednak idzie o szacunek tamtych, to tylko zarzut. Czy ktoś, kto umiałby sobie zyskać powszechną obojętność, przystałby na zniewagę, jaką jest uznanie lady Middleton i pani Jennings?

- Może jednak zniewagi takich ludzi jak pan i Marianna mogą zrównoważyć szacunek lady Middleton i jej matki. Jeśli ich uznanie jest naganne, wasze nagany mogą być uznaniem, bowiem nierozumność obu tych dam nie jest większa niż wasze uprzedzenia i niesprawiedliwość sądu.

- Broniąc swego protegowanego, potrafisz, pani, nawet zdobyć się na impertynencję.

- Mój protegowany, jak go pan nazywasz, jest człowiekiem rozsądnym, a rozsądek zawsze będzie mnie pociągał. Tak, Marianno, nawet u mężczyzny między trzydziestym a czterdziestym rokiem życia. Widział dużo świata, wyjeżdżał za granicę, wiele czytał i ma umysł skłonny do refleksji. Stwierdziłam, że potrafi mi udzielić najróżniejszych informacji i zawsze odpowiada na moje pytania ze skwapliwością człowieka zacnego i dobrze wychowanego.

- To pewno znaczy - pogardliwie zawołała Marianna - że ci powiedział, iż w Indiach Wschodnich klimat jest gorący, a moskity dokuczliwe!

- Powiedziałby mi to, nie wątpię, gdybym zadawała tego rodzaju pytania, tak się jednak składa, iż w tej materii otrzymałam wiadomości nieco dawniej.

- Może - dodał Willoughby - poszedł jeszcze dalej: powiedział o istnieniu nababów, złotych monet i palankinów.

- Ośmielę się stwierdzić, że jego obserwacje sięgają o wiele dalej niż pańska bezstronność. Czemu jednak, proszę, tak go pan nie lubisz?

- Wprost przeciwnie, uważam go za człowieka godnego szacunku, o którym każdy dobrze mówi, ale na którego nikt nie zwraca uwagi, który ma więcej pieniędzy, niż potrafi wydać, więcej czasu, niż umie wykorzystać, i dwa nowe ubrania co roku.

- A do tego jeszcze dodaj - zawołała Marianna - że brak mu zdolności, gustu i życia! Że jego rozum nie olśniewa, uczucia nie mają żaru, a głos jest bez wyrazu.

- Przypisujesz mu nieokreślone niedostatki - odparła Eleonora - których źródłem jest twoja wyobraźnia, toteż rekomendacje, jakie ja mogę mu dać, wydadzą się w porównaniu z tym chłodne i bezbarwne. Mogę tylko oświadczyć, że jest to człowiek rozumny, dobrze wychowany, wykształcony, o delikatnym obejściu i, jak sądzę, dobrym sercu.

- Teraz - zawołał Willoughby - traktujesz mnie, pani, bez litości! Starasz się mnie rozbroić za pomocą rozsądku i przekonać mnie wbrew mojej woli. Ale nic z tego. Znajdziesz, pani, we mnie upór równy twojej zręczności. Mam trzy niewzruszone powody do niechęci dla pułkownika Brandona: zapowiadał deszcz, kiedy pragnąłem pogody. Dostrzegł wady w zawieszeniu mojej kariolki i nie chce się dać namówić na kupno mojej gniadej klaczy. Jeśli jednak sprawię ci, pani, satysfakcję przyznając, iż w moim przekonaniu charakter ma pod innymi względami bez zarzutu, chętnie to przyznam. A w zamian za to ustępstwo, które sprawiło mi pewną przykrość, nie możesz mi, pani, odmówić przyjemności darzenia go taką samą jak dotąd niechęcią.

ROZDZIAŁ XI

Przyjeżdżając do hrabstwa Devon ani pani Dashwood, ani jej córki nie wyobrażały sobie nawet, że będą tu miały tak wiele zobowiązań towarzyskich, jak to się wkrótce okazało, ani też że tyle będą musiały bywać i tak często przyjmować, iż niewiele im zostanie czasu na jakieś poważne zajęcia. Tak się jednak rzecz miała. Po powrocie Marianny do zdrowia sir John zaczął natychmiast realizować swoje projekty i urządzać zabawy w domu i poza domem. Zaczęły się bale we dworze i przejażdżki po wodzie, jeśli pogoda sprzyjała - październik bowiem był dżdżysty. Willoughby'ego zapraszano na każde takie towarzyskie spotkanie, a że były one swobodne i nieoficjalne, stanowiły znakomitą okazję do zacieśnienia znajomości z paniami Dashwood, pozwoliły dostrzec wszystkie doskonałości Marianny i okazywać gorące dla niej uwielbienie, a panna z kolei swoim zachowaniem wyraźnie zapewniała go o wzajemności.

Eleonora nie mogła się dziwić ich wzajemnej sympatii. Pragnęła tylko, by ją mniej jawnie okazywali, i nawet odważyła się kilkakrotnie napomknąć siostrze, jak stosowna jest powściągliwość. Mariannie jednak obmierzła była myśl o skrywaniu czegoś, czego nie potrzebowała się wstydzić, a powściąganie uczucia, które samo w sobie było chwalebne, wydawało jej się nie tylko zbyt dużym wysiłkiem, ale hańbiącą uległością wobec poglądów mylnych i pospolitych.

Willoughby myślał podobnie, a ich zachowanie było za każdym razem świadectwem tych przekonań.

W jego obecności Marianna nie zauważała nikogo. Wszystko, co robił, było słuszne. Wszystko, co mówił, było mądre. Jeśli wieczór spędzany we dworze kończył się przy kartach, oszukiwał siebie i innych, by jej dostały się dobre karty. Jeśli były płasy, tańczyli z sobą połowę czasu, a kiedy musieli opuścić kilka tańców, zawsze trzymali się blisko i rzadko zamieniali słowo z kimś innym. Takie zachowanie czyniło z nich przedmiot powszechnych kpin, ale ani ich to wstydziło, ani nawet gniewało.

Pani Dashwood patrzyła na te wzajemne afekty z serdecznością, która nie zostawiała miejsca na najmniejszą krytykę. Dla niej był to oczywisty rezultat gorącego uczucia dwojga młodych i żarliwych serc.

Marianna przeżywała okres wielkiego szczęścia. Ofiarowała serce młodemu człowiekowi, a urok, jakim jego osoba opromieniała nowy dom, sprawił, że gorące, przywiezione tu z Sussex przywiązanie do Norland osłabło bardziej, niż to uważała niegdyś za możliwe.

Szczęście Eleonory nie było aż tak wielkie. Ani serce jej nie znajdowało tu spokoju, ani nie czerpała tak niezmałonej radości z rozrywek. Nie znalazła towarzystwa, które mogłoby jej zrekompensować to, co zostawiła w domu, i nie miała powodu, by myśleć o Norland z mniejszym niż uprzednio żalem. Ani lady Middleton, ani jej matka nie mogły z nią prowadzić rozmów, za którymi tak tęskniła, choć pani Jennings była ogromnie rozmowna i od pierwszej chwili okazywała Eleonorze sympatię, co oznaczało, że ofiarą owego gadulstwa padała zwykle ona. Kilka razy już opowiadała jej historię swego życia, a gdyby pamięć młodej panny dorównywała innym jej talentom, od początku znajomości znałaby na wrywki wszystkie szczegóły ostatniej choroby pana Jenningsa oraz słowa, które wypowiedział do żony na kilka minut przed skonaniami. Lady Middleton była sympatyczniejsza od matki tylko dzięki swej małomówności. Eleonora potrzebowała niewiele wysiłku, by zauważyć, że jej powściągliwość to tylko spokojny sposób bycia i nie ma nic wspólnego z rozsądkiem. Zachowywała się wobec nich tak samo jak w stosunku do męża i matki, toteż nie należało ani szukać, ani pragnąć większego z nią zbliżenia. Nigdy nie miała do powiedzenia czegoś, czego już przedtem nie powiedziała. Była niezmiennie bez wyrazu, nawet nastrój miała zawsze jednakowy, a chociaż nigdy nie oponowała przeciwko urządzanym przez męża zabawom - byleby tylko były eleganckie, a jej towarzyszyło dwoje starszych dzieci - sprawiała wrażenie osoby, która byłaby równie rada siedząc w domu. Nie brała niemal żadnego udziału w rozmowie, nie robiła najmniejszych starań, by zabawić innych, toteż zebrani przypominali sobie czasem o jej obecności dopiero wówczas, gdy zaczynała się troskać o swoich niegrzecznych synków.

Ze wszystkich nowych znajomych jedynie w pułkowniku Brandonie znalazła Eleonora kogoś, kto mógł wzbudzić w niej poważanie dla swoich zdolności i zainteresować ją jako przyjaciela czy sprawiać przyjemność jako towarzysz. Willoughby nie wchodził w rachubę. Czuła dla niego podziw i szacunek, siostrzany szacunek, ale on był zakochany, całe jego zainteresowanie skupione było na Mariannie i zebrani mieliby większy pożytek z człowieka o wiele mniej czarującego. Pułkownik Brandon wobec całkowitej obojętności Marianny znajdował największą pociechę w rozmowie z Eleonorą.

Współczucie jej dla pułkownika wzrosło, kiedy zaczęła przypuszczać, że nieobca mu już była rozpacz zawiedzionej miłości. Podejrzenie to wzbudziły w niej słowa, jakie rzucił któregoś wieczora we dworze, kiedy siedzieli razem, za obopólną zgodą, podczas gdy pozostali tańczyli. Oczy miał zwrócone ku Mariannie i po kilku minutach milczenia odezwał się z nikłym uśmiechem: - O ile wiem, siostra pani nie pochwała powtórnego uczucia?

- Nie - odparła Eleonora. - Ona jest bardzo romantyczna w swoich poglądach.

- Jej zdaniem zapewne człowiek po prostu nie może zakochać się po raz wtóry?

- Tak sędzę. Ale jak ona to godzi z pamięcią własnego ojca, który był dwukrotnie żonaty, tego pojąć nie jestem w stanie. Za kilka lat z pewnością ugruntuje swoje poglądy, opierając się na rozsądku i doświadczeniu życiowym, a wówczas może łatwiej będzie jej potrafiła sprecyzować i usprawiedliwić.

- Tak się zapewne stanie - odparł - a mimo to jest coś ujmującego w podobnych uprzedzeniach młodości, że przykro patrzeć, jak ustępują miejsca ogólnie przyjętym poglądom.

- Nie mogę się z panem w tym zgodzić - uśmiechnęła się Eleonora gdyż tego rodzaju nastawienie przynosi szkody, jakich nie jest w stanie zrównoważyć cały urok entuzjazmu i nieznajomości świata. Jej poglądy prowadzą, niestety, ku lekceważeniu tego, co przystoi, toteż uważam, że większa znajomość życia byłaby dla niej z ogromną korzyścią.

Po krótkiej chwili podjął rozmowę:

- Czy siostra pani nie robi żadnych różnic w swoich obiekcjach co do powtórnie przeżywanego miłości? Czy jednakowo potępia ją u każdego? Czy ludzie, którzy rozczarowali się swym pierwszym wyborem bądź to na skutek niewierności przedmiotu uczuć, bądź przeciwności losu, mają być do końca życia zobojętniali?

- Muszę panu powiedzieć, panie pułkowniku, że nie znam jej przekonań w szczególach. Wiem tylko, że nigdy nie słyszała, by w jakimkolwiek wypadku usprawiedliwiła u kogoś powrotny związek uczuciowy.

- Takiego przekonania - powiedział pułkownik - nie sposób zachować... ale też odmiana, całkowita odmiana sentymentów... nie, nie należy tego pragnąć! Jak często bowiem w miejsce romantycznej młodzieńczej wrażliwości przychodzą później zbyt powszechnie żywione i zbyt niebezpieczne przekonania. Mówię z doświadczenia. Znałem niegdyś damę, która umysłem i usposobieniem ogromnie przypominała siostrę pani, która jak ona myślała i takie wydawała sądy, a która, zmieniwszy z konieczności zdanie... na skutek szeregu nieszczęsnych wypadków... - tu przerwał raptownie, jakby sobie uświadomił, że powiedział zbyt wiele, a wyrazem twarzy wzniecił domysły, które inaczej nie byłyby powstały w głowie Eleonory. Wzmianka o owej damie przeszłaby pewno niepostrzeżenie, gdyby nie upewnił swej rozmówczyni, że to, co powiedział, nie powinno się być wymknąć z jego ust. Wystarczył drobny wysiłek wyobraźni, by powiązać jego wzruszenie z czułym wspomnieniem dawnej miłości. Eleonora poprzestała na tym. Marianna nigdy by tak nie postąpiła, jej bujna wyobraźnia natychmiast uplotłaby historię - melancholijne dzieje tragicznej miłości.

ROZDZIAŁ XII

Następnego ranka na spacerze Marianna zakomunikowała siostrze wiadomość, która Eleonorę, dobrze znającą nierozwagę i lekkomyślność młodej panny, zaskoczyła jednak jako zbyt jaskrawe ich świadectwo. Otóż Marianna oznajmiła z zachwytem, iż Willoughby podarował jej konia pochodzącego z własnej hodowli w hrabstwie Somerset, a ujeżdżonego pod damskie siodło. Nie pomyślała nawet, że matka nie miała zamiaru trzymać konia, a gdyby zmieniła zamiar, musiałaby kupić drugiego wierzchowca dla służącego i trzymać służącego, który by konia objeżdżał, a ponadto zbudować stajnię - nie zastanowiwszy się nad tym wszystkim przyjęła bez wahania podarunek i powiedziała o tym siostrze w radosnym uniesieniu.

- Zamierza natychmiast wysłać po niego swojego stajennego do hrabstwa Somerset - dodała - a kiedy koń przyjdzie, zacniemy jeździć codziennie. Będziemy się nim dzieliły. Wyobraź sobie tylko, najdroższa moja, cóż to będzie za rozkosz galopować po tych pagórkach.

Z ogromną niechęcią pozwoliła się obudzić z tych rajskich snów i otworzyła oczy na smutną rzeczywistość; z początku nie chciała jej w ogóle uznać. Jeśli idzie o dodatkowego służącego - to, doprawdy, drobnym wydatkiem, mama z pewnością nie będzie miała tu najmniejszych zastrzeżeń, a co do konia dla niego - byle jaki będzie dobry, zresztą zawsze może pożyczyć konia ze dworu. Jeśli idzie o stajnię, wystarczy skromna mała szopka. Wówczas Eleonora odważyła się zakwestionować stosowność przyjmowania podobnego prezentu od osoby tak mało czy też przynajmniej tak krótko znanej. Tego już było za wiele.

- Nie masz racji, Eleonoro - oświadczyła Marianna z żarem - mówiąc, że mało znam pana Willoughby'ego. Nie znam go długo, to prawda, ale znam go lepiej niż kogokolwiek innego na świecie, z wyjątkiem ciebie i mamy. Ani okoliczności, ani czas nie decydują o stopniu znajomości. Istotne jest tylko usposobienie danego człowieka. Są ludzie, którym i siedem lat nie wystarczy, żeby się nawzajem poznać, dla innych siedem dni to za wiele. Uważałabym, że bardziej niestosownie postępuję, przyjmując konia od mego brata niż od pana Willoughby'ego. Johna znam bardzo mało, choć tyle lat żyliśmy pod jednym dachem - jeśli jednak chodzi o tego młodego człowieka, mam o nim od dawna ustalone mniemanie.

Eleonora uważała, że rozsądniej będzie poniechać tego tematu. Znała charakter siostry. Opór w tak delikatnej materii ugruntuje ją tylko w raz powziętym zdaniu. Marianna ustąpiła jednak, gdy siostra odwołała się do jej uczucia dla matki, kiedy przedstawiła wszystkie kłopoty, jakie spadną na barki ich tak pobłażliwej rodzicielki, jeśli się zgodzi na

powiększenie liczby domowników. Wówczas Marianna obiecała nie mówić matce o owych propozycjach, aby jej nie skłaniać do nierozważnej dobroci, a panu Willoughby'emu wytłumaczyć za następnym widzeniem, że musi odmówić przyjęcia daru.

Dotrzymała słowa. Kiedy Willoughby przyszedł tego dnia, Eleonora usłyszała, jak siostra przyciszonym głosem mówi o doznanym zawodzie, o konieczności odmowy przyjęcia jego prezentu. Jednocześnie podała mu powody tej decyzji, co uniemożliwiło mu dalsze nalegania. Widać było jednak, jak się tą odmową przejął; wyraził z powagą żal i dodał tym samym przyciszonym głosem: - Mimo to, Marianno, uważam konia za twoją własność, chociaż w tej chwili nie będziesz jeszcze na nim jeździć. Kiedy opuścisz Barton, by osiąść we własnym domu na stałe, przyjmować cię będzie Królowa Mab.

Zarówno treść tego zdania, jak sposób, w jaki zostało wypowiedziane, oraz fakt, że młody człowiek zwracał się do panny po imieniu, świadczyły wyraźnie o stopniu łączącej ich zażyłości i były jawnym dowodem, że doszli do całkowitego porozumienia. Od tej chwili Eleonora nie miała już wątpliwości, że są zaręczeni; dziwiło ją tylko, że para młodych ludzi o tak szczerych i otwartych usposobieniach pozwala, by przyjaciele dowiadawali się o tym przez przypadek.

Następnego dnia Małgorzata opowiedziała jej coś, co czyniło sprawę jeszcze bardziej oczywistą. Willoughby spędził z nimi poprzedni wieczór, a Małgorzata siedziała przez pewien czas w saloniku jako jedyna towarzysząca młodemu człowiekowi i Mariannie. Spostrzeżenia, które wówczas poczyniła, z niezwykle poważną miną przekazała Eleonorze następnego dnia, gdy zostały same.

- Słuchaj! Mam ci do powiedzenia straszną tajemnicę o Mariannie! Wiem na pewno, że ona niedługo wyjdzie za mąż za pana Willoughby'ego!

- Powtarzasz to - uśmiechnęła się Eleonora - niemal codziennie, odkąd się poznali na wzgórzu High Church. Nie minął jeszcze pierwszy tydzień ich znajomości, a już nas zapewniałaś, że Marianna nosi jego wizerunek na szyi. No i cóż, okazało się, że to tylko miniaturka jej ciotecznego dziadka.

- Ale powiadam ci, że tym razem to coś całkiem innego. Jestem pewna, że wkrótce się pobiorą, bo on dostał od niej pukiel włosów.

- Uważaj, Małgorzato, może to były włosy jego ciotecznego dziadka.

- Powiadam ci, że Marianny! Jestem tego prawie pewna, bom widziała, jak je obcinał. Wczoraj wieczorem, kiedy wyszłaś z mamą po herbacie z pokoju, coś tam z sobą gadali i szeptali okropnie szybko, i on tak jakby ją o coś prosił, aż wreszcie wziął nożyczki i uciął jej długi pukiel włosów, bo miała potem takie zwichrzone włosy na karku, i pocałował je, i

zawinał w kawałek białego papieru, i schował do pugilaresu.

Eleonora nie mogła wątpić w szczegóły z tak autorytatywnego źródła, nie była nadto skłonna w nie wątpić, gdyż były zgodne ze wszystkim, co sama widziała i słyszała.

Nie zawsze spostrzegawczość Małgorzaty sprawiała przyjemność siostrze. Kiedy pewnego wieczora we dworze pani Jennings starała się wydobyć z małej imię młodzieńca, którego upodobała sobie Eleonora - co od dawna już było przedmiotem jej ogromnej ciekawości - Małgorzata spojrzała na siostrę i szepnęła: - Nie wolno mi mówić, prawda, Eleonoro?

Oczywista, wszyscy wybuchnęli śmiechem, do którego Eleonora próbowała się przyłączyć. Przykry to był jednak wysiłek. Świadomość, że Małgorzata myśli o człowieku, którego nazwisko stałoby się przedmiotem ustawicznych kpin pani Jennings, była wprost nie do zniesienia.

Marianna najgoręcej jej w tej chwili współczuła, więcej to jednak szkody przyniosło niż pożytku, gdyż zaczerwieniła się mocno i gniewnym tonem zwróciła się do młodszej siostry:

- Pamiętaj, że bez względu na to, jakie są twoje domysły, nie masz prawa o nich mówić.

- To nie są żadne domysły - broniła się Małgorzata. - Przecież ty sama powiedziałaś mi o wszystkim.

To wznieciło tylko wesołość zebranego towarzystwa, które domagało się coraz usilniej, by Małgorzata powiedziała, co wie.

- Och, proszę, panno Małgorzato, powiedzże coś więcej o tym młodym człowieku! - nalegała pani Jennings. - Jak on się nazywa?

- Nie mogę powiedzieć, proszę pani. Ale wiem, jak się nazywa, wiem również, gdzie przebywa.

- Tak, tak, to gdzie mieszka, łatwo zgadnąć: w Norland, we własnym domu, to pewne. Jest plebanem tamtejszej parafii, prawda?

- Nie, nie jest plebanem. On nie ma żadnego zawodu.

- Małgorzato - powiedziała Marianna z naciskiem - wiesz dobrze, że to wszystko twój wymysł i że taki człowiek w ogóle nie istnieje.

- Wobec tego musiał niedawno umrzeć, Marianno, bo jestem pewna, że kiedyś żył i że jego nazwisko zaczyna się na F.

Jakże wdzięczna była Eleonora lady Middleton za rzuconą w tym momencie uwagę, iż „pada rześisty deszcz”, chociaż nie przypuszczała, by pani domu chciała chronić jej uczucie -

raczej nie podobały jej się tego rodzaju mało eleganckie żarty, w jakich lubowała się jej matka i małżonek. Uwagę podchwycił natychmiast pułkownik Brandon, który zawsze, w każdych okolicznościach, starał się, by nikomu nie było przykro, sprawa deszczu została więc dokładnie omówiona przez tych dwoje. Willoughby otworzył pianino i poprosił Mariannę, by zagrała, i w ten sposób, zespolonym wysiłkiem, odwrócono uwagę zebranych od tematu, który wkrótce poszedł w zapomnienie. Eleonora jednak niełatwo przysła do siebie po przeżytym strachu.

Tego wieczora postanowiono, że następnego dnia pojedą na wycieczkę do pewnego bardzo pięknego dworu, leżącego o dwanaście mil od Barton, a będącego własnością szwagra pułkownika Brandona. Nie można tam było jechać bez pułkownika, jako że właściciel, który bawił za granicą, zostawił przed wyjazdem ściśle dyspozycje w tym względzie. Powiadano, że tereny są niezwykle malownicze, a sir John, który opisywał je w superlatywach, musiał być nie najgorszym znawcą przedmiotu, jako że przez ostatnie dziesięć lat organizował tam wycieczki co najmniej dwa razy każdego lata. Było tam jakieś jezioro, po którym przejażdżka zapowiadała się jako główna atrakcja; mieli zabrać zimny prowiant, jechać otwartymi ekwipażami, jednym słowem, bawić się doskonale.

Kilku osobom z towarzystwa pomysł ten wydał się dosyć śmiały, zważywszy na porę roku oraz fakt, że od dwóch tygodni deszcz padał codziennie, toteż pani Dashwood, już przeziębiona, uległa perswazjom Eleonory i postanowiła zostać w domu.

ROZDZIAŁ XIII

Zamierzona wycieczka do Whitwell w niczym nie spełniła przewidywań Eleonory. Panna spodziewała się, że przemoknie do suchej nitki, że się zmęczy i wystraszy - rzeczywistość jednak okazała się jeszcze bardziej niefortunna, bowiem wycieczka w ogóle się nie odbyła.

O dziesiątej rano całe towarzystwo zebrało się we dworze, gdzie mieli śniadać. Mimo iż deszcz padał całą noc, ranek zapowiadał się pogodnie, chmury się rozpierchły po niebie, a słońce wyglądało coraz częściej. Wszyscy byli w wyśmienitych humorach, gotowi pysznie się bawić, chętni znosić największe niewygody i trudności, byle tylko jechać.

Podczas śniadania nadeszła poczta; wśród przyniesionych listów znajdował się jeden do pułkownika Brandona. Wziął go w rękę, spojrział na adres, zbladł i wyszedł natychmiast z pokoju.

- Co się stało pułkownikowi? - spytał sir John.

Nikt nie umiał mu odpowiedzieć.

- Mam nadzieję, że nie dostał złych wiadomości - zaniepokoiła się lady Middleton. - Musiało to być jednak coś bardzo ekstraordinaryjnego, jeśli pułkownik odszedł tak nagle od stołu w moim domu.

Po pięciu minutach wrócił.

- Mam nadzieję, że nie dostał pan złych wiadomości? - zwróciła się do niego natychmiast pani Jennings.

- Nie pani.

- Może z Awinionu? Mam nadzieję, że to nie była wiadomość o pogorszeniu zdrowia pańskiej siostry?

- Nie, pani. To list z Londynu w sprawach interesów.

- Ale skąd takie zdenerwowanie, jeśli list był w interesach? No, no, panie pułkowniku, niechże pan powie prawdę, tylko to nas zadowoli.

- Mam nadzieję, że nie dostała pani złych wiadomości? - zwróciła się do niej lady Middleton - zastanów się, co mówisz.

- A może to wiadomość, że pańska kuzynka, Fanny, wyszła za mąż? - dopytywała dalej pani Jennings niepompna na wyrzut córki.

- Nie, pani.

- Wobec tego, wiem już, od kogo ten list, panie pułkowniku. Mam nadzieję, że ona jest w dobrym zdrowiu.

- O kim, pani, mówisz? - zapytał, czerwieniejąc lekko.

- Och, dobrze pan wiesz, o kim mówię.

- Jest mi szczególnie przykro - zwrócił się pułkownik do lady Middleton - że list ten otrzymałem dzisiaj, bowiem sprawa, której dotyczy, wymaga natychmiastowej mojej obecności w Londynie.

- W Londynie! - zakrzyknęła pani Jennings. - A cóż takiego możesz pan mieć do roboty w Londynie o tej porze roku!

- Wiele tracę - ciągnął pułkownik - będąc zmuszony do opuszczenia tak miłego towarzystwa, a przykro mi tym bardziej, że beze mnie, obawiam się, nie będą mogli państwo wjechać na teren Whitwell.

Cóż za cios dla wszystkich!

- Ale gdyby pan napisał karteczkę do gospodyni - zaproponowała Marianna - czy to by nie wystarczyło?

Potrząsnął głową.

- Musimy jechać - oświadczył sir John. - Teraz, kiedy tak niewiele nas dzieli od wyjazdu, nie sposób go odkładać. Nie możesz jechać do Londynu przed jutrem i tyle.

- Ba, żeby to można było tak prosto załatwić! Nie jest jednak w mojej mocy odłożyć wyjazd o jeden dzień.

- Gdybyś nam pan powiedział, o co idzie, pułkowniku - wtrąciła pani Jennings - moglibyśmy się zastanowić, czy można odłożyć wyjazd, czy nie.

- Jeśli pan odłoży wyjazd do naszego powrotu, opóźni go pan zaledwie o sześć godzin - powiedział Willoughby.

- Nie mogę sobie pozwolić na stratę ani godziny.

Eleonora usłyszała, jak Willoughby mówi po cichu do Marianny: - Są ludzie, którzy nie znoszą wycieczek otwartym ekwipażem. Brandon do nich należy. Jestem przekonany, że boi się kataru i wymyślił tę sztuczkę, żeby się wykręcić od jazdy. Założę się o pięćdziesiąt gwinei, że sam napisał ten list.

- Nie mam co do tego wątpliwości - odparła Marianna.

- Od dawna cię znam i wiem, że nic nie przyjdzie z namawiania cię do zmiany raz podjętej decyzji - mówił sir John. - Proszę cię jednak, zastanów się. Zważ, że mamy tutaj dwie panny Carey, które przyjechały aż z Newton, że trzy panny Dashwood przyszły tu ze swego domu i że pan Willoughby wstał z łóżka dwie godziny wcześniej niż zwykle, żeby pojechać do Whitwell...

Pułkownik Brandon raz jeszcze zapewnił, jak mu przykro, że sprawia wszystkim taki wielki zawód, lecz zmiana decyzji nie jest w jego mocy.

- No trudno, wobec tego, kiedy wracasz?

- Mam nadzieję - dołączyła się do męża pani domu - że zobaczymy pana w Barton natychmiast, gdy interesu pozwoli mu na powrót z Londynu, musimy też odłożyć do tego czasu wycieczkę do Whitwell.

- Bardzo pani łaskawa. Tak jest jednak niepewne, kiedy będę mógł wrócić, że nie śmiem się umawiać.

- Och, musi wrócić i wróci! - zawołał sir John. - Jeśli go tu nie zobaczymy pod koniec tygodnia, sam po niego pojedę.

- Proszę, zrób to koniecznie - ucieszyła się pani Jennings. - Może się wtedy dowiesz, jakie on tam ma interesy!

- Nie chcę wtykać nosa w cudze sprawy. Przypuszczam, że to jest coś, czego się wstydzę.

Zameldowano, że konie pułkownika Brandona stoją przed domem.

- Nie jedziesz chyba konno do Londynu? - spytał sir John.

- Nie. Tylko do Honiton. Dalej pojedę karetką pocztową.

- No cóż, jak postanowiłeś jechać, to jedź, dobrej drogi. Ale lepiej byś zrobił, gdybyś zmienił decyzję.

- Zapewniam cię, że nie jest to w mojej mocy. Po czym pożegnał się z zebranych towarzystwem.

- Czy mogę żywić nadzieję, że zobaczę panią i jej siostry w Londynie w zimie, panno Eleonoro?

- Obawiam się, że nie.

- Wobec tego muszę panie pożegnać na dłużej, niżbym tego pragnął.

Mariannie skłonił się tylko bez słowa.

- No, no, panie pułkowniku, powiedzże nam na odjeźdźnym, o co naprawdę chodzi? - prosiła pani Jennings.

Powiedział jej do widzenia i odprowadzany przez gospodarza wyszedł z pokoju.

Po jego wyjściu rozległy się lamenty i wyrzekania, tłumione dotąd przez dobre wychowanie; wszyscy jednogłośnie i wielokrotnie stwierdzali, jak wielki przeżywają zawód.

- Ale ja się domyślam, co to za interes - oznajmiła pani Jennings.

- Doprawdy? - krzyknęli zebrani.

- Tak. Jestem przekonana, że idzie o pannę Williams.

- A kimże jest panna Williams? - dopytywała się Marianna.

- Nie wiesz, moja droga, kim jest panna Williams? Przecież na pewno musiałaś o niej

słyszeć. To krewniaczka pułkownika, bardzo bliska krewniaczka. Nie powiem jak bliska, ze względu na panięskie uszy w tym pokoju. - Tu, znizywszy głos, szepnęła Eleonora: - To jego nieślubna córka!

- Czy to możliwe!

- Tak, tak, a podobna! Skóra z niego zdarta! Przypuszczam, że pułkownik zostawi jej cały swój majątek.

Wszedł sir John i przyłączył się do ogólnych wyrzekań na tak niefortunny obrót sprawy, zakończył jednak wnioskiem, że jeśli już się zebrali, muszą sobie zorganizować jakąś miłą rozrywkę. Po krótkiej naradzie ustalono, że choć szczęśliwi mogli być tylko zwiedzając Whitwell, może znajdą pewną pociechę w przejażdżce po okolicy. Kazano zajeżdżać. Ekwipaż Willoughby'ego zajechał pierwszy, a Marianna nigdy nie wyglądała na szczęśliwszą osobę niż w chwili, gdy do niego wsiadała. Szybko przejechali przez park i wkrótce zniknęli pozostałym z oczu. Zobaczono ich dopiero, gdy wrócili, jako ostatni. Sprawiali wrażenie uszczęśliwionych przejażdżką, powiedzieli jednak tylko ogólnikowo, że trzymali się dróg, podczas gdy inni pojechali na wzgórze.

Ustalono, że wieczorem będą tańce i wspólna świetna zabawa. Na kolację zjechała reszta rodziny Careyów i do stołu siadło niemal dwadzieścia osób, co sir John stwierdził z wielkim ukontentowaniem. Willoughby zajął swoje zwykłe miejsce pomiędzy dwiema starszymi pannami Dashwood. Pani Jennings siedziała po prawej ręce Eleonory; po chwili przechyliła się za plecami jej i młodego człowieka i zwróciła się do Marianny tak głośno, że obydwójce słyszeli: - Wyśledziłam was, chociaż próbowaliście zatrzeć ślady! Wiem, gdzie spędziliście cały ranek!

Marianna zaczerwieniła się i odparła spiesźnie: - Gdzie, proszę?

- Czyżby pani nie wiedziała - spytał Willoughby - że jeździliśmy moją kariolką?

- Tak, tak, panie Zuchwalcze! O tym wiem doskonale, ale postanowiłam wypenetrować, dokąd. Tuszę, że spodobał ci się twój dom, panno Marianno. Jest bardzo obszerny i mam nadzieję, że kiedy przyjadę do ciebie w odwiedziny, będziesz miała nowe meble, bo bardzo się o to prosił, jakem go ostatnio oglądała sześć lat temu.

Marianna odwróciła się, pomieszana. Pani Jennings śmiała się z całego serca, a Eleonora usłyszała, że owa dama, postanowiwszy się wywieść, dokąd jeździła młoda para, kazała po prostu swojej służącej spytać chłopca stajennego pana Willoughby'ego i z tego źródła otrzymała wiadomość, iż pojechali do Allenham, gdzie spędzili dłuższy czas, spacerując po ogrodzie i oglądając wnętrze domu.

Eleonora nie chciała w to uwierzyć. Wydawało jej się niewiarygodne, by Willoughby

zapropował, a Marianna przystała na wejście do domu, w którym przebywała pani Smith, osoba dla niej zupełnie nieznamą.

Natychmiast po wyjściu z jadalni zapytała o to Mariannę i ku swemu ogromnemu zdumieniu usłyszała, że wszystko, co mówiła pani Jennings, było prawdą. Marianna niemal się gniewała na siostrę za jej niedowierzenie.

- Czemu nie chcesz uwierzyć, że pojechaliśmy do Allenham czy oglądaliśmy dom? Przecież sama tego często pragnęłaś!

- Tak, Marianno, ale nigdy bym tego nie zrobiła w czasie bytności pani Smith w domu, będąc na dodatek tylko w towarzystwie pana Willoughby'ego.

- Ależ pan Willoughby jest jedyną osobą, która ma prawo pokazać dom, a że jechaliśmy otwartą kariolką, nie mogłam mieć nikogo więcej do towarzystwa. W życiu nie spędziłam przyjemniejszych chwil.

- Obawiam się, że przyjemność nie zawsze jest świadectwem stosowności tego, co się robi.

- Właśnie że trudno o lepsze świadectwo. Gdyby bowiem była jakakolwiek niestosowność w moim postępku, musiałabym zdawać sobie z tego sprawę, bo zawsze wiemy, gdy robimy coś złego, a to nie pozwoliłoby mi odczuwać przyjemności.

- Ależ, Marianno, kochanie, przecież już się naraziłaś na kilka bardzo impertynenckich uwag, czy więc dalej nie wątpisz w roztropność swego postępowania?

- Jeśli impertynenckie uwagi pani Jennings mają być dowodem niestosowności czyjogoś postępku, to wszystkie grzeszymy co chwila, raz po raz. Nie przywiązuję wagi ani do jej przygan, ani pochwał. Nie poczuwam się do winy z powodu tego, że się przespacerowałam po terenach pani Smith i obejrzałam jej dom. Pewnego dnia jedno i drugie będzie własnością pana Willoughby'ego i...

- Nawet gdyby pewnego dnia stało się twoją własnością, to nie usprawiedliwiłoby tego, co zrobiła.

Marianna zaczerwieniła się, słysząc tę uwagę, która jednak sprawiła jej widać zadowolenie. Po dziesięciu minutach poważnego namysłu wróciła do siostry i powiedziała z serdecznym, miłym uśmiechem: - Może masz rację, Eleonoro, może postąpiłam nieroztropnie, jadąc do Allenham, ale pan Willoughby tak bardzo pragnął mi je pokazać, a to, powiadam ci, uroczy dom. Na górze ma jeden wyjątkowo ładny salonik... wymiary w sam raz na codzienny użytek... umeblowany nowocześnie byłby rozkoszny. To narożny pokój z oknami na dwie strony świata. Z jednego widzisz trawnik do gry w kule, za nim piękny las na zboczu, z drugiego masz widok na kościół i wieś, a dalej wznoszą się te wspaniałe strome

wzgórza, które nas tylekroć zachwycaly. Nie wygladal awantazownie, bo sprzety stanowa doprawdy zalosny widok... ale gdyby go tak przemeblowac... Willoughby powiada, ze za kilkaset funtow mozna by z tego zrobic jeden z najprzyjemniejszych letnich salonikow w Anglii.

Gdyby inni nie przeszkadzali Eleonorze sluchac, siostra opisalaby jej z rownym zachwytem wszystkie pozostale pokoje w ogladanym niedawno domu.

ROZDZIAŁ XIV

Nagły wyjazd pułkownika Brandona i uparta odmowa podania przyczyny stanowiły pokarm dla myśli pani Jennings przez trzy dni i temat jej nieustannych rozważań. Wielka to była ciekawska, interesowało ją żywo wszystko, co tyczyło znajomych. Zastanawiała się więc bez przerwy nad powodem jego wyjazdu, była przekonana, że otrzymał jakieś złe wiadomości, i rozważała kolejno całą listę wszelakich nieszczęść, jakie mu się mogły przytrafić, wychodząc z założenia, że wszystkich przecież nie uda mu się uniknąć.

- Pewna jestem, że to sprawa bardzo melancholijnej natury - oznajmiła. - Można to było wyczytać z jego twarzy. Nieszczęsny! Obawiam się, że jego interesy fatalnie wyglądają. Nigdy nie szacowano dóbr Delaford na więcej niż dwa tysiące funtów rocznie, a brat zostawił majątność strasznie zapuszczoną. Przypuszczam, że posłali po niego w sprawach finansowych, no bo w jakich by innych? Ciekawam, czy tak. Dałabym wiele, żeby znać prawdę. Może jednak chodziło o pannę Williams, tak, im dłużej o tym myślę, tym bardziej się skłaniam ku przekonaniu, że jednak o nią musiało chodzić, przecież tak się zmieszał, kiedy o niej wspomniałam. Może zachorowała w Londynie? To najbardziej prawdopodobne, bo zdaje się, że ona jest dość słabego zdrowia. Tak, pójdę w zakład o wszystko, że szło o pannę Williams. Nie bardzo to możliwe, by go teraz trapiły sprawy majątkowe, bo to człowiek ogromnie roztropny i na pewno już zdążył wyprowadzić majątek na czyste wody. Ciekawam, co też to takiego było! Może jego siostra poczuła się gorzej w Awinionie i posłała po niego? Ten nagły wyjazd bardzo to czyni prawdopodobnym. No cóż, z całego serca życzę mu końca kłopotów i dobrej żony na ostatek.

Takie to domysły i rozważania snuła pani Jennings. Z każdym nowym przypuszczeniem zmieniała zdanie, a wszystkie, w miarę jak powstawały, wydawały się równie prawdopodobne. Chociaż pomyślność pułkownika Brandona bardzo leżała Eleonorze na sercu, nie potrafiła poświęcić jego nagłemu wyjazdowi całego swego zainteresowania, jak tego żądała od niej pani Jennings. Nie tylko bowiem sprawa nie zasługiwała jej zdaniem na to ustawiczne zdumienie czy ciągłe domysły, ale istniały inne problemy, które budziły jej ciekawość.

Szło mianowicie o zdumiewające milczenie Marianny i pana Willoughby'ego w przedmiocie, który - a musieli to wiedzieć - szczególnie wszystkich interesował. To ustawiczne milczenie było coraz dziwniejsze i coraz bardziej niepojęte przy usposobieniu obydwójga. Eleonora nie mogła zrozumieć, czemu nie wyznają otwarcie matce i siostrze tego, czego dowodzili nieustannie swoim zachowaniem.

Łatwo mogła pojąć, że, być może, nie będą mogli się zaraz pobrać, chociaż bowiem Willoughby był niezależny majątkowo, nie można go było uważać za człowieka zamożnego. Sir John oceniał dochód z jego majątku na sześćset do siedmiuset funtów rocznie, ale młody człowiek żył znacznie ponad stan i często narzekał na swoją biedę. Nie potrafiła jednak odpowiedzieć sobie na pytanie, jaki mają powód trzymania w sekrecie zaręczyn, które dla nikogo nie stanowiły przecież tajemnicy. Było to tak sprzeczne z ich przekonaniami i sposobem bycia, że czasem zakradała się do jej duszy wątpliwość, czy też oni w ogóle są zaręczeni, i to nie pozwalało jej zadać Mariannie pytania wprost.

Trudno o bardziej jasne świadectwo uczucia niż zachowanie pana Willoughby'ego. Mariannie okazywał ową szczególną czułość, płynącą z kochającego serca mężczyzny, resztę rodziny otaczał serdecznym przywiązaniem synowskim i braterskim. Kochał ich domeczek jak własny, spędzał w nim o wiele więcej czasu niż w Allenham, a jeśli nie spotkali się we dworze na takim czy innym towarzyskim zebraniu, wiadomo było, że młodzieniec zakończy poranny spacer wizytą u pań, gdzie spędzi resztę dnia u boku Marianny, a jego ulubiony wyżeł będzie leżał u jej stóp.

Pewnego wieczora, mniej więcej w tydzień po wyjeździe pułkownika Brandona, otworzył ze wszystkim swoje serce, wyjawiając uczucia, jakimi obdarza otaczające go w tym domu przedmioty. Kiedy pani Dashwood wspomniała mimochodem o planach pewnych przeróbek, jakich chce dokonać na wiosnę, gorąco sprzeciwił się wszelkim zmianom w domu, który jego serce uznało za absolutną doskonałość.

- Co? - zakrzyknął. - Zmiany w tym kochanym domeczku! Nie! Na to nigdy nie przystanę. Ani jeden kamień nie powinien być dobudowany do tych ścian, ani na cal nie wolno zmienić ich rozmiarów, jeśli ma się wzgląd na moje uczucia.

- Niechże się pan nie obawia - uspokoiła go Eleonora. - Nic się takiego nie stanie. Mamusia nigdy nie będzie miała na to pieniędzy.

- Cieszy mnie to z całego serca - oznajmił. - Niechże zawsze pozostanie uboga, jeśli by nie umiała zrobić lepszego użytku ze swego bogactwa.

- Dziękuję panu. Może być pan jednak pewien, że nie oddałabym pańskiego przywiązania do tego miejsca czy też przywiązania kogoś, kogo kocham, za wszystkie przeróbki i udoskonalenia na świecie. Proszę mi wierzyć, że bez względu na to, jaka mi suma zostanie po dokonaniu rozliczeń na wiosnę, prędzej ją odłożę bezużytecznie, niż wykorzystam w celu tak panu niemiłym. Ale czy naprawdę tak się pan przywiązał do tego domu, że nie dostrzega w nim żadnych braków?

- Tak - odparł. - Dla mnie ten dom nie ma wad. Więcej, uważam go za jedyny dom, w

jakim można osiągnąć szczęśliwość. Gdybym miał dość pieniędzy, natychmiast zburzyłbym dwór w Combe i odbudował go dokładnie według planów tego domku.

- Z ciemnymi, wąskimi schodami i dymiącą kuchnią - dorzuciła Eleonora.

- Tak! - zakrzyknął tym samym entuzjastycznym tonem. - Z tym i wszystkim innym, co do tego domu przynależy. Tak, żebym miał dokładną kopię i tego, co wygodne, i co niewygodne. Wtedy i tylko wtedy mógłbym może pod moim dachem w Combe być równie szczęśliwy jak w Barton.

- Sądzę - powiedziała Eleonora - że mimo tak wielkich mankamentów jak obszerniejsze pokoje i wygodniejsze schody, będzie pan kiedyś w przyszłości uważał własny dom za równie doskonały.

- Istnieją pewne okoliczności - powiedział Willoughby - które mogłyby mój dom uczynić bardzo bliskim memu sercu, ale ten będzie miał zawsze prawo do mego uczucia, którego to prawa żaden inny dom mieć nie może.

Pani Dashwood spoglądała z zadowoleniem na Mariannę, która utkwiała w młodym człowieku swoje piękne oczy, a wyraz ich świadczył dobitnie, jak dobrze rozumie, co ma na myśli.

- Jakże często pragnąłem - ciągnął - kiedym zeszłego roku był w Allenham, żeby w tym domku ktoś zamieszkał. Za każdym razem, kiedym tu przychodził, uderzało mnie piękno jego położenia i żałowałem, że stoi pusty. Nie przypuszczałem nawet, że pierwsza wiadomość, jaką usłyszę od pani Smith za następnym tutaj przyjazdem, będzie o wynajęciu domku. Poczułem jednocześnie radość i ciekawość, a tego już nie można tłumaczyć czymś innym jak przecuciem przyszłego szczęścia, którego miałem tu zakosztować. Czy nie tak musiało być, Marianno? - spytał cichszym głosem. Potem poprzednim tonem zwrócił się do pani Dashwood: - I ten dom chciałaby pani zepsuć? Obrąć z jego prostoty przez rzekome ulepszenia? I ten kochany salonik, w którym zaczęła się nasza znajomość i w którym od tego czasu spędziliśmy tyle szczęśliwych godzin, ten salonik zdegradowałaby pani do roli zwykłej sieni, przez którą każdy będzie przechodził tam i sam, ile wola? Ten pokój, co niegdyś miał do zaoferowania więcej miejsca i wygody niż jakikolwiek inny apartament o najpiękniejszych proporcjach na świecie?

Pani Dashwood raz jeszcze zapewniła go, że nie będzie nawet próbowała robić podobnych zmian.

- Jaka pani dobra! - powiedział gorąco. - Ta obietnica zdejmuję mi ciężar z serca. Niech pani jeszcze ją nieco rozszerzy, a będę całkiem szczęśliwy. Niech mi pani przyrzeknie, że nie tylko ten dom pozostanie bez zmian, ale że zawsze panią i jej rodzinę znajdę nie

zmienioną, tak jak i wasze domostwo. I że zawsze okażecie mi tę dobroć, która sprawia, że każdy należący do was przedmiot jest drogi memu sercu.

Pani Dashwood przyrzekła mu to chętnie, a zachowanie młodego człowieka przez cały wieczór świadczyło o jego uczuciu i szczęściu.

- Czy przyjdzie pan jutro na obiad? - zapytała pani Dashwood, kiedy wychodził. - Nie proszę, byś pan przychodził przed południem, jako że musimy iść do dwora z wizytą do lady Middleton.

Obiecał, że będzie u nich o czwartej.

ROZDZIAŁ XV

Następnego dnia przed południem pani Dashwood poszła złożyć wizytę lady Middleton, zabierając ze sobą dwie córki. Marianna wymówiła się od pójścia pod pozorem jakiegoś błahego zajęcia, a matka chętnie na to przystała, przekonana, że poprzedniego dnia Willoughby obiecał złożyć wizytę w ich domku pod nieobecność pozostałych dam.

Po powrocie zobaczyły przed domem kariatydę i służącego, pani Dashwood doszła więc do wniosku, że słuszne były jej przypuszczenia. Dotychczas wszystko się zgadzało, po wejściu do domu jednak zobaczyła coś, czego się na pewno nie spodziewała. W przedpokoju ujrzały wychodzącą spiesznie z saloniku Mariannę, trzymającą chusteczkę przy oczach, w jawnej rozpacz. Nie zauważywszy ich nawet, pobiegła na górę. Zdumione i przerażone weszły natychmiast do saloniku, gdzie zastały pana Willoughby'ego, który stał samotnie, oparty o parapet kominka, tyłem do wchodzących. Obrócił się ku nim szybko - z jego twarzy można było wyczytać, że przejmują go te same uczucia co Mariannę.

- Czy coś jej się stało? - zawołała pani Dashwood wchodząc. - Czy ona chora?

- Mam nadzieję, że nie - odparł Willoughby, siląc się na pogodną minę, i dodał z wymuszonym uśmiechem: - To raczej u mnie można by się dopatrywać choroby, przeżywam bowiem ogromnie przykry zawód.

- Zawód?!

- Tak, gdyż nie mogę dotrzymać złożonej pani obietnicy. Pani Smith skorzystała dzisiaj z przywileju, jaki daje władza bogatego nad zależnym ubogim kuzynem, i wysłała mnie do Londynu. Właśnie otrzymałem rozkazy i pożegnałem się z Allenham, a dla rozweselenia przyjechałem pożegnać się z paniami.

- Do Londynu! I wyjeżdżasz pan dziś przed południem?

- Właściwie zaraz.

- To bardzo niefortunna okoliczność. Ale prośbę pani Smith należy koniecznie spełnić. Mam nadzieję, że nie rozstaniemy się z panem na długo?

Zaczerwienił się odpowiadając: - Pani jest bardzo łaskawa, ale nie sędzę, bym miał szybko wrócić do hrabstwa Devon. Odwiedzam panią Smith nie częściej jak raz w roku.

- Czyżby pani Smith była tutaj jedyną pana dobrą znajomą? Czy Allenham to jedyny dom w tej okolicy, gdzie zostanie pan mile przyjęty? Wstydzę się, pan! Naprawdę, czekasz na zaproszenie do naszego domu?

Policzki jego pociemniały jeszcze bardziej, oczy spuścił ku ziemi i odparł tylko: - Pani jest zbyt łaskawa.

Pani Dashwood ze zdumieniem spojrzała na Eleonorę. Ta była równie zdziwiona. Przez chwilę trwało milczenie, które przerwała pani domu:

- Mogę tylko dodać, drogi panie, że zawsze chętnie cię u nas powitamy. Nie nalegam bynajmniej, byś natychmiast wracał, jako że tylko ty sam możesz wiedzieć, czyby się to podobało pani Smith, jeśli zaś o to idzie, to nie wątpię w twój rozsądek, tak jak nie wątpię, że znam twoje pragnienia.

- Obecne moje zobowiązania - powiedział młodzieniec, mocno speszony - są takiej natury, że... nie śmiem sobie pochlebiać...

Urwał. Pani Dashwood ze zdumienia wprost mowę odjęło, nastąpiła więc znowu chwila milczenia. Przerwał ją Willoughby ze słabym uśmiechem: - To szaleństwo tak zwlekać. Nie będę dłużej zadawał sobie udreki, przebywając wśród przyjaciół, których towarzystwem nie mogę się w tej chwili cieszyć.

Pożegnał się z nimi śpiesznie i opuścił pokój. Zobaczyły, jak wsiada do kariołki, po chwili zniknął im z oczu.

Pani Dashwood była zbyt przejęta, by móc prowadzić rozmowę, wyszła więc natychmiast do swojego pokoju, chcąc w samotności dać folgę niepokojowi i trwodze, jakie ten nagły wyjazd w niej wzbudził.

Eleonora była nie mniej niż matka przejęta i zatroskana. Z lękiem i niedowierzaniem myślała o tym, co się przed chwilą stało. Zachowanie młodego człowieka przy pożegnaniu, jego zakłopotanie, udana wesołość, a nade wszystko niechęć, jaką okazał, usłyszawszy zaproszenie matki - wzbudziły w niej ogromny niepokój. Na chwilę opanował ją lęk, że on nigdy w życiu nie żywił wobec Marianny poważnych zamiarów, w następnej - że rozdzieliła ich jakaś fatalna sprzeczka. Wygląd Marianny, kiedy opuszczała salonik, mógł świadczyć o poważnej kłótni, chociaż kiedy Eleonora pomyślała, jak wielkie było uczucie siostry do młodego człowieka - podobne wytłumaczenie wydawało jej się niemal nieprawdopodobne.

Bez względu jednak na powody ich rozstania, desperacja Marianny była oczywista, i Eleonora z najczulszym współczuciem myślała o straszliwej rozpacz, jakiej siostra zapewne da upust, nie tyle nawet szukając w tym ulgi, ile uważając, że ma obowiązek karmić ją i podsycać.

W pół godziny później zeszła na dół matka i choć oczy miała zaczerwienione, na twarzy jej gościła pogoda.

- Kochany pan Willoughby jest już o kilka mil od nas - zwróciła się do Eleonory, siadając nad robótką. - Pomyśl, z jakim ciężkim sercem musi odbywać tę podróż.

- To wszystko bardzo dziwne. Ta niespodziewana konieczność wyjazdu! Tak

ogromnie nagła! Wczoraj wieczór był tu z nami, szczęśliwy, pogodny, serdeczny! A teraz - zawiadamia nas na dziesięć minut przed wyjazdem... I to wyjazdem bez zamiaru powrotu! O, musiało się stać coś więcej niż to, co nam powiedział. Mówił, zachowywał się jak nie ten sam człowiek. Przecież mama musiała zauważyć równie wyraźnie jak ja, jak bardzo był odmieniony. Cóż mogło się stać? Może się pokłócili, jak mama sądzi? Jakże inaczej można by tłumaczyć to, że nie chciał przyjąć mamy zaproszenia?

- Nie brakło mu po temu ochoty, córeczko, to widziałam wyraźnie. On po prostu nie mógł tego zaproszenia przyjąć. Przemyślałam to gruntownie, zapewniam cię, i znalazłam wyjaśnienie wszystkiego, co z początku zarówno mnie, jak tobie wydawało się takie dziwne.

- Naprawdę?

- Tak, zupełnie zadowalające wyjaśnienie... Tylko że ty, Eleonoro, tak lubisz wątpić we wszystko, w co tylko można wątpić... Ciebie to nie zadowoli, to pewne, ale mojego przekonania mi nie odbierzesz. Otóż, moim zdaniem, pani Smith podejrzewała, że Willoughby kocha się w Mariannie, nie pochwałała jego wyboru - być może ma co do jego osoby inne plany - i z tego powodu chciała go stąd usunąć. Sprawa, w której wysłała go z naszego hrabstwa, jest tylko pretekstem. Sądzę, Eleonoro, że tak się rzecz miała w istocie. Ponadto on zdaje sobie sprawę, że pani Smith nie pochwała tego związku, wobec czego nie ośmielił się jej przyznać do zaręczyn z Marianną i ze względu na swoją zależność materialną uznał za konieczne podporządkować się jej życzeniom i na jakiś czas wyjechać z hrabstwa Devon. Ty mi na pewno powiesz, że tak mogło być, ale nie musiało, ale ja nie mogę przyjąć tych wątpliwości, póki mi nie przedstawisz innego, równie zadowalającego wytłumaczenia. No i co powiesz, Eleonoro?

- Nic, bo mamusia przewidziała moją odpowiedź.

- A więc uważasz, że to mogło, ale nie musiało być prawdą. Och, córeczko, jak niepojęte są twoje uczucia. Chętniej dajesz wiarę złemu niż dobremu. Prędzej będziesz wyglądać nieszczęścia Marianny i wiarołomstwa tego biedaka, niż spróbujesz go usprawiedliwić. Postanowiłaś uznać go przeniewiercą, ponieważ pożegnał się z nami mniej serdecznie, niż się dotąd zachowywał. Czy nie można czegoś przypisać roztargnieniu albo przygnębieniu związanemu z przeżywanym zawodem? Czy nie można przyjąć żadnych ewentualności tylko dlatego, że nie są pewnikami? Czy doprawdy nic nie należy się człowiekowi, który dał nam tak wiele dowodów swego uczucia i żadnych podstaw do złego o nim mniemania? Czy nie można przyjąć, że istnieją jakieś bezsporne przyczyny, które na jakiś czas pozostać muszą sekretem? A poza tym, o co ty go właściwie posądzasz?

- Trudno mi powiedzieć. Przecież jednak taka odmiana, jakiej przed chwilą byliśmy

świadkami, musi obudzić niemiłe podejrzenia. Ale bardzo jest słuszne to, co mama powiedziała o należnych mu względach, nadto chciałabym być bezstronna w ocenie każdego człowieka. Możliwe, że pan Willoughby miał powody, by postąpić tak, jak postąpił, i mam nadzieję, że miał. Ale bardziej by do niego pasowało, gdyby je natychmiast wyjawiał. Sekretność może być czasem wskazana, ale sekretność u pana Willoughby'ego budzi jednak zdziwienie.

- Nie miej mu przynajmniej za złe, że postępował wbrew swojej naturze, kiedy to było konieczne. Czy naprawdę uznajesz słuszność moich argumentów w jego obronie?... Jestem rada... a on niewinniony.

- Nie całkiem. Może było właściwe ukrywać zaręczyny (jeśli oni są rzeczywiście zaręczeni) przed panią Smith. Jeśli tak, to jest bardzo wskazane, by pan Willoughby jak najmniej przebywał teraz w hrabstwie De von. Ale to nie jest wytłumaczenie, dlaczego ukrywają swoje zaręczyny przed nami.

- Ukrywają przed nami? Kochana moja, czyżbyś oskarżała jego i Mariannę o skrytość? To doprawdy dziwne, przecież wzrokiem oskarżałaś ich codziennie o brak powściągliwości.

- Nie chcę dowodu ich uczucia - odparła Eleonora - lecz ich zaręczyn.

- Jestem głęboko przekonana o jednym i o drugim.

- A przecież ani Marianna, ani pan Willoughby nie powiedzieli mamie ani słowa na ten temat.

- Nie potrzeba słów tam, gdzie czyny świadczą same za siebie. Czyż jego zachowanie wobec Marianny i nas wszystkich w ciągu co najmniej dwóch ostatnich tygodni nie świadczyło jawnie o tym, że ją kocha i uważa za swoją przyszłą żonę, a do nas jest przywiązany jak do najbliższej rodziny? Czyż nie rozumieliśmy się nawzajem doskonale? Czyż nie prosił mnie co dzień o zgodę wyrazem twarzy, zachowaniem, pilnie i serdecznie okazywanym mi szacunkiem? Córeczko droga, czyż można wątpić w ich zaręczyny? Jakże ci coś podobnego mogło przyjść do głowy? Jak można przypuścić, by on, wiedząc - bo przecież musi wiedzieć - o miłości twojej siostry, miał ją odjechać i to może na wiele miesięcy, nie zapewniwszy jej o swoim uczuciu? Że się rozstali bez obietnicy dochowania sobie wiary?

- Przyznaję, że wszystkie okoliczności, z wyjątkiem jednej, opowiadają się za ich zaręczynami, ale tą jedną jest milczenie obydwójga na ten temat, co moim zdaniem przeważa wszystkie pozostałe.

- Jakie dziwne rzeczy powiadasz! Doprawdy, musiałaś mieć okropne mniemanie o panu Willoughbym, jeśli po tym, co tak jawnie sobie okazywali, możesz wątpić w naturę łączących ich związków. Czy przez cały czas grał komedię w stosunku do twojej siostry? Czy

naprawdę przypuszczasz, że jest mu obojętna?

- Nie, tego przypuszczać nie mogę. On ją z pewnością kocha.

- Dziwna to miłość, jeśli może ją tak obojętnie zostawić, nie dbając o przyszłość, jak mu przypisujesz.

- Niech mamusia sobie przypomni, że ja zawsze miałam wątpliwości w tej sprawie. Tak, przyznaję, miałam, ale teraz te wątpliwości słabną, a wkrótce mogą zniknąć ze szczętem. Jeśli zobaczymy, że Marianna i pan Willoughby pisują do siebie, wszystkie moje obawy pierzchną.

- Ot, doprawdy, wielkie mi ustępstwo! Jeśli zobaczysz ich przy ołtarzu, dojdiesz do wniosku, że zapewne się pobiorą. Niewdzięcznica! Mnie jednak nie trzeba takich dowodów. W moim przekonaniu nie zaszło nic, co mogłoby budzić najmniejsze wątpliwości: nie usiłowali niczego skrywać, zachowanie ich było nieskrępowane, postępowali zawsze otwarcie. Nie możesz wątpić, czego pragnie twoja siostra. Wobec tego możesz mieć podejrzenia jedynie w stosunku do pana Willoughby'ego. Ale dlaczego? Czyż jest człowiekiem pozbawionym serca i honoru? Czy widzisz w jego postępowaniu coś podejrzanego, coś, co mogłoby budzić obawy? Czy ten człowiek może być fałszywy?

- Mam nadzieję, ufam, że nie! - zawołała Eleonora. - Jestem przywiązana do pana Willoughby'ego, mam dla niego szczere uczucie i powątpiewanie w jego uczciwość jest mi z pewnością równie przykre jak mamie. To wszystko tak jakoś niechcący... Byłam wstrząśnięta, przyznaję, dzisiejszą zmianą w jego zachowaniu. Mówił jak nie ten sam, a na mamy dobroć nie odpowiedział serdecznością. Ale być może wyjaśnieniem tego wszystkiego jest owa sytuacja, w jakiej się, wedle mamy, znalazł. Przed chwilą rozstał się z Marianną, widział, jak opuszcza go zrozpaczona, a jeśli z obawy przed urażeniem pani Smith nie chciał ulec pokusie szybkiego powrotu, a jednocześnie odrzucając mamy zaproszenie rozumiał, że w naszych oczach wygląda na niewdzięcznika i budzi podejrzenia - no, to musiał być i zaambarasowany, i zdenerwowany. W takim wypadku większy by mu przyniosło zaszczyt, gdyby jasno i otwarcie przyznał się do swoich kłopotów, byłoby to również bardziej zgodne z jego usposobieniem, nie będę jednak robiła mu zarzutów, powodując się tak małostkowymi względami, jak różnice opinii czy też fakt, że postąpił inaczej, niż ja bym uważała za odpowiednie i właściwe.

- Mówisz bardzo rozsądnie. Pan Willoughby z pewnością nie zasługuje na podejrzenia. Choć go niedługo znamy, nie jest przecież obcy w tych okolicach, a czy słyszałaś, żeby ktoś kiedyś źle o nim mówił? Gdyby posiadał majątkową niezależność i mógł się natychmiast żenić, istotnie dziwnie by wyglądało, gdyby nas tak opuścił, nie

powiedziawszy mi o swoich zamiarach, ale przecież nie tak wygląda jego sytuacja. To narzeczeństwo nie zaczęło się pod szczęśliwą wróżbą w pewnym sensie, gdyż ze ślubem będą pewno musieli długo zwlekać i może byłoby wskazane utrzymywać teraz wszystko w sekrecie, o ile się da.

Rozmowę przerwało im wejście Małgorzaty. Eleonora mogła do woli rozmyślać nad przedstawioną przez matkę wersją wypadków, przyznawać prawdopodobieństwo wielkiej ich części i ufać w prawdziwość reszty.

Mariannę zobaczyły dopiero wieczorem przy stole. Weszła do pokoju i zajęła swoje miejsce bez słowa. Oczy miała zaczerwienione i podpuchnięte, wydawało się, że z trudem wstrzymuje łzy. Unikała ich spojrzeń, nie mogła ani mówić, ani jeść i po chwili, kiedy matka z serdecznym współczuciem pogładziła ją w milczeniu po ręce, jej wąta dzielność pierzchła i panna, wybuchnąwszy płaczem, wyszła z pokoju.

Przez cały wieczór trwała ta gwałtowna rozpacz. Marianna była nieodporną, ponieważ nie pragnęła wcale narzucić sobie zdyscyplinowania. Każda najdrobniejsza wzmianka o czymś, co miało związek z młodym człowiekiem, pogrążała ją natychmiast we łzach, a choć cała rodzina najtroskliwiej starała się strzec jej spokoju, nie mogła podczas rozmowy uniknąć od czasu do czasu wspomnienia czegoś, co serce Marianny łączyło z osobą młodego człowieka.

ROZDZIAŁ XVI

Marianna uważałaby za rzecz niewybaczalną, gdyby pierwszą noc po rozłące z panem Willoughbym spędziła śpiąc spokojnie. Wstydziłaby się następnego ranka spojrzeć w oczy rodzinie, gdyby wstając z łóżka nie potrzebowała odpoczynku bardziej, niż kiedy się do niego kładła. Lecz uczucia, które z odpoczynku uczyniłyby hańbę, nie wystawiły jej na podobne niebezpieczeństwo. Spędziła bezsennie całą noc, a większą jej część przeplakała. Wstała z łóżka z migreną, niezdolna do rozmowy, bez apetytu, zadając nieustanny ból matce i siostrze, udaremniając wszelkie ich wysiłki, gdy próbowały ją pocieszyć. Doprawdy, była to bardzo romantyczna panna!

Po śniadaniu wyszła samotnie i spacerowała po wiosce Allenham, wspominając minione szczęście i oplakując przez większą część ranka smutną odmianę swego losu.

Wieczór przeszedł na podobnym folgowaniu uczuciom. Grała wszystkie ulubione pieśni, których słuchał pan Willoughby, wszystkie śpiewki, w których tak często łączyli swe głosy, i siedziała nad instrumentem, wpatrując się w każdą linijkę nut spisanych dla niej jego ręką, aż wreszcie serce jej wezbrało smutkiem, którego nic już nie mogło przewyżżyć! W ten sposób karmiła dzień w dzień swą rozpacz. Spędzała długie godziny nad fortepianem, na przemian płacząc i śpiewając, póki łzy nie zdławiły jej głosu. W lekturze tak jak w muzyce sięgała tam, gdzie mogła znaleźć cierpienie - do różnic między chwilą obecną a przeszłością. Czytała tylko to, co przedtem czytali razem.

Nie można było w nieskończoność dawać przystępu tak gwałtownej rozpacz, toteż po kilku dniach zastąpiła ją nieco spokojniejsza melancholia. Marianna jednak codziennie oddawała się takim zajęciom, jak samotne spacerowanie i milczące rozmyślenia, które przynosiły od czasu do czasu wybuchy równie jak poprzednio gwałtownej desperacji.

Od pana Willoughby'ego nie przyszedł list, ale Marianna nie wyglądała poczyty. Matka była zdumiona, a Eleonorę znowu zaczął ogarniać niepokój. Pani Dashwood potrafiła jednak zawsze znaleźć wyjaśnienie, które przynajmniej jej wystarczało.

- Pomyśl, Eleonoro - mówiła - jak często sir John przynosi nam z poczty listy i jak często sam wysyła nasze. Ustaliliśmy przecież, że konieczne jest zachowanie sprawy w sekrecie, a przecież wszystko by się natychmiast wydało, gdyby ich korespondencja miała przechodzić przez ręce sir Johna.

Eleonora nie mogła odmówić słuszności temu wyjaśnieniu i próbowała uznać je za wystarczające usprawiedliwienie milczenia młodych. Można było jednak dojść prawdy i rozwiać mgłę tajemnicy w sposób tak prosty i stosowny, że musiała go podsunąć matce.

- Czemu mamusia nie zapyta Marianny wprost, czy jest, czy nie jest zaręczona z panem Willoughbym? Przecież takie pytanie postawione przez matkę i to taką dobrą, pobłażliwą matkę, nie może być obraźliwe. Przyjmie je za oczywisty wyraz przywiązania. Ona przecież zawsze była taka szczerą, otwartą, zwłaszcza w stosunku do mamusi.

- Za żadne skarby świata nie zadałabym jej takiego pytania. Pomyśl tylko, jak strasznie musiałoby ją zboleć, gdyby się okazało, że nie są zaręczeni. Postąpiłabym doprawdy bardzo małodusznie. Utraciłabym na przyszłość prawo do jej zaufania, przymuszając ją do wyznania czegoś, czego zobowiązała się nie wyjawiać nikomu. Znam serduszko Marianny. Wiem, jak bardzo mnie kocha, i z pewnością nie będę ostatnią osobą, która się dowie o prawdzie wówczas, gdy okoliczności na to pozwolą. Nie będę nigdy nikogo przymuszać do zwierzeń, a już na pewno nie moje dziecko, któremu poczucie obowiązku mogłoby nie pozwolić na odmówienie mej prośbie, nawet wbrew własnym chęciom.

Eleonora uważała, że jest to przesadna wielkoduszność, zważywszy młodość siostry, toteż nalegała dalej, lecz na próżno; zwykły rozsądek, zwykła ostrożność, zwykła roztropność - wszystko to musiało ustąpić wobec romantycznej delikatności pani Dashwood.

Upłynęło kilka dni, nim nazwisko pana Willoughby'ego padło z ich ust w obecności Marianny, sir John jednak i pani Jennings nie byli tak powściągliwi, a ich dowcipy niejednokrotnie sprawiały pannie dodatkową przykrość w tak bolesnych chwilach. Pewnego dnia jednak pani Dashwood, biorąc przypadkiem w rękę tom Szekspira, zawołała:

- Nie skończyłyśmy „Hamleta”! Popatrz, Marianno, drogi pan Willoughby wyjechał, nim doszłyśmy do końca. Odłożymy tę lekturę do jego powrotu... ale może będziemy musiały czekać długie miesiące!

- Miesiące! - zakrzyknęła Marianna z ogromnym zdumieniem. - Nie... nawet nie tygodnie.

Matka pożałowała własnych słów, Eleonora jednak ucieszyła się, słysząc odpowiedź Marianny, świadczącą tak dobitnie o zaufaniu do młodego człowieka i znajomości jego planów.

W tydzień mniej więcej po wyjeździe pana Willoughby'ego Marianna musiała pewnego ranka przyłączyć się do sióstr i pójść z nimi na poranny spacer, zamiast wędrować samotnie. Dotychczas pilnie unikała towarzystwa na przechadzkach. Jeśli jej siostry kierowały się na wzgórza, ona natychmiast ruszała samotnie drogą, jeśli one mówiły o spacerze w dolinie, ona natychmiast szła na wzgórza, i kiedy wszyscy wyruszali, jej nie można już było odnaleźć. Wreszcie jednak Eleonora, która bardzo krytycznie odnosiła się do tego ciągłego odosobnienia siostry, zresztą przyłapała ją przed wyjściem i ruszyły razem

drogą w dolinie, na ogół milcząc, trudno bowiem było rozciągnąć kontrolę i nad myślami Marianny, a Eleonora rada, że wygrała na jednym odcinku, nie próbowała walki na innych. Z miejsca położonego za wrotami doliny, gdzie teren, choć pokryty bujną roślinnością, wyglądał bardziej dostępne i cywilizowanie, roztaczał się widok na spory odcinek gościńca, którym tu przyjechały z Norland; doszedłszy tutaj, dokąd nigdy jakoś dotychczas nie dotarły, stanęły, by obejrzeć widok, jaki roztaczał się na dzielącą je od domu odległość.

Pośród przedmiotów, jakie napotkał ich wzrok, dostrzegły jeden punkt ruchomy; okazało się, że to mężczyzna jadący konno w ich kierunku. Po kilku minutach mogły już stwierdzić, że to ktoś z towarzystwa, a w chwilę później Marianna zakrzyknęła w uniesieniu:

- To on! To on... Wiem, że to on! - i ruszyła ku niemu, lecz Eleonora zawołała:

- Marianno, kochanie, chyba się mylisz. To nie jest pan Willoughby. Jest od niego niższy i inaczej się nosi.

- Ależ to on, on! - wołała Marianna. - Na pewno on. Jego sylwetka, jego płaszcz podróży i koń!... Wiedziałam, że wróci rychło!...

Mówiąc to, szła prędko ku nadjeżdżającemu, a Eleonora, nie chcąc, by siostra znalazła się w kłopotliwej sytuacji - była bowiem pewna, że to nie Willoughby - przyspieszyła kroku i szła z nią razem. Po chwili, kiedy od podróznego dzieliło je zaledwie kilkadziesiąt kroków, Marianna podniosła wzrok; z bólem w sercu zawróciła natychmiast i szybkim krokiem ruszyła w przeciwną stronę, kiedy zatrzymały ją głosy obu sióstr, do których dołączył się trzeci, znajomy jej niemal równie dobrze jak głos pana Willoughby'ego. Odwróciła się, by ze zdumieniem ujrzeć i powitać Edwarda Ferrarsa.

Był w tej chwili jedynym człowiekiem na świecie, któremu mogła wybaczyć, że nie jest panem Willoughbym, jedynym, który mógł zdobyć jej uśmiech. Zapomniała o łzach, buzia jej się rozpromieniła i w szczęściu siostry znalazła chwilowe zapomnienie o doznanym zawodzie.

Zsiadł, oddał konia służącemu i ruszył wraz z pannami do Barton, dokąd się właśnie wybierał z wizytą.

Gorąco go powitały, zwłaszcza Marianna, która okazywała mu więcej serdeczności niż Eleonora. Wydawało jej się nawet, że w spotkaniu starszej siostry z Edwardem zauważyła znowu ów niepojęty chłód, jaki tak często wyczuwała w ich wzajemnym stosunku w Norland. Zwłaszcza w wyglądzie i słowach Edwarda brakowało tego, co zakochanemu przystoi. Wydawał się zakłopotany, nie sprawiał wrażenia człowieka, który na ich widok odczuwa radość, nie był ani wniebowzięty, ani nawet wesoły, mówił niewiele i tylko kiedy go przymusiły pytania i nie wyróżniał Eleonory najmniejszym dowodem uczucia. Marianna

patrzyła i słuchała z rosnącym zdumieniem. Zaczynała nieomal odczuwać do Edwarda niechęć, a skończyło się to, jak i wszystko inne u niej, nawrotem myśli ku panu Willoughby'emu, którego zachowanie stanowiło uderzający kontrast z zachowaniem przyszłego szwagra.

Po krótkiej chwili, jaka nastąpiła po pierwszych pytaniach i słowach zdumienia, Marianna zapytała Edwarda, czy jedzie prosto z Londynu. Odpowiedział, że nie, bawił w hrabstwie Devon od dwóch tygodni.

- Od dwóch tygodni! - zakrzyknęła zdumiona, że od tak dawna jest w tym samym co Eleonora hrabstwie, a dopiero teraz ją odwiedza.

Ze strąpioną miną wyjaśnił, że był u swoich przyjaciół, pod Plymouth.

- Czy dawno był pan w hrabstwie Sussex? - pytała Eleonora.

- Wyjechałem z Norland przed miesiącem.

- A jak wygląda kochane, kochane Norland? - zawołała Marianna.

- Kochane, kochane Norland - odparła Eleonora - wygląda zapewne tak samo, jak zawsze o tej porze roku. Lasy i ścieżki pełne uschniętych liści.

- Och - zakrzyknęła Marianna - jakże mnie niegdyś porywał ten widok, gdym patrzyła na lecące liście! Jakież to było cudowne, gdym na spacerze czuła, jak wiatr je pędzi wokół mnie niby strugi deszczu. Jakież we mnie uczucia budziły one, i ta jesień, i nawet samo powietrze. A teraz nie ma nikogo, kto by na nie zważał. Dostrzega się w nich tylko kłopot, zawadę, którą trzeba jak najszybciej usunąć, zmieść.

- Nie wszyscy - uśmiechnęła się Eleonora - dzielają twoją namiętność do zwiędłych liści.

- Tak, mało kto podziela moje uczucia, mało kto je rozumie. Ale czasami... - po tych słowach na jakiś czas pogrążyła się w zamyśleniu, z którego jednak się wyrwała. - Spójrz, Edwardzie - wskazała roztaczający się przed nimi widok - to jest dolina Barton. Popatrz na nią i jeśli możesz, stój chwilę spokojnie. Spójrz tylko na te wzgórza. Widziałeś kiedyś podobne? Tam, na lewo, leży dwór Barton, tam, pośród lasu i pól. Widać stąd jedną szczytową ścianę domu. A tam, pod tym najdalszym wzgórzem, które wznosi się tak majestatycznie, tam jest nasz domeczek.

- To piękna okolica - przyznał - ale te doliny muszą być w zimie strasznie błotniste.

- Jakże możesz pan myśleć o błocie, mając przed sobą takie wspaniałości?

- Ponieważ - odparł z uśmiechem - widzę przed sobą wśród tych wspaniałości bardzo błotnistą dróżkę.

- Jakie to dziwne - powiedziała do siebie Marianna, idąc dalej. - Macie tu przyjemne

sąsiedztwo? Czy Middletonowie to mili ludzie?

- Ale skąd - odparła Marianna. - Trudno sobie wyobrazić bardziej niefortunną sytuację niż nasza.

- Marianno - oburzyła się Eleonora - jak możesz tak mówić! Jak możesz być tak niesprawiedliwa! To rodzina bardzo szacowna, która nam okazała niezwykle przyjazną życzliwość. Czyżbyś zapomniała, Marianno, ile im zawdzięczamy miłych dni?

- Nie - odparła cicho Marianna - ani ile bolesnych chwil.

Eleonora nie zwróciła na to uwagi i zajęła się gościem, starając się podtrzymać choćby pozór rozmowy; opowiadała o ich nowym domu, jego wygodach itd., wymuszając od czasu do czasu od Edwarda jakieś pytanie czy uwagę. Chłód i powściągliwość młodego człowieka ogromnie ją bolały, była zdenerwowana i niemal gniewna, postanowiła jednak kierować się w swoim zachowaniu raczej tym, co było, niż tym, co jest, i starała się nie okazywać mu niechęci czy niezadowolenia - jednym słowem, traktowała go tak, jak należało ze względu na łączące ich rodzinne stosunki.

ROZDZIAŁ XVII

Zdumienie pani Dashwood, gdy zobaczyła gościa, trwało zaledwie chwilę, uznała bowiem przyjazd Edwarda do Barton za najbardziej oczywistą rzecz na świecie. Radość i serdeczne powitania trwały o wiele dłużej. Przyjęła go najżyczliwiej - żadna nieśmiałość, chłód czy powściągliwość nie mogłyby się ostać wobec takiego przyjęcia. Ustępowały już przed drzwiami, a pierzchy pod wpływem urzekającego obejścia pani domu. No cóż, doprawdy, żaden mężczyzna nie mógł się zakochać w jednej z córek, nie objawszy swoim uczuciem również i matki, toteż Eleonora wkrótce stwierdziła z przyjemnością, że młody człowiek zaczyna się zachowywać tak jak dawniej. Odżyło jego serdeczne przywiązanie do nich wszystkich, wyraźnie też interesował się ich losem i pomyślnością. Był jednak markotny. Chwalił dom, zachwycił się jego położeniem i otoczeniem, był miły i uważający, ale jednocześnie markotny. Wszyscy to zauważyli, a pani Dashwood, przypisując to małoduszności jego matki, zasiadała do stołu zła na wszystkich samolubnych rodziców.

- Jak też matka widzi teraz twoją przyszłość? - zapytała, gdy po obiedzie usiedli wokół kominka. - Czy w dalszym ciągu masz być wielkim mówcą wbrew własnym chęciom?

- Nie. Moja matka przekonała się już chyba, że mam tyle samo chęci co talentu do życia publicznego.

- Wobec tego, jaka ma być twoja droga do sławy? Boć przecież musisz być sławny, by zadowolić rodzinę. A nie mając ani zawodu, ani pewności siebie, ani skłonności do szastania pieniędzmi i w dodatku nie lubiąc zawierać nowych znajomości, możesz stanąć wobec wielkich przeszkód.

- Nie będę nawet próbował. Nie pragnę być znakomitością i mam wszelkie powody sądzić, że nigdy nią nie zostanę. Bogu dzięki! Nie można ze mnie siłą zrobić geniusza i krasomówcy.

- Wiem, nie rozpiera cię ambicja. Masz umiarkowane pragnienia. - Równie umiarkowane, jak każdy człowiek na świecie. Jak wszyscy inni chciałbym być bardzo szczęśliwy, ale podobnie jak inni widzę swoje szczęście na własny sposób. Wielkość mi go nie da.

- Byłoby dziwne, gdyby dała - przytaknęła Marianna. - Cóż ma z nim wspólnego bogactwo czy zaszczyty.

- Zaszczyty niewiele - zgodziła się Eleonora - ale bogactwo bardzo dużo.

- Jak możesz tak mówić, Eleonoro! - zakrzyknęła Marianna. - Pieniądze mogą dać szczęście tylko tam, gdzie nie może ono przyjść z innego źródła. Poza dostatkiem nie mogą

przynieść prawdziwego zadowolenia, jeśli idzie o istotne ludzkie potrzeby.

- A może - uśmiechnęła się Eleonora - dojdziemy jednak do zgody. Twój dostatek i moje bogactwo są chyba do siebie podobne i zapewne obie uważamy, że w dzisiejszym świecie człowiek, który ich nie posiada, jest pozbawiony wszelkich materialnych wygod. Twoje poglądy tylko brzmią szlachetniej niż moje. Powiedz, ile wynosi twój dostatek?

- Jakieś tysiąc osiemset do dwóch tysięcy funtów, nie więcej. Eleonora wybuchnęła śmiechem. - Dwa tysiące rocznie! Moje bogactwo to tysiąc! Przewidywałam, czym to się skończy.

- A przecież dwa tysiące rocznie to dochód bardzo umiarkowany - tłumaczyła Marianna. - Trudno z mniejszego utrzymać rodzinę. Z pewnością to nie są wygórowane wymagania. Odpowiednia liczba służby, powóz, może dwa, i konie myśliwskie - wszystko to nie do pomyślenia przy mniejszym dochodzie.

Eleonora znowu się uśmiechnęła, słysząc, jak siostra tak akuratanie wylicza przyszłe wydatki domowe w Combe Magna.

- Konie myśliwskie! - zdumiał się Edward. - A po co te konie? Przecież nie każdy poluje.

- Większość ludzi, owszem - odparła Marianna czerwieniejąc. - Chciałabym - wtrąciła się Małgorzata, wprowadzając nowy temat rozmowy - żeby tak ktoś dał każdemu z nas wielki majątek!

- Och, żeby też tak się stało! - oczy Marianny rozbłyły ożywieniem, a policzki poczerwieniały w zachwycie nad wymagowanym szczęściem.

- W tym pragnieniu jesteśmy wszyscy jednacy - powiedziała Eleonora - choć bogactw nie wystarczy dla wszystkich.

- Ojej! - rozmarzyła się Małgorzata. - Jakaż ja bym była szczęśliwa! Zastanawiam się, co bym też wówczas zrobiła.

Marianna sprawiała wrażenie osoby, która nie miałaby w tej materii najmniejszych wątpliwości.

- A ja miałabym kłopot z wydawaniem dużych pieniędzy na siebie samą, gdyby moje dzieci wzbogaciły się bez mojej pomocy - oświadczyła pani Dashwood.

- Zaczęłyby mamusia przebudowę domu i natychmiast nie byłoby problemu - zauważyła Eleonora.

- Cóż za wspaniałe zamówienia szłyby wówczas do Londynu - mówił Edward. - Cóż by to był za szczęśliwy dzień dla sprzedawców książek, nut, sztychów. Najstarsza panna Dashwood wysyłałaby zamówienia na wszystkie dobre nowe sztychy, a Marianna - znam

przecież wielkość jej duszy - nie wystarczyłoby dla niej nut w całym Londynie! A już jeśli idzie o książki, Thompson, Cowper, Scott - wykupiłaby wszystkie, ile by się tylko dało, każdy egzemplarz, żeby się czasem jakiś nie dostał w niegodne ręce, a nabyłaby również każdą książkę, która opisuje, jak się zachwycać starym rosochatym drzewem. Dobrze mówię, Marianno? Wybacz, jeśliś zuchwał, ale chciałem ci dowieść, że nie zapomniałem naszych dawnych rozmów.

- Uwielbiam, jak mi się przypomina przeszłość - odparła - czy wesołą, czy smutną, uwielbiam wspomnienia, toteż nigdy mnie nie obrazisz, mówiąc o tamtych czasach. Słuszne są twoje mniemania co do tego, jak wydawałabym pieniądze, a przynajmniej część z nich. Pieniądze na drobne wydatki na pewno poszłyby na powiększenie moich zbiorów nut i książek.

- A większość fortuny przeznaczyłabyś na dożywocie dla pisarzy lub dla ich spadkobierców.

- Nie, Edwardzie, znalazłabym dla tych pieniędzy inne zastosowanie.

- Może ufundowałabyś, pani, nagrodę dla tego, kto napisze najlepszą obronę ulubionej twojej maksymy, że nikt nie może się kochać więcej niż jeden raz w życiu, bowiem opinia twoja na ten temat pozostała, jak sądzę, nie zmieniona, prawda?

- Oczywiście. W moim wieku ma się opinie ugruntowane. Mało jest prawdopodobne, żebym usłyszała czy zobaczyła coś, co by je mogło zmienić.

- Marianna, jak pan widzisz, jest jak zwykle niezachwiana w swoich poglądach - zwróciła się do niego Eleonora. - Nie zmieniła się ani trochę.

- Jest tylko nieco poważniejsza niż dawniej.

- Oj, nie powinieś mi pan robić takich zarzutów, Edwardzie. Sam nie jesteś zbyt wesoły.

- Czemu tak, pani, sądzisz? - westchnął, zadając to pytanie. - Wesołość nigdy nie była moją cechą.

- Nie sądzę również, żeby kiedykolwiek była cechą Marianny - powiedziała Eleonora.

- Trudno byłoby mi nazwać ją radosną panną. Jest bardzo poważna, bardzo przejęta wszystkim, co robi, czasami wiele mówi, i to zawsze żywo - ale nieczęsto jest naprawdę radosna.

- Wydaje mi się, że masz, pani, rację, a jednak zawsze uważałem ją za wesołą pannę.

- Bardzo często się łapię na takich pomyłkach - powiedziała Eleonora - na z gruntu fałszywej opinii o kimś pod takim czy innym względem. Wyobrażam sobie, że ktoś jest weselszy czy poważniejszy, czy dowcipniejszy, czy głupszy, niż jest w istocie, i nie wiem

zupełnie, skąd się wzięło nieporozumienie. Czasem ustala się opinię o człowieku na podstawie tego, co sam o sobie mówił, a jeszcze częściej na podstawie tego, co inni o nim mówili, nie zostawiając sobie czasu na namysł i osąd.

- Przypuszczałam, Eleonoro - powiedziała Marianna - że kierowanie się zawsze cudzym zdaniem jest rzeczą właściwą. Sądziłam, że rozsądek dano nam po to jedynie, by podlegał rozumowi naszych bliźnich. Tak przecież zawsze uważałaś.

- Nie, Marianno, nigdy. Nigdy nie uważałam, by należało się komukolwiek podporządkować rozumem. Myślałam jedynie o dostosowaniu swego zachowania do innych. Nie pojmuj opacznie moich słów. Przyznaję, że często pragnęłam, żebyś okazywała więcej szacunku naszym znajomym, ale powiedz, kiedy ci radziłam, byś w sprawach dużej wagi przyjmowała za swoje ich sentymenta czy ich poglądy?

- Nie udało ci się, pani, nakłonić siostry do przyjęcia twej zasady uprzejmości wobec wszystkich - zwrócił się Edward do Eleonory. - Nie masz żadnych sukcesów?

- Wprost przeciwnie - odparła Eleonora, spoglądając wymownie na siostrę.

- Jeśli idzie o mnie - ciągnął - opowiadam się całkowicie po twojej stronie, pani, obawiam się jednak, że w praktyce wydaję się stronnikiem twojej siostry. Nigdy nie chcę nikogo urazić, ale jestem tak głupio nieśmiały, że czasem można mnie posądzić o lekceważący stosunek do innych, gdy tymczasem jest to powściągliwość wynikająca z wrodzonej nieśmiałości. Nierzadko myślę, że natura przeznaczyła mnie do kompanii ludzi niższego stanu, gdyż nieswojo się czuję wśród obcych z towarzystwa.

- Marianna nie ma nieśmiałości na swoje usprawiedliwienie - uśmiechnęła się Eleonora.

- Zbyt dobrze zna swoją wartość, by okazywać fałszywy wstyd - odparł Edward. - Nieśmiałość to skutek poczucia własnej niższości, mniejszej czy większej. Gdybym mógł w siebie wmówić, że obojście mam swobodne, a maniery ujmujące, zapewne nie byłbym nieśmiały.

- Ale dalej zachowywałbyś się z rezerwą - zawołała Marianna - a to jeszcze gorsze!

Edward spojrział na nią zdumiony. - Z rezerwą? Ja się zachowuję z rezerwą?

- O, tak, z ogromną.

- Nie rozumiem - odparł czerwieniejąc. - Z rezerwą? Jak? W czym się to przejawia? Cóż ja ci mam powiedzieć, pani? Co ci też przyszło do głowy!

Jego przejęcie zdumiało Eleonorę, próbując jednak obrócić całą sprawę w żart, powiedziała: - Czyżby pan tak mało znał moją siostrę, by nie rozumieć, co ona ma na myśli? Czyżby pan nie wiedział, że widzi rezerwę i powściągliwość w zachowaniu każdego, kto nie

mówi równie szybko jak ona i nie zachwyca się z równym uniesieniem tym, co budzi jej zachwyt?

Edward nie odpowiedział. Zapadł w o wiele głębszą niż poprzednio powagę i zamyślenie i przez pewien czas siedział milczący i bez humoru.

ROZDZIAŁ XVIII

Eleonora z przykrością zauważyła przygnębienie młodego człowieka. Trudno jej było cieszyć się z jego wizyty, skoro on sam nie cieszył się nią tak, jak należało. Widziała jasno, że jest mu źle; pragnęłaby równie jasno wiedzieć, że w dalszym ciągu obdarza ją uczuciem, jakie, w co nie wątpiła, wzbudzała w nim niegdyś. Wcałe to jednak nie było pewne, gdyż powściągliwością zachowania natychmiast zaprzeczał temu, co żywszym spojrzeniem wyraził w chwili poprzedniej.

Następnego ranka znalazł się z Eleonorą i Marianną w pokoju śniadaniowym, nim reszta rodziny zeszała na dół. Marianna, która rada by im nieba przychylić, jeśli to było w jej mocy, po chwili zostawiła ich samych. Kiedy jednak znalazła się w połowie schodów, usłyszała, jak drzwi jadalni się otwierają, a obróciwszy głowę, zobaczyła wychodzącego Edwarda.

- Nim panie przygotują się do śniadania, pójdę na wieś sprawdzić, co tam z moimi końmi - powiedział. - Za chwilę wrócę.

Edward wrócił, ponownie zachwycony okolicą; w drodze do wsi miał rozległy widok na piękne partie doliny, a z samej wsi, która położona była wyżej niż domek pań Dashwood, mógł objąć wzrokiem całość, która ogromnie przypadła mu do gustu. Temat ten natychmiast porwał Mariannę; zaczęła unosić się w zachwytach nad okolicą i wypytywać młodego człowieka, na co zwrócił szczególną uwagę, on jednak jej przerwał: - Nie wypytuj mnie, pani, zbyt szczegółowo, pamiętaj, że ja się nie znam na malowniczych krajobrazach i kiedy dojdziemy do szczegółów, mogę cię urazić moją ignorancją czy brakiem smaku. Powiem, że wzgórza są strome, gdy tymczasem one winny śmiało sięgać szczytem w niebo, powiem, że zbocza mają dziwaczne, nierówne, gdy tymczasem one winny mieć linię nieregularną i poszarpaną, powiem, że odległych obiektów nie widać, gdy tymczasem one winny majaczyć niewyraźnie poprzez delikatny, zawisły w powietrzu welon mgły. Musi cię zadowolić zachwyty na uczciwą miarę moich możliwości. Uważam, że okolica jest piękna, wzgórza są strome, lasy zasobne w zdrowe drzewo, doliny wyglądają zacisznie i przytulnie, łąki są bujne, a domy farmerskie dostatnie. Takie jest moje pojęcie piękna krajobrazu, łączy się w nim bowiem uroda z użytecznością, a sądzę, że jest on również i malowniczy, ponieważ wzbudza w tobie zachwyty. Uwierzę bez trudu, że pełno tu skał i skalnych występów, i zarośli, ale to wszystko nie robi na mnie wrażenia. Nie znam się na tym, co malownicze.

- Obawiam się, że to, niestety, prawda - odparła Marianna - tylko po co się tym

chwalić?

- Przypuszczam - wtrąciła Eleonora - że Edward, chcąc uniknąć jednej przesady, popada w drugą. Uważa, iż wielu ludzi bardziej udaje, niż odczuwa podziw dla piękna natury, brzydzi go podobny fałsz i wobec tego pozuje na człowieka obojętnego i niewrażliwego na to piękno, co wcale nie jest prawdą. Jest człowiekiem wybrednym - wybrał sobie własny sposób udawania.

- To prawda - przyznała Marianna - że podziw dla piękna natury to dzisiaj puste słowa. Każdy udaje wrażliwość na piękno i usiłuje opisać swoje uczucia ze smakiem i elegancją tego, który pierwszy określił pojęcie malowniczości. Nie znoszę wszelkiego pustosłowania i czasami zachowuję swoje przeżycia dla siebie, ponieważ nie mogę ich wyrazić za pomocą innych słów jak te, które są tak zużyte i spospolitowane, że już nie mają ani sensu, ani znaczenia.

- Jestem pewny, że na widok pięknego krajobrazu czujesz to, co mówisz. W zamian za to niechże mi twoja siostra pozwoli czuć nie więcej niż to, co ja mówię. Lubię piękny widok, ale nie z powodu jego malowniczości. Nie lubię rosochatych, powyginanych, przygiętych do ziemi drzew. Zachwyca mnie o wiele bardziej drzewo wysokie, strzeliste, dorodne. Nie lubię rozsypujących się, nędznych chłopskich chat. Nie mam najmniejszego sentymentu do ostów, pokrzyw czy kwitnących wrzosowisk. O wiele bardziej mnie cieszy widok porządnej farmerskiej chaty niż wieży strażniczej, a gromada schludnych, szczęśliwych wieśniaków sprawia mi większą przyjemność niż najwspanialszy bandyci na świecie.

Marianna popatrzyła na Edwarda ze zdumieniem, a na siostrę ze współczuciem, Eleonora tylko się roześmiała.

Nie przeciągano już rozmowy na ten temat, a Marianna milczała zamyślona, póki nowy problem nie zaprzął nagle jej uwagi. Siedziała obok Edwarda, a kiedy brali filiżanki herbaty z rąk pani Dashwood, dłoń Edwarda przesunęła się tak blisko jej oczu, że młoda panna musiała zauważyć na jego palcu pierścionek z osadzoną w oczku plecionką z kobiecych włosów.

- Nie widziałam dotąd, żebyś pan nosił pierścionek, Edwardzie - zauważyła. - Czy to włosy Fanny? Pamiętam, jak obiecywała, że ci da. Ale wydawało mi się, że ona ma ciemniejsze włosy.

Marianna mówiła bez zastanowienia to, co przyszło jej do głowy, kiedy jednak zobaczyła, jaką przykrość zrobiła Edwardowi, zmartwiła się jeszcze bardziej niż on. Młody człowiek zaczerwienił się mocno i rzuciwszy szybkie spojrzenie na Eleonorę, odparł: - Tak, to włosy mojej siostry. Oprawa zawsze zmienia trochę kolor.

Eleonora pochwyciła jego spojrzenie i również się spieszyła. Od pierwszej chwili była, podobnie jak Marianna, przekonana, że to jej włosy, z tą tylko różnicą, że to, co siostra wzięła za dobrowolny podarunek, musiało zdaniem Eleonory zostać skradzione lub zdobyte podstępem. Nie obrażało jej to jednak ani trochę, udała więc, że nie zauważyła, co się stało, i zaczęła natychmiast mówić o czym innym, postanawiając jednocześnie, że skorzysta z pierwszej sposobności, by obejrzeć włosy i upewnić się ponad wszelką wątpliwość, iż mają dokładnie ten sam, co jej, odcień.

Zaambarasowanie Edwarda trwało chwilę, po czym młody człowiek popadł w jeszcze większe niż dotąd zamyślenie. Przez całe przedpołudnie był bardzo poważny. Marianna miała sobie ogromnie za złe te pochopne słowa, lecz szybko by się rozgrzeszyła, gdyby wiedziała, że siostrze wcale nie było przykro.

Przed południem odwiedził je sir John z panią Jennings, którzy, usłyszawszy o przyjeździe jakiegoś dżentelmena z wizytą do pań, przyszli obejrzeć gościa. Z pomocą teściowej sir John szybko stwierdził, że nazwisko Ferrars zaczyna się na F, co otwierało na przyszłość kopalnię dowcipów o wiernej Eleonorze i gdyby nie świeżość zawartej znajomości, na pewno by się owe dowcipy posypały. W obecnej sytuacji pani Jennings mogła się tylko domyślać z różnych znaczących spojrzeń, jak dalece słuszne są przypuszczenia oparte na informacjach Małgorzaty.

Za każdym razem, gdy sir John przychodził do pań Dashwood, przynosił zaproszenie czy to na obiad następnego dnia, czy na najbliższą herbatę. Tym razem, chcąc sprawić gościowi wielką przyjemność - uważał bowiem, że jest obowiązany do świadczenia mu grzeczności - przyszedł z zaproszeniem na jedno i drugie.

- Musicie wypić z nami herbatę - oświadczył - ponieważ będziemy zupełnie sami, a jutro musicie koniecznie zjeść z nami obiad, ponieważ będzie duże towarzystwo.

Pani Jennings potwierdziła, że jest to absolutnie konieczne. - A kto wie, może dojdzie dzięki wam do tańców? To cię skusi, panno Marianno.

- Tańce! - zawołała Marianna. - Niepodobna! A któż to ma tańczyć?

- Któż? Jakże? Wy i Careyowie, i Whitalerowie, któż by inny. A ty myślałaś, że już nikt nie może tańczyć, ponieważ pewna osoba, której nazwiska nie wymienię, wyjechała!

- Jakże bym chciał - zawołał sir John - żeby Willoughby był tu z nami!

Te słowa i rumieniec Marianny wzbudziły podejrzenia Edwarda. - Któż to jest pan Willoughby? - spytał po cichu Eleonorę, przy której siedział.

Odpowiedziała mu krótko. Z twarzy Marianny mógł więcej wyczytać. Zobaczył dość, by zrozumieć nie tylko to, co tamci mieli na myśli, lecz również pewne słowa Marianny,

które dotychczas pozostawały dla niego zagadką. Po wyjściu gości podszedł do niej natychmiast i szepnął: - Próbowałem coś zgadnąć. Czy mam powiedzieć co?

- Nie wiem, o co chodzi.

- Mam powiedzieć?

- Oczywiście.

- No więc, powiem: zgaduję, że pan Willoughby lubi polować.

Marianna była zdziwiona i skonfundowana, ale musiała ją rozbawić ta spokojna figlarność, toteż po chwili milczenia szepnęła:

- Och, Edwardzie, jak możesz... Ale mam nadzieję, że przyjdzie czas... Pewna jestem, że ci się spodoba.

- Nie mam co do tego wątpliwości - odparł nieco zdumiony jej powagą i przejęciem. Gdyby bowiem nie uważał swoich słów za beztroski żart z jej znajomości, oparty na czymś czy niczym zgoła między nią i panem Willoughbym, nigdy by się nie ośmielił go powiedzieć.

ROZDZIAŁ XIX

Wizyta Edwarda trwała tydzień. Pani Dashwood nalegała, by został dłużej, ale on, jakby się chciał umartwiać, postanowił wyjechać w chwili, gdy radość przebywania z paniami sięgnęła zenitu. W ciągu kilku ostatnich dni jego nastrój, choć w dalszym ciągu nie najlepszy, ogromnie się poprawił. Młody człowiek polubił dom i otoczenie, wzdychał, mówiąc o wyjeździe, stwierdził, że nie ma absolutnie nic do roboty - nawet nie wiedział, dokąd się stąd uda, lecz co do wyjazdu był zdecydowany. Nigdy jeszcze tydzień nie upłynął mu tak szybko... Wprost uwierzyć trudno, że już się kończy. Powtarzał to wielokrotnie, mówił też i inne rzeczy, które - świadczyły o odmianie w jego uczuciach i przeczyły jego czynom. Nie czuł się dobrze w Norland, nie cierpiał Londynu, ale musiał jechać albo tu, albo tam. Życzliwość pań Dashwood cenił sobie ponad wszystko i najlepiej mu było z nimi. Zamierzał je jednak opuścić pod koniec tygodnia wbrew ich i swoim pragnieniom, choć miał czas do swojej dyspozycji bez ograniczeń.

Wszystko, co było tak dziwne w jego zachowaniu, Eleonora kładła na karb wymagań jego matki. Jakie to szczęście, że młody człowiek miał tak mało jej znaną rodzicielkę, którą mogła winić za wszystko, czego nie pojmowała w zachowaniu jej syna. Choć jednak czuła rozczarowanie i zniecierpliwienie, a czasem nawet niezadowolenie z jego do niej stosunku, skłonna była na ogół przyjmować wszystko z bezstronną wyrozumiałością i wielkodusznością, które wobec pana Willoughby'ego przychodziły jej z większym trudem i tylko pod naciskiem matki. To, że był przygaszony, zamknięty i niekonsekwentny, tłumaczyła jego zależnością od pani Ferrars, której usposobienie i plany musiał znać najlepiej. Krótkość wizyty, uparte obstawanie przy konieczności wyjazdu, wszystko to miało źródło w konieczności trzymania swoich uczuć na wodzy i ciągłego dostosowywania się do woli matki. Przyczyna wszystkiego leżała w starym jak świat konflikcie między obowiązkiem i chęcią, między dzieckiem i rodzicem. Bardzo pragnęła wiedzieć, kiedy się te trudności skończą, kiedy opór osłabnie, kiedy pani Ferrars się odmieni, a jej syn będzie mógł zaznać szczęścia. Musiała jednak porzucić te daremne marzenia i szukać pociechy w odrodzonym zaufaniu do uczucia młodego człowieka, do pamięci wszystkich tego uczucia dowodów, wyrażonych spojrzeniem czy słowem podczas pobytu w Barton, a nade wszystko do pochlebnego świadectwa jego sentymentów, jakie niezmiennie nosił na palcu.

- Sądzę, Edwardzie - zwróciła się do niego pani Dashwood podczas ostatniego jego śniadania przed wyjazdem - że byłbyś o wiele szczęśliwszy, gdybyś miał jakiś zawód, któremu mógłbyś poświęcać swój czas, a który przydałby ciekawości twoim planom i

działaniom. Dla twoich przyjaciół mogłaby to być pewna strata - nie mógłbyś im poświęcać wiele czasu. Ale - tu uśmiechnęła się - miałbyś z tego jeden pewny pożytek: wiedziałbyś, dokąd jedziesz, kiedy ich opuszczasz.

- Zapewniam panią - odparł - że dawno o tym myślałem, podobnie jak pani. Było to, jest i zapewne będzie wielkie moje nieszczęście, że nie pochłaniają mnie żadne obowiązki, że nie mam zawodu, który dałby mi zajęcie i przyniósł coś w rodzaju niezależności. Niestety, wysokie wymagania moje i moich najbliższych uczyniły ze mnie to, czym jestem - istotę beczynną i bezradną. Nigdy nie mogliśmy się zgodzić co do wyboru zawodu. Ja zawsze skłaniałem się ku karierze duchownego, zawsze, do dzisiaj. Ale to się nie wydawało dosyć eleganckie mojej rodzinie. Oni namawiali mnie na karierę wojskową. To z kolei było dla mnie o wiele za eleganckie. Uznano prawo za zawód w dobrym tonie - wielu młodzieńców utrzymujących kancelarie w Tempie świetnie się prezentuje w najlepszym towarzystwie i jeździ po mieście w wytwornych gigach. Ale ja nie miałem upodobania do prawa, nawet w tej jego powierzchownej postaci, w której tak gustowała moja rodzina. Jeśli idzie o marynarkę, no cóż, zajęcie było modne, ale byłem już za stary, kiedy zaczęliśmy się nad tym zastanawiać. Wreszcie więc, nie widząc konieczności, bym się miał jakiegokolwiek zawodu, gdyż mogę być szarmancki i szastać pieniędzmi zarówno w mundurze, jak w cywilu, wszyscy zgodnie doszli do wniosku, iż próżniactwo jest wyborem najwłaściwszym i najszlachetniejszym, a że osiemnastoletni młodzieniec nie pragnie na ogół pracy do tego stopnia, by miał się oprzeć namowom najbliższych do nieróbstwa, zapisano mnie więc do Oksfordu i od tej chwili jestem przykładnym obibokiem.

- A ponieważ - uśmiechnęła się pani Dashwood - beczynność nie przyniosła ci szczęścia, wychowując swych synów dasz im tyle zainteresowań, zajęć, zawodów i fachów, ile mieli synowie Columelli*.

- Zostaną tak wychowani - odparł bardzo poważnie - by wyrosli na ludzi jak najmniej do mnie podobnych. W uczuciach, postępach, kondycji, we wszystkim.

- Dajże pokój, Edwardzie, to tylko skutek przygnębienia. Jesteś w melancholijnym nastroju i wyobrażasz sobie, że ktoś, kto jest inny niż ty, przez to samo musi być szczęśliwy. Pamiętaj jednak, że ból rozłąki z przyjaciółmi odczuwa od czasu do czasu każdy, bez względu na wykształcenie czy stan. Zrozum, jakiś szczęśliwy. Nie brak ci niczego prócz cierpliwości - lub określ to bardziej interesującym słowem - nazwij to nadzieją. We właściwym czasie matka da ci to, czego tak bardzo pragniesz: niezależność. Jej obowiązkiem, a niezadługo również i szczęściem, będzie nie dopuścić do tego, byś całą młodość strwonił na utyskiwaniu.

*„Columella, the Distressed Anchorite” - wydana w 1776 r. książka Richarda Gravesa.

Co dobrego może ci przynieść kilka następnych miesięcy?

- Sądzę - powiedział Edward - że nawet i wiele miesięcy nie przyniesie mi nic dobrego.

Aczkolwiek przygnębienie młodego człowieka nie mogło się udzielić pani Dashwood, dla panien było powodem dodatkowego smutku przy rozstaniu, które wkrótce nastąpiło, a już szczególnie przykro było Eleonorze, która potrzebowała i wysiłku, i czasu, by się uspokoić. Ponieważ jednak postanowiła się uspokoić i nie dopuścić, by sądzono, iż cierpi z powodu tego wyjazdu bardziej niż reszta rodziny, nie przyjęła metody tak rozumnie obranej w podobnej sytuacji przez Mariannę i nie zwiększała ani pogłębiała cierpienia, uciekając się do samotności, milczenia i bezczynności. Środki, jakie obie siostry obrały, były tak różne, jak ich cele, i skutecznie tym celom służyły.

Natychmiast po wyjeździe młodego człowieka Eleonora zasiadła do rysowania, przez cały dzień starała się czymś zajmować, ani nie szukała, ani nie unikała wzmianki o Edwardzie, sprawiała wrażenie tak samo jak zawsze pochłoniętej problemami rodziny i jeśli nawet nie umniejszała w ten sposób własnego bólu, to go przynajmniej nie zwiększyła niepotrzebnie, oszczędzając w ten sposób i matce, i siostrom troski o swoją osobę.

Tego rodzaju postępowanie, tak zupełnie jej obce, wydawało się Mariannie bardzo mało chwalebne, podobnie jak własne zachowanie nie wydawało jej się naganne. Bez trudu odkryła tajemnicę zdyscyplinowania siostry - otóż przy gwałtownym uczuciu jest ono niemożliwe, przy umiarkowanym - nie jest żadną zasługą. Że sentymenty jej siostry są umiarkowane, temu zaprzeczyć nie mogła, choć wyznawała to z rumieńcem wstydu, imponującym zaś dowodem siły jej własnych uczuć był fakt, że mimo tak kompromitującego przekonania w dalszym ciągu kochała i szanowała tę siostrę.

Choć Eleonora nie odcinała się od rodziny, nie upierała się, by wychodzić z domu sama, unikając towarzystwa, ani nie leżała bezsennie całymi nocami, oddając się rozmyślaniom, znajdowała jednak dość czasu, by myśleć o Edwardzie, o jego zachowaniu najrozmaiciej, zależnie od stanu ducha: z czułością, współczuciem, aprobatą, naganą i zwątpieniem. Miała w nadmiarze czasu czy to pod nieobecność matki i sióstr, czy podczas zajęć, których natura wymagała milczenia, dając jej pozór samotności. Nic nie krępowało jej myśli, które nieuchronnie skupiały się wokół tego jednego tematu, a przeszłość i przyszłość z nim związana wciąż stały jej przed oczyma, przykuwały uwagę, były przedmiotem wspomnień, refleksji, domysłów.

Pewnego ranka, wkrótce po wyjeździe Edwarda, wyrwało ją z takiego zamyślenia nad stolikiem do rysowania przybycie gości, Tak się złożyło, że była akurat sama. Słyszac

trzaśnięcie furteczki do ich małego ogródka od frontu, podniosła wzrok ku oknu i zobaczyła duże towarzystwo zmierzające do wejścia. Był tam sir John, jego żona i pani Jennings, a oprócz nich jakiś pan z panią. Ujrawszy ją przy oknie, sir John zostawił reszcie towarzystwa uroczyste stukanie do drzwi, przeszedł przez murawę, poprosił pannę, by otworzyła okno, i zaczął z nią rozmawiać, choć przestrzeń między nimi i drzwiami była tak mała, że wszystko, co mówili, musiało dochodzić do wejścia.

- Proszę - powiedział. - Przyprowadziliśmy wam dwoje nieznajomych. Jak ci się podobają, moja panno?

- Ciiicho! Mogą usłyszeć.

- A niech słyszą. To tylko Palmerowie. Charlotta jest bardzo ładna, naprawdę. Możesz ją pani zobaczyć, wychyl się tylko trochę.

Ponieważ Eleonora była pewna, że za chwilę zobaczy ową damę, nie uciekając się do takich metod, wymówiła się od wychylania z okna.

- A gdzie Marianna? Uciekła na nasz widok? Widzę, że instrument otwarty.

- Poszła, zdaje się, na spacer.

W tej chwili przyłączyła się do nich pani Jennings, która tyle miała do powiedzenia, że nie mogła się doczekać otwarcia drzwi. Podeszła do okna z powitalnym okrzykiem: - Jak się masz, moja droga! A jak się mamusia czuje? Gdzie twoje siostry? Cóż to, zupełnie sama? Rada chyba będziesz, jeśli troszkę z tobą posiedzimy! Przyprowadziłam ci mojego drugiego zięcia i córkę. Pomyśl tylko, zjechali tak niespodzianie! Wczoraj wieczór wydawało mi się, że słyszę powóz, akurat piliśmy herbatę, ale do głowy mi nie przyszło, że to mogą być oni. Wszystkiego się można było spodziewać, myślałam, że może pułkownik Brandon wrócił, powiedziałam więc do sir Johna, że słyszałam powóz i może to pułkownik Brandon wrócił...

Eleonora musiała odwrócić się od niej w środku tej opowieści, by powitać przybyłych gości. Lady Middleton przedstawiła obcych, w tej chwili zeszła na dół pani Dashwood z Małgorzatą i wszyscy usiedli, by przyglądać się sobie nawzajem, a pani Jennings dalej ciągnęła swoje opowiadanie, idąc korytarzem w eskorcie sir Johna.

Pani Palmer była o kilka lat młodsza od lady Middleton i zupełnie do niej niepodobna. Mała i pulchna, miała ładną buzię, na której malował się przemiły, dobroduszny wyraz. Zachowywała się może mniej elegancko niż siostra, lecz za to o wiele bardziej ujmująco. Weszła z uśmiechem, uśmiechała się przez całą wizytę z wyjątkiem tych momentów, kiedy się śmiała, i z uśmiechem wychodziła z domu. Mąż jej, dwudziestopięcioletni mężczyzna o poważnym wyglądzie, miał obojętne bardziej światowe i poważne, ale mniej się starał, by i jemu, i innym było przyjemnie. Wszedł do pokoju z miną wyniosłą, skłonił się damom lekko,

bez słowa, potoczył wzrokiem po pokoju i twarzach zebranych, po czym wziął ze stołu gazetę i czytał przez całą wizytę.

Żona jego, wprost przeciwnie, była osobą hojnie obdarzoną przez naturę umiejętnością okazywania radości i uprzejmości innym, toteż ledwo usiadła, już wybuchnęła zachwytem nad salonikiem i wszystkim, co się w nim znajdowało.

- Cóż za rozkoszny pokój! W życiu nie widziałam czegoś tak uroczego. Zobacz, mam, o ile tu teraz piękniej niż przedtem. Zawsze uważałam ten domek za coś uroczego - tu zwróciła się do pani Dashwood - ale pani uczyniłaś z niego miejsce wprost czarowne! Popatrz tylko, siostrzyczko, jakie wszystko zachwycające! Jakżebym chciała mieć taki dom! A ty nie chciałbyś, mężulku?

„Mężulek” nie odpowiedział, nie oderwał nawet wzroku od gazety.

- On mnie nie słyszy - roześmiała się radośnie. - On mnie czasem w ogóle nie słyszy! Jakie to śmieszne!

To stwierdzenie bardzo zdumiało panią Dashwood, ponieważ nigdy jej nie śmieszyła okazywana komuś nieuwaga, spojrzała więc na nowo poznaną parę ze zdziwieniem.

Tymczasem pani Jennings ciągnęła w głos swoją opowieść o niespodziance, jaką im zrobił poprzedniego wieczora widok przyjezdnych, i nie przerwała, póki nie opowiedziała wszystkiego do końca. Pani Palmer śmiała się serdecznie, wspominając ich wczorajsze zdumienie, i wszyscy kilkakrotnie wyrazili przekonanie, że była to całkiem miła niespodzianka.

- Uwierzysz na pewno, że bardzo byliśmy im radzi - pani Jennings pochyliła się ku Eleonorze i mówiła przyciszonym głosem, jakby chciała przekazać tę wiadomość jej tylko, chociaż siedziały w przeciwnych krańcach pokoju - wołałabym jednak, by nie robili tej długiej i spiesznej podróży - oni jechali okrężną drogą przez Londyn, z powodu jakichś tam interesów - bo widzisz - tu pokiwała znacząco głową, wskazując na córkę - w jej stanie to bardzo niewskazane. Prosiłam, żeby została w domu i poleżała przed południem, ale nie, za nic w świecie, tak bardzo pragnęła was poznać.

Pani Palmer roześmiała się i powiedziała, że nic jej nie będzie.

- Ona się spodziewa w lutym - wyjaśniła pani Jennings.

Lady Middleton nie mogła dłużej znieść takiej konwersacji, zdobyła się więc na wysiłek i zapytała pana Palmera, czy jest coś ciekawego w gazecie.

- Nie, nie - odparł i czytał dalej.

- O, idzie Marianna! - zawołał sir John. - Zobaczycie zaraz piekielnie ładną dziewczynę.

Natychmiast wyszedł z pokoju, otworzył drzwi i sam wprowadził Mariannę do saloniku. Pani Jennings zagadnęła ją natychmiast, czy nie była czasem w Allenham, na co pani Palmer roześmiała się serdecznie, dając do zrozumienia, iż wie, o co chodzi. Pan Palmer podniósł oczy na wchodzącą, popatrzył na nią przez chwilę, a potem znowu wrócił do gazety. Wzrok pani Palmer przyciągnęły teraz wiszące na ścianie rysunki. Podniosła się, by je obejrzeć.

- Och, jakież one śliczne! Naprawdę, cudowne! Popatrz tylko, mamó, jakie rozkoszne! Powiadam: zachwycające! Mogłabym na nie patrzeć w nieskończoność. - Usiadła i po chwili zapomniała o ich istnieniu.

Kiedy lady Middleton podniosła się do wyjścia, pan Palmer wstał również, odłożył gazetę, przeciągnął się i rozejrzał po wszystkich wokoło.

- Mój kochany, czyżbyś się obudził? - zapytała go ze śmiechem żona.

Nie odpowiedział, zauważył tylko, obrzuciwszy ponownie pokój wzrokiem, że jest niski, a sufit ma krzywy, po czym skłonił się i wyszedł za pozostałymi.

Sir John nalegał, by panie spędziły następny dzień we dworze. Pani Dashwood odmówiła w swoim imieniu, nie lubiła bowiem obiadować u nich częściej, niż oni u niej. Córki mogą postąpić, jak zechcą. Ale one wcale nie były ciekawe zobaczyć, jak państwo Palmer jedzą, nie spodziewały się też żadnych innych przyjemności po tej wizycie. Próbowały więc również się wymówić - pogoda była taka niepewna, zanoszą się na deszcz. Ale sir John nie ustępował - przyśle po nie powóz, muszą przyjechać. Lady Middleton, choć ustąpiła wobec matki, usilnie prosiła panny. Pani Jennings i pani Palmer dołączyły swoje prośby - wszyscy równie gorąco pragnęli uniknąć siedzenia w rodzinnym gronie, młode damy musiały więc ustąpić.

- Czemu też oni nas proszą! - zaczęła narzekać Marianna natychmiast, gdy drzwi się zamknęły za gośćmi. - Podobno dzierzawa za ten dom jest bardzo niska, ale obwarowano ją ciężkimi warunkami, jeśli musimy obiadować we dworze za każdym razem, gdy ktoś przyjedzie do nich czy do nas.

- Te częste zaproszenia świadczą dzisiaj tak samo jak przed kilku tygodniami o ich uprzejmości i dobroci - powiedziała Eleonora. - Nie w nich dokonana się odmiana, jeśli przyjęcia we dworze stały się nudne i puste. Gdzie indziej trzeba szukać przyczyny.

ROZDZIAŁ XX

Kiedy następnego dnia panny Dashwood weszły do salonu we dworze jednymi drzwiami, w drugich ukazała się natychmiast pani Palmer i podbiegła do gości, równie jak wczoraj wesoła i miła. Ujęła obie serdecznie za ręce, wyrażając radość z ponownego spotkania.

- Tak się cieszę, że was widzę - mówiła, sadowiąc się między Eleonorą i Marianną - bo pogoda brzydka i już się bałam, że nie przyjdziecie, a to by było okropne, przecież my jutro wyjeżdżamy. Musimy jechać, bo, widzicie, Westonowie przyjeżdżają do nas w przyszłym tygodniu z wizytą. W ogóle ten cały nasz przyjazd wypadł tak znienacka, nic o niczym nie wiedziałam, dopiero jak powóz zajechał, mój mąż zapytał mnie, czy nie pojechałabym z nim do Barton. On jest taki śmieszny. Nigdy mi nic nie mówi. Okropnie żałuję, że nie możemy zostać dłużej, ale przecież spotkamy się niedługo w Londynie.

Musiały ją wyprowadzić z błędu.

- Nie wybieracie się do Londynu! - zakrzyknęła pani Palmer ze śmiechem. - Sprawiliście mi ogromny zawód, gdybyście nie przyjechały. Mogę wam zdobyć najładniejszy dom na świecie, tuż obok nas, na Hanover Square. Naprawdę, musicie przyjechać. Będę ogromnie rada, szaperonując* wam aż do połogu, jeśli wasza matka nie lubi się pokazywać publicznie.

Podziękowały, nie były jednak w stanie spełnić jej prośby.

- Moje serce! - zawołała do męża, który właśnie wszedł do salonu. - Musisz mi pomóc i namówić panny Dashwood, żeby przyjechały tej zimy do Londynu.

„Jego serce” nie odpowiedziało, tylko skłoniwszy się lekko paniom, zaczęło narzekać na niepogodę.

- Jakież to okropne! - mówił. - Przy takiej pogodzie wszystko i wszyscy wydają się odrażający. Nuda rodzi się i w domu, i poza domem, z deszczu. Człowiek zaczyna nie cierpieć własnych znajomych. Co to, u licha, znaczy, że sir John nie urządził tu pokoju bilardowego? Jak niewielu wie, czym można sobie uprzyjemnić w domu życie! Sir John jest równie zbzikowany jak ta pogoda.

Po chwili przyłączyła się do nich reszta towarzystwa.

- Obawiam się - zwrócił się sir John do Marianny - żeś nie mogła dziś, pani, wybrać się na swój codzienny spacer do Allenham.

Marianna milczała z poważną miną.

*Szaperonować (z franc. chaperonner) - występować w roli opiekunki towarzyszącej młodej kobiecie.

- Och, proszę nie udawać - zawołała pani Palmer - bo my o wszystkim wiemy! Ogromnie mi się podoba pani wybraniec, uważam, że jest bardzo przystojny. Wiesz, pani, że na wsi mieszkamy całkiem blisko. Dzieli nas chyba nie więcej jak dziesięć mil.

- Raczej trzydzieści - wtrącił jej mąż.

- No cóż, niewielka różnica. Nigdy nie byłam u niego w domu, ale powiadają, że bardzo tam milutko.

- Najszpetniejsza chałupa pod słońcem - mruknął pan Palmer. Marianna siedziała bez słowa, ale wyrazem twarzy zdradzała zainteresowanie.

- Takie brzydactwo? - zdziwiła się pani Palmer. - Wobec tego zapewne jakiś inny dwór tak mi się podobał.

Kiedy zasiedli do stołu, sir John zauważył z żalem, że jest ich zaledwie ośmioro.

- Moja droga - zwrócił się do żony - to straszne, że nas tak mało. Czemu nie zaprosiłaś Gilbertów na obiad?

- Przecież mówiłam, mężu, kiedy mnie o to pytałeś, że to niemożliwe. Ostatnio oni byli u nas.

- Ani ty, zięciu, ani ja nie robilibyśmy podobnych ceregieli, prawda? - oświadczyła pani Jennings.

- Wobec tego dałaby mama świadectwo złych manier - stwierdził pan Palmer.

- Moje serce, ty musisz mieć zawsze inne zdanie niż wszyscy - zauważyła pani Palmer jak zwykle ze śmiechem. - Czy zdajesz sobie sprawę, że zachowujesz się niemal jak grubianin?

- Nie sędzę, żebym miał inne zdanie niż wszyscy, mówiąc, że twoja matka ma złe maniere - odparł jej mąż.

- Och, możesz mnie obrażać, ile chcesz - uśmiechnęła się dobrodusznie starsza dama. - Wzięłaś ode mnie Charlottę i nie możesz mi jej zwrócić, widzisz więc, kto kogo ma w ręku.

Charlotta śmiała się serdecznie na myśl o tym, że mąż nie może jej zwrócić, i w radosnym uniesieniu oświadczyła, że nie dba o jego humory, gdyż tak czy inaczej muszą żyć z sobą. Trudno sobie wyobrazić kogoś pogodniejszego od niej czy bardziej uparcie obstającego przy swoim szczęściu. Wcale jej nie raniła wystudiowana obojętność męża, jego wieczne niezadowolenie i utyskiwania, a jego polajanki czy zniewagi przyjmowała jako świetne dowcipy.

- On taki śmieszny, ten mój mąż - zwróciła się do Eleonory. - Zawsze jest nie w humorze.

Eleonora po krótkich obserwacjach nie była skłonna uwierzyć, że w gruncie rzeczy

jest taki niemiły i źle wychowany, za jakiego chciał uchodzić. Być może zgorzkniał nieco, stwierdziwszy, podobnie jak wielu innych mężczyzn, że na skutek jakiejś niepojętej słabości do kobiet urodziwych został mężem niewiasty głupiotki - wiedziała jednak, że pomyłki takie zdarzają się zbyt często, by rozsądny mężczyzna mógł się tym w nieskończoność trapić. Sądziła, że kryje się pod tym raczej chęć pokazania się oryginalnym i stąd ten wzgardliwy stosunek do wszystkich i wszystkiego. Pragnął się wywyżżyć nad innych. Był to motyw zbyt pospolity, by dziwić, lecz przyjęte metody, choć mogły mu zapewnić najwyższe miejsce wśród gburów, mniej były skuteczne w zdobywaniu mu czyjejkolwiek prócz żoninej sympatii.

- Droga moja panno Eleonoro - zwróciła się do niej po chwili pani Palmer - chcę ciebie i twoją siostrę prosić o wielką łaskę! Czy możecie przyjechać na Boże Narodzenie do Cleveland i pobyc z nami trochę? Proszę, proszę, przyjedźcie, i to jeszcze przed wyjazdem Westonów. Nie wyobrażacie sobie nawet, jaką mi zrobicie przyjemność! Byłoby tak cudownie! Moje serce - tu zwróciła się do męża - nie marzysz o tym, żeby mieć u nas w Cleveland panny Dashwood?

- Oczywiście - odparł drwiąco. - Przyjechałem do Devonshire jedynie w tym celu.

- Widzicie - ucieszyła się pani Palmer - mój mąż na was liczy, nie możecie więc go zawieść.

Obie żywo i zdecydowanie odmówiły.

- Ale naprawdę, musicie przyjechać koniecznie! Zobaczycie, że bardzo się wam u nas spodoba. Będą Westonowie i czas rozkosznie nam minie. Nie wyobrażacie sobie, jakie Cleveland jest miłe, a teraz zrobiło się okropnie wesoło, bo mój mąż ciągle jeździ po okolicy i zabiega o te głosy wyborcze, no i tylu całkiem nieznanym ludzi przyjeżdża do nas i obiada, powiadam wam, jest wprost cudownie. Ale on, biedaczek, tak się okropnie męczy, bo musi się starać, żeby go wszyscy polubili.

Eleonora ledwo mogła zapanować nad swoją twarzą, kiedy kiwając głową przyznawała, że to doprawdy musi być ogromnie wyczerpujące.

- Strasznie będzie przyjemnie - ciągnęła pani Palmer - kiedy on zostanie posłem. Jakże ja się uśmieję! Przecież to okropnie zabawne czytać na wszystkich adresach: Poseł do parlamentu. Ale wiecie, on powiada, że nie będzie sygnował mojej poczty*. Nie będziesz, prawda, moje serce?

Pan Palmer nie zwrócił najmniejszej uwagi na jej słowa.

*Mowa o ówczesnym prawie posła do parlamentu do wysyłania korespondencji urzędowej bez opłat pocztowych, z podpisem zamiast znaczka.

- On nie cierpi pisać, wiecie - ciągnęła. - Powiada, że pisanie to bezsens.

- Nie - zaprzeczył pan Palmer - nigdy nie mówiłem podobnych bzdur. Nie przypisuj mi wszystkich swoich przejęzyczeń.

- No widzicie, jaki on śmieszny! I tak z nim zawsze. Czasem nie otworzy do mnie przez pół dnia ust, a potem nagle wyskakuje z czymś strasznie zabawnym - wszystko jedno na jaki temat.

Ogromnie zaskoczyła Eleonorę, zadając jej, po powrocie do salonu, pytanie, czy pan Palmer bardzo jej się podoba.

- Oczywiście - odparła Eleonora. - Wydaje się ogromnie miłym człowiekiem.

- Rada jestem, że go lubisz, tak zresztą przypuszczałam, bo on jest taki śmieszny! A jemu z kolei bardzo się podobacie i ty, panno Eleonoro, i twoje siostry, nie wyobrażasz sobie, jaki będzie rozczarowany, jeśli nie przyjedziecie do Cleveland. Nie mogę zrozumieć, czemu nie chcecie przyjechać?

Eleonora musiała raz jeszcze podziękować za zaproszenie i zmieniła temat rozmowy, by uniknąć dalszych nalegań. Przyszło jej do głowy, że jeśli pani Palmer i Willoughby mieszkają w tym samym hrabstwie, to owa dama może jej udzielić bardziej szczegółowych wiadomości, jaką opinię ma młody człowiek wśród sąsiedztwa, niż państwo Middletonowie, którzy widują go przecież tylko od czasu do czasu. Pragnęła usłyszeć od kogoś zapewnienie o jego prawości i uśmierzyć swój lęk o Mariannę. Zaczęła od pytania, czy często widują pana Willoughby'ego w Cleveland i czy to ich bliski znajomy.

- Och, tak, oczywiście, znam go doskonale - odparła pani Palmer. - Co prawda nigdy z nim nie rozmawiałam, ale często go widywałam w Londynie. Tak się jakoś złożyło, że nigdy nie była w Barton, kiedy on przebywał w Allenham. Mama poznała go tu kiedyś, ale ja wtedy byłam z wujaszkiem w Weymouth. Pewno spotykałibyśmy się z nim często w hrabstwie Somerset, gdyby nie fatalny zbieg okoliczności. Nigdy nie byliśmy na wsi w tym samym czasie. On rzadko, zdaje się, bywa w Combe, ale nawet gdyby tam stale mieszkał, to mój mąż nie złożyłby mu na pewno wizyty, bo on jest w opozycji, rozumie pani, a poza tym to taki kawał drogi od nas! Wiem, czemu pani o niego pyta, pani siostra ma za niego wyjść za mąż. Okropnie się z tego cieszę, bo, widzi pani, będę ją miała za sąsiadkę.

- Doprawdy - uśmiechnęła się Eleonora - pani musi wiedzieć w tej sprawie o wiele więcej niż ja, jeśli ma pani podstawy do takich przypuszczeń.

- Niechże pani nie próbuje przeczyć, panno Eleonoro, przecież musicie wiedzieć, że wszyscy naokoło o tym mówią. Zapewniam panią, że o tym słyszała, kiedy byliśmy przejazdem w Londynie.

- Ależ, droga pani!

- Słowo honoru, że słyszałam. W poniedziałek rano tuż przed wyjazdem spotkałam pułkownika Brandona na Bond Street i on mi o tym powiedział.

- Pani mnie zadziwia. Pułkownik Brandon powiedział pani o tym! Doprawdy, to jakaś pomyłka. Nawet gdyby ta wiadomość była prawdziwa... przekazywać ją osobie, której ona w niczym nie dotyczy, tego bym się nie spodziewała po pułkowniku.

- Ale zapewniam panią, że tak właśnie było, i nawet powiem, jak to się stało. Kiedyśmy się spotkali, zawrócił i poszedł z nami, zaczęliśmy mówić o moim braterstwie i od słowa do słowa powiadam mu: „No więc, pułkowniku, mamy w małym domku nową rodzinę, a mama mi pisze, że panny są bardzo ładne i że jedna ma pójść za mąż za pana Willoughby'ego z Combe Magna. Czy to prawda? Musisz pan wiedzieć, byłeś tak niedawno w hrabstwie Devon”.

- I co na to pułkownik?

- Och, niewiele, ale miał taką minę, jakby wiedział, że to prawda, od tej chwili uznałam więc sprawę za pewną. To będzie cudowne, naprawdę cudowne! Kiedy ślub?

- Mam nadzieję, że pułkownik Brandon cieszy się dobrym zdrowiem?

- Och, doskonałym, a tyle opowiadał o pani miłych rzeczy, niemal o niczym innym nie mówił.

- Bardzo mi to pochlebia. To człowiek wyjątkowy, a poza tym niezwykle miły.

- Ja również jestem tego zdania. To czarujący mężczyzna, aż szkoda, że taki poważny i nudny. Mama powiada, że i on się zakochał w twojej siostrze, panno Eleonoro, a jeśli to prawdą, to wielki dla niej zaszczyt, zapewniam cię, bo on się rzadko w kimś kocha.

- Czy pan Willoughby jest znany w tej części hrabstwa Somerset, w której pani mieszka? - spytała Eleonora.

- Och, ogólnie znany, to znaczy, nie sądzę, żeby wielu ludzi go znało, bo Combe Magna to od nas kawał drogi, ale zapewniam panią, że wszyscy uważają go za przemiłego człowieka. Nikt w całej okolicy nie jest bardziej lubiany od pana Willoughby'ego, może to pani powiedzieć siostrze. Potworne ma szczęście, że takiego znalazła, słowo daję, ale on ma jeszcze większe, że ją znalazł, taka jest ładna i miła! Żaden nie dość dobry dla niej. Ale wcale nie myślę, że jest piękniejsza od ciebie, panno Eleonoro, naprawdę, obie jesteście nadzwyczaj ładne i tak również uważa mój mąż, z całą pewnością, chociaż wczoraj wieczór nie mogliśmy go zmusić, żeby się do tego przyznał.

Informacje pani Palmer co do pana Willoughby'ego nie miały większej wagi, ale każde świadectwo na jego korzyść, nawet najmniejsze, sprawiało Eleonorze przyjemność.

- Takam rada, żeśmy się wreszcie poznały - ciągnęła pani Palmer. - Odtąd zawsze będziemy dobrymi przyjaciółkami, mam nadzieję. Nie może sobie pani wyobrazić, jak bardzo pragnęłam ją poznać. Jakie to rozkoszne, że mieszkacie w domeczku. Nic nie może być cudowniejszego! I tak się cieszę, że pani siostra dobrze wychodzi za mąż. Liczę, że będzie pani często bywać w Combe Magna. To taki miłutki dom!

- Pani od dawna zna pułkownika Brandona, prawda?

- Tak, od bardzo dawna, odkąd moja siostra wyszła za mąż, To chyba najbliższy przyjaciel sir Johna. Wydaje mi się - dodała zniżonym głosem - że on bardzo chciał się ze mną żenić. Sir John i lady Middleton też ogromnie tego pragnęli. Ale mama nie uważała, żeby to było dla mnie odpowiednie małżeństwo, w przeciwnym razie sir John szepnąłby pułkownikowi słówko i pobralibyśmy się natychmiast.

- A czy pułkownik Brandon wiedział, że sir John przedstawił matce pani taki projekt? Czy sam nigdy nie wyznał pani swoich afektów?

- Och, nie, ale gdyby mama nie miała zastrzeżeń, na pewno strasznie by chciał je wyznać. Widział mnie zaledwie dwa razy, bo to się wszystko działo, kiedy jeszcze byłam w szkole. Ale jestem szczęśliwa, że się stało tak, jak się stało. Pan Palmer to mój ideał mężczyzny.

ROZDZIAŁ XXI

Następnego dnia państwo Palmer wrócili do Cleveland, a dwie rodziny w Barton zostały znowu zdane na swoje towarzystwo. Niedługo to jednak trwało. Ledwo Eleonora przestała zaprzętać sobie głowę ostatnimi gośćmi, zastanawiać się, jak to się dzieje, że Charlotta może być szczęśliwa tak całkiem bez przyczyny, a pan Palmer, człowiek obdarzony takimi zdolnościami, może postępować tak niemądrze, i nad tym, ile się spotyka na świecie dziwnie niedobrych par - kiedy sir John i pani Jennings, w swoim gorliwym oddaniu świętej sprawie życia towarzyskiego, znaleźli jej nowe znajomości i nowy temat do obserwacji i rozmyślań.

Podczas kilkugodzinnego pobytu w Exeter spotkali dwie panie, w których pani Jennings z zadowoleniem dopatrzyła się krewniaczek, a to wystarczyło, by sir John natychmiast zaprosił je do Barton, gdy tylko się wywiążą z obecnych zobowiązań towarzyskich. Wobec takiego zaproszenia obecne zobowiązania towarzyskie poszły w kąć i po powrocie sir Johna lady Middleton dowiedziała się z niemalym przerażeniem, że wkrótce złożą jej wizytę dwie panny, których nigdy w życiu nie widziała, a co do których elegancji - czy choćby jakichś tam manier - nie mogła mieć najmniejszej pewności, nie przywiązywała bowiem, jeśli o to idzie, żadnego znaczenia do zapewnień męża i matki. Związek pokrewieństwa pogarszał tylko sprawę, gdyż pani Jennings wybrała fatalne argumenty na pociechę, tłumacząc córce, by nie dbała o to, czy panny są eleganckie, czy nie, bo co krew to krew i trzeba mieć dla siebie wzajemną wyrozumiałość - Ponieważ nie można już było zapobiec tej wizycie, lady Middleton pogodziła się filozoficznie z losem, jak dobrze wychowana dama, zadowolając się tylko daniem mężowi kilka razy dziennie łagodnej reprimendy.

Młode damy przyjechały; nie robiły wrażenia nieeleganckich czy w złym tonie. Ubrane były modnie, zachowywały się bardzo grzecznie, zachwyciły się domem, podziwiały umeblowanie i, jak się okazało, wprost uwielbiały dzieci, toteż po godzinie lady Middleton była już najlepszego o nich zdania. Oświadczyła, że istotnie, to bardzo miłe dziewczęta, a w jej ustach takie stwierdzenie równało się wyrazom entuzjastycznego zachwyty. Jej gorące uznanie kazało sir Johnowi jeszcze mocniej uwierzyć we własny rozsądek, ruszył więc do domku pań Dashwood, by zawiadomić je o przyjeździe panien Steele i zapewnić, że są to najrozkoszniejsze dziewczęta pod słońcem. Było to dość ogólnikowe stwierdzenie. Eleonora doskonale wiedziała, że w każdym zakątku Anglii mieszkają najrozkoszniejsze dziewczęta pod słońcem, różniące się diametralnie urodą, figurą, charakterem czy rozumem. Sir John

chciał, żeby wszystkie panny natychmiast poszły do dworu i obejrzały nowo przybyłe. Zaczynał, wielkoduszny człowiek! Nawet daleką kuzynką musiał się podzielić z innymi!

- Przyjdźcie, proszę - nalegał. - Koniecznie, koniecznie! Musicie przyjść. Nie wyobrażacie sobie, jak bardzo się wam spodobała. Lucy jest piekielnie ładna i taka dobra, i miła! Dzieci nie odstępują jej ani na krok, jakby ją od lat znały. A obie marzą, żeby się z wami poznać, bo już w Exeter słyszały, że z was najpiękniejsze istoty na świecie, a ja to zaraz potwierdziłem i jeszcze trochę dorzuciłem. Głowę daję, że będziecie nimi zachwycone, przywiezły cały powóz zabawek dla dzieci. Jak możecie być takie niedobre i odmawiać! Przecież to są wasze kuzynki, w pewnym sensie. Wy jesteście moimi kuzynkami, a one są kuzynkami mojej żony, więc jesteście skuzynowane.

Ale nic nie wskórał. Otrzymał tylko od pań obietnicę, że za kilka dni złożą wizytę we dworze, po czym wyszedł zdumiony ich obojętnością, by po powrocie do domu chwalić się z kolei ich powabami, tak jak przed chwilą wychwalał przed nimi uroki panien Steele.

Kiedy panie, zgodnie z obietnicą, złożyły wizytę we dworze i prezentacja została dokonana, nie znalazły powodów do zachwytu w wyglądzie starszej z sióstr: zbliżała się do trzydziestki, twarz miała brzydką i mało inteligentną. Druga jednak panna, dwudziestodwu- lub trzyletnia, była, musiały przyznać, bardzo urodziwa. Miała ładne rysy, bystre, przenikliwe spojrzenie i dobrą prezencję, która, choć nie była ani elegancją, ani wdziękiem, nadawała jej jednak pewną dystynkcję. Zachowywały się uprzedzająco grzecznie, a Eleonora po krótkim czasie musiała im jeszcze przyznać sporą dozę rozsądku, stwierdziwszy, jak nieustannie i umiejętnie starają się przypodobać lady Middleton. Wciąż unosiły się nad dziećmi, wychwalały ich urodę, nadskakowały im, zaspokajały ich wszystkie zachcianki, a każdą chwilę wolną od natarczywości malców pożytkowały na podziwianie tego, co pani domu akurat robiła, jeśli przypadkiem robiła cokolwiek, lub też na rysowanie modelu nowej, wytwornej sukni, w jakiej się była pokazała poprzedniego dnia, wzbudzając zachwyty kuzynek. Na szczęście dla tych, co zaskarbiają sobie życzliwość innych schlebując ich słabostkom, kochająca matka, spragniona chwały swoich dzieci, jest najbardziej zachłanną z istot ludzkich, lecz również najbardziej łatwowierną. Żądania ma bardzo wygórowane, ale przełknie wszystko, toteż wylewna czułość i bezgraniczna cierpliwość okazywana jej potomstwu przez panny Steele nie wzbudziła w lady Middleton najmniejszego zdumienia czy niedowierzania. Z macierzyńskim spokojem patrzyła, jak jej dzieci zuchwale sobie poczynają z dobytkiem panien Steele, jak im dokuczają swoimi małpimi figlami. Widziała, jak rozwiązują im szarfy, ciągną za włosy, przeszukują ich woreczki, zabierają scyzoryki czy nożyczki, i była zupełnie pewna, że obu stronom sprawia to przyjemność. Dziwne było

jedynie to, że Eleonora i Marianna mogły siedzieć spokojnie i nie domagać się udziału w zabawie.

- John jest dzisiaj w pysznym humorze! - zawołała, gdy chłopiec wyjął z torebki starszej panny Steele chusteczkę do nosa i wyrzucił przez okno. - Ciągłe figluje!

A gdy później drugi jej chłopczyk mocno uszczypnął pannę w palec, uśmiechnęła się serdecznie. - Jaki ten William dzisiaj rozbawiony!

- Moja malutka kochaneczka, Annamaria - dodała, pieszcząc czule trzyletnią dziewczynkę, która przez Ostatnie dwie minuty nie podnosiła krzyku. - Taka zawsze spokojna, taka cicha... Czy kto widział taką grzeczną dziewczynkę?

Na nieszczęście podczas tych uścisków szpilka z czepeczka damy zadrapała leciutko dziecko w szyję i owo uosobienie spokoju wydało wielki wrzask, wobec którego niczym byłyby wrzaski zaprawionego krzykacza! Przestrasch matki był wielki, nie mógł jednak przewyższyć przerażenia panien Steele i trzy damy zrobiły w owej dramatycznej sytuacji wszystko, co nakazywało serce, by uśmierzyć cierpienia małej nieszczęśniczki. Usadowiono ją na kolanach matki, obsypano pocałunkami, jedna z panien Steele obmywała na klęczkach ranę wodą lawendową, druga zaś wpychała dziecku do ust cukierki. Mała była zbyt mądra, by przestać płakać, widząc taką nagrodę za łzy. Wrzeszczała więc i szlochała namiętnie, kopała obu braci, gdy chcieli się do niej zbliżyć, i udaremniała wszelkie wysiłki zebranych, aż wreszcie, na szczęście, lady Middleton przypomniała sobie, że zeszłego tygodnia w podobnie rozpaczliwej sytuacji zaaplikowano na stłuczone czoło marmoladę morelową, co przyniosło pożądany skutek. Zaproponowano więc żywo to samo lekarstwo na nieszczęsne zadrapanie, a dziewczynka uczyniła nieznaczną przerwę w krzykach, co pozwalało mniemać, że propozycja nie zostanie odrzucona. Lady Middleton wyniosła więc małą z pokoju na rękach, by poszukać owego lekarstwa, a że dwaj chłopcy postanowili iść za nimi, mimo próśb matki, by się nie ruszali z miejsca, cztery młode damy zostały w rezultacie same w ciszy, jakiej w tym pokoju nie można było zaznać od wielu godzin.

- Biedactwo - westchnęła starsza panna Steele. - To się mogło fatalnie skończyć.

- Nie sądzę - zaprzeczyła Marianna. - Chyba że w całkiem innych okolicznościach. Ale tak to bywa, kiedy się przesadza z bezpodstawnymi obawami.

- Cóż to za urocza osoba ta lady Middleton! - zauważyła Lucy Steele.

Marianna milczała; nie potrafiła mówić czegoś, czego nie czuła, nawet w błahych sprawach, toteż na Eleonorę spadała zawsze konieczność kłamania, jeśli wymagała tego grzeczność. Zebrała więc siły i tym razem, wypowiadając o pani domu opinie bardziej pochlebne, niż w istocie miała, chociaż o wiele bardziej umiarkowane od uniesień Lucy

Steele.

- A sir John - ciągnęła starsza - cóż to za czarujący mężczyzna!

W tym punkcie pochwały starszej panny Dashwood, sprawiedliwe i proste, zabrzmiały znowu nie dosyć górnio. Stwierdziła tylko, że to zacny i dobroduszny człowiek.

- I jakie czarujące dzieci! W życiu nie widziałam tak dorodnych malców! Doprawdy, miejsca sobie bez nich znaleźć nie mogę, ale bo też ja do szaleństwa ubóstwiałam dzieci!

- Można się było tego domyślić - uśmiechnęła się Eleonora - po tym, czego byliśmy niedawno świadkami.

- Wydaje mi się - powiedziała Lucy - że pani uważa te dzieci za odrobinę rozpuszczone, i może, powierzchownie biorąc, tak jest, ale taką już ma lady Middleton naturę. Jeśli o mnie idzie, uwielbiam żywe, wesołe dzieci, a nie znoszę, jak są ciche i okielznane.

- Przyznam - odparła Eleonora - że po każdej wizycie w Barton Park myślę bez wstrętu o cichych, okielzanych dzieciach.

Po tych słowach nastąpiła krótka chwila milczenia przzerwana zniechęca przez starszą pannę Steele, która widać bardzo lubiła rozmawiać. - Jakże się pani podoba hrabstwo Devon? Sądzę, że przykro było paniom wyjeżdżać z Sussex?

Nieco zdziwiona intymnością tego pytania, a już na pewno tonem, jakim zostało zadane, Eleonora przyznała, że istotnie było jej przykro.

- Norland to nadzwyczajnie piękna posiadłość, prawda? - dodała starsza panna Steele.

- Słyszałyśmy zachwyty sir Johna - powiedziała Lucy, jakby uważała, że trzeba jakoś wytłumaczyć swobodę siostry.

- Sądzę, że musiał się nią zachwycać każdy, kto ją widział - odparła Eleonora - choć nie przypuszczam, by ktokolwiek mógł dostrzec w niej tyle piękna, co my.

- I pewno miałyście tam wielu eleganckich kawalerów, prawda? Bo tutaj ich chyba ani na lekarstwo. Jeśli o mnie idzie, lubię, żeby byli.

- Czemu sądzisz - powiedziała Lucy jakby zawstydzona zachowaniem siostry - że w Devonshire nie ma tylu młodych dżentelmenów co w Sussex?

- Ja, moja droga, wcale nie twierdzę, że ich nie ma. Jestem pewna, że w Exeter mieszka wielu eleganckich kawalerów, ale skąd mogłam wiedzieć, czy są w Norland? Chodziło mi tylko o to, czy panny Dashwood nie nudzą się w Barton, jeśli nie mają tutaj tylu kawalerów, co tam. Ale może one nie dbają o kawalerów i potrafią się bez nich obywać. Jeśli o mnie idzie, uważam towarzystwo młodych ludzi za wielką przyjemność, byle tylko byli elegancko ubrani i grzeczni. Nie znoszę nieporządnym i dokuczliwym. Jest na przykład w Exeter pan Rose, strasznie elegancki kawaler, kancelista pana Simpsona, a przecież jak się go

spotka przed południem, aż przykro patrzeć! Przypuszczam, że wasz brat musiał być bardzo eleganckim kawalerem, nim się ożenił, przecież ma tyle pieniędzy!

- Nie potrafię odpowiedzieć - odrzekła Eleonora - ponieważ nie całkiem pojmuję znaczenie tego słowa. Mogę tylko stwierdzić, że jeśli był eleganckim kawalerem przed ślubem, to takim pozostał, bo nie zmienił się ani na jotę.

- Och, mój Boże, przecież nikt nie myśli o żonatym mężczyźnie jak o eleganckim kawalerze! Żonaci mężczyźni mają co innego do roboty!

- Anno - zawołała młodsza - mówisz ciągle i wyłącznie o kawalerach, panny Dashwood pomyślą, że tylko to ci w głowie! - po czym, chcąc zmienić temat, zaczęła wychwalać dom i umeblowanie.

Ta próbka panien Steele wystarczyła w zupełności. Wulgarna swoboda i głupota starszej dyskredytowały ją całkowicie, a ponieważ ani uroda, ani sprytna minka młodszej nie mogły zaślepić Eleonory, która wyraźnie zauważyła, że pannie brak naturalności i smaku, trudno się dziwić, że wyszła z domu, nie pragnąc więcej oglądać obu siostr.

Inaczej jednak rzecz się miała z pannami Steele. Przyjechały tutaj z okazałym zapasem zachwyty na użytek sir Johna Middletona, jego rodziny i wszystkich krewnych, toteż nie szczędziły go dla pięknych kuzynek pana domu, które uznały za najbardziej urocze, eleganckie, utalentowane i miłe dziewczęta na świecie i bardzo pragnęły zawrzeć z nimi bliższą znajomość. Eleonora stwierdziła więc wkrótce, że bliższa znajomość jest ich nieuchronnym losem, gdyż sir John stanął po stronie przybyłych, a ona z Marianną znalazły się w mniejszości. Trzeba więc było przystać na zbliżenie, polegające na codziennym przebywaniu z pannami Steele w tym samym pokoju przez godzinę czy więcej. Sir Johnowi musiało to wystarczyć, nie myślał zresztą, by cokolwiek jeszcze było potrzebne; być razem znaczyło u niego tyle, co być blisko, a ponieważ udawało mu się zbierać panny u siebie, nie wątpił, że gruntownie już się zaprzyjaźniły.

Trzeba mu oddać sprawiedliwość i przyznać, że robił wszystko, by wytworzyć atmosferę nieskrępowania, opowiadając pannom Steele wszystko, co wiedział czy czego się domyślał o najbardziej intymnych sprawach swoich kuzynek. Za drugim czy trzecim spotkaniem starsza gratulowała Eleonorze podboju, jakiego dokonała jej siostra, zdobywając po przyjeździe do Barton serce pewnego bardzo eleganckiego kawalera.

- Cudownie, że tak wcześnie wyjdzie za mąż - paplała, - Słyszałam, że to bardzo elegancki kawaler i ogromnie przystojny. Mam nadzieję, że i pani się niezadługo poszczęści, panno Eleonoro, ale może masz już kogoś w zanadrzu?

Eleonora nie mogła liczyć, że sir John okaże jej więcej względów niż Mariannie i zatai

swoje domysły co do jej uczucia dla Edwarda. Nawet chyba wolał mówić na jej temat, gdyż sprawa była nowsza i mniej oczywista. Od wizyty Edwarda nigdy żadna kolacja nie obeszła się bez tego, by sir John nie wypił za jej afekty, mrugając przy tym znacząco i robiąc miny, które natychmiast ściągały ogólną uwagę. Litera F bywała przy tym niezmiennie wymieniana, a stanowiła temat do tylu żartów, że Eleonora od dawna już musiała ją uznać za najdowcipniejszą literę w alfabecie.

Tak jak przewidywała, panny Steele usłyszały te wszystkie dowcipy, a starsza ogromnie chciała wiedzieć, jak brzmi nazwisko owego dżentelmena, i dopytywała o to wręcz natrętnie, co nie było dziwne, zważywszy jej nieustanne wścibstwo we wszystkich sprawach rodzinnych. Sir John jednak niedługo igrał z ciekawością, jaką wzniecił, gdyż taką samą przyjemność sprawiało mu wyjawienie tego nazwiska, co pannie Steele usłyszenie go.

- Nazywa się Ferrars - powiedział głośnym szeptem - ale, proszę, nie mów tego, pani, bo to wielka tajemnica.

- Ferrars - powtórzyła starsza panna Steele. - Pan Ferrars jest owym szczęśliwcem? Ach, więc to brat twojej bratowej, panno Eleonoro, bardzo miły młody człowiek, znam go doskonale.

- Jakże możesz tak mówić, Anno - ofuknęła ją ostro siostra, która na ogół wносиła poprawki do wszystkich jej stwierdzeń. - Widzieliśmy go zaledwie kilka razy u wujaszka, a to nie wystarczy, by twierdzić, że go dobrze znamy.

Eleonora słuchała tego uważnie i ze zdumieniem. Kim był ten wujaszek? Gdzie mieszkał? Skąd się znają? Chciała się dowiedzieć czegoś więcej, choć sama nie brała udziału w rozmowie, ale nic już nie powiedziano, toteż po raz pierwszy w życiu uważała, że pani Jennings albo nie jest dostatecznie ciekawa ploteczek, albo też nieskłonna je opowiadać. Ciekawość jej wzbudził dodatkowo sposób, w jaki panna Steele mówiła o Edwardzie, miała wrażenie, że wyczuwa w jej tonie drwinę, jakby mówiąca wiedziała, czy też sądziła, że wie o czymś, co źle o nim świadczy. Próżna jednak była ciekawość Eleonory, gdyż panna Steele nie zwracała już uwagi na nazwisko Ferrars ani kiedy robiono do niego aluzje, ani nawet wówczas, kiedy sir John otwarcie je wymawiał.

ROZDZIAŁ XXII

Marianna nigdy nie była skłonna do pobłażania czemuś, co zatraćono bezczelnością, wulgarnością, miernotą umysłu czy choćby innym niż jej poczuciem smaku, a już w obecnym stanie ducha nie miała najmniejszej ochoty okazywać pannom Steele sympatii czy też życzliwie przyjmować ich awansów. Jej chłód mroził wszelkie wysiłki zbliżenia i tym Eleonora tłumaczyła fakt, że panny Steele ją wybrały sobie na powiernicę, okazując to jawnie swoim zachowaniem. Zwłaszcza Lucy nie traciła najmniejszej okazji, by ją wciągnąć w rozmowę, usiłowała też nadać ich znajomości ton bardziej intymny poprzez swoje szczere i otwarte wynurzenia.

Lucy miała wrodzoną inteligencję: uwagi, jakie rzuciła, były często trafne i zabawne, toteż Eleonora nierzadko stwierdzała, że jako towarzyszka na pół godziny potrafiła być całkiem miła. Lecz wrodzone zalety nie zostały ugruntowane edukacją, miała podstawowe braki w lekturze i wiadomościach, i mimo ustawicznych starań, by się jak najlepiej pokazać, nie mogła ukryć przed panną Dashwood niedostatku wykształcenia i dojrzałości umysłowej. Eleonorze, która to widziała, było jej bardzo żal, bo owe zaniedbane zdolności mogłyby, przy odpowiednim wykształceniu, właściwie się rozwinąć. Widziała jednak również, mniejsze już odczuwając współczucie, całkowity brak delikatności, prostolinijności i niezależności myśli, z jakimi się Lucy zdradzała, nadskakując, zabiegając i przy pochlebiając się we dworze. Nie mogła więc Eleonora odczuwać zadowolenia z towarzystwa osoby łączącej w sobie nieszczerłość z niewiedzą, a przez to niezdolnej do równorzędnego udziału w konwersacji, a nadto zachowującej się wobec innych w taki sposób, że okazywane przez nią uznanie i szacunek traciły wszelką wartość.

- Zapewne - powiedziała pewnego dnia Lucy na spacerze z dworu do domku pań Dashwood - uznasz, pani, moje pytanie za dziwne, ale powiedz, proszę, czy znasz osobiście matkę swojej bratowej, panią Ferrars?

Eleonora istotnie uznała to pytanie za dość niezwykle i musiała to okazać wyrazem twarzy, odpowiadając, że nigdy nie widziała pani Ferrars.

- Naprawdę? - zdumiała się Lucy. - Dziwię się, sądziłam, że czasami musiałaś ją, pani, widywać w Norland. Wobec tego nie możesz mi powiedzieć, co to za osoba.

- Nie - odparła Eleonora, powstrzymując się od powiedzenia tego, co naprawdę sądziła o matce Edwarda, gdyż nie zamierzała zaspokajać czegoś, co wydawało jej się natrętną ciekawością. - Nic o niej nie wiem.

- Zapewne uważa pani za bardzo dziwne, że o nią pytam w taki sposób? - mówiła

Lucy, wpatrując się bacznie w Eleonorę. - Może jednak mam powody... Gdybym też mogła się odważyć... Mam jednak nadzieję, że odda mi pani sprawiedliwość i uwierzy, iż nie chciałam być natrętna.

Eleonora odpowiedziała uprzejmie i przez chwilę szły dalej w milczeniu. Przerwała je Lucy, wracając z pewnym wahaniem do poprzedniego tematu:

- Nie mogę znieść, byś mogła, pani, pomyśleć, że natrętnie ciekawa. Wszystko, byle nie to u osoby, której dobre zdanie cenię sobie tak wysoko, jak twoje. Sądzę też, że nie powinnam się wahać przed zawierzeniem ci mojego sekretu. Prawdę mówiąc, pragnęłabym usłyszeć twoją radę, jak postąpić w niezręcznej sytuacji, w której się znalazłam. Ale też nie ma powodu, bym miała cię obciążać moimi kłopotami. Bardzo mi przykro, pani, że nie znasz pani Ferrars.

- Żałuję, że jej nie znam - odparła ogromnie zdumiona Eleonora - jeśli moja o niej opinia mogłaby się na coś przydać. Ale doprawdy nie wiedziałam, że panie coś łączy z tą rodziną i stąd, przyznam, nieco mnie zdumiewa tak poważne pytanie o jej osobę.

- Nie wątpię, że jesteś, pani, zdumiona, to oczywiste. Gdybym jednak ośmieliła się powiedzieć wszystko, nie dziwiłabyś się, pani, wcale. Pani Ferrars w chwili obecnej jest dla mnie nikim... ale może przyjąć czas... a od niej zależy, kiedy to się stanie... że będzie nas łączył bardzo bliski związek.

Spuściła wzrok uroczo zawstydzona, rzuciwszy kątem oka jedno tylko spojrzenie, by sprawdzić efekt swoich słów.

- Wielki Boże! - zakrzyknęła Eleonora. - Co też, pani, mówisz! Czyżbyś znała Roberta Ferrarsa? Czy tak? - Nie ucieszyła jej perspektywa posiadania takiej bratowej.

- Nie - odparła Lucy. - Nie Roberta Ferrarsa... Nigdy w życiu go nie widziałam, lecz - tu utkwiała wzrok w Eleonorze - jego starszego brata.

Co czuła w tym momencie Eleonora? Wielkie i bolesne zdumienie, choć już w następnej chwili złagodzone niewiarą. Obróciła się bez słowa, w osłupieniu, ku Lucy, nie mogąc odgadnąć przyczyny ani celu takiego oświadczenia, i choć zmieniła się na twarzy, nie uwierzyła w ani jedno słowo i nie bała się ani trochę, że grozi jej atak histerii czy omdlenie.

- Nie dziwię się temu zdumieniu - ciągnęła Lucy - gdyż wiem, że nie mogłaś, pani, mieć o tej sprawie najmniejszego wyobrażenia. Z pewnością nigdy nie wspomniał o tym ani słowem tobie czy komukolwiek z twojej rodziny. Trzymaliśmy to w największym sekrecie, którego do tej chwili nikomu nie zdradziłam. Z wyjątkiem Anny nie wie o tym nikt z mojej rodziny, a nie zwierzyłabym się i tobie, pani, gdybym nie miała największego w świecie zaufania do twojej dyskrecji. Sądziłam, że moje liczne pytania o panią Ferrars muszą ci się

wydać bardzo dziwne i winnam je wytłumaczyć. Nie sędzę też, by pan Ferrars gniewał się na mnie, żem ci to, pani, wyznała, wiem bowiem, że ma najwyższą w świecie opinię o całej twojej rodzinie, a ciebie, pani, i pannę Mariannę, i Małgorzatę uważa niemal za swoje siostry... - urwała.

Eleonora milczała. Zdumienie odebrało jej w pierwszej chwili mowę, wreszcie jednak przymusiła się do wypowiedzenia kilku ostrożnych słów. Zaczęła ze spokojem, skrywając, na ile mogła, zdumienie i ból.

- Wolno spytać, czy wasze narzeczeństwo trwa długo?

- Jesteśmy zaręczeni od czterech lat. - Od czterech lat!

- Tak.

Eleonora, choć wstrząśnięta, w dalszym ciągu nie dawała temu wiary.

- Onegdaj dopiero dowiedziałam się, że się państwo w ogóle znacie.

- A przecież nasza znajomość trwa już od wielu lat. Mój wuj był długi czas jego wychowawcą.

- Wuj pani?

- Tak. Pan Pratt. Nigdy nie słyszała pani od niego o panu Pracie?

- Chyba słyszałam - odparła Eleonora z rosnącym przejęciem.

- Przez cztery lata pobierał nauki u mego wuja, który mieszka w Longstaple, koło Plymouth. Tam się poznaliśmy, bo często wraz z siostrą przyjeżdżałam do wujaszka, i tam się zaręczyliśmy, ale dopiero w rok po zakończeniu przez niego nauk. Choć już nie był uczniem, wciąż do nas przyjeżdżał. Bardzo niechętnie zgodziłam się na zaręczyny, możesz to sobie, pani, wyobrazić, bez wiedzy i zgody jego matki - alem była zbyt młoda i zbyt w nim zakochana, by się kierować rozsądkiem. Pani, choć nie znasz go równie dobrze jak ja, widywałaś go dostatecznie często, by wiedzieć, że jest zdolny wzbudzić w kobiecie gorące przywiązanie.

- Niewątpliwie - przytaknęła Eleonora, nie bardzo wiedząc, co mówi, po chwili jednak dodała z nowym przyływem ufności w honor i miłość Edwarda, przekonana, że jej rozmówczyni kłamie: - Zaręczona z panem Edwardem Ferrarsem... Doprawdy, wyznaję, tak mnie to zaskoczyło, że doprawdy... Strasznie mi przykro, ale chyba musiała zająć jakąś pomyłka co do osoby czy nazwiska... Nie możemy mieć na myśli tego samego pana Ferrarsa.

- Nie kogo innego - uśmiechnęła się Lucy. - Pan Edward Ferrars, najstarszy syn pani Ferrars, mieszkającej przy Park Street, brat pani Fanny Dashwood, twojej bratowej. Przyznasz, pani, że trudno, bym pomyliła nazwisko mężczyzny, od którego zależy całe moje przyszłe szczęście.

- To dziwne - mówiła Eleonora w bolesnym zdumieniu - żem nigdy nie słyszała, by choć wspomniał pani imię.

- Zważywszy naszą sytuację, nic w tym dziwnego. Największą naszą troską było utrzymanie sprawy w tajemnicy. Pani mnie nie znała, nie znała mojej rodziny, nie było więc powodu, by wymieniać moje imię, a że on szczególnie się obawia, by jego siostra nie zaczęła czegoś podejrzewać, zrozumiałe, że o mnie nie wspominał.

Zamilkła. Eleonora poczuła, że ziemia usuwa się jej spod nóg, lecz wciąż nie traciła panowania nad sobą.

- Jesteście zaręczeni od czterech lat? - powiedziała silnym głosem.

- Tak, a Bóg jeden wie, jak jeszcze długo będziemy musieli czekać. Biedny Edward! To go zniechęca do wszystkiego. - Tu, wyjąwszy z kieszeni miniaturkę, dodała: - Proszę, niech pani będzie tak dobra i spojrzysz na tę twarz, by wykluczyć możliwość pomyłki. Z pewnością nie oddaje mu ten portrecik sprawiedliwości, ale sądzę, że trudno mieć wątpliwości, kto do niego pozował. Mam ją od przeszło trzech lat.

Mówiąc to, włożyła jej miniaturkę w rękę, a Eleonora, choć w duszy obawiała się podejmowania zbyt spiesznej decyzji i pragnęła, by podobizna dowiodła kłamstwa Lucy, musiała stwierdzić, że jest to bez wątpienia twarz Edwarda. Oddała szybko podobiznę, przyznając, że jest wierna.

- Nigdy nie mogłam - ciągnęła Lucy - dać mu w zamian mojej i bardzo się tym martwię, bo tak pragnął ją mieć! Ale postanowiłam pozować przy pierwszej sposobności.

- Zupełnie słusznie - oświadczyła spokojnie Eleonora. Przez pewien czas szły w milczeniu, wreszcie Lucy zaczęła znów mówić:

- Jestem przekonana, nie mam najmniejszych w świecie wątpliwości co do tego, że potrafisz, pani, dochować sekretu, bo wiesz, jakie to dla nas ważne, by sprawa nie doszła do uszu jego matki, która na pewno nie wyrazi zgody na nasze małżeństwo. Ja nie mam żadnego majątku, a o ile wiem, to niezwykle dumna kobieta.

- Nie prosiłam cię, pani, o te zwierzenia - odparła Eleonora - lecz sądzę, że oddajesz mi zwykłą sprawiedliwość, uważając, iż można polegać na mojej dyskrekcji. Nie wydam waszego sekretu, jednak proszę mi wybaczyć, jeśli wyrażę zdumienie, iż tak niepotrzebnie został mi wyjawiony. Musiałś przecież, pani, wziąć pod uwagę, że zwierzając mi się, zwiększasz ryzyko ujawnienia sprawy.

Mówiąc to, patrzała z powagą na Lucy, w nadziei, że dostrzeże w jej twarzy coś, co zada kłam jej słowom. Na twarzy Lucy jednak nie zaszła żadna zmiana.

- Obawiałam się - odparła - że uznasz, pani, te zwierzenia za wielką zuchwałość z

mojej strony. Znam cię, przynajmniej osobiście, od niedawna, ale od bardzo już dawna znam z opisu ciebie i całą twoją rodzinę, i od chwili, kiedy cię zobaczyłam, czułam się jak w towarzystwie dobrej znajomej. Sądziłam, że w obecnej sytuacji winna ci jestem pewne wyjaśnienia po tak szczegółowych pytaniach o matkę Edwarda. Znajduję się nadto w niefortunnym położeniu, że nie mam nikogo, do kogo mogłabym się zwrócić o radę. Anna jest jedyną osobą, która wie o wszystkim, a ona nie ma ani krztyny rozsądku. Prawdę mówiąc, więcej mi przynosi szkody niż pożytku, bo ciągle się boję, że mnie wyda. Nie potrafi trzymać języka za zębami, jak to pewnie zauważyłaś, a onegdaj, kiedy sir John wymienił nazwisko Edwarda, byłam w wielkim strachu, że ona wszystko wypaple. Nie możesz sobie, pani, wyobrazić, ile ja w skrytości przez to wszystko cierpię. Aż dziw, że jeszcze żyję po tym, co przez te cztery lata przeszłam dla Edwarda. Wszystko jest niepewne, wszystko w zawieszeniu... Tak rzadko go widuję... Nie możemy się spotykać częściej niż dwa razy do roku. Doprawdy, że też mi serce nie pękło!

Wyciągnęła chusteczkę, lecz serce Eleonory nie wezbrało współczuciem.

- Czasami - ciągnęła Lucy, odejmując chusteczkę od oczu - zastanawiam się, czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy zerwali - tu spojrzała Eleonorze prosto w twarz. - Ale kiedy indziej znowu nie starcza mi na to stanowczości. Nie mogę znieść myśli o jego cierpieniu, boć przecież wiem, jak bardzo by rozpacział na samą o tym wzmiankę. A i ze względu na siebie - na to jak mi jest drogi - nie wiem, czybym się na to zerwanie zdobyła. Proszę, powiedz, pani, jak postąpiłabyś w takim wypadku? Co mi radzisz?

- Proszę wybaczyć - odparła Eleonora, zdumiona tym pytaniem - ale w takich okolicznościach nie mogę dać odpowiedzi. Musisz się, pani, kierować własnym sądem.

- Zapewne - podjęła Lucy po chwili milczenia - jego matka da mu przecież kiedyś niezależność materialną, ale biedny Edward, tak strasznie się martwi. Nie uważałaś, pani, że podczas pobytu w Barton był ogromnie przygnębiony? Tak strasznie cierpiał, kiedy wyjeżdżał do was z Longstaple, żem się obawiała, iż pomyślicie, że chory.

- Czyżby on przyjechał do nas od wuja pani?

- Tak. Był u nas dwa tygodnie. A pani myślała, że przyjechał wprost z Londynu?

- Nie - odparła Eleonora, uświadamiając sobie z bólem, że każda z tych nowych okoliczności potwierdza prawdziwość słów Lucy Steele. - Mówił nam, pamiętam, że spędził dwa tygodnie u swoich przyjaciół pod Plymouth. - Przypomniała sobie również, jak bardzo ją dziwiło, iż nic więcej nie mówił o tych przyjaciółach i nigdy nie wymienił ich nazwiska.

- Nie uważałaś, pani, że jest smutny i przygaszony? - powtórzyła pytanie Lucy.

- Zauważyliśmy to, zwłaszcza zaraz po przyjeździe.

- Błagałam, by się ze wszystkich sił starał opanować, bo zaczniecie podejrzewać, co się za tym kryje, ale jego ogarnęła straszna melancholia, kiedy musiał wyjeżdżać po dwóch tygodniach, a widział, jak cierpię. Biedak! Obawiam się, że wciąż jest w tym samym nastroju, bo pisze tak smutno! Tuż przed wyjazdem do Exeter dostałam od niego list - tu wyjęła z kieszeni kartkę papieru i niedbałym ruchem pokazała adres Eleonorze. - Znasz, pani, jego pismo. Piękne, nieprawdaż? Ale tu może nie takie jak zawsze, pewno był już zmęczony, bo zapisał ściśle tylko jedną stronę...

Eleonora stwierdziła, że to jego pismo, i nie mogła dłużej wątpić. Miniatura, jak się przed chwilą łudziła, mogła być zdobytą przypadkiem, mogła nie być prezentem od Edwarda, ale korespondencję listowną mogli prowadzić tylko po zaręczynach, nic innego nie było w stanie jej usprawiedliwić. Przez chwilę sądziła, że nie zdoła się opanować... Serce w niej omdlewało, nogi słabły, rozumiała jednak, że musi zebrać wszystkie siły i tak energicznie oparła się własnej rozpacz, że szybko i, na pewien czas, całkowicie odzyskała równowagę.

- Pisanie listów - mówiła Lucy, wkładając papier do kieszeni - to jedyna pociecha w naszych długich rozłąkach. Ja mam jeszcze jedną pociechę - jego podobiznę, ale on, biedaczek, nie ma nawet i tego. Powiada, że gdyby miał mój portrecik, byłoby mu lżej. Dałam mu, kiedy był ostatnio w Longstaple, pukiel moich włosów w pierścionku i to mu, jak powiedział, przynosi pewną ulgę, ale podobizna dałaby nieporównanie większą. Może zauważyłaś, pani, ten pierścionek na jego palcu, kiedy tu był ostatnio?

- Zauważyłam - odparła Eleonora spokojnym głosem, pod którym kryły się rozpacz i przejęcie, jakich nie zaznała nigdy w życiu. Była upokorzona, wstrząśnięta, w głowie jej się kręciło.

Na szczęście doszły właśnie do drzwi jej domu i dalsza rozmowa na ten temat stała się niemożliwa. Panny Steele posiedziały kilka minut i wróciły do dworu, a Eleonora mogła do woli rozmyślać i rozpaczać.

ROZDZIAŁ XXIII

Choć Eleonora nie bardzo ufała w prawdomówność Lucy Steele, przestała po głębszym namyśle posądzać ją w tym wypadku o kłamstwo, jakież bowiem powody mogłyby skłaniać jej rozmówczynię? Nie mając argumentów, nie śmiała dłużej wątpić w prawdziwość słów, którym wszystko wokół przyświadczało, a nie przeczyło nic prócz jej własnych życzeń. Okazja do zawarcia znajomości, jaka nadarzyła się w domu pana Pratta, tłumaczyła wszystkie następne fakty, równie niewątpliwe, jak niepokojące: wizyta Edwarda u kogoś pod Plymouth, niezmiennie smutny nastrój, gorycz na myśl o czekającej go przyszłości, niejasny stosunek do niej samej, szczegółowe wiadomości, jakie miały panny Steele o Norland i tamtejszych stosunkach rodzinnych - co ją tak często dziwiło - podobizna, list, pierścionek; wszystko to było niewzruszonym dowodem, silniejszym niż obawa niesprawiedliwego potępienia Edwarda, i świadczyło ponad wszelką podsufianą przez uczucie wątpliwość, że młody człowiek potraktował ją niegodnie. Przez pewien czas oburzenie na jego postępek, gniew, że została oszukana, kazały jej myśleć przede wszystkim o sobie, wkrótce jednak przyszły inne myśli, inne argumenty. Czy Edward oszukiwał ją z rozmysłem? Czy udawał wobec niej uczucie, którego w rzeczywistości nie było? Czy jego zaręczyny z Lucy to związek serca? Nie, bez względu na to, co ich łączyło niegdyś, teraz z pewnością jest inaczej. Jego serce należy do niej. Co do tego nie mogła się mylić. Jej matka, siostry, Fanny, wszyscy w Norland widzieli, że on ją kocha; to nie było płynące z zarozumiałstwa złudzenie. Kochał ją niewątpliwie. Jaką ulgę przyniosło jej to przekonanie! Jak szybko skłoniło serce ku przebaczeniu! Postąpił nagannie, bardzo nagannie, pozostając w Norland, kiedy poczuł ku niej skłonność - w tym punkcie nic nie mogło go usprawiedliwić, ale jeśli skrzywdził ją, o ile boleśniej skrzywdził samego siebie? Jeśli jej sytuacja była pożałowania godna, jego była beznadziejna. Przez swoją lekkomyślność unieszczęśliwił ją na pewien czas, ale siebie pozbawił na zawsze nadziei na szczęście. Ona po jakimś czasie może odzyskać spokój, ale on? Czego może wyglądać? Czy jest do pomyślenia, by znalazł choćby jakie takie zadowolenie w pożyciu z Lucy Steele? Czy nawet gdyby nie kochał jej, Eleonory, mógłby - będąc człowiekiem tak prawym, wrażliwym, wykształconym - znaleźć zadowolenie przy boku żony takiej jak Lucy: przebiegłej, samolubnej intrygantki?

Młodzieńcza namiętność dziesiętnastolatka zaślepiała go oczywiście na wszystko z wyjątkiem jej urody i pogodnego usposobienia, lecz następne cztery lata, te właśnie lata, które rozumnie wykorzystane, tak wiele znaczą w rozwoju inteligencji, musiały otworzyć mu oczy na jej braki wykształcenia, a ją, która przebywała w o tyle gorszym towarzystwie i płocho

spędzała czas, mogły pozbawić owej prostoty, jaka uprzednio przydawała ciekawości jej urodzie.

Kiedy Eleonorze zdawało się, że Edward pragnie ją poślubić, obawiała się, iż jego matka będzie stawiała wobec jej osoby duże przeszkody, jakie jednak będzie piętrzyła przed kandydatką posiadającą jeszcze gorsze koneksje i mizerniejszą fortunę? Wobec ochłodzenia uczuć do Lucy, te trudności nie mogły mu specjalnie doskwierać, lecz smutna to sytuacja, kiedy człowiek z ulgą myśli o spodziewanym sprzeciwie i niechęci rodziny.

Tak więc, rozważając wszystko po kolei, płakała bardziej nad nim niż nad sobą. Wspierana przekonaniem, że nie uczyniła nic, by zasłużyć na obecne cierpienie, i że Edward nie zrobił nic, by utracić jej szacunek, stwierdziła, że nawet teraz, obolała po tym ciężkim ciosie, potrafi zapanować nad sobą na tyle, by nie pozwolić matce i siostrze na najłżejsze nawet podejrzenia. A tak się potrafiła wziąć w karby, że kiedy zasiadła z rodziną do kolacji w dwie godziny po utracie wszystkich najdroższych sercu nadziei, nikt patrzący na obie siostry nie przypuściłby, że Eleonora oplakuje w duszy konieczność rozstania na zawsze z ukochanym, a Marianna rozpamiętuje doskonałość mężczyzny, co do którego uczuć nie ma najmniejszych wątpliwości i którego wygląda w każdym powozie przejeżdżającym koło domu.

Konieczność ukrywania przed matką i Marianną wiadomości zawierzonych jej w sekrecie nie była dla Eleonory dodatkową udręką, chociaż wymagała nie kończących się wysiłków. Przeciwnie, młoda panna z ulgą myślała, iż oszczędzona jej została konieczność przekazania im tak przykrych wiadomości, a również usłyszenia od nich słów potępiających Edwarda, podyktowanych niechybnie gorącym uczuciem, czego pewno nie mogłaby znieść.

Wiedziała, że ich słowa i rady nie będą jej pomocą, że ich serdeczność i ból wzmogą tylko jej cierpienia, ani zaś ich przykład, ani uznanie nie pomogą zachować spokoju. Była silniejsza w samotności, a własny rozsądek okazał się taką pomocą, że pozostała opanowana, spokojna i pozornie pogodna, na tyle, na ile to było możliwe po świeżych i gorzkich przeżyciach.

Chociaż ta pierwsza rozmowa z Lucy okazała się bardzo bolesna, Eleonora zapragnęła wkrótce podjąć ten temat, a to z kilku przyczyn. Chciała się dowiedzieć wielu szczegółów o ich narzeczeństwie, chciała sprawdzić, co Lucy naprawdę czuje do Edwarda, czy jest szczerą, gdy mówi o tkliwym dla niego afekcie, a szczególnie pragnęła przekonać Lucy - okazując spokój i chęć dalszego omawiania sprawy - że interesuje się nią tylko z przyjaźni, obawiała się bowiem, że można było w to zwątpić, widząc jej mimowolne zdenerwowanie podczas porannej rozmowy. Całkiem prawdopodobne, że Lucy jest o nią zazdrosna, bo przecież

Edward wyrażał się o niej zawsze z najwyższym uznaniem, czego dowodem były nie tylko zapewnienia panny Steele, ale i to, że po krótkiej znajomości odważyła się zawierzyć jej sekret tak oczywiście i niewątpliwie ważki. Nawet żartobliwa uwaga sir Johna musiała zrobić swoje. Zresztą, czy sam fakt, że Eleonora tak była pewna miłości Edwarda, nie wystarczał, by zazdrość Lucy uważać za oczywistą? Właśnie jej zwierzenia były najlepszym tego świadectwem. Jakież mogła mieć cel, mówiąc o zaręczynach, jak nie ten, by poinformować pannę Dashwood o swych wcześniejszych prawach i dać jej do zrozumienia, by się trzymała w przyszłości z dala od młodego człowieka. Bez trudu pojęła intencję rywalki i powzięła w duchu niewzruszone postanowienie, że będzie wobec niej postępowała tak, jak nakazuje uczciwość i honor, postara się zwalczyć swoje uczucie do Edwarda i widywać go jak najrzadziej, nie mogła jednak odmówić sobie satysfakcji pokazania Lucy, iż nie ma złamanego serca. A że nie mogła usłyszeć już na ten temat nic bardziej bolesnego nad to, co usłyszała, nie miała wątpliwości, że przyjmie spokojnie powtórny relację o wszystkim.

Lecz nieprędko nadarzyła się sposobność rozmowy, chociaż Lucy powitałaby ją równie chętnie, jak Eleonora. Pogoda nie dopisywała na tyle, by panny mogły spotkać się na spacerze, gdzie najłatwiej by im przyszło odłączyć się od reszty towarzystwa, toteż, choć widywały się przynajmniej co drugi wieczór we dworze lub w domku pań - częściej jednak we dworze - nie miały okazji do konwersacji. Nie w tym celu spraszano tam gości. Nigdy by to w głowie nie powstało sir Johnowi czy lady Middleton, którzy niewiele pozostawiali czasu na ogólną pogawędkę, a już ani chwili na indywidualne rozmowy. Spotykali się, by jeść, pić, śmiać się, grać w karty albo bawić się w gry towarzyskie, byle tylko odpowiednio hałaśliwie.

Minęło więc kilka spotkań, podczas których Lucy i Eleonora nie mogły porozmawiać z sobą w cztery oczy, aż wreszcie pewnego ranka do domku pań zaszedł sir John, błagając je na wszystko, żeby tego dnia zjadły obiad z lady Middleton, jako że on musi jechać do swego klubu w Exeter, a ona zostanie zupełnie sama przy stole, tylko z matką i pannami Steele. Eleonora natychmiast przyjęła zaproszenie, widząc nadarżającą się sposobność rozmowy z Lucy, gdyż na takim przyjęciu, prowadzonym przez spokojną i dobrze wychowaną lady Middleton, będą bardziej swobodne niż przy sir Johnie, który zawsze zapędza całe towarzystwo do wspólnej hałaśliwej zabawy. Małgorzata, otrzymawszy od matki pozwolenie, również przystała, a Marianna, choć nie lubiła tych przyjęć, dała się namówić pani Dashwood, która nie mogła znieść, że córka wciąż unika wszelkich rozrywek.

Młode damy poszły, by uchronić lady Middleton przed zagrażającą jej przeraźliwą samotnością. Przyjęcie było dokładnie tak nudne, jak tego Eleonora oczekiwała, żadnej nowej myśli czy słowa, a trudno o coś mniej interesującego niż rozmowa, jaka się toczyła zarówno

w jadalni, jak w salonie, gdzie towarzyszyły im dzieci. Póki nie wyszły, nie było możliwości przyciągnięcia uwagi Lucy, toteż Eleonora nawet się o to nie starała. Wyprowadzono dzieci dopiero, gdy wniesiona została zastawa do herbaty. Potem rozstawiono stolik do gry w karty i Eleonora zaczęła się dziwić samej sobie, że mogła mieć nadzieję na sposobność rozmowy we dworze. Wszyscy wstali, szykując się do gry.

- Rada jestem - zwróciła się lady Middleton do Lucy - że nie zamierzasz, moja droga, skończyć dzisiaj tego koszyczka dla biednej malutkiej Annymarii, gdyż na pewno mogłabyś popsuć wzrok, pracując przy świecach. Wynagrodzimy jakoś aniołeczkowi jej jutrzejszy zawód i, mam nadzieję, że nie będzie bardzo rozpaczała.

To wystarczyło, by Lucy natychmiast się opamiętała i odparła: - Doprawdy, myli się pani całkowicie, czekam tylko, by zobaczyć, czy beze mnie zbierze pani partię, inaczej już bym siedziała przy robocie. Za żadne skarby świata nie sprawiłabym zawodu aniołeczkowi i gdyby mnie pani potrzebowała teraz do kart, usiadłabym po kolacji, żeby wykończyć koszyczek.

- Bardzo to miło z twojej strony, mam nadzieję, że nie zepsujesz sobie wzroku... Zadzwoń, proszę, o świece do robót. Moja mała dziewczuszka doprawdy byłaby ogromnie zawiedziona, gdyby koszyczek nie był gotów na jutro, bo choć jej mówiłam, że na pewno go mieć nie będzie, ona jednak z pewnością się go spodziewa.

Lucy natychmiast przysunęła sobie stoliczek z robótką i zasiadła do pracy skwapliwie i ochoczo, jakby nie znała większej rozkoszy nad robienie koszyczka dla rozkapryśzonego dziecka.

Lady Middleton zaproponowała grę w kasyno. Nikt się nie sprzeciwił prócz Marianny, która, jak zwykle nie zważając na obowiązującą grzeczność, zawołała: - Proszę, bądź, pani, tak dobra i zwolnij mnie od gry! Wiesz, jak nie znoszę kart! Pójdę do fortepianu! Nie tykałam go jeszcze po nastrojeniu! - I bez dalszych ceregieli odwróciła się i poszła do instrumentu.

Lady Middleton zrobiła taką minę, jakby dziękowała niebiosom, iż sama nigdy nie odezwała się tak nietaktownie.

- Marianna nie jest w stanie długo usiedzieć z dala od fortepianu - próbowała to załagodzić Eleonora. - Trudno się dziwić, bo to najlepszy fortepian, jaki znam.

Pozostałe pięć pań miało już ciągnąć karty.

- Gdybym - mówiła dalej Eleonora - była pierwszą wychodzącą, mogłabym pomóc pani Steele zwijać bibułki. Tyle jeszcze pracy przy tym koszyczku, że na pewno dziś nie skończy, o ile nikt jej nie pomoże. Chętnie bym to zrobiła, jeśli mi pani pozwoli.

- Och, bardzo będę wdzięczna za pomoc - zawołała Lucy - bo widzę, że więcej jest do

zrobienia, niż sądziłam, a przecież jakie by to było straszne, gdyby mała Annamaria miała jutro przeżywać zawód!

- To byłoby doprawdy okropne - przytaknęła starsza panna Steele. - Anioleczek! Jakże ja ją uwielbiam!

- Ogromnie jesteś, pani, miła - zwróciła się do Eleonory lady Middleton. - Jeśli naprawdę ta robótka sprawi ci przyjemność, to ciągnij karty dopiero przy następnym robrze. Ale może jednak wolałabyś spróbować teraz?

Eleonora chętnie przystała na pierwszą z tych propozycji i tak przy odrobinie zręcznej układności, do której praktykowania Marianna nigdy nie mogła się zniżyć, zyskała to, czego chciała, i na dodatek sprawiła przyjemność lady Middleton. Lucy zrobiła jej miejsce ze skwapliwą uprzejmością i dwie piękne rywalki usiadły obok siebie przy stoliczku do robót, by zgodnie zająć się wspólną pracą. Przy fortepianie Marianna, pochłonięta swoją muzyką i myślami, zdążyła już zapomnieć, że w pokoju jest ktokolwiek poza nią, toteż Eleonora, która na szczęście siedziała blisko, doszła do wniosku, iż pod osłoną tych dźwięków może spokojnie podjąć interesujący ją temat, bez ryzyka, iż usłyszy to ktoś przy stoliku do kart.

ROZDZIAŁ XXIV

Eleonora zaczęła tonem zdecydowanym, choć ostrożnym.

- Nie zasługiwałam na zaufanie, jakim mnie, pani, zaszczyliłaś, gdybym nie była zadowolona i nie pragnęła dalszej na ten temat rozmowy. Nie będę więc przepraszała za powracanie do sprawy.

- Dziękuję - odparła Lucy gorąco - bardzo dziękuję za przełamanie lodów. Uspokoiłaś mnie, pani, swoimi słowami. Wydawało mi się, że cię w jakiś sposób uraziłam tym, co powiedziała w poniedziałek.

- Uraziłaś? Skądże te przypuszczenia! Proszę mi wierzyć - mówiła Eleonora z najgłębszą szczerością - że za nic na świecie nie chciałabym, abys miała, pani, podobne wrażenia. Przecież dając mi ten dowód zaufania, musiałaś się kierować tylko motywami szlachetnymi i pochlebnymi dla mnie.

- A jednak zapewniam panią - bystre oczka Lucy były bardzo wyraziste - że w jej obejściu wyczułam jakiś chłód, niechęć, które ogromnie mnie przygnębiły. Byłam przekonana, że gniewa się pani na mnie, i wciąż sobie wyrzucam, że pozwoliła sobie kłopotać ją moimi sprawami. Rada więc słyszę, że to tylko moja imaginacja i że nie masz, pani, do mnie żalu. Gdybyś wiedziała, coż to była dla mnie za pociecha móc pofolgować własnemu sercu, zwierając ci się z tym, o czym myślę ciągle, bez przerwy, to już z samej litości puściłabyś, pani, wszystko inne w niepamięć.

- Istotnie łatwo mi uwierzyć, że to ulga dla pani móc zwierzyć mi się ze wszystkiego i usłyszeć, że nigdy nie będziesz miała powodu żałować tego zaufania. Położenie twoje jest bardzo niefortunne, wydaje się, że masz przed sobą same przeszkody, będzie ci więc trzeba całej siły wzajemnego uczucia, aby się nie załamać. O ile rozumiem, pan Ferrars jest całkowicie uzależniony od swojej matki?

- Ma tylko dwa tysiące funtów własnego majątku. Szaleństwem byłoby pobierać się z taką fortuną, choć jeśli o mnie idzie, bez wahania zrezygnowałabym z wszelkich nadziei na większą. Przywykłam do skromnych dochodów, a dla niego mogłabym borykać się z każdą biedą. Zbyt go jednak kocham, aby przez moje samolubne pragnienia pozbawić go tego, co zapewne dostałby od matki, gdyby się ożenił po jej woli. Musimy czekać, może jeszcze wiele lat. Byłaby to przerażająca perspektywa z niemal każdym innym mężczyzną na świecie, ale wiem, że nikt nigdy mi nie odbierze uczucia i wierności Edwarda.

- Trudno sobie wyobrazić większą pociechę niż podobne przeświadczenie, a nie wątpię, że jego podtrzymuje podobna wiara w panią. Gdyby osłabła siła wzajemnego

waszego uczucia, jak niewątpliwie mogłoby się zdarzyć w ciągu czteroletnich zaręczyn z wieloma narzeczonymi w wielu okolicznościach, wówczas sytuacja pani byłaby istotnie godna pożałowania.

Lucy podniosła wzrok, ale Eleonora pilnowała się, by twarz jej nie wyrażała nic, co mogłoby nadać jej słowom jakieś podejrzané znaczenie.

- Miłość Edwarda do mnie - oświadczyła Lucy - została poddana ciężkiej próbie podczas naszej ogromnie długiej rozłąki zaraz po zaręczynach i tak zwycięsko z niej wyszła, że byłoby z mojej strony niewybaczalne podawać ją dzisiaj w wątpliwość. Mogę uczciwie powiedzieć, że od pierwszej chwili nie dał mi najmniejszego powodu do niepokoju.

Eleonora nie wiedziała, czy śmiać się, czy smucić, słysząc to zapewnienie.

Lucy mówiła dalej: - Nadto mam usposobienie z natury zazdrosne, a że jego pozycja jest różna od mojej, że o tyle więcej obraca się w świecie, że jesteśmy ciągle rozłączeni - jestem jeszcze bardziej skłonna do podejrzliwości i poznałabym prawdę w jednej chwili, gdybym podczas naszego spotkania dostrzegła w jego zachowaniu najmniejszą zmianę, gdybym widziała przygnębienie, którego przyczyny nie umiałabym wyjaśnić, albo gdyby mówił o jakiejś damie częściej niż o innej czy też wydawał się pod jakimkolwiek względem mniej szczęśliwy w Longstaple, niż był poprzednio. Nie chcę przez to powiedzieć, że jestem szczególnie bystra i spostrzegawcza, ale na tym polu z pewnością nie dałabym się zwieść.

„Wszystko to - pomyślała Eleonora - brzmi bardzo ładnie, ale nas nie zwiedzie”.

- Jakże jednak - powiedziała po chwili milczenia - ma pani nadzieje? Czy żadnych innych prócz czekania na śmierć pani Ferrars? To smutna i straszna ostateczność. Czy jej syn zdecydował się na nią, czy postanowił zdać panią na beznadziejność wieloletniego czekania, zamiast zaryzykować chwilowe niezadowolenie matki i wyznać jej całą prawdę?

- Gdybyśmy mogli mieć pewność, że to będzie tylko chwilowe! Ale pani Ferrars to kobieta bardzo uparta i dumna i na pewno w pierwszym odruchu gniewu po takiej wiadomości zapisałaby wszystko Robertowi, a ze względu na Edwarda na samą myśl o tym odchodzi mi ochota do wszelkich pochopnych działań.

- I chyba również ze względu na siebie, inaczej pozwoliłabyś, pani, by twoja bezinteresowność przekroczyła miarę rozsądku. Lucy spojrzała na Eleonorę i milczała.

- Czy znasz, pani, Roberta Ferrarsa? - spytała Eleonora.

- Nie, nigdy go nie widziałam, ale o ile wiem, jest całkowicie różny od swego brata - niedowarzony i fanfaron.

- Fanfaron! - zakrzyknęła starsza panna Steele, którą doszły ostatnie słowa, gdyż

Marianna przestała grać. - Och, one na pewno rozprawiają o swoich kawalerach!

- Nie - odparła Lucy - bardzo się mylisz, Anno. Nasi kawalerowie nie są tacy.

- Mogę osobiście zapewnić wszystkich, że to się nie odnosi do kawalera panny Dashwood - pani Jennings roześmiała się z całego serca - bo to jeden z najskromniejszych, najlepiej wychowanych młodych ludzi, jakich w życiu widziałam, ale jeśli idzie o Lucy, taka z niej skryta osóbką, że doprawdy nie wiadomo, jakie ma gusta.

- Och - zawołała starsza panna Steele, obracając się ku pannom ze znaczącą miną - zapewniam cię, pani, że kawaler Lucy jest równie skromny i dobrze wychowany, jak kawaler panny Dashwood!

Eleonora zaczerwieniła się bezwiednie, a Lucy zagryzła wargę i gniewnie spojrzała na siostrę. Przez chwilę obie panny milczały. Po pewnym czasie zaczęła mówić Lucy, cichszym już głosem, chociaż Marianna osłaniała je wspianiałym koncertem:

- Chcę ci, pani, powiedzieć szczerze, jaki mi przyszedł do głowy pomysł, żeby znaleźć wyjście z tej sytuacji. A właściwie to nawet muszę dopuścić cię do sekretu, jako że twoja osoba gra tu pewną rolę. Sądzę, że znasz, pani, na tyle dobrze Edwarda, by wiedzieć, iż nad wszystkie inne zawody stawia zawód duchownego. Otóż myślę sobie tak: niech on przyjmie jak najszybciej święcenia, a potem, za twoim, pani, wstawiennictwem - a sądzę, że się za nim wstawisz zarówno przez przyjaźń dla niego, jak przez odrobinę zyczliwości dla mnie - brat twój da mu prebendę Norland, która, jak słyszałam, jest bardzo dobra, a obecny beneficjent zapewne niedługo pożyje. To by nam wystarczyło, by się pobrać, a o reszcie niech już zadecyduje los i upływ czasu.

- Zawsze będzie mi bardzo miło - odparła Eleonora - okazać każdy dowód szacunku czy przyjaźni panu Ferrarsowi, ale czy nie sądzi pani, że w tym wypadku mój udział jest całkowicie zbyteczny? Wszakże jest bratem panny Dashwood... To musi być dla jej męża wystarczającą rekomendacją.

- Ale pani Dashwood nie będzie bardzo rada, jeśli Edward zostanie duchownym.

- W takim razie sądzę, że moje wstawiennictwo również nie na wiele się zda.

Znowu zamilkły na dłuższą chwilę. Wreszcie Lucy z głębokim westchnieniem powiedziała:

- Zapewne najmądrzej byłoby zakończyć całą tę sprawę, zrywając narzeczeństwo. Wydaje się, że z wszystkich stron osaczają nas trudności i choć jakiś czas bardzo byśmy cierpieli, w końcu może lepiej by nam z tym było. Nie doradzisz mi, pani, co winnam zrobić?

- Nie - odparła Eleonora z uśmiechem, którym pokryła wzburzenie. - W takiej sprawie z pewnością nie będę udzielała rad. Przecież dobrze wiemy, że moje zdanie będzie miało

znaczenie tylko wtedy, jeżeli okaże się zgodne z pani życzeniami.

- Wyrządzasz mi, pani, niesprawiedliwość - zaprzeczyła Lucy z powagą. - Nie znam nikogo, czyj sąd ceniałabym sobie wyżej niż twój i, doprawdy, gdybyś mi, pani, powiedziała: „Radzę ci szczerze, zerwij zaręczyny z Edwardem Ferrarsem, to wam tylko wyjdzie na dobre”, natychmiast podjęłabym taką decyzję.

Eleonora aż poczerwieniała, słysząc, jak fałszywa jest przyszła żona Edwarda, i odparła: - Ten komplement odstraszyłby mnie od wygłaszania opinii na ten temat, nawet gdybym ją powzięła. Zbyt wielką dajesz mi władzę. Moc rozdzielenia dwojga ludzi, tak bardzo się kochających, to doprawdy za dużo dla osoby nie zainteresowanej.

- Właśnie przez wzgląd na ten brak zainteresowania - powiedziała Lucy z pewnym przekąsem, kładąc szczególny nacisk na te słowa - twoje zdanie, pani, miałoby dla mnie tak duże znaczenie. Gdybym mogła przypuścić, iż uczucia czynią z ciebie osobę stronnictwa, nie prosiłabym cię o zdanie.

Eleonora uznała, że najmądrzej będzie nie odpowiadać, aby się nawzajem nie prowokować do niestosownej swobody i otwartości, i postanowiła, że już chyba więcej nie wróci do tego tematu. Nastąpiła więc znowu przerwa, i to dłuższa, po czym Lucy podjęła:

- Czy będziesz, pani, zimą w Londynie? - spytała swoim zwykłym tonem spokojnego zadowolenia.

- Z pewnością nie.

- Jakże mi przykro! - odparła, a oczy jej roz błysły na tę wiadomość. - Taka byłabym rada, mogąc cię tam, pani, spotkać. Ale sądzę, że jednak pojedziesz. Na pewno brat i bratowa zaproszą was do siebie.

- Nawet jeśli to zrobią, nie będę mogła przyjąć zaproszenia.

- Jak to się fatalnie składa. A już liczyłam, że się spotkamy. My z Anną mamy jechać pod koniec stycznia do naszych krewnych, którzy już od lat nas zapraszają. Ale ja jadę tylko ze względu na Edwarda. Będzie tam w lutym, inaczej Londyn nie miałby dla mnie żadnego uroku. Nie jestem w odpowiednim nastroju do przebywania w mieście.

Ponieważ skończył się pierwszy rober, Eleonora została przywołana do stolika i poufna rozmowa pań musiała się skończyć, co obie przyjęły bez przykrości, gdyż żadna nie powiedziała niczego, co by mogło umniejszyć ich dotychczasową wzajemną antypatię. Eleonora zasiadła do kart ze smutnym przekonaniem, iż Edward nie tylko nie kocha osoby, która będzie jego żoną, ale że nie ma widoków nawet na odrobinę szczęścia, jaką mogłaby mu dać szczerą miłość małżonki - gdyż tylko interesowność może skłaniać kobietę do utrzymywania zaręczyn z mężczyzną całkowicie już od dawna zniechęconym, z czego, jak

widać, dobrze zdawała sobie sprawę.

Od tej chwili Eleonora nigdy już nie podnosiła tego tematu, kiedy zaś Lucy komunikowała jej - a nigdy tego nie zaniedbała - jak bardzo jest szczęśliwa, gdyż właśnie otrzymała list od Edwarda, panna Dashwood przyjmowała to ze spokojem i rozwagą i zmieniała temat natychmiast, kiedy pozwalała na to grzeczność. Ulgę mogłaby jej przynieść tylko rozmowa, na którą Lucy nie zasługiwała, a która ją samą mogła wystawić na niebezpieczeństwo.

Wizyta panien Steele w Barton Park przedłużyła się znacznie poza ustalony przy zaproszeniu termin. Życzliwość dla nich rosła, nie można się było z nimi rozstać. Sir John nie chciał słyszeć o ich wyjeździe, toteż pomimo licznych dawno podjętych zobowiązań w Exeter i związanej z tym absolutnej konieczności natychmiastowego wyjazdu, co ze szczególną siłą ujawniało się pod koniec każdego tygodnia, gospodarzom udało się namówić je do pozostania przez niemal dwa miesiące we dworze. Razem więc obchodzili uroczyste święta, które ze względu na swą powagę wymagają niezwyklej ilości balów i wystawnych obiadów.

ROZDZIAŁ XXV

Pani Jennings, choć zwykła była spędzać większą część roku w domach swoich dzieci i przyjaciół, miała swoją stałą siedzibę. Od śmierci męża, któremu doskonale powiodło się w handlu w mniej wytwornej części Londynu, rezydowała każdej zimy w domu przy jakiejś ulicy koło Portman Square. Z początkiem stycznia zaczęła zwracać myśli ku temu domowi i tam właśnie pewnego dnia zaprosiła nagle i niespodziewanie starsze panny Dashwood. Eleonora, nie zauważywszy zmiany, jaka zaszła na twarzy jej siostry, ani ożywionego spojrzenia, które świadczyło, że projekt ten nie jest jej obojętny, natychmiast z wdzięcznością, ale stanowczo odmówiła, sądząc, że wypowiada wolę obydwu. Za rzekomy powód podała, że nie chcą zostawiać matki samej o tej porze roku. Pani Jennings przyjęła z pewnym zdumieniem odmowę i natychmiast ponowiła zaproszenie.

- Boże wielki, przecież matka doskonale się bez was obejdzie, bardzo więc proszę, zróbcie mi przyjemność, bom się uparła, żeby was mieć u siebie, i nie odstąpię. Nie sądźcie, że będziecie mi kłopotem, bo ani na jotę nie zmienię swoich zwyczajów przez wasz przyjazd. Wyślę tylko Betty karetką pocztową, chyba na to mnie jeszcze stać. My trzy doskonale się zmieścimy w moim powozie, a jeśli w Londynie nie będziecie miały ochoty chodzić tam gdzie ja, to proszę, wolna wola, zawsze możecie iść z jedną z moich córek. Pewna jestem, że wasza matka nie zgłosi przeciwko temu projektowi żadnych obiekcji, bo miałam taką szczęśliwą rękę w pozbywaniu się własnych dzieci, że z pewnością uzna mnie za najodpowiedniejszą osobę na waszego szapera, i jeśli chociaż jednej z was nie wydam dobrze za mąż przed rozstaniem, nie ja będę winna. Szepnę za wami dobre słówko wszystkim młodym ludziom w mieście, możecie mi wierzyć.

- Wydaje mi się - powiedział sir John - że Marianna nie miałaby nic przeciwko temu projektowi, gdyby tylko jej starsza siostra wyraziła zgodę. Jakie to przykre, że nie może zaznać tej odrobiny przyjemności, bo się panna Eleonora nie zgadza. Radzę więc: ruszajcie we dwie do Londynu, jak tylko będziecie miały dość Barton i ani słowa o tym pannie Eleonorze.

- Jakżeby tak! - zawołała pani Jennings. - Oczywiście, będę ogromnie rada z towarzystwa panny Marianny, czy panna Eleonora pojedzie, czy nie, ale zawsze powiadam, im więcej osób, tym weselej, myślę nadto, że raźniej im będzie we dwie, bo jak im się znudzę, będą mogły z sobą gadać i wyśmiewać się za moimi plecami z moich dziwactw. Ale muszę mieć albo jedną, albo drugą, jeśli nie obydwie. Boże wielki! Co też wy sobie wyobrażacie, jakżeby tak mogła żyć sama przy moim wścibstwie, ja, która zawsze, aż do

ostatniej zimy, miałam przy sobie Charlotte. No, panno Marianno, przybijmy targu, a jeśli panna Eleonora zmieni zdanie, to tym lepiej.

- Dziękuję pani, dziękuję z całego serca! - zawołała z przejęciem Marianna. - Do końca życia będę pani wdzięczna za to zaproszenie i gdybym je mogła przyjąć, byłabym szczęśliwa, tak szczęśliwa, że chyba już nie ma większego szczęścia. Ale moja matka, najdroższa, najlepsza matka... Czuję słuszność argumentów, które wysunęła Eleonora, gdyby przez naszą nieobecność matka miała ucierpieć, gdyby jej było smutniej czy gorzej... Och, nic mnie nie skusi do tego, bym ją opuściła! Nie powinnam, nie mogę się wahać...

Pani Jennings powtórzyła raz jeszcze, że jej zdaniem pani Dashwood doskonale da sobie radę bez młodych dam. Eleonora w lot pojęła, o co idzie siostrze, a widząc, jak obojętne jest jej niemal wszystko, wobec możliwości ujrzenia Willoughby'ego, nie opierała się dłużej i powiedziała, że sprawę rozstrzygnie matka, choć nie oczekiwała od niej pomocy w swoich usiłowaniach, by zapobiec wyjazdowi, którego ze względu na Mariannę nie pochwałała, a którego sama również pragnęła uniknąć. Wiedziała, że pani Dashwood opowie się za wszystkim, czego zapagnie jej młodsza córka. Nie mogła liczyć, że nakłoni matkę do ostrożnego postępowania w sprawie, w której nie potrafiła obudzić jej wątpliwości, nie śmiała zaś wyjawić przyczyn własnej niechęci wobec projektu wyjazdu do Londynu. Nie przypuszczała, opierając się na dotychczasowych doświadczeniach, by jej bardzo wymagająca siostra, która tak dobrze знаła sposób bycia pani Jennings i tak zawsze była nim zdegustowana, zapomniła, jak wiele będzie miała powodów do irytacji, ile rzeczy będzie ją drażnić - mając na względzie jeden tylko, jedyny cel! Jak bardzo dla niej ważny, tego najlepszym, najmocniejszym i najbardziej nieoczekiwanym dowodem był właśnie fakt, że wszystko inne przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Pani Dashwood, dowiedziawszy się o propozycji pani Jennings, uznała, że wyjazd sprawi obu jej córkom wiele przyjemności, domyśliła się też, widząc okazywaną jej serdeczną uwagę młodszej, jak bardzo Marianna pragnie pojechać do Londynu, toteż nie chciała nawet słyszeć, by przez wzgląd na nią panny odrzuciły zaproszenie, wręcz przeciwnie, nalegała, by obydwie natychmiast je przyjęły, po czym z właściwą sobie pogodą, zaczęła wyliczać niezliczone korzyści, jakie im ta rozłąka przyniesie.

- Jestem zachwycona tym projektem - oznajmiła. - Trudno sobie wyobrazić lepszy. Dla mnie i Małgorzaty będzie równie korzystny, jak dla was. Kiedy wyjedziecie z Middletonami, my będziemy sobie żyć spokojnie i cicho wśród naszych książek i muzyki. Zobaczycie, jakie Małgorzata robi postępy w tym czasie. A poza tym,' chciałam dokonać pewnych zmian w waszych sypialniach, teraz będzie to można zrobić bez kłopotu. Jest ze

wszereh miar właściwe, byście pojechały do Londynu. Uważam, iż każda młoda panna z waszej sfery winna poznać rozrywki i zwyczaje stolicy. Będziecie pod opieką macierzyńsko dobrej dla was damy, w której życzliwość wobec was nie wątpię. No i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa spotkacie tam swojego brata, a bez względu na wady jego czy jego żony serce mnie boli na wspomnienie, czym jest synem, i na to, że się tak całkiem ze wszystkim odsuwacie.

- Chociaż mamusia ze zwykłą dla niej dbałością o nasze szczęście obaliła wszystkie przeszkody zagrażające projektowi wyjazdu - powiedziała Eleonora - pozostaje jeszcze jedna obiekcja, którą moim zdaniem, nie tak łatwo będzie usunąć.

Mariannie wydłużyła się mina.

- Cóż takiego - uśmiechnęła się pani Dashwood - ma dla nas w zanadru moja przezorna Eleonora? Jakież to poważne wątpliwości zostaną teraz wysunięte? Tylko nie chcę słyszeć ani słowa o związanych z wyjazdem ekspensach.

- Moje zastrzeżenia są następujące: choć mam najlepsze zdanie o zacności pani Jennings, uważam, że nie jest kobietą, której towarzystwo sprawi nam przyjemność czy też której opieka przyda nam towarzyskiego znaczenia.

- To, co mówisz, jest słuszne - odparła matka - ale towarzystwo jej będzie się zazwyczaj łączyć z towarzystwem innych ludzi i publicznie będziecie się zawsze pokazywać z lady Middleton.

- Niechęć do pani Jennings może odstraszyć Eleonorę - powiedziała Marianna - ale nie powinna przeszkodzić mnie w przyjęciu jej zaproszenia. Nie mam takich zastrzeżeń i pewna jestem, że niewiele wysiłku będzie mnie kosztowało przejście nad drobnymi przykrościami do porządku dziennego.

Eleonora nie mogła powstrzymać uśmiechu, słysząc tę deklarację obojętności na manieri osoby, wobec której Marianna rzadko i niechętnie dawała się nakłonić do choćby minimalnej uprzejmości. Postanowiła też w duszy, że jeśli siostra będzie obstawać przy wyjeździe, ona również wyjedzie, gdyż nie uważała za właściwe, by Marianna została zdana wyłącznie na własny rozsądek, a pani Jennings - na łaskę Marianny w godzinach wspólnie spędzanych w domu. O tyle łatwiej przyszło jej pogodzić się z tą myślą, że przypomniała sobie, iż zgodnie z tym, co mówiła Lucy, pan Edward Ferrars miał przyjechać do Londynu dopiero w lutym, a więc ich wizyta może się do tego czasu skończyć i nie trzeba będzie jej niespodziewanie skracać.

- Pragnę, żebyście pojechały razem - oznajmiła pani Dashwood. - Te zastrzeżenia nie mają sensu. Pobyt w Londynie, a zwłaszcza wspólny tam pobyt, sprawi wam wielką

przyjemność, a gdyby Eleonora zechciała kiedykolwiek wyglądać czegoś miłego, mogłaby dzisiaj dojrzeć wiele po temu powodów. Może na przykład takim powodem byłaby możliwość zacieśnienia znajomości z rodziną bratowej?

Niejeden już raz szukała Eleonora sposobności do podważenia głębokiego przekonania matki o łączącym ją i Edwarda uczuciu, aby wstrząs mógł być słabszy, kiedy prawda wreszcie wyjdzie na jaw, zmusiła się więc teraz do najspokojniejszej odpowiedzi, aczkolwiek nie bardzo liczyła na skutek: - Lubię Edwarda Ferrarsa i zawsze chętnie go widzę, jeśli jednak idzie o pozostałych członków jego rodziny, jest mi całkowicie obojętne, czy poznam ich kiedykolwiek, czy nie.

Pani Dashwood uśmiechnęła się i nic nie powiedziała. Marianna ze zdumieniem uniosła brwi, a Eleonora stwierdziła tylko, że równie dobrze mogła była nic nie mówić.

Po niedługich już rozmowach ustalono, że zaproszenie zostanie przyjęte przez obie panny. Pani Jennings usłyszała to z wielką radością i zapewniała gorąco młode podopieczne o swej życzliwości i trosce. Nie tylko ona się cieszyła. Sir John był również zachwycony. Dla człowieka, troszczącego się głównie o to, by nie być samotnym, powiększenie liczby mieszkańców Londynu o dwie osoby stanowiło osiągnięcie nie lada. Lady Middleton zadała sobie trud i okazała radość, co było całkowitym odstępstwem od jej obyczajów, jeśli zaś idzie o panny Steele, zwłaszcza Lucy, jeszcze nigdy w życiu nie były tak szczęśliwe, jak w momencie, kiedy usłyszały tę wiadomość.

Eleonora, z mniejszą, niż się spodziewała, niechęcią, poddała się decyzji, której była przeciwna. Dla niej samej nie miało najmniejszego znaczenia, czy pojedzie, czy nie pojedzie do Londynu, a kiedy stwierdziła, jak bardzo matka cieszy się z tego projektu, a siostra spojrzeniem, głosem i zachowaniem okazuje swój niebotyczny zachwyt, po dawnemu ożywiona, roześmiana i wesoła - nie mogła trapić się tym, co je cieszyło, ani też pozwolić sobie na przykre przewidywania co do skutków tej decyzji.

Marianna tryskała szczęściem, podniecona i niecierpliwie wyglądająca wyjazdu. Radość ostudzał tylko żal rozstania z matką, toteż w momencie rozłąki ogromnie rozpaczała. Matka była również zboląła, a Eleonora sprawiała wrażenie jedynej osoby, która nie rozstaje się z rodziną na wieki.

Wyjechały w pierwszym tygodniu stycznia. Państwo Middleton mieli wyruszyć w tydzień później. Panny Steele pozostały we dworze na stanowisku, które miały opuścić dopiero w momencie wyjazdu reszty rodziny.

ROZDZIAŁ XXVI

Trudno było Eleonorze usiąść w powozie koło pani Jennings, jako jej gościowi i podopiecznej, i rozpocząć podróż do Londynu, nie namyśliwszy się nad własną sytuacją - znajomość z ową damą była tak krótka, tak źle były dobrane wiekiem i usposobieniem, a ona sama jeszcze przed kilku dniami miała tyle zastrzeżeń wobec tego wyjazdu! Wszystkie jednak obalił i unicestwił radosny, młodzieńczy zapal Marianny i matki, toteż Eleonora, mimo powracających od czasu do czasu wątpliwości co do stałości uczuć pana Willoughby'ego, patrząc na tryskającą z oczu siostry radość oczekiwania musiała jeszcze wyraźniej odczuwać, jak smutne roztaczają się przed nią perspektywy, jak żaloszny jest jej nastrój i jak chętnie przystałaby na niepokój Marianny, gdyby mogła wypatrywać tak promiennego kresu podróży, gdyby mogła mieć podobną nadzieję. W krótkim, bardzo krótkim czasie okaże się, jakie były zamiary pana Willoughby'ego, bo według wszelkiego prawdopodobieństwa zjechał był już do Londynu. Niecierpliwość Marianny, by jak najszybciej ruszać, świadczyła o jej pewności, że go tam zastanie. Eleonora postanowiła nie tylko zdobyć wszelkie możliwe informacje o jego osobie, czy to na podstawie własnych spostrzeżeń, czy ludzkich doniesień, ale pilnie i gorliwie obserwować jego zachowanie wobec Marianny i upewnić się po kilku pierwszych spotkaniach, kto on zacy i co zamierza. Jeśliby wyniki tych obserwacji okazały się niekorzystne, to bez względu na sytuację otworzy siostrze oczy; jeśli będzie inaczej, wysiłki jej pójdą w innym kierunku - postara się wówczas unikać wszelkich samolubnych porównań i zagłuszyć żal, który mógłby umniejszyć jej radość ze szczęścia Marianny.

Podróż trwała trzy dni, a zachowanie Marianny w tym czasie było znakomitą próbką usłużności i uprzejmości, jakiej pani Jennings mogła w przyszłości od niej oczekiwać. Niemal przez całą drogę siedziała milcząca i pochłonięta własnymi myślami, nie odzywała się pierwsza, chyba że za oknami ukazał się szczególnie malowniczy widok, a wówczas wydawała okrzyk zachwyty skierowany do siostry. Eleonora, chcąc to jakoś zrekompensować, starała się być szczególnie uprzejma, jak to sobie uprzednio postanowiła, i odnosiła się do pani Jennings z najwyższą atencją, rozmawiała z nią, śmiała się i słuchała jej przy każdej okazji. Pani Jennings zaś okazywała obydwu największą dobroć, ustawicznie troskała się o ich wygodę i przyjemność i martwiła się tylko, że nie potrafiła ich zmusić, by same wybrały sobie potrawy w gospodzie, nie wydobyła z nich zwierzenia, czy wolą łososia czy dorsza, czy gotowany drób, czy też kotlety cielęce. Przyjechały do Londynu na trzeci dzień, rade, że po tak długiej podróży mogą się wydostać z ciasnej karety i rozkoszować ogniem trzaskającym na kominku.

Dom był ładny i ładnie umeblowany. Młode panny otrzymały do swego użytku bardzo wygodny apartamencik. Dawniej mieszkała tu Charlotta - nad kominkiem wisiał jeszcze krajobraz z kolorowych jedwabi, jej dzieło, dowód, że siedmioletni pobyt w pewnej słynnej szkole nie był daremny.

Obiad miał być podany dopiero za dwie godziny, Eleonora chciała więc wykorzystać ten czas na napisanie listu do matki. Usiadła i zabrała się do listu, a po chwili Marianna uczyniła to samo. - Piszę do domu, Marianno - zwróciła się do niej Eleonora. - Może lepiej będzie, jeśli się wstrzymasz ze swoim listem dzień albo dwa.

- Ja nie piszę do mamy - odparła spieszenie Marianna, jakby pragnęła uniknąć dalszych pytań. Eleonora zamilkła, zrozumiałwszy natychmiast, że siostra pisze list do pana Willoughby'ego, z czego wypływał oczywisty wniosek, że muszą jednak być zaręczeni, bez względu na to, jak głęboką tajemnicą pragną okrywać łączący ich stosunek. To przekonanie, choć nie zadowalające, było jednak miłe, spieszenie skończyła więc swój list. Marianna szybko skończyła swój - nie mógł zawierać więcej niż kilka słów - złożyła, zapieczętowała i prędko zaadresowała. Eleonora zdawało się, że dostrzeża w adresie duże W, a siostra zadzwoniła zaraz i gdy zjawił się służący, kazała mu natychmiast wysłać list dwupensową pocztą*. To przesądzało sprawę.

W dalszym ciągu tryskała humorem, ale był w niej jakiś niepokój i podniecenie, które nie cieszyło Eleonory. Podniecenie wzrastało w miarę upływu czasu. Marianna ledwie przełknęła obiad, a kiedy wróciły do salonu, zdawała się pilnie nasłuchiwać turkotu powozu.

Ku ogromnej radości Eleonory, pani Jennings była ciągle zajęta u siebie w pokoju i niewiele widziała z tego, co się dzieje. Przyniesiono zastawę do herbaty, a Marianna przeżyła pierwszy zawód, słysząc kołatanie do drzwi sąsiedniego domu. Kiedy rozległo się wreszcie następne, głośnie i wyraźnie przeznaczone dla ich uszu, Eleonora nie miała wątpliwości, że to pan Willoughby oznajmia swoje przybycie. Marianna poderwała się i podeszła ku drzwiom; cisza, cisza nie do zniesienia, otworzyła drzwi, postąpiła kilka kroków ku schodom, nasłuchiwała chwilę i wróciła do pokoju, podniecona i przejęta, pewna, że słyszała jego głos; nie mogła się opanować, krzyknęła w ekstazie: - Och, Eleonoro, to on, to naprawdę on! - i niemal gotowa była rzucić się w ramiona przybyłego, kiedy do pokoju wszedł pułkownik Brandon.

Takiego ciosu nie można było znieść ze spokojem. Marianna natychmiast wyszła. Eleonora również była zawiedziona, lecz szacunek, jaki czuła dla pułkownika, zapewnił mu jej życzliwe powitanie. Szczególnie było jej przykro, że ten człowiek tak oddany Mariannie

*Poczta dwupensowa - poczta miejska; listy doręczano tylko na terenie Londynu.

musiał zrozumieć, że jego widok sprawił jej tylko przykrość i rozczarowanie. Musiał to zauważyć, gdyż podążał wzrokiem za wychodzącą z pokoju Marianną z takim zdumieniem i troską, że ledwo zdołał się opanować, by okazać Eleonorze należyłą grzeczność.

- Czy siostra pani chora? - zapytał.

Potaknęła z nieszczęśliwą miną i przez pewien czas mówiła o bólach głowy, melancholii i przemęczeniu, jednym słowem, o wszystkim, czym tylko mogła logicznie usprawiedliwić zachowanie siostry.

Słuchał jej z wielką powagą, ale po chwili, oprzytomniawszy, zmienił temat, wyraził radość z ich przyjazdu do Londynu, po czym zaczął jej zadawać zwykłe pytania dotyczące podróży i pozostawionych na wsi przyjaciół.

Prowadzili dalej spokojną rozmowę, która ich mało interesowała, oboje nie w humorze, oboje myślami gdzie indziej. Eleonora chciała się dowiedzieć, czy pan Willoughby jest w Londynie, wołała jednak nie sprawiać mu przykrości wypytywaniem o rywala. Wreszcie, szukając tematu do rozmowy, zapytała, czy był w Londynie przez cały czas, odkąd się rozstali. - Tak - odparł z pewnym zakłopotaniem - niemal przez cały czas. Kilkakrotnie wyjeżdżałem na parę dni do Delaford, lecz nie byłem w stanie powrócić do Barton.

Te słowa i sposób, w jaki je wypowiedział, przywiodły natychmiast Eleonorze na pamięć okoliczności jego wyjazdu z Barton oraz niepokoje i podejrzenia pani Jennings, przstraszyła się więc, że pułkownik mógł odczuć w tym pytaniu więcej ciekawości, niż jej było w istocie.

Po chwili weszła pani Jennings. - Och, pułkowniku - zaczęła ze swą zwykłą hałaśliwą serdecznością - jakim rada, że cię tutaj widzę, strasznie rada... Przepraszam, żem dopiero teraz przyszła, wybacź, ale musiałam się trochę rozejrzeć i uporządkować te i inne sprawy, bom dawno nie była w domu, a po takiej długiej nieobecności sam wiesz, ile się ma najróżniejszych rzeczy do załatwienia, no i jeszcze musiałam ułożyć wszystko z Cartwrightem... Boże, ileż ja miałam roboty po obiedzie... Ale powiedzże mi, pułkowniku, jak odgadłeś, że dzisiaj będę w Londynie?

- Miałem przyjemność usłyszeć to od państwa Palmer, gdzie jadłem obiad.

- Aha, od nich! A jakże oni sobie radzą w domu? Jak się czuje Charlotta? Na pewno gruba już, biedaczka, jak beka.

- Pani Palmer wydawała się w dobrym zdrowiu, a poleciła mi powiedzieć, że z pewnością zobaczysz ją, pani, jutro.

- Tak przypuszczałam. No więc, pułkowniku, jak widzisz, przywiozłam z sobą dwie młode damy - to znaczy, widzisz tutaj tylko jedną młodą damę, ale druga też gdzieś jest.

Twoja znajoma, panna Marianna - słyszysz o tym, myślę, bez przykrości. Nie wiem, do czego tam jeszcze przez nią dojdzie między tobą, pułkowniku, a panem Willoughbym. Piękna to rzecz młodość i uroda! No cóż, byłam kiedyś młoda, ale urody mi pan Bóg poskąpił - ot, los! Mimo to dostał mi się dobry mąż, a nie myślę, żeby największa piękność mogła osiągnąć więcej. Biedaczysko, od ośmiu lat leży w grobie! Ale, pułkowniku, gdzie też pan bywał, odkąd się rozstaliśmy? I jak tam pańskie sprawy? No, opowiadaj, proszę, nie ma tajemnic między przyjaciółmi!

Odpowiedział na wszystkie jej pytania, jak zwykle spokojnie i uprzejmie, ale nie zadowolila jej żadna z tych odpowiedzi. Eleonora zaczęła nalewać herbatę, a Marianna musiała ponownie ukazać się w salonie.

Po jej wejściu pułkownik Brandon popadł w jeszcze większą milczącą zadumę, a pani Jennings nie mogła go namówić, by posiedział dłużej. Tego wieczora nie zjawił się żaden inny gość i panie jednomyślnie postanowiły pójść wcześniej spać.

Następnego dnia Marianna wstała znowu rżna i pełna otuchy. W niepamięć poszło wczorajsze rozczarowanie wobec nadziei na to, co się dzisiaj wydarzy. Właśnie skończyły śniadanie, kiedy przed drzwiami stanął powóz pani Palmer, która po chwili weszła roześmiana do pokoju. Taka była rada, że je widzi! Nikt by nie zgadł, czy bardziej ją cieszyło spotkanie z matką, czy z pannami Dashwood. Była zdumiona ich obecnością w Londynie, chociaż tego się właśnie cały czas spodziewała, i tak się gniewała, że przyjęły zaproszenie matki, a odrzuciły jej własne, chociaż nigdy by im nie wybaczyła, gdyby zaproszenia matki nie przyjęły!

- Mój mąż będzie taki szczęśliwy! - mówiła. - Wyobraźcie sobie, co też on powiedział, kiedy usłyszał, że przyjeżdżacie z mamą! Ojej, zapomniałam, co to było takiego, ale okropnie śmieszne!

Po mniej więcej godzinie, która im upłynęła na, jak to określiła pani domu, miłej pogawędce, a innymi słowy na potoku pytań pani Jennings o wszystkich znajomych i na nieustannym śmiechu pani Palmer bez żadnego powodu, ta ostatnia zaproponowała paniom, by poszły wraz z nią do kilku sklepów, gdzie miała właśnie coś do załatwienia, na co Eleonora i pani Jennings chętnie przystały, gdyż i one musiały zrobić sprawunki. Marianna ociągała się z początku, lecz wreszcie dała się namówić na wyjście.

Przez cały czas była baczna i czujna. Zwłaszcza na Bond Street, gdzie najczęściej miały do załatwienia, oczy jej wciąż czegoś szukały, a w każdym sklepie, w jakim się znalazły, myślami błądziła gdzieś obok, poza towarami, które rozkładał sprzedawca, poza wszystkim, co interesowało inne damy. Eleonora nie mogła wydobyć z niej zdania o niczym, co oglądały,

nawet i o tym, co winno interesować obydwie; Marianna była niespokojna i z wszystkiego niezadowolona, nic nie sprawiało jej radości, wciąż niecierpliwie wyglądała powrotu do domu i z trudem opanowywała gniew na panią Palmer, którą kusiło wszystko, co ładne, drogie czy nowe, która ogromnie chciała każdą rzecz kupić; nie mogła się na żadną zdecydować i mitrężyła czas na zachwytach i wątpliwościach.

Wrócili późnym przedpołudniem, a Marianna natychmiast po wejściu do domu wbiegła na górę. Eleonora, która weszła za nią, znalazła ją w hallu przy stoliku, od którego odwracała się ze zboląłą miną, z czego wynikało, że pana Willoughby'ego nie było.

- Czy nie przyszedł do mnie żaden list po naszym wyjściu? - spytała lokaja, który wniósł ich paczki. Usłyszała odpowiedź przeczącą. - Jesteście pewni? - spytała ponownie. - Jesteście pewni, że żaden służący ani portier nie przyniósł dla mnie listu czy karteczki?

Lokaj odpowiedział, że nikt nic nie przyniósł.

- Jakie to dziwne - odparła cichym, rozczerowanym głosem, odwracając się do okna.

„Jakie to dziwne - powtórzyła w myśli Eleonora, spoglądając z niepokojem na siostrę. - Przecież nie pisałaby do niego, gdyby nie wiedziała, że jest w Londynie - pisałaby do Combe Magna. A jeśli on jest w Londynie, jakie to dziwne, że ani nie przyszedł, ani nie napisał. Och, mamu kochana, popełniasz błąd, pozwalając twojej młodziutkiej córce na zaręczyny z mężczyzną mało nam znanym i to zaręczyny tak sekretne, tak dziwne! Bardzo chciałabym poznać prawdę, ale jak zostanie przyjęte moje pytanie?”

Po namyśle postanowiła, że jeśli przez dalsze dni pozory będą tak źle o wszystkim świadczyć, jak dotychczas, przedstawi matce w dobitny sposób konieczność poważnego wglądu w całą sprawę.

Na obiedzie była pani Palmer oraz dwie starsze damy, zaprzyjaźnione z panią Jennings, które spotkała i zaprosiła rano. Pani Palmer wyszła zaraz po deserze, miała bowiem jakieś wieczorne obowiązki towarzyskie, a Eleonora musiała zasiąść z pozostałymi paniami do wista. Nic im nie przyszło z Marianny, która dotąd nie potrafiła nauczyć się tej gry, lecz chociaż pozostawiono jej czas do własnej dyspozycji, miała z tego tyle samo przyjemności, co Eleonora, spędziła go bowiem na niespokojnym oczekiwaniu i bolesnym rozczarowaniu. Chwilami brała się do czytania, ale natychmiast odrzucała książkę i powracała do ciekawszego zajęcia, jakim było przemierzanie pokoju tam i z powrotem, i przystawanie co chwila pod oknem w nadziei, że uszu jej dojdzie długo oczekiwane kołatanie.

ROZDZIAŁ XXVII

- Jeśli taka pogoda będzie się dłużej utrzymywać - zaczęła pani Jennings następnego ranka, kiedy się spotkały przy śniadaniu - sir John niechętnie będzie wyjeżdżał z Barton w przyszłym tygodniu, bo dla myśliwych utrata każdego dnia to wielka przykrość. Biedaczyska! Zawsze mi ich wtedy żal, dla nich to takie okropne!

- Prawda! - zakrzyknęła Marianna radosnym głosem i podeszła do okna, by sprawdzić, czy słońce świeci. - To dla nich wymarzona pogoda, istotnie - ciągnęła, zasiadając do śniadania z uśmiechniętą twarzą. - Jakąż im to musi sprawiać przyjemność! Ale (tu powróciła odrobina niepokoju) to przecież nie może trwać wiecznie. O tej porze roku, po tylu deszczach z pewnością taka pogoda długo się nie utrzyma. Wkrótce przyjdą mrozy i to, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, ostre. Za dwa czy trzy dni, najdalej, taka niezwykła temperatura musi się skończyć, mróz może przyjść jeszcze dziś w nocy.

- Tak czy inaczej - przerwała Eleonora, nie chcąc, by pani Jennings zdołała przejrzeć myśli jej siostry równie łatwo jak ona - sędzę, że z końcem tygodnia zobaczymy tutaj sir Johna i lady Middleton.

- Tak, tak, kochaneczko, ręczę, że tak będzie. Mary zawsze postawi na swoim.

„A teraz - mówiła sobie w duchu Eleonora - ona napisze do Combe i wyśle list dzisiejszą pocztą”.

Jeśli go jednak napisała, uczyniła to tak sekretnie, że zwiódła czujność siostry pragnącej się dowiedzieć prawdy. Jakkolwiek się stało, Eleonora, choć daleka od zadowolenia z sytuacji, nie mogła czuć przygnębienia, widząc radosne ożywienie Marianny. Bo Marianna była radosna: cieszyła się z łagodnej temperatury, a jeszcze bardziej - ze spodziewanego mrozu.

Spędziły niemal cały ranek na składaniu bilecików wizytowych pani Jennings w domach jej znajomych, by ich powiadomić o powrocie damy do Londynu, Marianna zaś była zajęta cały czas badaniem kierunku wiatru, zmian na niebie i wyobrażaniem sobie, że temperatura spada.

- Nie wydaje ci się, Eleonoro, że ochłodziło się od rana? Ja bardzo wyraźnie czuję różnicę. Nawet w mufce marzną mi ręce, a wczoraj nie marzły, o ile pamiętam. Wygląda też na to, że chmury się rozchodzą, za chwilę wyjrzy słońce, będzie pogodne popołudnie.

Eleonorę bawiło to i bolało na przemian, Marianna jednak wciąż obstawała przy tym samym i dopatrywała się niezbitych zapowiedzi zbliżającego się mrozu czy to w jasności ognia co wieczór, czy też w zjawiskach atmosferycznych co rano.

Panny Dashwood miały tyle samo powodów do niezadowolenia ze stylu życia pani Jennings i grona jej znajomych, co z jej zachowania w stosunku do nich samych, które było niezmiennie życzliwe. Dom prowadzony był wystawnie, a z wyjątkiem kilku przyjaciółek z handlowej dzielnicy Londynu, z którymi, ku niezadowoleniu lady Middleton, nigdy nie zerwała znajomości, nie składała wizyt nikomu, z kim znajomość mogłaby wprowadzić w zakłopotanie jej młode podopieczne. Eleonora rada więc stwierdziła, że pod tym względem są w lepszej sytuacji, niż przypuszczała, i chętnie pogodziła się z brakiem prawdziwych przyjemności na wieczornych przyjęciach, które, tak samo tu, jak na wsi, spędzano na grze w karty, w czym nigdy nie gustowała.

Pułkownik Brandon miał stałe zaproszenie do pani Jennings i bywał u niej codziennie. Przychodził patrzeć na Mariannę i rozmawiać z Eleonorą, która często większą wynosiła przyjemność z rozmowy z nim niż z jakiegokolwiek innego wydarzenia w ciągu dnia, ale stwierdzała przy tym z troską, że pułkownik w dalszym ciągu otacza jej siostrę szczególnymi względami. Obawiała się, że jego uczucie do Marianny wzrasta. Bolało ją, gdy widziała, z jaką powagą wpatrywał się w nią często. Od czasu pobytu w Barton nastrój jego wyraźnie się pogorszył.

Mniej więcej w tydzień po ich przyjeździe zdobyły pewność, że Willoughby jest w Londynie. Kiedy wróciły z porannej przejażdżki, znalazły na stoliku jego bilet wizytowy.

- Wielki Boże! - zawołała Marianna. - Przyszedł pod naszą nieobecność! - Eleonora tak się ucieszyła wiadomością, iż młody człowiek jest w stolicy, że odważyła się nawet powiedzieć: - Na pewno jutro przyjdzie znowu, wierzaj mi. - Marianna jednak już jej nie słyszała i nim weszła pani Jennings, uciekła do swego pokoju z bezcenną wizytówką.

Owo wydarzenie bardzo podniosło Eleonorę na duchu, lecz Marianna zaczęła żyć w podnieceniu i to jeszcze większym niż uprzednio. Odtąd ani na chwilę nie zaznała spokoju; oczekiwała ciągle jego wejścia i niezdolna była do niczego innego. Następnego dnia, kiedy wszyscy wychodzili, poprosiła, by zostawiono ją w domu.

Przez cały czas myśli Eleonory krążyły wokół Berkeley Street, ale jedno spojrzenie w twarz siostry po powrocie wystarczyło, by stwierdzić, że pan Willoughby nie przyszedł z ponowną wizytą. Po chwili przyniesiono liścik i położono na stole.

- Dla mnie? - zapytała Marianna, żywo postępując naprzód.

- Nie, proszę pani, dla mojej pani.

Marianna jednak nie mogła w to uwierzyć i natychmiast wzięła liścik do ręki.

- Istotnie do pani Jennings. Cóż za zbieg okoliczności!

- Spodziewasz się, widzę, listu? - Eleonora nie mogła się dłużej powstrzymać.

- Troszeczkę... ewentualnie.

Po chwili milczenia: - Marianno, ty mi nie ufasz?

- No wiesz, Eleonoro, taki zarzut od ciebie... która nie ufa nikomu!

- Ja! - zawołała Eleonora zmieszana. - Doprawdy, Marianno, nie mam ci nic do powiedzenia.

- Ja również - odpowiedziała z mocą Marianna. - Jesteśmy zatem w podobnej sytuacji. Jedna i druga nie ma nic do powiedzenia. Ty - bo zawsze jesteś skryta, ja - ponieważ nigdy nic nie ukrywam.

Eleonora, przybita oskarżeniem o skrytość, którego nie była w stanie odeprzeć, nie mogła nakłaniać Marianny do większej otwartości.

Po chwili ukazała się pani Jennings; przebiegła wzrokiem liścik, a potem odczytała go pannom na głos. Lady Middleton zawiadamiała o swoim wczorajszym przyjeździe na Conduit Street i prosiła matkę i kuzynki o przybycie do niej wieczorem. Sir John miał wiele interesów, ona była silnie przeziębiona - i z tego powodu nie złożyli paniom wizyty. Zaproszenie zostało przyjęte, ale kiedy przyszła godzina wyjazdu, Eleonora, która uważała, iż zwykła przyzwoitość wobec pani Jennings nakazuje, by obie jej towarzyszyły, miała pewne trudności z nakłonieniem siostry do wyjścia, gdyż pan Willoughby w dalszym ciągu się nie zjawiał, a Marianna z przykrością myślała o ewentualności wizyty młodego człowieka pod jej nieobecność i nie miała ochoty na żadne rozrywki poza domem.

Pod koniec wieczoru Eleonora stwierdziła, że zmiana miejsca zamieszkania nie wpływa istotnie na zmianę upodobań, sir John bowiem, chociaż ledwie przyjechał do Londynu, zdążył zgromadzić wokół siebie blisko dwadzieścioro młodych ludzi i urządzić im bal. Lady Middleton wcale tego nie pochwałała. Na wsi dopuszczalne jest, by młodzi urządzali sobie ot, takie zaimprovizowane tańce, ale w Londynie, gdzie posiadanie opinii eleganckiej damy miało o wiele większe znaczenie i przychodziło z większym trudem - ryzykować tańce dla przyjemności kilku panienek, to doprawdy przesada - przecież zaraz rozpowiedzą po całym mieście, że u lady Middleton odbył się wieczór tańczący dla ośmiu czy dziewięciu par, przy dwóch skrzypkach i skromnej, zimnej kolacji.

Na przyjęciu byli też państwo Palmer. Pan Palmer, którego nie widziały od przyjazdu do Londynu, a który pilnie się strzegł, by nie okazać teściowej nawet pozorów grzeczności i dlatego wcale się do niej nie zbliżał, udawał, gdy weszły, że ich nie poznaje. Popatrzał na nie, jakby nie wiedział, kim są, i tylko skinął głową pani Jennings z drugiego końca pokoju. Marianna jednym spojrzeniem obrzuciła salę - wystarczyło - jego tu nie było, usiadła więc nieskora do bawienia się ani bawienia innych. Po mniej więcej godzinie pan Palmer podszedł

do panien niespiesznym krokiem, by wyrazić zdumienie, że je ogląda w Londynie, chociaż pułkownik Brandon dowiedział się o ich przyjeździe w jego domu, a on sam słysząc, że mają zjechać do stolicy, powiedział przecież coś okropnie śmiesznego.

- Sądziłem, żeście panny obie w hrabstwie Devon - oświadczył.

- Naprawdę? - zdziwiła się Eleonora.

- A kiedy to zamierzacie wracać?

- Nie wiem. - I tyle było rozmowy.

Nigdy jeszcze w życiu Marianna nie czuła takiej niechęci do tańca i nigdy jeszcze tak jej taniec nie męczył. Bardzo na to narzekała w drodze powrotnej do domu.

- No, no - uśmiechnęła się pani Jennings - wiemy, skąd się to bierze. Gdyby pewna osoba, której nazwiska nie wymienię, była u Middletonów, nie czułabyś się ani trochę zmęczona, moja duszko, a prawdę mówiąc niepięknie postąpił, nie przychodząc, skoro był zaproszony.

- Zaproszony! - krzyknęła Marianna.

- Tak mi powiedziała moja córka, bo, jak się okazuje, sir John spotkał go był dziś przed południem na ulicy. - Marianna nie powiedziała już ani słowa, ale sprawiała wrażenie głęboko dotkniętej. Eleonora, przejęta gorącym pragnieniem dopomożenia siostrze, postanowiła następnego ranka napisać do matki, a wzbudziwszy w niej niepokój o zdrowie córki, nakłonić ją do zadania Mariannie pytań, z którymi od tak dawna zwlekała. W powziętej decyzji utwierdził ją następnego ranka widok Marianny piszącej znowu do pana Willoughby'ego, do kogóż innego bowiem mogłaby pisać?

Okolo południa pani Jennings wyszła gdzieś za swoimi sprawami, a Eleonora natychmiast zasiadła do listu. Marianna, zbyt niespokojna, by się czymkolwiek zająć, i zbyt przejęta, by rozmawiać, siedziała przed kominkiem w ponurym zamyśleniu. Eleonora z wielką powagą przedstawiła wszystko matce w liście, opowiedziała, co się dotąd wydarzyło, o swoich podejrzeniach co do niestałości pana Willoughby'ego, i błagała, odwołując się do jej matczynej miłości i poczucia obowiązku, by zażądała od Marianny jasnego określenia, co ją łączy z tym młodym człowiekiem.

Zaledwie skończyła list, kiedy stukanie oznajmiło gościa i zameldowano pułkownika Brandona. Marianna widziała go z okna, a że nieznośne jej było wszelkie towarzystwo, wyszła z bawialni jeszcze przed jego wejściem. Pułkownik wyglądał poważniej niż zwykle i choć wyraził zadowolenie z tego, że zastał pannę Dashwood samą, jakby jej właśnie miał coś do powiedzenia, siedział przez pewien czas bez słowa. Eleonora czekała niecierpliwie, sądziła bowiem, że to ma związek z Marianną. Nie po raz pierwszy tak myślała, nie po raz pierwszy

bowiem pułkownik, zaczynając od uwagi: „siostra pani wygląda dziś niedobrze”, lub: „siostra pani jakaś dziś smutna”, sprawiał wrażenie, że chce albo coś jeszcze o niej powiedzieć, albo o coś zapytać. Po dłuższej chwili milczenia zagadnął głosem, w którym brzmiało przejęcie, czy ma jej złożyć gratulacje w związku z wyborem szwagra. Eleonora nie była przygotowana na takie pytanie, a nie mając gotowej odpowiedzi, uciekła się do pospolitego i prostego wybiegu, spytała mianowicie, o co mu idzie? Z wymuszonym uśmiechem odparł: - Wszystkim jest wiadomo o zaręczynach siostry pani z panem Willoughbym.

- Nie może być wszystkim wiadomo - odparła Eleonora - skoro nie wie o nich najbliższa rodzina.

Wyglądał na zdumionego. - Przepraszam panią, moje pytania mogą się wydawać natręctwem. Nie przypuszczałem jednak, że sprawa pozostaje w sekrecie, jako że otwarcie korespondują z sobą, a o ich ślubie wszyscy rozpowiadają.

- Jakże to możliwe? Kto panu o tym mówił?

- Wiele osób - jednych pani nie zna, inni są bliskimi pani znajomymi. Pani Jennings, pani Palmer i Middletonowie. W dalszym ciągu jednak mógłbym w to wątpić, bo gdy człowiek nieskory jest w coś uwierzyć, zawsze znajdzie argument na wsparcie swoich wątpliwości, gdybym, kiedy służący wprowadzał mnie tu dzisiaj, nie zauważył przypadkiem w jego rękach listu zaadresowanego do pana Willoughby'ego pismem siostry pani. Przyszedłem o to zapytać, lecz byłem z góry pewny, jak brzmi odpowiedź na moje pytanie. Czy wszystko zostało już ostatecznie uzgodnione? Czy nie istnieje możliwość... Ale nie mam prawa, nie miałbym na pewno żadnych szans... Proszę mi wybaczyć, pani. Zapewne postąpiłem niewłaściwie, mówiąc tak wiele, ale nie wiem, doprawdy, co robić, a głęboko ufam twojemu rozsądkowi. Powiedz mi więc, pani, że sprawa jest ostatecznie przesądzona, że wszelkie starania... Jednym słowem, że pozostaje tylko skrywać wszystko, jeśli skrywanie jest możliwe.

Eleonorze zrobiło się ogromnie przykro, gdy usłyszała słowa, będące bezpośrednim wyznaniem uczuć dla jej siostry. W pierwszej chwili nie potrafiła nic powiedzieć, a nawet kiedy się opanowała, musiała chwilę pomyśleć, jaka odpowiedź będzie najwłaściwsza. Nie wiedziała przecież, jak naprawdę wyglądają sprawy pomiędzy jej siostrą a panem Willoughbym, gdyby więc próbowała o tym mówić, mogłaby równie dobrze powiedzieć za dużo, jak za mało. Będąc jednak przekonana, że uczucie Marianny dla pana Willoughby'ego, bez względu na to, czym się zakończy, nie zostawia pułkownikowi Brandonowi najmniejszej nadziei, a nadto chcąc uchronić siostrę od potępienia, uznała, że najroztropniej i najlepiej będzie, jeśli powie trochę więcej, niż wiedziała czy przypuszczała. Przyznała więc, że chociaż

nie została powiadomiona przez młodą parę, jakie łączą ich wzajemne stosunki, nie wątpi w ich wzajemne uczucia i nie dziwi się ich korespondencji.

Słuchał w milczeniu i uważnie, a kiedy skończyła, wstał natychmiast i powiedział z przejęciem: - Siostrze pani życzę wszelkiej możliwej pomyślności, Willoughby'emu - żeby starał się na nią zasłużyć - po czym pożegnał się i wyszedł.

Nie przyniosła Eleonorze pociechy ta rozmowa i nie umniejszyła jej niepokoju: wręcz przeciwnie, dała jej smutną pewność, iż pułkownik Brandon jest nieszczęśliwy, a przecież nie mogła pragnąć, aby było inaczej, tak bardzo wyglądała tego, co miało jego ból ostatecznie przypieczętować.

ROZDZIAŁ XXVIII

W ciągu następnych kilku dni nie zaszło nic, co kazałoby Eleonorze żałować, że się zwróciła do matki, pan Willoughby bowiem ani nie przyszedł, ani nie napisał. W tym czasie zostały zaproszone wraz z lady Middleton na przyjęcie, na które pani Jennings nie mogła pójść z powodu niedyspozycji młodszej córki. Marianna szykowała się na wieczór, nie dbając o wygląd, przygnębiona, bez cienia nadziei i radości, obojętna, czy pójdzie, czy zostanie. Siedziała po herbacie przed ogniem w salonie, do chwili przyjazdu lady Middleton ani razu nie ruszywszy się z miejsca, nie zmieniając pozycji, pochłonięta własnymi myślami, nieświadoma obecności siostry. Kiedy wreszcie oznajmiono, że lady Middleton czeka w powozie przed domem, drgnęła, jakby zapomniała, że się kogoś spodziewały.

We właściwym czasie przybyły na miejsce przeznaczenia i gdy tylko pozwolił na to sznur zajeżdżających przed nimi karet, wysiadły, weszły po schodach, usłyszały swoje nazwiska anonsowane głośno z jednego podestu schodów na drugi i weszły do sali wspaniale oświetlonej, tłocznej i nieznośnie gorącej. Kiedy spłaciły haracz dobrego wychowania, składając ukłon przed panią domu, pozwolono im zmieszać się z tłumem i korzystać do woli z gorąca i niewygody, które ich przyjazd musiał nieuchronnie zwiększyć. Lady Middleton mówiła mało, robiła jeszcze mniej i po krótkim czasie zasiadła do gry w kasyno, a że Marianna nie miała ochoty kręcić się po sali, usiadła wraz z Eleonorą na zdobytych szczęśliwym trafem krzesłach, niedaleko stolika.

Po niedługiej chwili Eleonora zobaczyła pana Willoughby'ego, który stał o kilka kroków od nich, pogrążony w poważnej rozmowie z jakąś bardzo elegancką młodą damą. Wkrótce spotkała jego wzrok, młody człowiek skłonił się natychmiast, nie próbował jednak zacząć z nią rozmowy czy też podejść do Marianny, którą musiał przecież zauważyć, i dalej rozmawiał z ową damą. Eleonora bezwiednie obróciła się ku siostrze, chcąc sprawdzić, czy go widzi. W tym właśnie momencie Marianna go dojrzała i twarz jej rozbłysła nagłym zachwytem. Ruszyłaby ku niemu natychmiast, gdyby jej siostra nie przytrzymała.

- Wielkie nieba! - krzyknęła Marianna. - On tu jest! On tu jest! Och, czemu na mnie nie patrzy? Czemu nie mogę odezwać się do niego?

- Proszę, opanuj się - błagała Eleonora - i nie zdradzaj wszystkim na sali tego, co czujesz. Może on ciebie jeszcze nie zauważył.

W to jednak trudno jej było uwierzyć, a Marianna nie tylko nie mogła się zdobyć na opanowanie, ale wcale się o to nie starała. Siedziała, a na jej twarzy malowała się męka oczekiwania.

Wreszcie młody człowiek obrócił się znowu i spojrzął na obie panie. Marianna wstała i głosem pełnym uczucia wymówiła jego nazwisko, wyciągając rękę. Zbliżył się do nich i zwracając się do Eleonory raczej niż do Marianny, jakby chciał uniknąć jej wzroku i postanowił nie zauważyć jej gestu, zapytał spieszenie, jak się czuje pani Dashwood i od jak dawna są w Londynie. Eleonora wprost osłupiała i nie mogła wykrztusić słowa. Siostra jednak natychmiast okazała, co czuje. Zarumieniła się cała i krzyknęła tonem, w którym brzmiało ogromne przejęcie: - Na litość boską, panie Willoughby! Cóż to ma znaczyć? Czyżbyś nie dostał moich listów? Nie podasz mi ręki?

Nie mógł więc tego nie uczynić, lecz wydawało się, że jej dotyk go boli, i natychmiast puścił jej dłoń. Widać też było, że przez cały czas robi ogromny wysiłek, by się opanować. Eleonora wpatrywała się w jego twarz i widziała, jak się powoli uspokaja. Po chwili milczenia powiedział spokojnie:

- We wtorek miałem zaszczyt złożyć wizytę na Berkeley Street i żałowałem ogromnie, że nie miał szczęścia zastać pań i pani Jennings w domu. Mam nadzieję, że mój bilecik nie zginął?

- Ale czyś nie dostał pan moich karteczek? - zawołała Marianna nieprzytomna z trwogi. - Musiało zajść jakieś nieporozumienie, na pewno... straszliwe nieporozumienie. Co to wszystko ma znaczyć? Na litość boską, panie Willoughby, proszę mi powiedzieć, o co chodzi?

Nie odpowiedział. Zmienił się na twarzy, powróciło poprzednie zmieszanie, lecz napotkawszy wzrok młodej damy, z którą był przed chwilą rozmawiał, poczuł widocznie, że musi się zdobyć na wysiłek; opanował się raz jeszcze i powiedział: - Tak, miałem przyjemność otrzymać wiadomość o przyjeździe pań do Londynu, o czym byłaś mnie, pani, łaskawa zawiadomić - odwrócił się spieszenie, skłonił lekko i wrócił do swojej towarzyszki.

Marianna pobladła upiornie i nie mogąc ustać na nogach, osunęła się na krzesło, a Eleonora, przerażona, że siostra za chwilę zemdleje, próbowała ją zasłonić przed ludźmi i cuciała wodą lawendową.

- Idź do niego natychmiast, Eleonoro - prosiła Marianna, gdy tylko mowa jej wróciła. - Idź i zmuś go, żeby tu do mnie przyszedł. Powiedz, że muszę go widzieć... Muszę natychmiast z nim mówić... Nie spocznę... Nie zaznam chwili spokoju, póki się to nie wyjaśni... To jakieś straszliwe nieporozumienie... Och, idź do niego natychmiast!

- Ależ to niepodobna! Nie, Marianno, kochanie, musisz poczekać. To nie miejsce na wyjaśnienia. Zaczekaj, tylko do jutra.

Przyszło jej jednak niemal siłą powstrzymać siostrę od pójścia za nim. Nie mogła

jej również skłonić, by się opanowała i zaczekała z pozornym przynajmniej spokojem do chwili, kiedy będzie z nim mogła porozmawiać bez tłumu świadków i z o wiele lepszym skutkiem. Daremnie. Marianna przez cały czas cichym głosem dawała wyraz swemu nieszczęściu i rozpacz. Po chwili Eleonora zobaczyła, że Willoughby wychodzi drzwiami wiodącymi na schody i powiedziała to natychmiast siostrze, nakłaniając ponownie do zachowania spokoju teraz, kiedy rozmowa z nim stała się niemożliwa. Marianna poprosiła zaraz, by zwróciła się do lady Middleton z prośbą o jak najszybszy powrót do domu, gdyż jest zbyt cierpiąca, by zostać tu choć chwilę dłużej.

Lady Middleton była za dobrze wychowana, by odmówić tej prośbie, choć znajdowała się właśnie w środku robra; usłyszawszy, że Marianna zaniemogła, oddała karty przyjaciółce i wyjechała z pannami natychmiast, gdy odnalazł się ich powóz. W drodze powrotnej na Berkeley Street nie padło ani jedno słowo. Marianna pogrążona była w niemej rozpacz, skamieniała z bólu. Na szczęście pani Jennings nie było w domu, mogły więc pójść prosto do swego pokoju, gdzie oprzytomniała trochę po solach trzeźwiących. Po chwili była już rozebrana i w łóżku, a że wyraźnie chciała zostać sama, Eleonora wyszła. Czekając na powrót pani Jennings, miała czas zastanowić się nad wszystkim, co się stało.

Nie mogła wątpić w to, że pana Willoughby'ego i jej siostrę łączyło coś w rodzaju zaręczyn. Równie było jasne, że panu Willoughby'emu stały się one ciężarem, bez względu bowiem na to, czym Marianna zamierzała teraz sycić swoje pragnienia, Eleonora nie mogła tłumaczyć jego zachowania pomyłką czy nieporozumieniem. Mogła je tłumaczyć tylko i jedynie całkowitą odmianą uczuć. Byłaby o wiele bardziej oburzona, gdyby nie widoczne zaambarasowanie młodego człowieka, świadczące, że zdaje sobie sprawę z niewłaściwości swego postępowania. Nie mogła mu więc zarzucić zupełnego braku zasad, jakim byłoby igranie z uczuciami jej siostry bez pierwotnych uczciwych zamiarów. Rozłąka mogła osłabić jego uczucia, wyrachowanie mogło kazać mu je stłumić, nie mogła jednak uwierzyć w to, by tego uczucia od początku nie było.

O Mariannie myślała teraz z najgłębszą troską - ileż musiała już wycierpieć przez to nieszczęsne spotkanie, ile pewno czeka ją bólu w przyszłości! Jej własna sytuacja zyskiwała na tym porównaniu, bo chociaż przyszłość rozdzieli ją z Edwardem, zawsze będzie mogła krzepić się myślą, że zachowała dla niego szacunek. W tym zaś wypadku wszystkie okoliczności, które mogły przydać goryczy nieszczęściu, sprzysięgły się, by zwiększyć cierpienie Marianny przy ostatecznym zerwaniu z panem Willoughbym - przy natychmiastowym i bezpowrotnym z nim zerwaniu.

ROZDZIAŁ XXIX

Następnego dnia, nim pokojówka zdążyła napalić w kominku, nim jeszcze słońce nabrało siły, by stawić czoło zimnemu i ponuremu porankowi styczniowemu, Marianna klęczała w bieliźnie w wykuszu okiennym, gdzie szarzała odrobina światła, i pisała szybko, choć przeszkadzał jej nieustający potok łez. Tak zobaczyła ją Eleonora, zbudzona ze snu poruszeniami i szlochem siostry; przez chwilę przyglądała się jej z milczącą troską, po czym odezwała się cicho i łagodnie:

- Marianno, czy wolno spytać?

- Nie, Eleonoro - odparła. - Nie pytaj o nic. Wkrótce będziesz wiedziała wszystko.

Rozpaczliwy spokój, z jakim to powiedziała, trwał tyle tylko, co to jedno zdanie, i natychmiast przyszedł wybuch rozpacz. Dopiero po paru minutach zdolna była pisać dalej, a ciągle nawroty płaczu, który jej co chwila przerywał, świadczyły dowodnie, że według wszelkiego prawdopodobieństwa pisze po raz ostatni do pana Willoughby'ego.

Eleonora otaczała ją spokojną i nienatrętną uwagą, a próbowała ją uspokoić i koić, gdyby Marianna, zdenerwowana i rozdrażniona, nie poprosiła kategorycznie, by siostra za nic w świecie się do niej nie odzywała. W tej sytuacji lepiej było dla obu, by nie siedziały długo razem; gnana wewnętrznym niepokojem Marianna nie tylko musiała wyjść z sypialni natychmiast, gdy się ubrała, ale pragnąc samotności i ciągłej zmiany miejsca, chodziła po całym domu aż do śniadania, unikając widoku innych.

Przy śniadaniu nie jadła ani nie usiłowała jeść, a Eleonora zamiast namawiać ją do jedzenia, okazywać współczucie czy troskę, starała się z wszystkich sił ściągać na siebie całą uwagę pani Jennings.

Śniadanie było ulubionym posiłkiem zacnej damy i trwało bardzo długo. Po jedzeniu, kiedy zasiadały przy wspólnym stoliku do robótek, Mariannie wręczono list, który żywo wyrwała z ręki służącego i pobladłszy śmiertelnie, natychmiast wybiegła z pokoju. Eleonora nie potrzebowała patrzeć na adres - te oznaki świadczyły niezbicie, że list jest od pana Willoughby'ego; poczuła taki ucisk w sercu, że musiała zebrać wszystkie siły, by nie spuścić głowy, i siedziała tak, roztrzęsiona, a jednocześnie przerażona, że pani Jennings zauważy, co się z nią dzieje. Zaczynała jednak dostrzegać tylko to, że Marianna dostała list od pana Willoughby'ego, co wydało jej się bardzo zabawne i co odpowiednio pokwitowała, wyrażając ze śmiechem nadzieję, że pannie list przypadnie do gustu. Zbyt była pochłonięta odmierzaniem grubego samodiała na pledzik, by zauważyć cokolwiek, nawet rozpacz Eleonory, i spokojnie gadała dalej po wyjściu Marianny:

- Słowo daję, jeszcze nigdy w życiu nie widziałam panny tak nieprzytomnie zakochanej. Moje dziewczęta to nic w porównaniu z nią, chociaż były z nich straszne głuptasy, ale nasza panna Marianna to już całkiem jak odmieniona. Z całej duszy pragnę, żeby jej dłużej nie kazał czekać, bo żal na nią patrzeć, taka mizerna i smutna. Kiedy oni się pobiorą, proszę mi powiedzieć?

Choć Eleonora nigdy nie była mniej skłonna do rozmowy, zmusiła się do odpowiedzi, chcąc odeprzeć ten otwarty atak, i z wymuszonym uśmiechem odparła: - Czyżbyś naprawdę, pani, wmówiła sobie, że moja siostra jest zaręczona z panem Willoughbym? Sądziłam, że to tylko żart, ale zaprzecza temu tak poważne pytanie, toteż muszę prosić, abys się, pani, nie oszukiwała dłużej. Zapewniam cię, pani, nic by mnie bardziej nie zdziwiło niż wiadomość, że mają się pobrać.

- A wstyd, panno Eleonoro, a wstyd! Jakże tak można mówić! Jakbyśmy wszyscy nie wiedzieli, że z nich będzie para. Przecież czy się nie zakochali w sobie do szaleństwa od pierwszego wejrzenia? Czy nie przyglądałam się im co dnia w Devonshire, i to od rana do wieczora? Czy nie wiem, że twoja siostra przyjechała do Londynu ze mną po to, żeby sobie kupić suknię ślubną? Proszę, proszę, nie staraj się mnie zwodzić. Myślisz, że jeśli sama tak się z tym kryjesz, to już nikt inny nie może mieć oczu i uszu? Mylisz się, moja droga, bo wie o tym cały Londyn. Wszystkim o tym mówię i Charlotta również.

- Doprawdy - mówiła Eleonora z wielką powagą - pani się myli. Doprawdy, krzywdzi ją pani, rozpowiadając takie wiadomości, sama się pani o tym przekona, chociaż mi pani teraz nie wierzy.

Pani Jennings roześmiała się znowu, a Eleonora, nie w nastroju do dalszej rozmowy, a przede wszystkim gnana ciekawością, co jest w liście pana Willoughby'ego, poszła zaraz do swego pokoju, gdzie otworzywszy drzwi, ujrzała Mariannę na łóżku, dławiącą się szlochem, z listem w dłoni i kilkoma innymi rozrzuconymi wokół. Eleonora podeszła bez słowa, usiadła przy niej na łóżku, ujęła za rękę, ucałowała serdecznie, a potem dała folę łzom, które z początku były nie mniej gwałtowne niż łzy Marianny. Choć ta niezdolna była wymówić słowa, wyczuła chyba serdeczność siostry i po chwili wspólnego płaczu wsunęła jej w rękę wszystkie listy, po czym, zasłoniwszy twarz chusteczką, niemal krzyczała z bólu. Eleonora wiedziała, że takie cierpienie, choć ogromnie przykre dla patrzącego, musi znaleźć ujście, zaczekała więc przy siostrze, aż przyplływ bólu minie, i chwyciwszy żywo list pana Willoughby'ego, przeczytała, co następuje:

Bond Street, styczeń

Łaskawa Pani,

Uprzejmie dziękuję za list, który miałem zaszczyt otrzymać. Z prawdziwą przykrością dowiaduję się, że moje wczorajsze zachowanie spotkało się z Twoją, Pani, dezaprobatą, i choć nie mogę pojąć, czym miałem nieszczęście Cię urazić, pokornie proszę o wybaczenie z pewnością niezamierzonego przewinienia. Z najwyższą wdzięcznością i zadowoleniem będę wspominał znajomość z Twoją rodziną, Pani, w Devonshire, i mniemam, że nie zostanie ona zerwana na skutek nieporozumienia czy niewłaściwej oceny mojego postępowania. Dla całej Twojej rodziny, Pani, żywię najszczerzy szacunek, jeśli jednak miałem nieszczęście wzbudzić nadzieję na coś więcej, niż czulem czy chciałem wyrazić - winien jestem braku powściągliwości w okazywaniu owego szacunku, co jest rzeczą naganną. Przyznasz, Pani, iż nie jest możliwe, by w zamiarach moich leżało coś więcej, kiedy się dowiesz, że uczucia moje od dawna już należą do kogoś innego i mam nadzieję, że niezadługo związek tych uczuć zostanie ostatecznie przypieczętowany. Z prawdziwym żalem spełniam Twoją wolę i zwracam listy, które miałem honor od Ciebie otrzymać, jak również pukiel włosów, którym byłaś łaskawa mnie obdarzyć. Pozostaję uniżonym sługą

John Willoughby

Można sobie wyobrazić, z jakim oburzeniem przeczytała ten list Eleonora. Choć wzięła go do ręki przekonana, że znajdzie w nim wyznanie niestałości i ostateczne potwierdzenie rozstania, nie przypuszczała nawet, że można to wyrazić takimi słowami i nie uwierzyłaby nigdy, że Willoughby zdolny jest wyzbyć się wszelkich pozorów szlachetności, delikatności uczuć, tego wszystkiego, co cechuje dżentelmena - wysyłając list tak zuchwale okrutny; list, który nie przynosił wyrazów żalu wraz z prośbą o zwolnienie ze słowa, nie zawierał wyznania niestałości, zaprzeczał istnieniu jakiegokolwiek uczucia - list, którego każda linijka była obraźliwa i który świadczył, że ten, kto go pisał, był łajdakiem do szpiku kości.

Przerwała na chwilę w pełnym oburzenia zdumieniu. Potem przeczytała list po raz drugi i trzeci, lecz za każdym razem wzrastała tylko jej wzdarda dla tego człowieka i taki ją porwał na niego gniew, że bała się ust otworzyć, by nie zranić Marianny jeszcze boleśniej, widząc w ich zerwaniu nie tyle utratę wszelkich możliwych dobrodziejstw, co szczęśliwe uniknięcie najgorszego i nieodwracalnego zła: dozgonnego związku z człowiekiem bez zasad, ratunek w samą porę, najprawdziwsze dobrodziejstwo.

Eleonora tak się zatraciła w tych poważnych rozmyślaniach nad treścią listu, nad nikkzemnością serca, które mogło taki list podyktować, nad całkowitą zapewne odmiennością serca pewnego innego mężczyzny, który z tą sprawą nie miał nic wspólnego prócz związku,

jakim jej serce łączyło go ze wszystkim, co się działo, że zapomniała o cierpiącej w tej chwili siostrze, o trzech nie czytanych jeszcze listach, które miała na kolanach, i o upływie czasu, a kiedy usłyszała, że pod drzwiami zajeżdża powóz, podeszła do okna, chcąc sprawdzić, któż to przyjeżdża o tak wczesnej porze i ze zdumieniem stwierdziła, że to ekwipaż pani Jennings, zamówiony na pierwszą. Postanowiła nie opuszczać Marianny, choć nie sądziła, by mogła jej wiele pomóc, pospieszyła więc do pani Jennings prosząc, by mogła zostać, gdyż Marianna źle się czuje. Pani Jennings przyjęła wymówkę z dobrodusznym zatroskaniem, a Eleonora wyprawiając ją, wróciła do siostry, która właśnie - próbowała wstać z łóżka. Dopadła do niej w sam czas, by ją podtrzymać, bo Marianna osuwała się na podłogę mdlejąca, z zawrotem głowy, wyczerpana brakiem spoczynku i jedzenia, gdyż od dawna straciła apetyt i od wielu nocy nie zaznała spokojnego snu. Teraz, kiedy nie dodawała jej sił gorączka niepewności, przysłała migrena, osłabienie żołądka i ogólne wyczerpanie nerwowe. Eleonora przyniosła jej natychmiast szklaneczkę wina, które pokrzepiło nieco chorą i wreszcie Marianna mogła okazać, że świadoma jest dobroci siostry.

- Biedna moja! Ile ja ci sprawiam przykrości! - powiedziała.

- Pragnęłabym - odparła Eleonora - móc istotnie zrobić coś, co by ci przyniosło ulgę.

Okazało się to ponad siły Marianny, która zakrzyknęła tylko z głębi zbolełego serca: - Och, Eleonoro, jakam ja nieszczęśliwa! - po czym głos jej zginął w szlochach.

Eleonora nie mogła dłużej patrzeć w milczeniu na niepohamowaną rozpacz siostry.

- Marianno, zbierz siły! - zawołała. - Inaczej zabijesz i siebie, i tych, co cię kochają. Pomyśl o matce, pomyśl w swoim cierpieniu o jej bólu. Przez wzgląd na matkę musisz się opanować.

- Nie mogę, nie mogę! - łkała Marianna. - Och, zostaw mnie, proszę, jeśli ci ból zadaje! Możesz mnie zostawić, zniechęcić, możesz mnie zapomnieć, tylko nie dręcz dłużej! Jak łatwo mówić o opanowaniu tym, co nie mają powodów do rozpacz. Szczęśliwa, szczęśliwa siostrzyczko, nie możesz mieć wyobrażenia, co ja cierpię.

- Nazywasz mnie szczęśliwą? Marianno! Ach, gdybyś wiedziała! Czy możesz mnie uważać za szczęśliwą, gdy patrzę na twoją rozpacz?

- Przebacz mi, przebacz - mówiła Marianna, zarzucając ręce na szyję siostry. - Wiem, ile masz dla mnie współczucia. Znam twoje serce! Ale mimo to jesteś... Musisz być szczęśliwa. Edward cię kocha... cóż... cóż może zniweczyć podobne szczęście?

- Bardzo wiele okoliczności - odpowiedziała poważnie Eleonora.

- Nie, nie! - krzyknęła Marianna z uniesieniem. - Kocha ciebie i tylko ciebie. Nie możesz mieć żadnych powodów do smutku.

- Nie mogę też odczuwać najmniejszej radości, widząc cię w takim stanie.

- Zawsze będziesz mnie taką oglądać. Mojego bólu nic nie jest w stanie ukoić.

- Nie wolno tak mówić, Marianno. Czyż nie masz żadnej pociechy? Żadnych przyjaciół? Czy po stracie, jaką poniosłaś, nie może przyjść pocieszenie? Gorzko ci teraz, ale pomyśl, ile musiałabyś wycierpieć, gdyby prawda o nim wyszła na jaw później? Gdyby wasze zaręczyny trwały jeszcze długie, długie miesiące, nim on zdecydowałby się położyć im kres? Przecież każdy dodatkowy dzień twojej wiary w niego wzmógłby tylko siłę tego ciosu.

- Zaręczyny? - zawołała Marianna. - Nie było żadnych zaręczyn.

- Nie było zaręczyn?

- Nie, on nie jest takim nikczemnikiem, za jakiego go masz. Nie złamał danego słowa.

- Ale powiedział ci, że cię kocha?

- Tak... to znaczy, nie... nie wprost. To się codziennie samo przez się rozumiało, ale nigdy nie powiedział tego otwarcie. Czasem wydawało mi się, że powiedział... ale nie, to nigdy nie miało miejsca.

- A przecież pisałaś do niego?

- Tak. Czy to co złego, po wszystkim, co zaszło? Ale nie mogę mówić.

Eleonora zamilkła i powróciła do owych trzech listów, które wzniewały, w niej teraz o tyle większą ciekawość. Zaczęła je natychmiast czytać po kolei. Pierwszy był list, który siostra wysłała do młodego człowieka zaraz po przyjeździe do Londynu.

Berkeley Street, styczeń

Jakże się Pan zdziwisz, otrzymawszy ten liścik. Sądzę też, że poczujesz coś więcej niż zdziwienie usłyszawszy, że w Londynie. Nie mogłam się oprzeć pokusie przyjechania tutaj, choć w towarzystwie pani Jennings. Chciałabym, abyś to otrzymał na czas i zdążył do nas przyjść jeszcze dziś wieczór, ale nie liczę na to z całą pewnością. Tak czy inaczej, będę spodziewała się Pana jutro. Tymczasem adieu

M.D.

Następny liścik Marianny pisany był po tańcach u państwa Middleton.

Trudno mi wyrazić, jaki to dla mnie zawód, żeśmy się rozminęli przedwczoraj, i jak się zdumiałam, nie otrzymawszy odpowiedzi na list, wysłany przed tygodniem. Przez cały czas oczekuję listu Pana, a właściwie Jego odwiedzin. Przyjdź, proszę, jak najszybciej i wyjaśnij, czemu czekałam daremnie. Za następnym razem lepiej będzie, jak przyjdiesz wcześniej, gdyż na ogół wyjeżdżamy z domu o pierwszej. Wczoraj wieczór byliśmy u lady Middleton, gdzie urządzono tańce. Powiedziano mi, że byłeś Pan zaproszony. Czy to możliwe? Doprawdy, bardzo się musiałeś zmienić od naszego rozstania, jeśli byłeś istotnie zaproszony i nie

przyszedłeś. Nie pozwolę sobie jednak przypuszczać, aby to było możliwe, i mam nadzieję, że wkrótce otrzymam Twe osobiste zapewnienia, że jest inaczej.

M.D.

Treść trzeciego listu brzmiała następująco:

Cóż mam myśleć, panie Willoughby, o Twoim wczorajszym zachowaniu? Po raz wtóry proszę o wytłumaczenie. Gotowa byłam powitać Cię z radością zrozumiałą po tak długim niewidzeniu, z serdecznością usprawiedliwioną, tuszę, naszą zażyłą znajomością w Barton. Zostałam przez Ciebie odepchnięta. Spędziłam straszną noc, próbując usprawiedliwić postępowanie, które trudno nazwać inaczej jak obraźliwym. Choć jednak nie byłam w stanie wyobrazić sobie jakiegoś godziwego wytłumaczenia Twego zachowania; jestem gotowa przyjąć je z Twoich ust. Może ktoś Ci podał fałszywe wiadomości lub też rozmyślnie zwiódł, mówiąc coś, co mogło mnie pomniejszyć w Twoich oczach. Powiedz, co to takiego, wyjaśnij, czym się kierowałeś, a będę rada, mogąc Ci wszystko wytłumaczyć. Doprawdy, ciężko by mi było, gdybym musiała źle myśleć o Tobie, ale jeśli tak ma być, jeśli mam się dowiedzieć, że nie jesteś tym, za kogo Cię brałyśmy, że Twój szacunek dla nas był nieszczerzy, a zachowanie wobec mnie - wyrachowane zwodnicze, niechże to się stanie jak najszybciej. Uczucia moje są w tej chwili w straszliwej niepewności - pragnę Cię uniewinnić, lecz taka czy inna pewność będzie mi ulgą w obecnym cierpieniu. Jeśli sentymenta Pańskie uległy zmianie, proszę o zwrot moich listów oraz pukła włosów.

M.D.

Przez wzgląd na swoją opinię o panu Willoughbym Eleonora wolałaby nie wierzyć, że na podobne listy, tchnące zaufaniem i uczuciem, można w ten sposób odpowiedzieć. Choć jednak potępiała młodego człowieka, musiała stwierdzić, że pisanie tych listów przez Mariannę było niewłaściwe. Bolała w milczeniu nad nieoględnością, która pchnęła siostrę do złożenia tak spontanicznych dowodów uczucia, nie usprawiedliwionych niczym, co zaszło, a potępionych przez późniejsze wypadki. Wtem Marianna, widząc, że siostra przeczytała już listy, zauważyła, że przecież nie było w nich nic, czego by ktoś inny nie napisał w podobnych okolicznościach.

- Czuję się - powiedziała - najuroczyściej mu przyrzeczona, jakby wiązały nas najściślejsze prawdziwe kontrakty.

- Łatwo mi w to uwierzyć - odparła Eleonora - tylko na nieszczęście on tego nie czuł.

- On czuł to samo... Przez długie tygodnie czuł to samo. Wiem dobrze. Bez względu na to, co go odmieniło (a chyba mogła tego dokonać tylko najczarniejsza magia użyta

przeciwko mnie), byłam mu kiedyś tak droga, jak mogło pragnąć moje serce. Ten pukiel włosów, tak chętnie dzisiaj odesłany, został przecież ode mnie wyżebrany, wyblągany. Gdybyś ty widziała wtedy jego spojrzenie, zachowanie, gdybyś słyszała jego głos! Czy zapomniałaś ten ostatni wieczór wspólnie spędzony w Barton? I ten rano, kiedyśmy się rozstali? Gdy mówił, że może zobaczymy się dopiero za parę tygodni... Jego rozpacz... Czy mogłabym kiedykolwiek zapomnieć tę rozpacz?

Przez kilka chwil nie mogła wymówić słowa, ale gdy fala wzruszenia minęła, odezwała się mocniejszym już głosem:

- Eleonoro, postąpiono ze mną okrutnie... ale tego nie zrobił Willoughby.

- Marianno, kochanie, a któż inny? Za czyim mógłby to zrobić poduszczeniem?

- Czyimkolwiek, tylko nie własnego serca. Prędzej uwierzę, że wszyscy ludzie, jakich znam, sprzysięgli się, by mnie oczernić w jego oczach, niż w to, że on jest zdolny do takiego okrucieństwa. Ta kobieta, o której pisze... kimkolwiek ona jest... jednym słowem, każdy, z wyjątkiem ciebie, kochanie, mamy i Edwarda... Każdy mógłby być tak podły, by mnie odsądzić od czci i wiary. Poza trojgiem was każdego podejrzewałabym o łotrostwo prędzej niż jego, którego serce znam tak dobrze.

Eleonora nie oponowała, odparła tylko: - Bez względu na to, kto jest twoim tak podłym wrogiem, musisz go pozbawić złośliwej satysfakcji pokazując, jak godnie podtrzymuje cię na duchu świadomość własnej niewinności i szlachetnych zamiarów. Godna to i słuszną dumą, która daje odpór podobnej podłości.

- Och, nie! - zawołała Marianna. - Takie nieszczęście jak moje nie zna dumy. Nic mnie nie obchodzi, że ludzie wiedzą, że w rozpacz. Niechże cały świat triumfuje, widząc mnie taką. Och, siostrzo droga, dumni i niezależni mogą być tylko ci, co nie zaznali cierpienia - tacy mogą stawić czoło zniewadze czy odwzajemnić upokorzenie - ja tego nie potrafię. Muszę wszystko przeżywać, muszę cierpieć i niechże się tym cieszy, kto może.

- Ale przez wzgląd na mamę i na mnie...

- Zrobiłabym więcej dla was niż dla siebie. Ale udawać szczęśliwą, kiedym w takiej rozpacz... Och, któż może tego wymagać?

Znowu obie zamilkły. Eleonora chodziła w zamyśleniu od kominka do okna i od okna do kominka, nie zdając sobie sprawy, że jedno grzeje, za drugim zaś rozciąga się jakiś widok, a Marianna, siedząc w nogach łóżka z głową wspartą o słupek podtrzymujący baldachim, ponownie odczytywała list Willoughby'ego, drząc przy każdym czytanyim zdaniu.

- Tego za wiele! - krzyknęła. - Och, czy to może być list od ciebie? Okrutny, okrutny... nic cię nie może usprawiedliwić. Prawda, Eleonoro, nic! Choćby nie wiem co o mnie

usłyszał... Czy nie powinien był zaczekać z wyrokiem? Czy nie powinien był powiedzieć mi o tym, dać mi możliwość usprawiedliwienia? „Pukiel włosów, którym byłaś łaskawa mnie obdarzyć”... - odczytała z listu. - To nie do wybaczenia. Och, gdzie ty miałaś serce, kiedy pisałaś te słowa? Och, co za straszna niegodziwość!... Eleonoro, czy można go usprawiedliwić?

- Nie, Marianno, niczym.

- A przecież ta kobieta... Któż wie, jakich mogła użyć sztuczek... od jak dawna to obmyślała... jak zręcznie tego dokonała!... Kim ona jest? Kim może być? Czy mówił mi kiedy, czy opowiadał o jakiejś znajomej młodej i ładnej pannie? Och, nie, nigdy... mówił tylko o mnie samej.

Znowu zamilkły. Marianna była ogromnie podniecona.

- Eleonoro, muszę jechać do domu - powiedziała wreszcie. - Muszę jechać i pocieszyć mamę. Czy mogłybyśmy wyjechać jutro?

- Jutro, Marianno?

- Tak. Po cóż bym miała tu zostawać? Przyjechałam tylko dla niego... a teraz komu jestem potrzebna? Nikt o mnie nie dba.

- Niemożliwe, żebyśmy mogły jechać jutro. Winnyśmy pani Jennings więcej niż uprzejmość, a najpospolitsza uprzejmość nie pozwala na taki nagły wyjazd.

- No więc dobrze, jeszcze kilka dni, ale nie mogę tu długo zostawać. Nie mogę znosić pytań i uwag tych wszystkich ludzi. Middletonów i Palmerów... Jakże ja mam wytrzymać ich współczucie. Współczucie takiej kobiety jak lady Middleton! Och, cóż on by na to powiedział!

Eleonora poradziła siostrze, by się położyła. Przez chwilę Marianna leżała, lecz to nie przynosiło jej ulgi. Zbolała na ciele i duszy, niespokojna, co chwila zmieniała pozycję, aż wreszcie, kiedy była niemal w histerii, siostra miała trudności z utrzymaniem jej w łóżku i nawet obawiała się chwilę, że będzie musiała wezwać pomocy. Wreszcie jednak krople lawendowe, na które ją namówiła, przyniosły skutek i już do powrotu pani Jennings Marianna leżała w łóżku spokojna i nieruchoma.

ROZDZIAŁ XXX

Pani Jennings skierowała się natychmiast po powrocie do pokoju panien i nie czekając nawet na odpowiedź na swoje „czy można”, otworzyła drzwi i weszła do środka z zatroskaną twarzą.

- Jakże się czujesz, moja kochana? - zwróciła się tonem pełnym współczucia do Marianny, która odwróciła głowę, nie starając się nawet odpowiedzieć.

- Jak ona się czuje? - zapytała z kolei Eleonorę. - Biedactwo! Strasznie wygląda. Nie dziwota. Tak, tak, to prawda. Ma się wkrótce żenić... nicpoń jeden! Aż mnie trzęsie, jak o nim myślę. Powiedziała mi to przed półgodziną pani Taylor, a ona jest bliską znajomą samej panny Grey, inaczej na pewno bym w to nie uwierzyła, a i tak małam nie zemdląca. No cóż, ja na to powiem tyle tylko, że jeśli to prawda, to podle się zachował wobec pewnej mojej znajomej i życzę mu z całego serca, żeby mu za to żona odpłacała do końca jego dni. I tak będę zawsze mówić, wierzaj mi, moja kochana. Oj, nie lubię mężczyzn, co sobie w ten sposób poczynają, i jeśli go kiedykolwiek spotkam, to mu się tak ode mnie dostanie, jak od nikogo w życiu. Ale jedna jest pociecha, kochana moja panno Marianno, nie on jeden na świecie, a ty ze swoją śliczną buzią nigdy nie będziesz narzekała na brak starających. Moje biedactwo! Nie będę jej już przeszkadzać, lepiej niech się raz dobrze wypłacze i ma to już za sobą. Na szczęście wieczorem przychodzą państwo Parry i Sandersonowie, wiesz, będzie miała trochę rozrywki.

Z tymi słowy wyszła na palcach, jakby sądziła, że hałas może przysporzyć cierpienia jej młodej przyjaciółce.

Ku zdumieniu siostry Marianna powiedziała, że zejdzie na obiad. Eleonora radziła, by została w swoim pokoju, ale nie, Marianna postanowiła jednak zejść na dół. Na pewno dobrze to zniesie, a dzięki temu będzie naokoło niej mniej szumu. Eleonora rada była, że siostra raz wreszcie kieruje się takimi względami, nie nalegała więc dłużej, chociaż sądziła, że Marianna nie zdoła wysiedzieć przy stole. Poprawiła, na ile się dało, suknię leżącej wciąż na łóżku siostry i gotowa była jej towarzyszyć do jadalni, gdy tylko zostaną tam wezwane.

W jadalni Marianna, choć wyglądała jak nieszczęście, zjadła jednak nieco i zachowywała się nadspodziewanie spokojnie. Zapewne nie trwałoby to długo, gdyby próbowała rozmawiać lub była świadoma choćby części dobrodusznym, acz mało rozsądnych starań pani Jennings, by jej dogodzić, lecz żadne słowo nie wyszło z jej ust, a myślami błądziła gdzieś daleko i nie zdawała sobie sprawy z tego, co się wokół niej działo.

Eleonora doceniała zacność pani Jennings, choć wylewne tego świadectwa często

bywały kłopotliwe, a czasem wręcz śmieszne, starała się okazać za nie wdzięczność i odwzajemnić uprzejmość w imieniu siostry, która nie była do tego zdolna. Poczciwa pani Jennings widziała, że Marianna jest nieszczęśliwa, i uważała, że winno się robić wszystko, by jej w tym nieszczęściu ulżyć. Traktowała ją więc z całą wylewną serdecznością matki wobec ukochanego dziecka, które spędza w domu ostatni dzień świąt. Marianna musiała mieć najlepsze miejsce przy kominku, trzeba jej było podsuwać do zjedzenia najwyborniejsze domowe przysmaki i bawić wszystkimi nowinkami zebranych w ciągu dnia. Gdyby smutna twarz Marianny nie mroziła wszelkich przejawów radości Eleonory, z pewnością ubawiłyby ją usiłowania pani Jennings, by wyleczyć zawód miłosny za pomocą słodczy, oliwek i dobrego ognia na kominku. Kiedy jednak ustawicznie ponawiane starania kazały wreszcie Mariannie zorientować się, co się dzieje, nie mogła usiedzieć dłużej. Z rozpaczliwym okrzykiem, dając znak siostrze, by nie szła za nią, wstała i śpiesznie wybiegła z pokoju.

- Biedactwo! - zawołała natychmiast po jej wyjściu pani Jennings. - Jakże mi jej żal! I proszę, poszła na górę, nie dokończywszy takiego dobrego wina! I suszone wiśnie też zostawiła! Wielki Boże! Niczym jej teraz się nie dogodzi! Gdybym tylko wiedziała, na co by miała ochotę, zaraz bym kazała tego szukać po całym mieście. Nie mogę się nadziwić, że mężczyzna mógł się tak obejść z taką śliczną dziewczyną! Ale jak jedna ma furę pieniędzy, a druga nic zgoła, to święty Boże nie pomoże! Już im wtedy uroda nie w głowie...

- A więc owa dama... panna Grey, tak, zdaje się, mówiłaś pani... jest bardzo bogata?

- Ma pięćdziesiąt tysięcy funtów, moja droga. Widziałaś już ją kiedyś? Elegancka, szykowna panna, ale nieurodziwa. Pamiętam doskonale jej ciotkę, Bidy Henshaw. Wyszła bardzo bogato za mąż. Zresztą cała rodzina jest zamożna. Pięćdziesiąt tysięcy funtów! Trudno powiedzieć, żeby przychodziły nie w porę, bo ludzie mówią, że on jest po uszy w długach. Ale nie ma się co dziwić. Rozjeżdża się wszędzie tą swoją kariolką zaprzęzoną w parę dobrych koni! No cóż, gadanie na nic się nie zda, ale jeśli młody człowiek, wszystko jedno, kto zacz, przyjeżdża, zaleca się do młodej panny i obiecuje jej małżeństwo, to nie ma powodu, żeby łamał słowo tylko dlatego, że zbiedniał, a bogatsza dziewczyna ma na niego ochotę. Czemu w takim wypadku nie sprzeda koni, nie wynajmie domu, nie zwolni służby i nie odmieni stylu życia? Jestem przekonana, że panna Marianna zaczekałaby, aż się wszystko ułoży. Ale dzisiaj to niemożliwe, młody człowiek w jego wieku nie potrafi zrezygnować z żadnej przyjemności.

- Czy pani wie, co to za panna? Czy mówią o niej, że miła?

- Nigdy nie słyszałam o niej złego słowa, a prawdę mówiąc, w ogóle mało o niej słyszałam, tyle że pani Taylor powiadała dzisiaj, że panna Walker coś jej szepnęła, że jej

zdaniem państwo Ellison nie zmartwią się tym małżeństwem, bo ona z panią Ellison jakoś nigdy nie mogła dojść do ładu.

- A kim są państwo Ellison?

- To jej opiekunowie, duszko. Ale teraz doszła swych lat i może robić, co jej się podoba. No i zrobiła dobry wybór! - Tu przerwała na chwilę. - Twoja siostra poszła do swojego pokoju, pewno żeby rozpaczać w samotności. Czy niczym nie można jej pocieszyć? Biedactwo, to okrutne zostawiać ją samą. No, ale niedługo zjawi się paru przyjaciół, i może trochę się rozerwie. W co będziemy grać? Wiem, że nie znosi wista, ale czy nie ma jakichś gier, które lubi?

- Łaskawa pani, to zbytek dobroci. Sądzę, że Marianna nie wyjdzie już dziś wieczór z pokoju. Jeśli tylko mi się uda, namówię ją na wczesne pójście do łóżka, bo pewna jestem, że potrzeba jej odpoczynku.

- No tak, myślę, że tak będzie dla niej najlepiej. Niech powie, co chce zjeść na kolację, i idzie spać. Wielki Boże! Nie dziwota, że przez te ostatnie tygodnie tak źle wyglądała i taka była przygnębiona, bo pewno wszystko to cały czas wisiało nad jej głową. No więc, ten list, co dziś przyszedł, ostatecznie sprawę zakończył. Nieboraczka! Gdybym o tym wiedziała, za żadne skarby świata nie żartowałabym, kiedy go przynieśli. Ale powiedz, skądże ja mogłam coś podobnego przypuścić? Byłam pewna, że to nic innego jak zwyczajny list miłosny, a wiesz, jak młodzi lubią, żeby z nich podkpiwać. Boże wielki, jakże się przejmie sir John i moje córki, kiedy o tym usłyszą. Gdybym była bardziej przytomna, tobym zajechała w drodze powrotnej na Conduit Street i powiedziała im wszystko. Ale i tak jutro ich zobaczę.

- Zbędne będzie z pewnością prośzenie sir Johna i państwa Palmera w, by w obecności mojej siostry nie wspominali nawet nazwiska pana Willoughby'ego ani nie robili najmniejszych wzmianek o tym, co się stało. Własna dobroć na pewno im podszepta, że byłoby prawdziwym okrucieństwem okazywać przy niej, iż wiedzą o całej sprawie, a drogiej pani łatwo przyjdzie uwierzyć, że i moich uczuć się oszczędzi, mówiąc o tym jak najmniej.

- Och, oczywista, wiem o tym dobrze. Wyobrażam sobie, jak przykre musi być dla ciebie ludzkie gadanie, co zaś do twojej siostry, za żadne skarby nie wspomnę przy niej o tym nawet słówkiem. Sama zresztą widziałaś przy kolacji, że milczała. I to samo zrobi sir John i moje córki, bo są bardzo uważający i delikatni, zwłaszcza jak im o tym szepnę, a szepnę na pewno. Moim zdaniem, im mniej się o takich sprawach mówi, tym lepiej, szybciej wszystko minie i pójdzie w zapomnienie. Co dobrego przyniosło kiedykolwiek gadanie?

- Nam może przynieść tylko szkodę, o wiele większą, sądzą, niż w innych podobnych wypadkach, gdyż tutaj zachodzą pewne okoliczności, które, dla dobra zainteresowanych, nie

powinny być tematem publicznych rozmów. Muszę w jednym oddać sprawiedliwość panu Willoughby'emu - on nie zerwał zaręczyn z moją siostrą.

- Też gadanie! Nie próbuj go tylko bronić. Nie zerwał zaręczyn? I co jeszcze? Przecież oprowadzał ją po całym dworze Allenham, po tych pokojach, w których mieli w przyszłości mieszkać!

Ze względu na siostrę Eleonora nie chciała się nad tym rozwodzić, a sądziła, że wobec pana Willoughby'ego też nie ma tego obowiązku, gdyż powiedzenie pani Jennings o wszystkim mogłoby bardzo zaszkodzić opinii Marianny, a jemu niewiele by pomogło. Po krótkiej chwili milczenia pani domu zaczęła mówić z całą wrodzoną jowialną wesołością:

- Ale, moja kochana, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, bo to wyjdzie na dobre pułkownikowi Brandonowi. Będzie ją na koniec miał, powiadam ci! Zobaczysz, że się do świętego Jana pobiorą. Zapamiętaj moje słowa! Boże Święty, jak ja się będę śmiała, kiedy mi o tym powiedzą. Myślę, że on dziś wieczór przyjdzie. Dla twojej siostry to będzie o wiele lepsza partia. Dwa tysiące rocznie bez długów czy zobowiązań... Aha, tylko to nieślubne dziecko, prawda, całkiem o niej zapomniałam, ale można ją oddać małym kosztem do terminu! Nie ma się o co martwić! Delaford jest bardzo ładne, powiadam ci, to właśnie, co nazywam miłym staroświeckim dworem: wygodny, dobrze wyposażony dom, ogród zamknięty wysokim murem, obsadzonym najlepszymi drzewami owocowymi w kraju, a w jednym rogu rośnie taka wspaniała morwa! Panie Wielki! Jak myśmy się objadły z Charlottą, kiedyśmy tam ten jeden jedyny raz były! A jest i gołębnik, i cudowne stawy rybne, i bardzo ładniutki kanał, jednym słowem, wszystko, czego dusza zapragnie, a poza tym kościół bliźniutki i tylko ćwierć mili od gościńca, nigdy się więc człowiek nie nudzi, bo jak pójdziesz i przysiądziesz w starej cisowej altanie za domem, możesz sobie oglądać wszystkie przejeżdżające powozy. Och, urocze miejsce! Rzeźnik tuż obok w wiosce, a plebania o kilka kroków. Moim zdaniem, stokroć ładniejsze od Barton Park, gdzie trzeba posyłać trzy mile po mięso, a jedynym bliskim sąsiedztwem jest twoja matka. No cóż, dodam pułkownikowi ducha, jak się tylko okazja nadarzy. Apetyt przychodzi w miarę jedzenia, wiesz dobrze. Żebyśmy tylko mogły wybić jej tego Willoughby'ego z głowy!

- Ach, gdybyśmy tylko mogły - westchnęła Eleonora - wszystko inne przestałoby być problemem, z pułkownikiem czy bez niego. - Po czym wstała i poszła do Marianny, którą zastała, zgodnie z przewidywaniami, w sypialni, pochyloną w milczącej rozpacz nad dogasającym ogniem, jedynym źródłem światła.

- Lepiej zostaw mnie samą - tymi słowy skwitowała wejście siostry do pokoju.

- Zostawię cię samą, jeśli położysz się do łóżka. - Lecz Marianna, powodowana

chwilową przekorą płynącą z chorobliwego zniecierpliwienia, z początku odmówiła. Poważne, choć łagodne namowy siostry wkrótce skłoniły ją jednak do uległości i przyłożyła zbolaną głowę do poduszki, a Eleonora wychodząc sądziła, że biedaczka zazna trochę spokojnego snu.

W salonie, do którego weszła, znalazła się po chwili pani Jennings, niosąc w ręku kieliszek.

- Moja droga - zaczęła od progu - właśnie sobie przypomniała, że mam w domu trochę przewybornego starego wina z Konstancy, przyniosłam więc twojej siostrze kieliszeczek. Jakże mój mąż, biedaczek, lubił to wino! Za każdym razem, kiedy go łąpała ta jego straszna podagra, to wino bardziej mu pomagało niż wszystkie inne leki. Zanieś je siostrze, proszę.

- Jaka pani dobra - Eleonora nie mogła powstrzymać uśmiechu na myśl, jak różne dolegliwości ma rzekomo leczyć ów trunek. - Zostawiłam jednak przed chwilą Mariannę w łóżku, już prawie zasypiała, a sądzę, że nic nie jest jej teraz tak potrzebne jak sen, więc za pozwoleniem pani sama wypiję to wino.

Pani Jennings żałowała ogromnie, że nie przyszła była o pięć minut wcześniej, ale przystała na kompromis, Eleonora zaś, wypijając niemal całe wino, pomyślała, że choć w jej wypadku niewielkie mają znaczenie zbawienne skutki, jakie wywiera ten lek na podagrę, to jako lekarstwo na zawód miłosny można go z równym powodzeniem wypróbować na niej, jak na siostrze.

Pułkownik Brandon przyszedł, kiedy towarzystwo piło herbatę, a z tego, jak się rozejrzał po pokoju, Eleonora domyśliła się natychmiast, że ani się tu Marianny nie spodziewał, ani nie chciał zastać, jednym słowem, że dobrze już zna przyczynę jej nieobecności. Podobna myśl nie przyszła pani Jennings do głowy, rychło bowiem po jego przyjściu przeszła przez pokój ku stolikowi z zastawą do herbaty, za którym przydowała Eleonora, i szepnęła: - Widzisz, pułkownik wygląda ponuro jak zwykle. Jeszcze nic o tym nie wie, powiedz mu więc, moja kochana.

Po niedługiej chwili przysunął sobie do Eleonory krzesło i z miną, która upewniła ją całkowicie, że wszystko już jest mu wiadome, zapytał o zdrowie siostry.

- Marianna źle się czuje - odparła. - Cały dzień była niedysponowana i namówiliśmy ją, żeby poszła do łóżka.

- Wobec tego - odparł z wahaniem - to, co dzisiaj słyszałem, może być... może jest w tym więcej prawdy, niż skłonny byłem z początku przypuszczać.

- A cóż pan słyszał?

- Że młody człowiek, z którym, miałem powody sądzić... że, jednym słowem, młody człowiek, z którym, jak wiem, była zaręczona... Ale jakże ja mam ci to, pani, powiedzieć? Jeśli wiesz już o tym, a zapewne wiesz, możesz mi oszczędzić tłumaczeń.

- Chce pan powiedzieć - odparła Eleonora z wymuszonym spokojem - o małżeństwie pana Willoughby'ego z panną Grey? Tak, wiemy o tym. Dziś jest zapewne dzień, w którym wszystkim otworzyły się oczy, bowiem i my dowiedziałyśmy się prawdy właśnie dzisiejszego ranka. Pan Willoughby jest pełen niespodzianek! A gdzież pan się tego dowiedział?

- W sklepie papierniczym na Pall Mall, gdzie miałem coś do załatwienia. Dwie damy czekały na swój ekwipaż i jedna przekazywała drugiej szczegółowe wiadomości o planowanym mariażu, nie próbując nawet ściszać głosu, tak że musiałem wszystko usłyszeć. Najpierw zwróciło moją uwagę nazwisko Willoughby, John Willoughby, a następnie usłyszałem stanowcze stwierdzenie, że wszystko, co tyczy jego małżeństwa z panną Grey, zostało ostatecznie uzgodnione, że nie będzie już dłużej utrzymywane w sekrecie, że ceremonia odbędzie się za kilka tygodni, usłyszałem też wiele szczegółów co do podjętych w związku z nią przygotowań. Jedna rzecz szczególnie utkwiała mi w pamięci, posłużyła mi bowiem do zidentyfikowania owego dżentelmena, mianowicie zaraz po ceremonii ślubnej mają jechać do Combe Magna, jego majątku w hrabstwie Somerset. Można sobie wyobrazić moje zdumienie!... Nie sposób opisać, co czułem. Dowiedziałem się później - zachekałem bowiem w sklepie na ich wyjście - że owa gadatliwa dama nazywa się pani Ellison, a jak mnie poinformowano, takie nazwisko noszą opiekunowie panny Grey.

- To prawda. A czy słyszał pan również, że panna Grey ma pięćdziesiąt tysięcy funtów posagu? Sądzę, że w tym właśnie, nie w czym innym, należy szukać wytłumaczenia.

- Bardzo możliwe... ale ten człowiek jest zdolny... przynajmniej ja tak sądzę... - zamilkł na chwilę, potem zapytał głosem, nad którym jakby nie mógł zapanować: - A siostra pani? Jak ona?...

- Cierpi bardzo. Mogę mieć tylko nadzieję, że będzie cierpiała proporcjonalnie krótko. To było... to jest wielkie nieszczęście. Do wczoraj, myślę, pewna była jego uczucia, a i teraz jeszcze, być może... ale jestem przekonana, że on nigdy nic dla niej nie czuł. Zwodził ją... a pod pewnymi względami... myślę... że to chyba człowiek bez serca.

- Tak - przytaknął pułkownik. - Co do tego nie ma wątpliwości. Ale twoja siostra, pani... tak, zdaje się, powiedziałaś... siostra nie widzi tego w takim jak ty, pani, świetle?

- Zna pan jej usposobienie i wie, jak łatwo usprawiedliwiłaby go, gdyby tylko mogła.

Nie odpowiedział. Po chwili sprzątnięto zastawę do herbaty i towarzystwo rozsadzono przy różnych stolikach karcianych, musieli więc, oczywista, zaniechać tego tematu. Pani

Jennings przyglądała się z zadowoleniem ich rozmowie, spodziewając się, że na skutek wiadomości zakomunikowanej przez pannę Dashwood pułkownik okaże natychmiast oznaki wesela, jak przystoi mężczyźnie w kwiecie wieku, stwierdziła jednak ze zdumieniem, że przez cały wieczór był jeszcze poważniejszy i bardziej zamyślony niż zwykle.

ROZDZIAŁ XXXI

Marianna obudziła się następnego ranka po nocy przespanej lepiej, niż przypuszczała, lecz z tym samym poczuciem nieszczęścia, z jakim zamykała oczy.

Eleonora namawiała ją, by nie tała tego, co czuje, i nim podano śniadanie, obie siostry ponownie omówiły wszystko - starsza miała zdanie w tej sprawie ustalone i pragnęła tylko służyć młodszej serdeczną radą - Marianna wciąż była niezdecydowana i równie jak poprzednio krańcowa w opiniach. Raz była zdolna uwierzyć, że Willoughby jest równie nieszczęśliwy i niewinny, jak ona, to znowu była niepokieszona, nie mogąc go w żaden sposób usprawiedliwić. Raz obojętne jej było zainteresowanie całego świata, w następnej chwili chciała usunąć się z dala od niego na wieki, to znów - postanawiała stawić mu czoło. W jednej tylko sprawie pozostawała niewzruszenie uparta - chciała unikać, jak się da, pani Jennings i nie odzywać się do niej, kiedy będzie musiała w jej obecności przebywać. Zawzięła się w przekonaniu, że pani Jennings nie ma ani krzty współczucia dla jej nieszczęścia.

- Nie, nie! - krzyczała. - To osoba wyzbyta wszelkiej wrażliwości. Jej dobroć to nie współczucie, jej dobroduszość to nie serdeczność. Ona chce tylko jednego - plotek, a lubi mnie teraz dlatego, że jej dostarczam tematu.

Eleonora i bez tego wiedziała, jak często siostra wydaje niesprawiedliwe sądy o ludziach, a to na skutek popędliwości, drażliwego przewrażliwienia i przykładania nadmiernej wagi do silnej uczuciowości oraz do uroku gładkiego obejścia. Jak połowa ludzi - jeśli większość to ludzie i dobrzy, i mądrzy - choć obdarzona i dużymi zdolnościami, i dobrym charakterem, nie była ani rozsądna, ani bezstronna. Oczekiwała od ludzi takich samych jak jej własne opinii i wrażeń, a motywy ich postępowania oceniała zależnie od tego, jakie odczuła skutki na swojej osobie. Kiedy siostry siedziały w sypialni po śniadaniu, wydarzyło się coś, co jeszcze bardziej podważyło w jej oczach wiarę w dobroć pani Jennings, która przypadkiem zadała swej podopiecznej nowy ból, choć kierowała nią jedynie życzliwość, a panna zawdzięczała ból własnej słabości.

Z listem w wyciągniętej ręce i z wesoło uśmiechniętą twarzą, przekonana, iż niesie pociechę, zacna dama weszła do pokoju, mówiąc:

- Proszę, przynoszę ci tu, moja duszko, coś, co ci z pewnością poprawi humor.

Te słowa wystarczyły Mariannie. Natychmiast oczyma wyobraźni ujrzała list od pana Willoughby'ego, pełen czułości i skruchy, tłumaczący wiarygodnie wszystko, co zaszło, przekonujący, a natychmiast za listem pana Willoughby'ego we własnej osobie, który wbiega

jak wichur do pokoju, pada do jej stóp, zapewniając ją wymownym wzrokiem o prawdziwości wszystkiego, co jest na papierze. Lecz dzieło jednej chwili rozsypało się w gruzy w chwili następnej. Zobaczyła pismo swojej matki, dotąd zawsze jej miłe, i poczuła tak dojmujący ból rozczarowania, po tej ekstatycznej nadziei, że wydawało jej się w owej chwili, iż jeszcze nigdy dotąd nie cierpiała.

Nawet w największym przypiływie elokwencji nie potrafiłaby znaleźć słów, zdolnych określić rozmiar okrucieństwa pani Jennings, toteż jedyną jej wymówką był potok łez, które z namiętną gwałtownością trysnęły z jej oczu. Zaczyna jednak matrona ani nie zrozumiała tej wymówki, ani nie przyjęła jej do siebie, i wyraziwszy kilka razy swoje współczucie, wyszła, raz jeszcze wskazując na list jako źródło pocieszenia. Kiedy jednak Marianna uspokoiła się na tyle, by móc go przeczytać, niewielką znalazła pociechę. Willoughby był na każdej stronie. Pani Dashwood, wciąż przekonana, że są zaręczeni, jak zwykle pewna stałości młodego człowieka, postanowiła jedynie, pod wpływem nalegań Eleonory, zwrócić się do Marianny z prośbą o większą szczerłość wobec matki i siostry, a prośbę tę opatrzyła wyrazami takiej serdeczności dla córki, tak tkliwego uczucia dla pana Willoughby'ego i takiej pewności co do ich przyszłego wspólnego szczęścia, że czytając to, młoda panna łkała przez cały czas z rozpaczą.

Wróciła niecierpliwa chęć powrotu do domu. Matka była jej teraz droższa niż kiedykolwiek, droższa właśnie poprzez tę nadmierną i nieopatrzną ufność pokładaną w panu Willoughbym, toteż Marianna zapragnęła nieprzytomnie natychmiast wyjeżdżać. Eleonora nie bardzo wiedziała, czy dla siostry lepiej będzie pozostać w Londynie, czy jechać do Barton, opowiadała się więc jedynie za tym, by poczekać cierpliwie na decyzję matki w tej sprawie, i uzyskała wreszcie od siostry zgodę.

Pani Jennings opuściła je wcześniej niż zwykle, nie mogła bowiem spocząć, póki Middletonowie i Palmerowie nie zaczną się zamartwiać tak samo jak ona. Kategorycznie odrzuciła propozycję Eleonory, która ofiarowała się jej towarzyszyć, i wyjechała sama na resztę przedpołudnia. Z ciężkim sercem, świadoma bólu, jaki zadaje, rozumiejąc z listu do Marianny, jak nie udało się jej przygotować gruntu, Eleonora usiadła i napisała matce sprawozdanie z ostatnich wydarzeń, prosząc o wskazówki co do dalszego postępowania. Przez cały czas Marianna, która zeszła na dół po wyjściu pani Jennings, siedziała nieruchomo przy stole, na którym siostra pisała list, śledząc wzrokiem poruszenia jej pióra, bolejąc nad jej ciężkim zadaniem, a jeszcze bardziej - nad skutkami, jakie list przyniesie.

Tak siedziały razem przez piętnaście minut, kiedy nagle Marianna, którą nerwy podrywały przy każdym niespodziewanym dźwięku, drgnęła, słysząc kołatanie do drzwi.

- Któż to może być? - zdumiała się Eleonora. - I to tak wcześniej! Sądziłam, że nic nam nie grozi.

Marianna podeszła do okna.

- To pułkownik Brandon - powiedziała z irytacją. - On nam zawsze zagraża.

- Nie wejdzie pod nieobecność pani Jennings.

- Nie wierzę - oświadczyła Marianna, kierując się do swojego pokoju. - Człowiek, który nie wie, co robić ze swoim czasem, nie zdaje sobie sprawy, że zabiera czas innym.

Okazało się, że miała rację, choć przyjęła założenie niesprawiedliwe i niesłuszne. Pułkownik Brandon wszedł istotnie, a Eleonora pewna, że sprowadza go tutaj troska o Mariannę, która wyzierała z jego zgnębionej i smutnej twarzy, i z niespokojnych, choć zwięzłych pytań o jej zdrowie, nie mogła wybaczyć siostrze, że mówi o nim tak lekceważąco.

- Spotkałem panią Jennings na Bond Street - zaczął natychmiast po przywitaniu - i namówiła mnie, abym tu przyszedł, mnie zaś o tyle łatwo było namówić, żem przypuszczał, iż może zastanę tu panią samą, czego bardzo pragnąłem. Moim celem... moim życzeniem... moim jedynym celem w tym życzeniu... jest... tak sądzę... mam nadzieję... jest niesienie pociechy... nie, nie, to niewłaściwe słowo... nie natychmiastowej pociechy... lecz przeświadczenia, pewności, całkowitej pewności, jaką będzie mogła zdobyć siostra pani. Szacunek mój dla niej, dla ciebie, pani... dla waszej matki... proszę mi pozwolić, bym go dowiódł, relacjonując pewne zdarzenia, które tylko najgłębsze poważanie... tylko najgłębsza chęć okazania się użytecznym... myślę, iż mnie to usprawiedliwia... iż mam podstawy... choć, jeśli trzeba mi było tylu godzin, by przekonać samego siebie, że mam słuszność, to może istnieją również podstawy do obaw, że się mylę... - tu przerwał.

- Rozumiem, o co panu idzie - powiedziała Eleonora. - Masz mi pan do powiedzenia o panu Willoughbym coś, co rzuci dalsze światło na jego osobę. Powiedzenie tego będzie największym dowodem życzliwości, jaki możesz pan złożyć mojej siostrze. Każda informacja w tej materii zdobędzie panu natychmiast moją wdzięczność, a jej... z czasem. Proszę, powiedz mi pan wszystko.

- Powiem. Krótko mówiąc, kiedy wyjeżdżałem z Barton w październiku... ale nie, w ten sposób nic, pani, nie zrozumiesz... Muszę się cofnąć jeszcze dalej. Okażę się w pani oczach ogromnie niezręcznym narratorem, nie bardzo wiem, od czego zacząć. Chyba niezbędne jest jednak krótkie wyjaśnienie związane z moją osobą, a będzie ono na pewno krótkie. Ten temat - tu westchnął lekko - nieszczęśliwie skłania do gadulstwa.

Przerwał na chwilę, by zebrać myśli, a potem, westchnąwszy raz jeszcze, podjął:

- Zapewne zapomniałaś, pani, że szczętem pewną naszą rozmowę (nie sądzę,

doprawdy, by czymkolwiek mogła się zapisać w twojej pamięci), rozmowę, jaką prowadziliśmy kiedyś we dworze Barton... To był wieczór taneczny... kiedy to wspomniałem o pewnej znajomej mi niegdyś damie, która pod pewnymi względami ogromnie przypominała twoją siostrę, pani.

- Nie - odparła Eleonora. - Nie zapomniałam o tej rozmowie.

Pułkownik przyjął to z widocznym zadowoleniem i mówił dalej:

- Jeśli nie łudzi mnie mglistość i stronniczość drogiego wspomnienia, istnieje między nimi ogromne podobieństwo, zarówno zewnętrzne, jak wewnętrzne. Równie gorące serce, ta sama energia i żywość wyobraźni. Dama ta była moją bliską krewną, siostrą od kołyski, wychowywaną pod opieką mego ojca. Niemal równi wiekiem, od najwcześniejszych dni byliśmy przyjaciółmi i towarzyszami wspólnych zabaw. Nie pamiętam czasów, kiedy nie kochałem Elizy. Sądząc z mojej obecnej rozpaczliwej, smutnej powagi nie przypuściłaby pani zapewne, bym zdolny był kiedykolwiek do takiego uczucia, jakie zacząłem żywić do niej, kiedyśmy dorośli. Jej sentyment dla mnie był, sądzę, równie gorący, jak sentyment siostry pani dla pana Willoughby'ego, skończył się też, choć z innej przyczyny, równie nieszczęśliwie. Kiedy miała siedemnaście lat, utraciłem ją na zawsze. Została poślubiona, poślubiona wbrew swej woli - mojemu bratu. Była bardzo posażna, a nasz majątek rodzinny znajdował się w długach. Obawiam się, że to jest wszystko, czym można wytłumaczyć postępowanie człowieka, który był jednocześnie jej wujem i opiekunem. Brat mój nie zasługiwał na nią, nie kochał jej nawet. Liczyłem, że to, co do mnie czuje, doda jej sił we wszystkich trudnościach i przez pewien czas tak było w istocie, wreszcie jednak niedola, jaką cierpiała, doznała bowiem wielkiej krzywdy, obróciła wniwecz pierwotne postanowienia, i chociaż mi przyrzekła, iż nic... ale jakże ja chaotycznie opowiadam... Nie powiedziałem jeszcze, jak do tego doszło. Tylko kilka godzin brakowało, byśmy uciekli potajemnie do Szkocji. Zdradziła nas pokojówka mojej kuzynki przez swoją głupotę. Mnie zesłano do leżącego w dużej odległości domu jednego z krewnych, ją pozbawiono wszelkiej wolności, towarzystwa, przyjemności, dopóki ojciec nie postawił na swoim. Polegałem niemal bezgranicznie na jej męstwie, toteż cios był ciężki, ale gdyby jej małżeństwo okazało się szczęśliwe, pogodziłbym się z nim pewno po kilku miesiącach, byłem przecież taki młody, a w każdym razie nie musiałbym go dzisiaj opłakiwać. Lecz tak się nie stało. Mój brat nie okazywał jej najmniejszych względów. Pozwalał sobie na nieodpowiednie rozrywki, a ją od początku traktował źle. Wywołało to zrozumiałą reakcję u osoby tak młodej, żywej, tak niedoświadczonej jak ona. Z początku poddała się całkowicie swojej niedoli, a byłoby szczęściem, gdyby nie dożyła chwili, w której żal po mnie poszedł w niepamięć. Czy można

się jednak dziwić, że przy mężu, który dawał przykład niewierności, pozbawiona przyjaciół, którzy by ją mogli powstrzymać czy wspomóc radą (ojciec mój umarł w kilka miesięcy po ich ślubie, a ja byłem w Indiach Wschodnich z moim regimentem)... czy można się dziwić jej upadkowi? Może gdybym był pozostał w Anglii... ale chciałem, dla ich szczęścia, odsunąć się od niej na kilka lat i w tym celu załatwiłem sobie przeniesienie. Wstrząs, jakim była dla mnie wiadomość o jej ślubie - mówił dalej głosem pełnym ogromnego przejęcia - był niczym w porównaniu z tym, co odczułem w dwa lata później, dowiedziawszy się o jej rozwodzie. To właśnie rzuciło na mnie ten nieustanny smutek... i nawet dzisiaj wspomnienie tego, co cierpiałem...

Nie mógł mówić dalej, poderwał się z krzesła i przez kilka minut chodził po pokoju. Przejęta jego opowieścią, a jeszcze bardziej cierpieniem, Eleonora nie mogła dobyć słowa. Zobaczył jej wzruszenie, podszedł, ujął jej dłoń, ucisnął i ucałował z pełnym wdzięczności szacunkiem. Przez kilka chwil mocował się z sobą w milczeniu, wreszcie zaczął spokojnie mówić dalej:

- Upłynęły niemal trzy lata po tym strasznym okresie, kiedy wróciłem do Anglii. Po powrocie pierwszą moją troską było odnalezienie jej, lecz poszukiwania były smutne i bezowocne. Odszukałem jej ślad do pierwszego uwodziciela, a miałem wszelkie podstawy do obaw, że odeszła od niego tylko po to, by głębiej utonąć w grzechu. Otrzymywane przez nią zgodnie z kontraktem małżeńskim sumy na drobne wydatki nie stały w żadnym stosunku do majątku i nie mogły wystarczyć na dostatnie życie, a dowiedziałem się od mego brata, że przed kilku miesiącami prawo odbierania tych pieniędzy przeniesione zostało na inną osobę. Twierdził, i to z całym spokojem, że zapewne jej rozrzutność i związane z tym kłopoty pieniężne doprowadziły do tego, że zrzekła się owych praw za jakąś jednorazową sumę. Wreszcie, po półrocznym pobycie w Anglii, odnalazłem ją. Względy, jakimi obdarzałem mojego dawnego służącego, który w tym czasie znalazł się w więzieniu za długi, kazały mi go odwiedzić w nieszczęściu, i tam, w tym samym domu, w takim samym zamknięciu znalazłem moją nieszczęsną bratową. Taką zmienioną... zwiędłą, zniszczoną wszystkimi, jakże ciężkimi przejściami. Niemał nie mogłem uwierzyć, że ta smutna, schorowana osoba, stojąca przede mną, to wszystko, co zostało z uroczej, kwitnącej zdrowiem dziewczyny, którą niegdyś uwielbiałem. Co wycierpiałem, kiedy ją taką oglądałem... Nie mam jednak prawa ranić twoich uczuć, pani, usiłując to opisać... Już i tak zbyt wielką sprawiłem ci przykrość. Że znajdowała się, sądząc z pozorów, w ostatnim stadium gruźlicy, było... tak, w tej sytuacji było mi największą pociechą. Życie nie mogło nic jej przynieść, chyba tylko czas na lepsze przygotowanie do śmierci, a ten czas został jej dany. Umieściłem ją w wygodnym mieszkaniu

pod odpowiednią opieką. Odwiedzałem ją każdego dnia przez resztę jej krótkiego życia. Byłem przy niej w ostatnich chwilach.

Znowu przerwał, by się uspokoić, a Eleonora wyraziła swoje uczucia okrzykiem współczucia nad losem nieszczęsnej damy.

- Siostry pani - ciągnął - nie może obrażać podobieństwo, jakie widzę w duszy pomiędzy nią a moją nieszczęsną, zhańbioną kuzynką. Ich losy, przypadki są i muszą być odmienne, lecz gdyby wrodzonego słodkiego usposobienia tamtej strzegła silniejsza wola czy szczęśliwe małżeństwo, mogłaby być taka sama, jaką pani ujrzy jeszcze kiedyś swoją siostrę. Do czego jednak to wszystko zmierza? Mogłoby się wydawać, że smucę cię, pani, bez przyczyny. Och, droga pani, taki temat, podjęty po czternastu latach milczenia... to rzecz groźna! Postaram się być bardziej opanowany, bardziej zwięzły. Pozostawiła mojej opiece jedyne dziecko, malutką dziewczynkę, owoc pierwszego grzesznego związku. Kochała swoją córeczkę i nigdy się z nią nie rozstawała. Mała miała wówczas blisko trzy lata. Był to dla mnie drogi, miły sercu obowiązek i jakże chętnie wypełniałbym go osobiście, sam pilnując jej wykształcenia, gdyby pozwalala na to nasza sytuacja, ale ja nie miałem rodziny ani domu, musiałem więc umieścić moją małą Elizę w szkole. Jeździłem tam do niej, kiedy tylko mogłem, a po śmierci mego brata (nastąpiła ona pięć lat temu, wszedłem wówczas w posiadanie majątku rodzinnego) odwiedzała mnie często w Delaford. Przedstawiałem ją jako moją daleką krewną, ale doskonale zdaję sobie sprawę, że wszyscy podejrzewali, iż łączy nas o wiele bliższe pokrewieństwo. Trzy lata temu (właśnie zaczęła czternasty rok) odebrałem ją ze szkoły i umieściłem pod opieką pewnej godnej szacunku kobiety w hrabstwie Dorset. Pani ta miała w swojej pieczy kilka dziewcząt w tym samym mniej więcej wieku. Przez dwa lata miałem wszystkie powody do zadowolenia. Lecz w lutym, blisko rok temu, nagle zniknęła. Uległem (jak później się okazało nierozważnie) jej usilnym prośbom i pozwoliłem pojechać do Bath razem z jedną z młodych przyjaciółek, która towarzyszyła tam ojcu jadącemu na kurację. Wiedziałem, że to człowiek zacny, a o jego córce miałem dobre mniemanie - lepsze, niż zasługiwała, gdyż uparcie i niemądrze obstawała później przy zachowaniu tajemnicy, nie chcąc nic powiedzieć, rzucić na sprawę najmniejszego światła, choć z pewnością wiedziała wszystko. Jej ojciec, człowiek poczciwy, lecz niezbyt spostrzegawczy, istotnie, jak sądzę, nie mógł mi udzielić żadnych informacji, większość czasu bowiem musiał spędzać w domu, podczas gdy panny biegały po mieście i zawierały wszelkie znajomości, na jakie tylko przyszła im ochota. Starał się mnie przekonać równie mocno, jak sam był o tym przekonany, iż jego córka nie ma nic wspólnego z całą sprawą. Krótko mówiąc, nie mogłem się dowiedzieć niczego więcej, prócz tego, że jej nie ma. Reszta, przez osiem miesięcy,

pozostawała polem do domysłów. Można sobie wyobrazić, co myślałem, czego się obawiałem, a również i to, co cierpiałem.

- Wielkie nieba! - zakrzyknęła Eleonora. - Czyżby to był... czyżby to był pan Willoughby?

- Pierwsza o niej wiadomość, jaka do mnie dotarła - ciągnął - przyszła w październiku w liście od niej samej. Przysłano mi ten list z Delaford, a otrzymałem go owego ranka, kiedy mieliśmy zrobić wycieczkę do Whitwell. To była właśnie przyczyna mego nagłego wyjazdu z Barton, który, jak sędzę, musiał wszystkich zdziwić, a niektórych urazić. Nie wyobrażał sobie zapewne pan Willoughby, oskarżając mnie wzrokiem o złe wychowanie i psucie innym zabawy, że został wezwany na pomoc tej, która przez niego znalazła się w nieszczęściu i biedzie... Ale też, jaki przyszedłby pożytek z tego, gdyby wiedział? Czy mniej radośnie i wesoło uśmiechałby się do twojej siostry, pani? O, nie, przecież on uczynił już był to, czego nie zrobiłby żaden mężczyzna mający resztki uczuć w sercu. Opuścił dziewczynę, której odebrał podstępnie młodość i niewinność, zostawił ją w rozpaczliwej sytuacji, bez przyzwoitego domu, bez pomocy, przyjaciół, nie znającą jego adresu. Pozostawił ją, obiecując wrócić. Ani do niej nie wrócił, ani nie napisał, ani nie pomógł.

- To przechodzi wszelkie wyobrażenie! - zawołała Eleonora.

- Zna pani teraz całą prawdę o nim: rozrzutny, rozpustny i gorzej niż to wszystko. Proszę sobie wyobrazić, co musiałem przeżywać, wiedząc to wszystko od wielu tygodni i widząc, że twoja siostra wciąż darzy go uczuciem, słysząc zapewnienia, że ma za niego wyjść za mąż, co musiałem przeżywać, myśląc o waszej rodzinie. Kiedy przyszedłem tu w zeszłym tygodniu i zastałem cię, pani, samą, chciałem koniecznie poznać prawdę, choć nie byłem zdecydowany, co uczynię, gdy ją poznam. Musiało ci się wydać dziwne moje zachowanie, teraz jednak rozumiesz, pani, wszystko. Ścierpieć, byście się tak oszukiwały co do jego osoby... patrzeć, jak twoja siostra... cóż jednak mogłem zrobić? Nie miałem nadziei, by moja interwencja przyniosła skutek, a czasem przychodziło mi też do głowy, że może on się odmieni pod wpływem twojej siostry. Ale teraz, po tak haniebnym postępku, czy można wiedzieć, jakie miał względem niej zamiary? Jakiegokolwiek jednak one były, siostra twoja, pani, może teraz i na pewno będzie wdzięcznie myśleć o swojej sytuacji, kiedy ją porówna z sytuacją biednej Elizy, kiedy się zastanowi, jak straszne, jak beznadziejne jest położenie nieszczęsnej dziewczyny, która wciąż, w dalszym ciągu darzy go równie silnym jak panna Marianna uczuciem, dręczona wyrzutami, które nie opuszczą jej już aż do śmierci. Z pewnością takie porównanie musi jej przynieść ulgę. Własne cierpienia wydadzą jej się zgoła niczym. Nie są skutkiem występku i nie przynoszą hańby. Wprost przeciwnie, zapewnią jej

jeszcze silniejsze przywiązanie wszystkich przyjaciół. Wszelki dla niej afekt musi tylko wzrosnąć pod wpływem współczucia dla jej nieszczęścia i szacunku dla jej męstwa. Proszę, powtórz jej to, co ci powiedziałem, lub zachowaj dla siebie, według własnego uznania. Pani wiesz najlepiej, jaki przyniesie to skutek, gdybym jednak nie był gruntownie, z całego serca przekonany, że to, co mówię, może być dla niej z pożytkiem, może zmniejszyć jej żal, nie pozwoliłbym sobie na robienie ci, pani, przykrości opowiadaniem o moich rodzinnych nieszczęściach, jakby zamierzonym na to, bym się wynosił cudzym kosztem.

Eleonora z powagą i wdzięcznością podziękowała mu za jego wyznanie, powiedziała też, że uważa, iż dla Marianny będzie ono z pożytkiem.

- Większy sprawiają mi ból - tłumaczyła - jej starania, by znaleźć dla niego jakieś usprawiedliwienie, niż wszystko inne, gdyż jątrzy ją to bardziej niż najgłębsze przekonanie o jego łotrostwie. Teraz, choć w pierwszej chwili będzie cierpiała, odczuje jednak ulgę. To pewne. Czy pan - ciągnęła po krótkiej chwili milczenia - widział się z panem Willoughbym po wyjeździe z Barton?

- Tak - odparł z powagą. - Raz. To jedno spotkanie było nieuniknione.

Eleonora, zaskoczona tonem, jakim to powiedział, spojrzała na niego z obawą i spytała:

- Co? Czyżbyście się spotkali, by...

- Nie mogło to być inne spotkanie. Eliza z największą niechęcią wyznała mi wreszcie nazwisko swego uwodziciela. Kiedy przyjechał do Londynu, było to w dwa tygodnie po moim powrocie, spotkaliśmy się za uprzednim porozumieniem, on - by się bronić, ja - by pokarać jego uczynki. Powróciliśmy cali, toteż wiadomość o spotkaniu nie rozeszła się po mieście.

Eleonora westchnęła, gdyż konieczność tego spotkania wydała jej się wątpliwa, nie pozwoliła sobie jednak na słowa krytyki wobec mężczyzny i żołnierza.

- Takie jest - podjął po chwili pułkownik - nieszczęsne podobieństwo losów matki i córki! Jakże źle wywiązałem się z powierzonego mi zadania!

- Czy ona jest w Londynie?

- Nie. Natychmiast, gdy przysłała do zdrowia po położu, bo kiedy ją zobaczyłem, była bliska rozwiązania, przewiozłem ją i dziecko na wieś, gdzie są dotychczas.

Po chwili przypomniał sobie, że zapewne rozłączył był siostry, zakończył więc wizytę, otrzymawszy od Eleonory ponowne słowa wdzięczności, podyktowane również współczuciem i szacunkiem.

ROZDZIAŁ XXXII

Kiedy Eleonora po niedługim czasie powtórzyła tę rozmowę siostrze, skutek był nie całkiem taki, jaki sobie wyobrażała. Nie, żeby Marianna podawała w wątpliwość cokolwiek z jej relacji, słuchała bowiem pilnie i ulegle, nie robiła żadnych uwag ani zastrzeżeń, nie próbowała usprawiedliwień i płaczem swoim udowadniała, że uważa wszelkie usprawiedliwienie za niemożliwe. Choć jednak Eleonora była pewna, że siostra została ostatecznie przekonana o jego winie, chociaż z zadowoleniem obserwowała tego skutki, gdyż Marianna nie unikała już pułkownika podczas wizyt i rozmawiała z nim, a nawet sama pierwsza odezwała się do niego z szacunkiem i współczuciem zarazem, a ponadto nie była już tak gwałtownie rozdrażniona jak dawniej - jej rozpacz się nie zmniejszyła. Wiedziała już teraz, co myśleć, lecz były to myśli ponure i przygnębiające. O wiele ciężej przyszło jej pogodzić się z brakiem czci młodego człowieka niż z utratą jego miłości: uwiedzenie i porzucenie panny Williams, niedola nieszczęsnej dziewczyny, wątpliwości co do tego, jakie zamiary żywił był niegdyś wobec niej samej - wszystko to trawiło ją tak silnym wewnętrznym ogniem, że o tym, co czuje, nie mogła mówić nawet z Eleonorą, a rozmyślając w milczeniu nad swym nieszczęściem, większy sprawiała ból siostrze, niż gdyby jej się często i szczerze zwierzała.

Aby przekazać uczucia czy słowa pani Dashwood, kiedy otrzymała list Eleonory i odpisywała nań - trzeba by powtórzyć wszystko, co jej córki już odczuły i powiedziały: zawód niemal równie jak Marianny bolesny, a oburzenie jeszcze większe niż oburzenie Eleonory. Długie listy od niej, przychodzące teraz często, jeden po drugim, wyrażały wszystkie jej myśli, cierpienia, troskę i niepokój o Mariannę. Błagała ją, by zносиła swój ból z męstwem. Jak straszna musiała być natura cierpień Marianny, jeśli jej matka mogła mówić o męstwie! Jakże upokarzający i poniżający musiał być powód tej rozpacz, jeśli matka musiała prosić, aby nie dawała jej folgi!

Pani Dashwood postanowiła, wbrew własnym chęciom, że Mariannie lepiej będzie teraz wszędzie, byle nie w Barton, gdzie wszystko naokoło znowu ostro i boleśnie przywoła jej przeszłość przed oczy; wciąż będzie tam, jak dawniej, widziała pana Willoughby'ego. Zalecała więc usilnie córkom, by nie skracały pobytu u pani Jennings, który to pobyt, choć nigdy ściśle nie określany, miał, jak wszyscy sądzili, potrwać co najmniej pięć czy sześć tygodni. Na pewno znajdą sobie różne zajęcia, sprawy, wiele towarzystwa, a tego wszystkiego nie mogą przecież szukać w Barton. Miała nadzieję, że może kiedyś uda się skierować zrzęcznie zainteresowanie Marianny ku czemuś innemu poza własną osobą, może

nawet ku jakiejś rozrywce, choć i jedno, i drugie musi w niej teraz wzbudzać pogardliwą niechęć.

Uważała również, że niebezpieczeństwo spotkania pana Willoughby'ego jest takie samo w Londynie, jak w Barton, gdyż z pewnością wszyscy, którzy się uważają za jej przyjaciół, zerwą z nim teraz znajomość. Nikt rozmyślnie nie zetknie ich z sobą ani nie dopuści przez niedbalstwo, by się spotkali niespodziewanie, a przypadek mniej jest prawdopodobny w londyńskim tłumie niż w odludnym Barton, gdzie, być może, los postawi go z konieczności na jej drodze, kiedy Willoughby będzie składał wizytę w Allenham w związku ze swoim ślubem, co pani Dashwood najpierw uważała za prawdopodobne, a potem za nieuniknione.

Miała jeszcze jeden powód, by życzyć sobie pozostania córek w Londynie. Pasierb donosił jej w liście, że będzie wraz z żoną w połowie lutego w stolicy, a uważała za właściwe, by spotykały się z bratem od czasu do czasu.

Marianna obiecała uprzednio, że postąpi zgodnie z wolą matki, i podporządkowała się jej teraz bez sprzeciwu, choć pragnęła i oczekiwała innych dyspozycji, uważała bowiem, że matka się myli i podjęła decyzję, opierając się na fałszywych przesłankach, a żądając ich pozostania w Londynie, pozbawia ją jedynej ulgi w cierpieniu, jaką może być matczyne współczucie, i skazuje na towarzystwo i miejsce, w którym nigdy nie zazna spokoju.

Wielką jednak było dla niej pociechą, że to, co jej sprawia przykrość, siostrze może przynieść radość, Eleonora zaś, sądząc, że nie będzie mogła uniknąć spotkania z Edwardem, pocieszała się myślą, że chociaż dalszy ich pobyt w Londynie nie będzie jej miły, lepsze to dla Marianny niż natychmiastowy powrót do hrabstwa De von.

Pilnie i skutecznie strzegła, by nazwisko pana Willoughby'ego nie padło przypadkiem w obecności siostry; Marianna, nieświadomie, zbierała tego korzyści, ani bowiem pani Jennings, ani sir John, ani nawet pani Palmer nigdy o nim przy niej nie wspomnieli. Jak bardzo pragnęła Eleonora, by objęli tą wyrozumiałością również i jej osobę - daremnie jednak, musiała dzień w dzień wysłuchiwać ich słów oburzenia.

Sir John nigdy by nie uwierzył, że coś podobnego jest możliwe. Człowiek, o którym z tylu powodów mógł dobrze myśleć! Taki zacny chłop! W całej Anglii nie można chyba znaleźć śmielszego jeźdźca. Cóż za niepojęta historia! Życzy mu z całego serca, żeby go diabli wzięli! Nie odezwie się do niego nigdy w życiu ani słowem, choćby go nie wiem gdzie spotkał, za żadne skarby świata! Nie, nie, nawet gdyby dwie godziny stali obok siebie na sąsiednich stanowiskach, czekając na pokazanie się zwierzyny na skraju ostępu Barton. Co za łajdak! Przecież kiedy się ostatni raz widzieli, proponował mu szczeniaka od Polly! I ot, co z

tego wyszło!

Pani Palmer wyrażała podobne oburzenie, tylko na swój sposób. Była zdecydowana natychmiast zerwać z nim znajomość i strasznie się ucieszyła, że jej nigdy nie zawarła. Z całego serca pragnęła, żeby Combe Magna nie leżało tak blisko Cleveland, co i tak było bez znaczenia, bo przecież odległość dzieląca majątki nie pozwalała na utrzymywanie stosunków. Tak bardzo był jej wstrętny, że w życiu więcej już nie wymieni jego nazwiska i opowie każdej napotkanej osobie, jaki z niego łajdak.

Okazywała też Eleonorze współczucie, zbierając wszystkie, jakie tylko mogła, wiadomości o zbliżającym się ślubie i przekazywała je młodej panie. Wiedziała już, u jakiego stelmacha zamówiony jest nowy powóz, jaki malarz maluje portret pana Willoughby'ego i w jakim magazynie można obejrzeć wyprawę panny Grey.

Wielką ulgą dla Eleonory była spokojna i grzeczna obojętność lady Middleton, zwłaszcza że gadatliwa dobroć pozostałych tak często dawała się jej we znaki. Cóż to za ogromna pociecha, że przynajmniej jedna osoba spośród kręgu przyjaciół nie jest niczego ciekawa, przynajmniej jedna osoba wita się z nią, nie wyczekując nowinek, nie troskając się o zdrowie jej siostry.

Każdy przedmiot osiąga czasami w pewnych okolicznościach wartość wyższą niż nominalna i Eleonora, którą wprost zamęczano owymi natrętnymi wyrazami współczucia, zaczynała chwilami sądzić, że czasem dla ludzkiego spokoju dobre wychowanie więcej znaczy niż dobre serce.

Lady Middleton wypowiadała swoje zdanie w tej sprawie raz dziennie lub dwa razy, jeśli omawiana była częściej, stwierdzając: - To doprawdy oburzające - i dzięki temu systematycznemu, choć powściągliwemu folgowaniu uczuciom mogła nie tylko spotykać się od początku z pannami Dashwood w całkowitym spokoju, ale wkrótce przebywać w ich towarzystwie, nie pamiętając w ogóle, co się stało. Zadeklarowawszy w ten sposób poparcie dla sprawy godności swojej płci i zdecydowanie potępiwszy to, co złe w płci przeciwnej, uważała, że ma już prawo zakrzętać się wokół własnego życia towarzyskiego, i postanowiła (choć wbrew woli sir Johna), że złoży swój bilet wizytowy pani Willoughby natychmiast po jej ślubie, jako że będzie to dama nie tylko wytworna, lecz i bogata.

Delikatne, nienatrętne pytania pułkownika Brandona nigdy nie sprawiały przykrości Eleonorze. Zasłużył rzetelnie na te poufne rozmowy o przeżytych zawodzie Marianny, zasłużył przyjaznym staraniem, by jej ból umniejszyć. Rozmawiali zawsze bardzo szczerze. Największą nagrodę za to, co wycierpiał, ujawniając minione przeżycia i niedawne upokorzenia, otrzymywał we współczującym wzroku Marianny, jakim go czasami obrzucała,

czy łagodnym jej głosem, kiedy tok ogólnej rozmowy nakazywał jej zwrócić się do niego (nie zdarzało się to często) lub kiedy z własnej woli robiła ten wysiłek. Upewniło go to w przekonaniu, że jego bolesne zwierzenia przyniosły mu w rezultacie większą jej życzliwość, to zaś z kolei kazało Eleonorze wierzyć, że ta życzliwość z czasem jeszcze wzrośnie. Pani Jennings, która sprawy nie znała, a która widziała tylko, iż pułkownik wciąż jest tak samo jak dawniej poważny i nie daje się go nakłonić do oświadczeń ani do tego, by poprosił panią Jennings o pośrednictwo, zaczęła po dwóch dniach sądzić, że jednak nie pobiorą się na świętego Jana, tylko dopiero na świętego Michała, a pod koniec tygodnia doszła do wniosku, że w ogóle nic z tego nie będzie. Doskonałe stosunki, jakie się nawiązały między pułkownikiem i Eleonorą, zdawały się świadczyć o tym, że zaszczyt posiadania drzewa morwowego, kanału i altanki cisowej przypadnie starszej panie Dashwood. Na pewien czas pani Jennings przestała w ogóle myśleć o panu Ferrarsie.

Z początkiem lutego, w dwa tygodnie po liście pana Willoughby'ego, przed Eleonorą stanęła przykra konieczność powiadomienia siostry, że się ożenił. Pilnowała, by powiedzieć jej o tym zaraz po otrzymaniu wiadomości o odbytej ceremonii, gdyż pragnęła, by Marianna nie dowiedziała się o tym z gazet, które przeglądała ciekawie każdego ranka.

Marianna przyjęła to z wymuszonym spokojem, nie powiedziała ani słowa i z początku nie wylewała łez, po pewnym czasie jednak rozplakała się i do wieczora była znowu w stanie niemal równie żalonym jak wówczas, kiedy po raz pierwszy usłyszała, że powinna się tego wydarzenia spodziewać.

Państwo Willoughby natychmiast po ślubie wyjechali z Londynu, a Eleonora miała nadzieję, że teraz, kiedy nie grozi im już spotkanie z obojgiem, nakłoni siostrę, która od chwili otrzymania owego listu ani razu nie wyszła z domu, by zaczęła stopniowo bywać tak jak poprzednio.

Obie panny Steele, które przyjechały właśnie do swojej rodziny w Bartlett's Buildings na Holborn, zjawily się z wizytą u dostojniejszych krewniaków na Conduit i Berkeley Street i w obu domach zostały bardzo serdecznie przyjęte.

Ich przyjazd sprawił przykrość tylko Eleonorze. Spotkanie z nimi zawsze jej było niemiłe, toteż nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć na wylewną radość Lucy, jaką okazała stwierdziwszy, że starsza panna Dashwood jest jeszcze w Londynie.

- Byłabym strasznie zawiedziona, gdybym cię, pani, już nie zastała - powtarzała, podkreślając słowo „już”. - Lecz sądziłam mimo wszystko, że jednak cię, pani, zastanę. Byłam pewna, że jeszcze przez jakiś czas nie wyjedziecie z Londynu, chociaż przecież mówiłaś mi w Barton, że nie zostanieie tu dłużej niż miesiąc. Ale i wtedy myślałam, że na

pewno zmienisz, pani, zdanie, jak przyjdzie co do czego. Jakaż by to była szkoda wyjeżdżać przed przyjazdem brata i bratowej. Teraz, sędzę, nie będziesz się już, pani, śpieszyć do domu. Jestem niebывale rada, żeś nie dotrzymała słowa.

Eleonora rozumiała doskonale, o co jej idzie, i musiała użyć całej siły woli, by udawać, że nie rozumie.

- No, moje drogie - pytała pani Jennings - czym przyjechałyście do Londynu?

- Nie dyliżansem, zapewniam panią! - zawołała starsza panna Steele. - Całą drogę jechałyśmy karetką pocztową, a miałyśmy za opiekuna bardzo eleganckiego kawalera. Doktor Davies jechał do Londynu, postanowiłyśmy więc nająć z nim karetkę na spółkę, a on zachował się ogromnie elegancko i zapłacił kilkanaście szylingów więcej niż my.

- Och! - zakrzyknęła pani Jennings. - Jak to ładnie z jego strony. Zapewne kawaler, co?

- O, proszę! - krygowała się panna Steele. - Wszyscy pokpiwają sobie ze mnie i z doktora, zupełnie nie wiem, czemu. Moje kuzynki powiadają, że dokonała podboju, ale ja tam ani chwili nie zawracałam sobie nim głowy. „Popatrz, idzie twój kawaler, Anno”, powiedziała kilka dni temu moja kuzynka, kiedy zobaczyła, jak przechodzi przez ulicę do domu. „Mój kawaler, też, powiadam. Nie wiem, o kim ty mówisz! Doktor nie jest przecież moim kawalerem”.

- Aha, dobre sobie, my się nie damy oszukać. A więc to na doktora przypadło!

- Naprawdę nie - odparła panna Steele ze sztuczną powagą. - I proszę, niech pani zaprzecza podobnym plotkom, jeśli je pani gdziekolwiek usłyszy.

Otrzymała natychmiast od pani Jennings miłe zapewnienie, iż z pewnością nie będzie im zaprzeczać, i była uszczęśliwiona.

- Zapewne kiedy braterstwo zjadą do Londynu, przeniesiesz się, pani, do ich domu? - Lucy przypuściła nowy szturm do Eleonory po pierwszych niemiłych aluzjach.

- Nie sędzę.

- Och, na pewno się przeniesiecie.

Eleonora nie zaprzeczała dłużej, nie chcąc sprawiać jej satysfakcji. - Jakie to cudowne, że pani Dashwood może się bez was tak długo obywać.

- Skądże tam długo! - wtrąciła się pani Jennings. - Przecież one dopiero zaczęły swoją wizytę.

Lucy zamilkła.

- Szkoda, że nie możemy zobaczyć panny Marianny - powiedziała starsza panna Steele. - Przykro mi, że się źle czuje. - Marianna bowiem wyszła z pokoju, gdy przyjechały.

- Bardzo pani łaskawa. Mojej siostrze będzie równie przykro, że straciła okazję zobaczenia pań, ale ostatnio nachodzą ją częste nerwowe bóle głowy i nie nadaje się do spotkań i rozmów.

- Och, straszna szkoda. Ale takie stare przyjaciółki jak Lucy i ja... Przecież z nami mogłaby się zobaczyć, na pewno nie powiedziałybyśmy ani słowa.

Eleonora odmówiła najuprzejmiej. Zapewne siostra już leży w łóżku albo jest w szlafroku, nie może więc do nich zejść.

- Och, jeśli tylko o to idzie - zawołała starsza panna Steele - to przecież równie dobrze my możemy pójść do niej na górę!

Eleonora poczuła, że ta bezczelność przechodzi jej wytrzymałość, lecz Lucy oszczędziła jej kłopotu, przywołując Annę do porządku ostrą uwagą, która w tym wypadku, podobnie jak w innych, poskromiła tupet jednej siostry, choć nie przydała słodczy drugiej.

ROZDZIAŁ XXXIII

Mimo oporów Marianna uległa wreszcie namowom siostry i zgodziła się wyjść pewnego ranka z nią i panią Jennings na pół godziny. Postawiła jednak wyraźny warunek, ten mianowicie, że nie będą składać żadnych wizyt, tylko pójdą do sklepu Graya na Sackville Street, gdzie Eleonora prowadziła pertraktacje w sprawie wymiany kilku staroświeckich klejnotów matki.

Kiedy stanęły przed sklepem, pani Jennings przypomniała sobie, że na drugim końcu ulicy mieszka pewna dama, której powinna złożyć wizytę, a nie mając nic do załatwienia u Graya, uzgodniła z pannami, że pojedzie do owej damy i wróci po nie, kiedy załatwią interesy.

Po wejściu na schody panny Dashwood stwierdziły, że w sklepie znajduje się tyle osób, iż nikt ze sprzedawców nie może im usłużyć. Jedyne, co mogły zrobić, to usiąść przy tym końcu kontuaru, gdzie zapowiadało się najkrótsze czekanie, gdyż miały przed sobą tylko jednego dżentelmena; nie jest przy tym wykluczone, że Eleonora liczyła, iż grzeczność każe mu się nieco pospieszyć. Okazało się jednak, że jego wybredny gust i bezbłędne oko są ponad grzeczność. Zamawiał dla siebie szkatułkę na wykałaczki, ustalał jej kształt, wielkość i zdobienia. Wreszcie, po obejrzeniu i omówieniu w ciągu kwadransa wszystkich znajdujących się w sklepie pamiątek, ustalił definitywnie każdy szczegół, jaki dyktowała mu bujna fantazja, i nie zdążył już obdarzyć obu dam innymi dowodami swojej uwagi, prócz kilku natarczywych spojrzeń. Ten komplement pozwolił Eleonorze zanotować w pamięci postać i twarz kompletnego, prawdziwego, nie sfalszowanego mydłka wystrojonego wedle najświeższej mody.

Mariannie zostały oszczędzone przykre uczucia odrazy i niesmaku, jakie niechybnie musiałyby w niej wzbudzić jego zuchwałe spojrzenia i bezczelna pewność siebie, kiedy stwierdzał, że każde z przedstawionych mu pudełek to szczyt ohydztwa - gdyby była tego wszystkiego świadoma, zarówno bowiem w sklepie pana Graya, jak w swoim pokoju zamykała się we własnych myślach, nie zdając sobie sprawy z niczego, co się wokół działo.

Wreszcie interes załatwiono. Kość słoniowa, złoto i perły, wszystko zostało ustalone, a dżentelmen, wyznaczwszy na termin ostatni dzień, który będzie mógł przeżyć bez szkatułki na wykałaczki, naciągnął uważnie i niespiesznie rękawiczki, a obrzuciwszy panny Dashwood jeszcze jednym spojrzeniem, które raczej żądało admiracji, niż ją wyrażało, wyszedł na dwór z zadowoloną miną szczerego zarozumiałstwa i udanej obojętności.

Eleonora natychmiast wystąpiła ze swoją sprawą i właśnie ją kończyła, kiedy przy jej

boku stanął jakiś inny dżentelmen. Rzuciwszy na niego okiem, stwierdziła ze zdumieniem, że to jej własny brat.

Radość i serdeczność towarzyszące spotkaniu wystarczyły akurat na to, by zrobić w sklepie pana Graya dobre wrażenie. John Dashwood istotnie daleki był od tego, by się martwić spotkaniem z siostrami, im sprawiło ono raczej przyjemność, zwłaszcza że pytał o zdrowie ich matki grzecznie i z szacunkiem.

Okazało się, że są z Fanny od dwóch dni w Londynie.

- Chciałem złożyć wam wczoraj wizytę - tłumaczył - ale nie mogłem, bo przyrzekliśmy Harry'emu, że pokazemy mu dzikie zwierzęta w Exeter Exchange, a resztę dnia spędziliśmy z teściową. Harry był niesłychanie zadowolony. Dziś rano wybierałem się jechać do was, jeśli zostałyby mi pół godziny wolnego czasu, ale tyle jest zawsze spraw do załatwienia po przyjeździe do Londynu. Przyszedłem tutaj zamówić Fanny pieczęć. Ale sądzę, że jutro z pewnością będę mógł złożyć wizytę na Berkeley Street i zostać przedstawiony waszej przyjaciółce, pani Jennings. Słyszałem, że to bardzo majątna dama. No i Middletonowie, koniecznie musicie mnie im przedstawić. Rad będę okazać im należyty respekt, jako krewnym mojej macochy. Słyszałem, że okazali się bardzo dobrymi sąsiadami tam, u was, na wsi.

- Doprawdy, są nadzwyczajni. Trudno opisać dobroć i troskliwość, jaką nam okazują, życzliwość we wszystkim.

- Bardzo jestem rad, że to słyszę, wierzaj mi, niezmiernie rad. Tak jednak być powinno... To ludzie ogromnie majątni, do tego wasi krewni, mogliście więc słusznie oczekiwać od nich wszelkich uprzejmości i przysług, jakie mogłyby wam ulżyć w zaistniałej sytuacji. A więc zagospodarowałyście się wygodnie w tym domczku i niczego wam nie brak. Edward złożył nam czarujące sprawozdanie, powiada, że ten dom jest na swój sposób doskonały, a wy robiłyście wrażenie ogromnie z niego zadowolonych. Z jaką radością słuchaliśmy jego słów!

Eleonorze zrobiło się trochę wstyd za brata i wcale nie żałowała, że nie potrzebuje mu odpowiadać, gdyż właśnie ukazał się służący pani Jennings z wiadomością, iż pani czeka na panienki przed drzwiami.

Pan Dashwood sprowadził siostry na dół, został przedstawiony pani Jennings przy drzwiczkach powozu i powtórzył raz jeszcze, iż ma nadzieję, że będzie mógł złożyć im wizytę następnego dnia, po czym się pożegnał.

Wizyta została złożona zgodnie z zapowiedzią. Pan Dashwood niezręcznie usprawiedliwił nieobecność żony, „tak wiele czasu bowiem zajmowały jej obowiązki przy

matce, że doprawdy nie mogła nigdzie chodzić”. Lecz pani Jennings zapewniła go, że niepotrzebne żadne ceregiele, bo przecież wszyscy są skuzynowani, czy w każdym razie coś takiego, ona zaś z pewnością złoży wizytę pani Dashwood, i to niedługo, i przyprowadzi do niej obie panny. Pan Dashwood zachowywał się w stosunku do obu siostr powściągliwie, ale bardzo uprzejmie, pani Jennings okazywał uprzedzającą grzeczność, a pułkownikowi Brandonowi, który przyszedł wkrótce po nim, przyglądał się z ciekawością, jakby potrzebował tylko informacji o jego stanie majątkowym, by również i jemu okazywać podobną rewerencję.

Po półgodzinie poprosił Eleonorę, by przespacerowała się z nim na Conduit Street i przedstawiła go sir Johnowi i lady Middleton. Pogoda była wyjątkowo piękna, Eleonora zgodziła się więc chętnie. Natychmiast po wyjściu z domu brat zaczął ją wypytywać.

- Kim jest pułkownik Brandon? Czy to człowiek majątny?

- Tak, ma dużą posiadłość ziemską w hrabstwie Dorset.

- Bardzom rad. Wygląda na dżentelmena i sędzę, Eleonoro, że mogę ci pogratulować widoków na bardzo pomyślną przyszłość.

- Mnie? Nie rozumiem, o czym mówisz.

- Podobasz mu się. Obserwowałem go bacznie i jestem tego pewien. Jaki on ma roczny dochód?

- Wydaje mi się, że blisko dwa tysiące funtów.

- Dwa tysiące! - po czym zdobył się na największą, najbardziej wspaniałomyślną hojność i dodał: - Eleonoro, pragnąłbym z całego serca, ze względu na ciebie, żeby ten dochód był dwukrotnie wyższy.

- Wierzę ci - uśmiechnęła się Eleonora - ale jestem zupełnie pewna, że pułkownik Brandon nie ma najmniejszego zamiaru żenić się ze mną.

- Mylisz się, Eleonoro, bardzo się mylisz. Wystarczy niewielki wysiłek z twojej strony, żebyś go miała. Może jeszcze w tej chwili jest niezdecydowany. Może powstrzymywać go znikomość twojego majątku, może odradzają mu ten związek przyjaciele. Ale wystarczy trochę drobnych uprzejmości, ujmujących słówek, które damom przychodzą bez trudu, żeby się zdecydował, nawet wbrew woli. A nie widzę powodów, dlaczego nie miałabyś się o niego postarać. Przecież nie można przypuścić, by jakieś wcześniejsze twoje uczucie... Krótko mówiąc, wiesz, że jeśli o tamten sentyment idzie, sprawa jest wykluczona, zastrzeżenia są nie do pokonania... Zbyt jesteś rozsądna, żeby tego wszystkiego nie rozumieć. Twój wybór musi paść na pułkownika Brandona, a ja z mojej strony okażę mu wszelkie dowody grzeczności, tak by nie miał powodów do narzekania na ciebie i twoją rodzinę. Taki

związek wszyscy chętnie powitają. Krótko mówiąc, jest to rozwiązanie - tu zniżył głos do poufnego szeptu - które obie strony przyjmą z zadowoleniem. - Tu oprzytomniał nieco i dodał: - Chciałem przez to powiedzieć, że będą się tym cieszyć wszyscy szczerze ci życzliwi, którzy chcieliby cię widzieć dobrze urządzoną. A zwłaszcza Fanny, która, zapewniam cię, całym sercem pragnie twojego dobra. Również jej matka, pani Ferrars, niezwykle zacna kobieta. Pewny jestem, że jej także sprawiłoby to wielką przyjemność, mówiła o tym kilka dni temu.

Eleonora nie raczyła mu odpowiedzieć.

- Byłoby bardzo szczególne - ciągnął - bardzo śmieszne, gdyby brat Fanny i moja siostra w tym samym czasie zakładali rodziny. A przecież to wcale prawdopodobne.

- Czyżby pan Edward Ferrars - zapytała śmiało Eleonora - miał zamiar się żenić?

- Nie jest to jeszcze definitywnie ustalone, ale sprawa jest omawiana. Edward ma wspierać matkę. Pani Ferrars postanowiła wystąpić z hojnym gestem i dać mu tysiąc funtów rocznie, jeśli mariaż dojdzie do skutku. Owa dama to panna Morton, jedyna córka lorda Mortona, ma trzydzieści tysięcy funtów. Niezwykle korzystny związek dla obu stron, nie wątpię też, że w odpowiednim czasie zostanie zawarty. Rozstać się na zawsze z tysiącem funtów rocznie, to dla matki nie błażostka, ale pani Ferrars to chodząca szlachetność! Żeby ci dać jeszcze jeden przykład jej hojności - kilka dni temu, zaraz po przyjeździe do Londynu, zdając sobie sprawę, że w obecnej chwili z gotówką musi być u nas krucho, wsunęła Fanny do ręki banknoty na sumę dwustu funtów. Bardzo to zostało przez nas wdzięcznie przyjęte, bo tu, w Londynie, mamy z konieczności ogromne wydatki.

Przerwał, czekając na słowa zrozumienia i współczucia, zmusiła się więc, by powiedzieć:

- Z pewnością wasze wydatki i w mieście, i na wsi muszą być duże, ale macie przecież pokaźny dochód.

- Wcale nie taki pokaźny, jak ludzie sądzą. Nie to, żebym narzekał, nic podobnego, to przyzwoity dochód i mam nadzieję, że powiększy się z czasem. Grodzenie gruntów gromadzkich w Norland, które teraz przeprowadzamy, to bardzo poważne obciążenie. Nadto dokonałem w ostatnim półroczu niewielkiego zakupu: nabyłem farmę East Kingham, pamiętasz pewno, to tam, gdzie mieszkał stary Gibson. Ten teren był pod każdym względem ogromnie nęcący, przylega przecież bezpośrednio do moich gruntów, uważałem więc za swój obowiązek dokonać tego kupna. Nie mógłbym dopuścić w swoim sumieniu, by ta ziemia poszła w obce ręce. Człowiek musi płacić za swój spokój, i rzeczywiście, zapłaciłem grube pieniądze.

- Więcej niż, twoim zdaniem, była ta ziemia istotnie warta?

- No, co to, to nie. Mogłem ją następnego dnia sprzedać z zyskiem, ale jeśli idzie o gotówkę na kupno, mogłem również bardzo wiele stracić, bo akcje stały tak nisko w owym momencie, że gdyby mój bankier nie miał przypadkiem w ręku odpowiedniej sumy, musiałbym się wyprzedawać z ogromną stratą.

Eleonora mogła się tylko uśmiechnąć.

- Mieliśmy jeszcze ogromne, nieuniknione wydatki związane z objęciem Norland w posiadanie. Nasz świętej pamięci ojciec, jak wiesz dobrze, zapisał wszystkie ruchomości ze Stanhill, jakie były w Norland (bardzo cenne rzeczy), twojej matce. Daleki jestem od tego, by uskarżać się na tę decyzję, miał niewątpliwie prawo czynić ze swoją własnością, co mu się żywnie podobało, ale w rezultacie musieliśmy zrobić duże zakupy bielizny stołowej i pościelowej, porcelany itd., w miejsce tego, co zostało zabrane. Wyobrażasz więc sobie, że po takich wydatkach daleko nam do bogactwa, a hojność mojej teściowej przyszła bardzo w porę.

- Niewątpliwie - odparła Eleonora. - Mam nadzieję, że dzięki jej szczodroblewości zaznacie jeszcze swobody finansowej.

- Rok lub dwa wiele tu mogą dokonać - odparł z powagą - ale dużo pozostało nam do zrobienia. Nie zaczęliśmy nawet budowy cieplarni Fanny, a jeśli idzie o ogród kwiatowy, mamy dotychczas tylko szkic.

- A gdzie ma stać cieplarnia?

- Na wzgórzu za domem. Trzeba będzie ściąć te wielkie orzechy, żeby zrobić dla niej miejsce. Z wielu punktów w parku będzie bardzo ładnie wyglądała, a ogród kwiatowy, który zapowiada się wyjątkowo malowniczo, założymy na zboczu. Wycięliśmy te wszystkie stare cierniste krzewy, które rosły kępami na stoku.

Eleonora zachowała dla siebie i troskę, i przyganę, rada, że nie ma tu Marianny, która musiałaby odczuć taką samą irytację.

Kiedy już dał jej jasno do zrozumienia, w jakiej jest nędzy, co zwalniało go od obowiązku kupienia siostrom, za następną bytnością u Graya, po parze kolczyków, myśl jego przyjęła weselszy obrót i zaczął gratulować Eleonorze znajomości i przyjaźni z panią Jennings.

- Doprawdy, wydaje się, że to bardzo cenna znajomość. I dom, i styl życia, wszystko świadczy o ogromnie wysokich dochodach. Ta znajomość może się okazać użyteczna nie tylko teraz. W przyszłości może również przynieść ogromne korzyści. Zaproszenie was do Londynu to wielkie dobrodziejstwo, które świadczy o takich dla was względach, że wedle

wszelkiego prawdopodobieństwa nie zostaniecie pominięte w testamencie. A ona musi mieć wiele do zapisania.

- Przypuszczam, że nie ma nic zgoła, prócz wdowiego dożywocia, które przejdzie na dzieci.

- Ale przecież trudno sobie wyobrazić, żeby wydawała wszystkie dochody. Nikt, kto ma odrobinę rozsądku, nie robi czegoś takiego. A to, co zaoszczędzi, będzie miała do zostawienia.

- Nie sądzisz, że bardziej jest prawdopodobne, iż zapisze to swoim córkom, nie nam?

- Obie jej córki doskonale wyszły za mąż i dlatego nie widzę konieczności, by miała się o nie dłużej troszczyć. Tymczasem poświęcając wam tak wiele uwagi i okazując tyle życzliwości, dała wam, moim zdaniem, niejako prawo do oczekiwania dalszych względów, z czego musiała sobie zdawać sprawę jako osoba skrupulatna. Trudno wyobrazić sobie bardziej życzliwy stosunek do kogokolwiek, a przecież z pewnością jest świadoma, jakie tym wzbudza nadzieje.

- Nie wzbudza najmniejszych nadziei u osób zainteresowanych. Doprawdy, bracie, twoja troska o naszą pomyślność i nasz dobrobyt zbyt daleko cię zawiodła.

- No cóż, to prawda - oprzytomniał nagle - ludzkie możliwości są bardzo, bardzo ograniczone. Ale, Eleonoro droga, co się dzieje z Marianną? Wygląda bardzo źle, straciła rumieńce i ogromnie schudła. Czy ona chora?

- Źle się czuje, od kilku tygodni cierpi na dolegliwości nerwowe.

- Jakże mi przykro. W jej wieku każda choroba jest zabójcza dla urody. Doprawdy, krótki miała okres rozkwitu. Jeszcze we wrześniu była z niej taka ładna dziewczyna, aż przyjemnie było patrzeć, i mogła bardzo się podobać. Było w jej urodzie coś, co szczególnie pociąga mężczyzn. Pamiętam, jak Fanny powiadała, że ona prędzej i lepiej wyjdzie za mąż niż ty, co nie znaczy, żeby cię nie lubiła, wiesz, jak ogromnie jest do ciebie przywiązana, ale tak jej się wydawało. Okaze się jednak, że była w błędzie. Wątpię, żeby Marianna poślubiła teraz człowieka z większym dochodem niż pięćset, najwyżej sześćset funtów rocznie, i myliłbym się bardzo, gdybyś ty nie zrobiła lepszego mariażu. Hrabstwo Dorset! Mało o nim wiem, ale chętnie dowiem się czegoś więcej i ręczę ci, że będziesz miała Fanny i mnie wśród swoich pierwszych i najbardziej kontentych gości.

Eleonora zapewniała go najpoważniej, że nie jest prawdopodobne, by miała wyjść za mąż za pułkownika Brandona, ale ewentualność tego mariażu zbyt wielką przyjemność sprawiała jej bratu, by miał z niej zrezygnować; postanowił więc zawrzeć bliższą znajomość z pułkownikiem i dołożyć wszelkich starań, by doprowadzić do tego korzystnego związku.

Świadomość, że nie uczynił nic dla swoich sióstr, zrodziła w nim tyle akurat skrupułów, by ogromnie się troskał o cudzą dla nich pomoc, a najłatwiejszy sposób wyrównania własnych zaniedbań widział w oświadczeniach pułkownika Brandona czy spadku po pani Jennings.

Mieli szczęście i zastali lady Middleton w domu, sir John zaś wrócił jeszcze przed końcem ich wizyty. Obie strony zasypały się uprzejmościami. Sir John gotów był polubić każdego i choć nie sądził, by pan Dashwood był dobrym znawcą koni, orzekł natychmiast, że to dusza, nie człowiek. W oczach lady Middleton gość wydał się dostatecznie światowy, by warto było zawrzeć z nim znajomość, toteż pan Dashwood wyszedł z wizyty zachwycony obydwójkiem.

- Mam Fanny najprzyjemniejsze wiadomości do zakomunikowania - mówił do siostry w drodze powrotnej. - Lady Middleton jest niewątpliwie wytworną kobietą. Na pewno Fanny chętnie ją pozna. A pani Jennings, choć elegancją nie dorównuje córce, jest również osobą ogromnie na miejscu. Twoja bratowa nie powinna mieć najmniejszych zastrzeżeń przeciw złożeniu jej wizyty, choć, prawdę mówiąc, dotychczas je miała, co było całkiem zrozumiałe, gdyż wiedzieliśmy tylko, że pani Jennings jest wdową po człowieku, który doszedł do majątku w sposób pospolity, moja żona i jej matka sądziły więc, że ani pani Jennings, ani jej córki nie należą do kobiet, z jakimi Fanny rada by utrzymywać stosunki. Mogę jednak teraz przekazać jej ze wszech miar zadowalającą relację co do obu.

ROZDZIAŁ XXXIV

Bratowa panien Dashwood miała takie zaufanie do sądu męża, że od razu, następnego dnia złożyła wizytę zarówno pani Jennings, jak jej córce, a zaufanie to zostało nagrodzone, gdyż nawet damę, u której mieszkały jej szwagierki, uznała za osobę godną uwagi, a jeśli idzie o lady Middleton - za jedną z najbardziej czarujących kobiet na świecie.

Lady Middleton była również zachwycona panią Dashwood. Obie cechował samolubny chłód serca, które je nawzajem przyciągał, a nadto upodabniała je mdła poprawność zachowania i całkowity brak zdolności myślenia.

Lecz to samo obejście, które zdobyło pani Dashwood pochlebną opinię lady Middleton, nie zachwyciło bynajmniej pani Jennings. W jej oczach pani Dashwood była po prostu zarozumiałą kobietką o oschłym sposobie bycia, która bez krzty serdeczności powitała obie siostry swego męża i nie miała im niemal nic do powiedzenia, bowiem podczas piętnastominutowej wizyty na Berkeley Street co najmniej przez siedem i pół minuty milczała.

Eleonora bardzo pragnęła usłyszeć, choć wolała nie pytać, czy Edward jest w Londynie, nic jednak nie skłoniłoby Fanny do wymienienia w jej obecności imienia brata, chyba że mogłaby ją zawiadomić o jego ostatecznie już zdecydowanym ślubie z panną Morton albo też gdyby sprawdziły się oczekiwania jej męża co do pułkownika Brandona, podejrzewała bowiem, iż młodych wciąż jeszcze łączy tak silne uczucie, że należy ich rozdzielać słowem i czynem przy każdej sposobności. Wiadomość, którą skrywała, doszła na Berkeley Street w inny sposób. Po niedługim czasie złożyła tam wizytę Lucy, prosząc Eleonorę o współczucie, gdyż nie może się zobaczyć z Edwardem, choć przyjechał do Londynu z państwem Dashwood. Nie śmiał przyjść do Bartlet's Buildings w obawie, że wszystko się wyda, i choć trudno wyrazić, jak bardzo tęsknią za sobą, nie mogą tymczasem nic innego robić, jak tylko pisać.

Edward zawiadomił je osobiście o swojej bytności w Londynie, zachodząc wkrótce dwa razy na Berkeley Street. Dwukrotnie znalazły na stoliku jego bilet wizytowy, kiedy wracały z przedpołudniowych zajęć towarzyskich. Eleonora rada była, że przyszedł, a jeszcze bardziej rada, że się z nim minęła.

Państwo Dashwood byli tak zachwyceni państwem Middleton, że choć wydawanie nie leżało w ich zwyczaju, postanowili wydać dla nich obiad. Wkrótce po nawiązaniu znajomości zaprosili ich do siebie na Harley Street, gdzie wynajęli bardzo okazały dom na trzy miesiące. Przysłali również zaproszenie pani Jennings i siostrze, John Dashwood zaś nie zaniedbał

zaprosić pułkownika Brandona, który jako że zawsze był rad przebywać tam, gdzie panny Dashwood, przyjął tę nadskakującą uprzejmość z pewnym zdumieniem, lecz chętnie. Na obiedzie miała być również pani Ferrars, lecz Eleonorą nie mogła się dowiedzieć, czy zaproszenie obejmuje także jej synów. Wystarczyło jednak, że miała poznać panią Ferrars, by obiad ją ciekawił, choć bowiem mogła już teraz spotkać się z matką Edwarda bez lęku, jaki niegdyś musiałby towarzyszyć podobnej prezentacji, choć było jej całkiem obojętne, jaką opinię poweźmie o niej owa dama, mimo to równie mocno jak niegdyś i z takim samym zainteresowaniem pragnęła ją zobaczyć.

Wkrótce ciekawość, z jaką wyglądała obiadu u braterstwa, wzrosła równie silnie, jak niemile, gdy Eleonora dowiedziała się, że panny Steele są także objęte zaproszeniem.

Tak potrafiły przypodobać się lady Middleton, tak umiały wkraść się w jej łaski swymi pochlebstwami, że chociaż Lucy nie była elegancka, a siostra jej wręcz prostacka, zostały obie zaproszone na kilkutygodniowy pobyt na Conduit Street, a okazało się dla obu panien szczególnie dogodnie - natychmiast, kiedy usłyszały o zamierzonym przyjęciu u Dashwoodów - by rozpocząć swój pobyt u państwa Middleton na kilka dni przed owym przyjęciem.

Jako siostrzenice wieloletniego wychowawcy jej brata, nie mogłyby liczyć na miejsce za stołem pani Dashwood, ale jako goście lady Middleton musiały zostać zaproszone. Lucy, która od dawna marzyła o osobistej znajomości z rodziną Edwarda, by poznać poszczególnych jej członków i rozmiar czekających ją trudności, jak również przypodobać się im przy okazji, rzadko była tak szczęśliwa, jak w momencie, gdy dostała bilecik pani Dashwood.

Eleonora przyjęła wiadomość inaczej. Natychmiast pomyślała, że Edward, który mieszka przecież z matką, musi być również zaproszony na przyjęcie wydawane przez siostrę, a wobec tego po wszystkim, co się wydarzyło, zobaczy go po raz pierwszy w towarzystwie Lucy Steele! Nie wiedziała, jak zdoła to znieść!

Źródłem tych obaw nie był wyłącznie rozsądek, nadto okazały się one bezpodstawne. Rozwiały je nie tyle jej własne starania, ile życzliwość Lucy, która sądziła, że sprawi Eleonorze wielki zawód mówiąc, iż Edwarda z pewnością nie będzie na Harley Street we wtorek; a chcąc jeszcze boleśniej zranić młodą pannę, dodała, że od pójścia na przyjęcie powstrzymuje go ogrom miłości dla narzeczonej, którego nie potrafi ukryć, gdy są razem.

Nadszedł wreszcie wyczekiwany wtorek, w którym dwie młode damy miały zostać przedstawione groźnej teściowej.

- Litujże się pani nade mną! - mówiła Lucy, kiedy razem wchodziły po schodach,

Middletonowie bowiem przyjechali tuż po pani Jennings i jeden służący wprowadzał ich na górę. - Nikt tu nie może mi współczuć prócz ciebie. Doprawdy, ledwo się trzymam na nogach. Wielkie nieba! Za chwilę zobaczę kobietę, od której zależy całe moje szczęście... która ma być moją teściową.

Eleonora mogła ją natychmiast pocieszyć, rzucając przypuszczenie, że osoba, którą za chwilę zobaczą, będzie raczej teściową panny Morton, lecz zamiast tego zapewniła Lucy bardzo szczerze, że jej współczuje - ku niebywałemu zdumieniu panny, która choć istotnie nieswojo się czuła, sądziła, że jest w każdym razie przedmiotem niepohamowanej zawiści Eleonory.

Pani Ferrars była mała i chuda, o surowej, kwaśnej twarzy, nosząca się sztywno, niemal ceremonialnie. Cerę miała ziemistą, rysy drobne, bez śladu urody i w zasadzie nijakie, gdyby nie ściągnięte brwi, które na szczęście ratowały jej twarz od haniebnego braku wyrazu, wyciskając na niej silne piętno dumy i złośliwości. Nie była kobietą gadatliwą, odwrotnie bowiem niż to na ogół u ludzi bywa, dostosowywała liczbę swoich słów do liczby pojęć, z tych kilku sylab zaś, jakie padły z jej ust, żadna nie została skierowana do Eleonory, na którą patrzyła z zawziętą, upartą niechęcią, jaką postanowiła jej okazywać bez względu na okoliczności.

Zachowanie jej nie mogło teraz ranić Eleonory. Kilka miesięcy temu odczułaby je dotkliwie, lecz pani Ferrars nie była już w stanie zadać jej bólu; toteż młoda panna z rozbawieniem patrzyła, jak inaczej traktuje dama obie panny Steele, wyraźnie pragnąc upokorzyć ją różnicą swojego stosunku. Mogła się tylko uśmiechać widząc, jak łaskawie odnosi się matka i córka do tej właśnie osoby - bo jawnie wyróżniały Lucy - którą najbardziej pragnęłyby upokorzyć, gdyby znały prawdę, podczas gdy ta, której obie wyraźnie starały się okazać lekceważenie, niczym im w gruncie rzeczy nie zagraża. Kwitując jednak uśmiechem tę pomyłkę w rozdawaniu łask, musiała westchnąć nad małoduszną głupotą, która ją zrodziła, a patrząc na pretensjonalne atencje, którymi panny Steele wkładały się w owe łaski - nie mogła o tych czterech paniach myśleć inaczej jak ze wzgardą.

Zaszczytne wyróżnienie wprawiło Lucy wprost w ekstazę, a starszej pannie Steele trzeba było tylko przycinków na temat doktora Daviesa, aby zaznała pełni szczęścia.

Obiad był wystawny, służba liczna i wszystko świadczyło o tym, że pani domu lubi się pokazać, a pan domu umieją w tym wesprzeć. Mimo dokonanych inwestycji i wkładów w majątności Norland, mimo że właściciel tej majątności znajdował się o krok - o kilka tysięcy funtów - od konieczności sprzedaży obligacji ze stratą, nic nie wskazywało na ubóstwo, którego widmo próbował odmalować; nie odczuwało się żadnych braków prócz braków w

konwersacji, to jednak ubóstwo dawało się bardzo we znaki. John Dashwood nie miał do powiedzenia niemal nic, a jego żona jeszcze mniej. Nie mieli zresztą specjalnego powodu do wstydu, gdyż to samo można było powiedzieć o większości zebranych, z których niemal każdy miał jakiś brak dyskwalifikujący go w towarzystwie: brak rozsądku - wrodzonego czy też nabytego - brak elegancji, brak humoru czy też brak umiarkowania.

Kiedy panie wyszły po obiedzie do salonu, ubóstwo to uwidoczniło się z całą jaskrawością, panowie bowiem urozmaicali w jakiś sposób konwersację takimi tematami, jak polityka, grodzenie pastwisk, ujeżdżanie koni - a tu nagle wszystko się urwało. Do chwili wniesienia kawy panie zajmował jeden tylko temat, a mianowicie porównanie wzrostu Harry'ego Dashwooda i drugiego syna lady Middleton, Williama, chłopcy bowiem byli w tym samym wieku.

Gdyby obydwaj byli obecni, sprawę można by aż nazbyt łatwo rozstrzygnąć, porównując jednego z drugim, ponieważ jednak pod ręką był tylko Harry, twierdzenia obu stron oparte były jedynie na domniemaniach i wszyscy mieli prawo do obstawania uparcie przy swoim zdaniu i powtarzania go w kółko tyle razy, ile im się żywnie podobało.

Opinie podzielone były następująco:

Dwie matki, choć każda przekonana była o wyższości swego syna, grzecznie wypowiedziały się na korzyść przeciwnika.

Dwie babki z nie mniejszą stronniczością, ale większą szczerością, opowiedziały się każda po stronie swojego wnuka.

Lucy, która w tej samej mierze chciała się przypodobać jednej jak drugiej stronie, stwierdziła, że obydwaj chłopcy są na swój wiek niezwykle wysocy, a ona nie może dostrzec najmniejszej, ale to najmniejszej różnicy między nimi, starsza zaś panna Steele, próbując być jeszcze zręczniejsza, wypowiedziała się szybko na korzyść i jednego, i drugiego.

Eleonora, opowiedziawszy się raz za Williamem, czym jeszcze mocniej uraziła panią Ferrars i Fanny, nie widziała konieczności ponawiania tych stwierdzeń, a Marianna, kiedy ją spytano o zdanie, obraziła wszystkich mówiąc, że nie ma żadnego zdania na ten temat, ponieważ się w ogóle nad tym nie zastanawiała.

Przed wyjazdem z Norland Eleonora namalowała dla bratowej dwa śliczne ręczne ekraniki, które zostały niedawno oprawione i przyniesione, a teraz zdobiły obecny jej salon. John Dashwood, dostrzegł je, wchodząc za innymi paniami, i skwapliwie dał natychmiast pułkownikowi Brandonowi do podziwiania.

- Malowała je starsza z moich siostr - tłumaczył. - Panu, jako - pozwolę sobie uważać - człowiekowi o wyrobionym smaku, zapewne się spodobają. Nie wiem, czy oglądał pan już

kiedyś jej prace, ale powiadają, iż wyjątkowo dobrze rysuje.

Pułkownik, choć natychmiast wyparł się wszelkich pretensji do znawstwa, gorąco zachwyił się ekranikami, tak jak zachwyiłby się wszystkim, co malowała panna Dashwood. Wzbudziło to natychmiast ciekawość pozostałych, którzy zaczęli oglądać ekraniki, podając je sobie z rąk do rąk. Pani Ferrars, nie wiedząc, że to dzieło Eleonory, chciała je również obejrzeć, Fanny pokazała je więc matce po bardzo pochlebnej ocenie lady Middleton i powiedziała, że to dzieło najstarszej panny Dashwood.

- Hm - mruknęła pani Ferrars - bardzo ładne. - I nie spojrzawszy nawet na ekraniki, oddała je córce.

Może Fanny uświadomiła sobie na chwilę, że matka zachowała się już nazbyt niegrzecznie, bo zaczerwieniła się lekko i szybko powiedziała:

- Śliczne, nie uważa mama? - Lecz znowu obawa, iż okazała zbyt daleko idącą uprzejmość, zbyt wyraźne poparcie dla szwagierki, kazała jej natychmiast dodać: - Czy mama nie uważa, że przypominają nieco rękę panny Morton? Ona tak pięknie maluje! Jakież śliczny jest ten jej ostatni pejzaż.

- Piękny istotnie. Ale ona wszystko robi znakomicie.

Marianna nie mogła tego dłużej wytrzymać. Od dawna już brał ją gniew na panią Ferrars, a teraz te niewczesne zachwyty nad inną, kosztem Eleonory - choć nie rozumiała istotnych tego intencji - wywołały natychmiast pełen przejęcia okrzyk:

- Cóż to za dziwne zachwyty! Czymże jest dla nas panna Morton! Kto ją zna i kogo ona obchodzi! Przecież w tej chwili mówimy i myślimy o Eleonorze.

Z tymi słowy wzięła ekraniki z rąk bratowej i zaczęła je podziwiać, tak jak należy.

Pani Ferrars wyglądała na bardzo rozgniewaną, wyprostowała się jeszcze sztywniej niż zwykle i odparła zarzut z takim oto cierpkim argumentem:

- Panna Morton jest córką lorda Mortona.

Fanny również miała zagniewaną minę, a mąż jej przeraził się nie na żarty śmiałością Marianny. Eleonorę bardziej obeszła zapalczywość siostry niż to, co było jej powodem, lecz utkwione w Mariannie spojrzenie pułkownika Brandona świadczyło wyraźnie, że on widział tylko to, co dobre: żarliwość serca, które nie mogło znieść okazywanego siostrze lekceważenia.

Ale przejęcie Marianny zawiodło ją jeszcze dalej. Chłodna wyniosłość, jaką pani Ferrars okazywała Eleonorze, zdawała się zapowiadać trudności i przykrości, o jakich własne zbolące serce kazało jej myśleć z przerażeniem i grozą. Pod wpływem silnego impulsu gorącej uczuciowości, podeszła po chwili do krzesła siostry, a objąwszy ją jedną ręką za szyję,

przytuliła policzek do jej twarzy i szepnęła cicho, lecz z przejęciem:

- Eleonoro, kochanie, nie zwracaj na nich uwagi. Nie dopuść, żeby ciebie unieszczęśliwili!

Więcej nie była zdolna powiedzieć, straciła panowanie nad sobą i ukrywając twarz w ramieniu siostry wybuchnęła łzami. Uwaga wszystkich natychmiast skupiła się na nich i niemal wszyscy okazali przejęcie. Pułkownik Brandon wstał i bezwiednie podszedł do panien. Pani Jennings z okrzykiem: - Och, biedactwo! - podała jej zaraz sole trzeźwiące. Sir John zaś był tak straszliwie rozwścieczony na sprawcę tego nerwowego załamania, że natychmiast się przesiadł na krzesło obok Lucy Steele i opowiedział jej szeptem całą tę skandaliczną historię.

Po kilku minutach Marianna przysła do siebie na tyle, by zamieszanie ucichło, i usiadła wśród gości, choć to, co zaszło, odbiło się na jej nastroju do końca wieczoru.

- Biedna Marianna - zwrócił się cicho jej brat do pułkownika Brandona, kiedy zdołał ściągnąć jego uwagę. - Nie ma tego zdrowia, co jej starsza siostra... Jest ogromnie nerwowa... To inna konstytucja niż Eleonory... No, ale dla młodej kobiety, która niegdyś była piękną, strata urody musi być strasznym przeżyciem. Nie przypuściłby pan, ale jeszcze kilka miesięcy temu Marianna była niezwykle ładna, niemal równie ładna jak Eleonora... No, a teraz, sam pan widzi, wszystko się skończyło...

ROZDZIAŁ XXXV

Eleonora zaspokoila swoją ciekawość co do pani Ferrars. To, co zobaczyła, świadczyło, że dalsze zacieśnianie stosunków między rodzinami jest zupełnie niepotrzebne. Zobaczyła taką dumę, małoduszność, tyle świadomie powziętych wobec niej uprzedzeń, by pojąć, jak wiele trudności musiałoby stanąć na ich drodze do zaręczyn i opóźnić ich małżeństwo, gdyby Edward był człowiekiem wolnym. Zobaczyła tyle, by niemal odczuwać wdzięczność, iż jedna a wielka przeszkoda uchroniła ją od wszystkich, jakie postawiłaby przed nią pani Ferrars, uchroniła przed zależnością od fantazji owej damy, od konieczności zabiegania o jej dobre zdanie. A przynajmniej, choć nie doszła jeszcze do tego, by się cieszyć z faktu, iż Edward jest przykuty do Lucy, uznała, iż powinna by się cieszyć, gdyby tylko Lucy była miłsza.

Zdumiewała się, że łaskawość pani Ferrars może wprowadzać Lucy w tak radosne uniesienie, że interesowność i próżność zaślepiają ją do tego stopnia, iż przyjmuje za dobrą monetę uwagę, jakimi obdarzono ją jedynie dlatego, że nie była Eleonorą, że budzi w niej nadzieję życzliwość, której zaznała jedynie dzięki ukrywaniu swojej prawdziwej sytuacji. Ale tak się rzecz miała - o czym świadczyły nie tylko oczy Lucy podczas przyjęcia, ale jej słowa następnego ranka, kiedy poprosiła lady Middleton, by wysadziła ją na Berkeley Street, gdzie spodziewała się znaleźć Eleonorę samą i podzielić się z nią swoim szczęściem.

Los okazał się dla niej łaskawy, niedługo bowiem po jej przyjściu pani Jennings otrzymała karteczkę od pani Palmer i natychmiast pośpieszyła do córki.

- Droga przyjaciółko! - zakrzyknęła Lucy, gdy zostały same. - Przyszłam powiedzieć ci o moim szczęściu. Czy może być coś pochlebniejszego niż wczorajsze zachowanie pani Ferrars względem mnie? Jakże ona była niebywale ujmująca! Wiesz, pani, dobrze, jakem drżała na samą myśl o tym spotkaniu... ale od chwili, kiedy zostałam jej przedstawiona, tyle mi okazywała uprzejmości... Doprawdy, chyba nabrała do mnie upodobania. No, czy nie tak? Przecież widziałas, pani, wszystko, czy nie zwróciło to twojej uwagi?

- Była niewątpliwie bardzo dla ciebie, pani, uprzejma.

- Uprzejma! Czyżbyś dostrzegła, pani, jedynie uprzejmość? Ja widziałam o wiele więcej. Tyle życzliwości nie okazywała nikomu prócz mnie!... Ani krztyny dumy, odrobiny wyniosłości... a bratowa pani tak samo... sama słodycz i przystępność.

Eleonora próbowała zmienić temat, lecz Lucy w dalszym ciągu dopraszała się o przyznanie, że ma powody do szczęścia, wobec czego Eleonora musiała powiedzieć:

- Niewątpliwie, gdyby wiedzieli o waszych zaręczynach, trudno by było o większą

satysfakcję niż ich wczorajsze zachowanie, lecz że sprawa ma się inaczej...

- Przypuszczałam, że, pani, to powiesz - przerwała natychmiast Lucy - ale przecież nie było najmniejszego powodu po temu, by pani Ferrars mnie polubiła, a to, że polubiła, jest najważniejsze. Nie przekonasz mnie, pani, że nie mam powodów do satysfakcji. Pewna jestem, że wszystko dobrze się skończy, i w porównaniu z tym, com sobie wyobrażała, trudności okazały się niczym zgoła. Pani Ferrars to czarująca dama, tak samo jak jej córka. Zachwycające kobiety, jedna i druga. Dziwię się, że też nigdy nie słyszałam od ciebie, droga przyjaciółko, jak miła jest pani Fanny Dashwood!

Na to Eleonora nie miała odpowiedzi i nie próbowała odpowiadać.

- Czy źle się, pani, czujesz? Taka bez humoru... taką małomówną... Pani na pewno źle się czujesz.

- Nic mi nie dolega.

- Rada jestem, rada z całego serca, ale nie wyglądasz, pani, na zdrową. Jakżebym się martwiła, gdybyś zachorowała. Byłaś mi największą pociechą i pomocą! Nie wiem, co ja bym zrobiła bez twojej przyjaźni!

Eleonora próbowała odpowiedzieć grzecznie, choć wątpiła, czy się jej powiedzie. Odpowiedź jednak zadowolili widzieć Lucy, która ciągnęła:

- Tak, wierzę głęboko w twoją, pani, życzliwość dla mnie i to moja największa pociecha, oprócz miłości Edwarda. Biedny Edward. Ale jedno przynajmniej dobre: będziemy się mogli spotykać i to nawet często, bo lady Middleton jest zachwycona panią Dashwood, zapowiadają się więc liczne wizyty na Harley Street, a Edward połowę czasu spędza z siostrą... Poza tym lady Middleton i pani Ferrars muszą się wizytować i rewizytować, a pani Ferrars i jej córka były takie łaskawe, że kilkakrotnie powtarzały, iż zawsze będę u nich mile widziana... Cóż to za czarujące kobiety! Doprawdy, gdybyś kiedykolwiek powtarzała, pani, swojej bratowej, co o niej mówiłam, to żadne słowa nie wystarczą...

Eleonora jednak szybko pozbawiła ją złudzeń, by miała to kiedykolwiek powtarzać. Lucy ciągnęła:

- Naprawdę, jestem przekonana, że wyczułabym od razu, gdyby pani Ferrars powzięła do mnie antypatię. Gdyby na przykład tylko się skłoniła bez słowa i niczym później nie okazywała mi swojej uwagi, nie spojrzała na mnie życzliwie... Wiesz, pani, o co mi idzie... Gdyby mnie traktowała w taki odpychający sposób, byłabym w rozpacz i dałabym pokój wszystkiemu. Nie mogłabym tego znieść. Wiem, że jeśli ona kogoś nie lubi, to już na dobre.

Tak elegancko wyrażonego triumfu Eleonora mogła nie kwitować, gdyż w tej właśnie chwili rozwarły się drzwi, służący zaanonsował pana Ferrarsa, i w progu stanął Edward.

Bardzo to był niezręczny moment, o czym wyraźnie świadczyły ich twarze. Wszyscy mieli głupie miny, a Edward chyba równie mocno pragnął wejść dalej do pokoju, jak z niego wyjść. Stało się - i to w najprzykrzejszej formie - właśnie to, czego wszyscy najbardziej pragnęli uniknąć. Nie tylko znaleźli się razem we trójkę, ale poza nimi nie było nikogo, kto by ich poratował. Panie oprzytomniały najpierw. Nie leżało w interesie Lucy wysuwać się na pierwszy plan, nadto musiała zachować pozory sekretności. Wyraziła więc tylko wzrokiem swą czułość i po krótkim powitaniu zamilkła.

Eleonora miała cięższe zadanie, a tak bardzo pragnęła je wykonać przez wzgląd na siebie i Edwarda, że po chwili wewnętrznej walki zmusiła się do przywitania go niemal swobodnie i szczerze, po czym zrobiła następny wysiłek i jeszcze jeden, i jakoś wszystko poszło dobrze. Nie pozwoli, by czy to obecność Lucy, czy poczucie doznanej krzywdy przeszkodziły jej powiedzieć, jaka jest szczęśliwa, że go widzi, i jak żałuje, iż nie zastał jej w domu, składając poprzednio wizyty na Berkeley Street. Nie pozwoli, by zastraszyły ją bystre, wpatrzone w nią oczka Lucy, i okaże mu wszelką grzeczność, należną przyjacielowi i niemal krewnemu.

Eleonora pomogła swoim zachowaniem Edwardowi, który opanował się na tyle, by usiąść, okazywał jednak większe zakłopotanie niż damy, co było może usprawiedliwione, lecz rzadkie u przedstawiciela jego płci - nie miał bowiem w sercu tej obojętności co Lucy, a w sumieniu nie był tak spokojny jak Eleonora.

Lucy z afektowaną skromnością uparcie odmawiała im pomocy i nie odzywała się ani słowem. Niemal wszystko, co zostało powiedziane, padło z ust Eleonory, która musiała nie proszona udzielać informacji o stanie zdrowia matki, o podróży do Londynu i tak dalej, o co Edward powinien był sam zapytać, ale nie zapytał.

Nie skończyła jednak na tym, gdyż po niedługim czasie poczuła się w tak bohaterskim nastroju, że postanowiła zostawić tych dwoje na chwilę samych pod pretekstem pójścia po Mariannę. Wykonała swój plan z gestem, gdyż wielkodusznie i mężnie zwlekała jeszcze kilka minut na podeście schodów, nim weszła do pokoju siostry. W tym jednak momencie miłosne uniesienia Edwarda musiały się skończyć, gdyż Marianna, uradowana, zbiegła natychmiast na dół do salonu. Radość, jaka ją na jego widok ogarnęła, była, jak wszystkie jej uczucia, silna i jawna. Podeszła do niego z wyciągniętą ręką i zawołała głosem pełnym siostrzanego uczucia:

- Edwardzie kochany! Jakaż to radosna chwila! Niemal wszystko nam równoważy.

Edward próbował odpowiedzieć podobną serdecznością, lecz przy takim świadku nie ośmielał się mówić nawet połowy tego, co czuł naprawdę. Znowu usiedli wszyscy i przez chwilę siedzieli w milczeniu, a Marianna z wymowną serdecznością przenosiła wzrok z

Edwarda na Eleonorę, żalując tylko, że niepożądana obecność Lucy jest im przeszkodą w radowaniu się nawzajem swoim towarzystwem. Edward odezwał się pierwszy, gdyż zauważył zmieniony wygląd Marianny, i wyraził obawę, że Londyn jej nie służy.

- Och, nie myśl o mnie - odparła żywo i z powagą, choć oczy jej wezbrały łzami - nie myśl o moim zdrowiu. Eleonora dobrze się ma, sam widzisz. To nam obydwójgu musi wystarczyć.

Słowa jej nie były obliczone na to, by Edward i Eleonora poczuli się swobodniej, ani na pozyskanie życzliwości Lucy, która podniosła na Mariannę bynajmniej nie łaskawy wzrok.

- Podoba się wam Londyn? - zapytał Edward, pragnąc jak najszybciej zmienić temat.

- Ani trochę. Sądziłam, że spotka mnie tu wiele przyjemności, ale nic podobnego. Twój widok, Edwardzie, to jedyna pociecha, jakiej tu zaznałam. Dzięki Bogu! Ty się nie zmieniłeś!

Przerwała. Nikt się nie odezwał.

- Sądzę, Eleonoro - podjęła po chwili - że musimy poprosić Edwarda, by się nami zaopiekował w drodze powrotnej do Barton. Przypuszczam, że wyjedziemy za tydzień lub dwa, a sądzę, że ta opieka nie będzie Edwardowi przykra.

Biedny Edward wymruczał coś, czego nikt, nawet on sam, nie dosłyszał. Marianna, która zauważyła jego zdenerwowanie i natychmiast wytłumaczyła je tak, jak chciała, była zadowolona i zaczęła mówić o czymś innym.

- Spędziłyśmy wczoraj straszny wieczór na Harley Street, Edwardzie! Było tak nudno, tak potwornie nudno! Mam ci masę na ten temat do powiedzenia, ale to może innym razem.

Z tą wdzięczną dyskrecją odłożyła na później, kiedy będą sami, wyznanie, że ich wspólna rodzina okazała się jeszcze bardziej niż zwykle niemiła, a jego matka wydała jej się szczególnie niesympatyczna.

- Ale czemu nie było cię tam, Edwardzie? Dlaczego nie przyszedłeś?

- Miałem inne zobowiązania.

- Inne! A cóż to mogło być takiego wobec spotkania z najbliższymi przyjaciółmi!

- Czyżbyś - zawołała Lucy żądna odpłacenia jej w jakiś sposób - czyżbyś, pani, sądziła, że młodzi ludzie nie dotrzymują zobowiązań, zarówno tych wielkich, jak tych małych, jeśli im zabraknie po temu ochoty?

Eleonora ogromnie się rozgniewała, lecz Marianna nie zrozumiała chyba przytyku, gdyż odparła spokojnie:

- Nie, nic podobnego, mówiąc bowiem poważnie, jestem przekonana, że tylko obowiązkowość powstrzymała Edwarda od przyjścia na Harley Street. Jestem zupełnie

pewna, że ma on najbardziej na świecie wrażliwe sumienie, ogromnie skrupulatne, jeśli idzie o dotrzymywanie wszelkich, nawet najdrobniejszych zobowiązań, bez względu na to, czy są, czy nie są sprzeczne z jego interesem i chęciami. Ze wszystkich ludzi, jakich znam, on najbardziej się boi zadać komuś ból lub zawieść czyjeś nadzieje, najbardziej jest daleki od samolubstwa. Tak jest, Edwardzie, zawsze będę to powtarzać. Cóż to, czyżby nie wolno było cię chwalić? Jeśli tak, to nie możesz być moim przyjacielem, ci bowiem, którzy się godzą na moje uczucie i szacunek, muszą się też pogodzić z moimi głośnymi pochwałami.

Ta pochwała jednak, w obecnym wypadku, bardzo źle zabrzmiała w uszach dwojga spośród trojga słuchaczy i wcale nie sprawiła przyjemności Edwardowi, który po chwili wstał, by się pożegnać.

- Wychodzisz tak szybko! - zdumiała się Marianna. - Ależ drogi Edwardzie, nie możesz jeszcze iść!

Po czym odciągnęła go na bok i szepnęła, że Lucy na pewno nie pobędzie długo. Ale i ten argument zawiódł, gdyż Edward musiał iść, Lucy zaś, która nie wyszłaby pierwsza, nawet gdyby jego wizyta trwała dwie godziny, podniosła się wkrótce i pożegnała.

- Cóż ją tu tak często sprowadza? - pytała Marianna po jej wyjściu. - Czy nie widziała, że pragnęliśmy, żeby poszła? Jakie to niemiłe dla Edwarda.

- Czemu? Wszyscy jesteśmy jego przyjaciółmi, a Lucy zna najdłużej z nas wszystkich. To przecież oczywiste, że chciałby się z nią widzieć, tak samo jak z nami.

Marianna przyjrzała jej się poważnie. - Wiesz, Eleonoro - powiedziała - takiego gadania nie potrafię ścierpieć. Jeśli liczysz na to, że ci zaprzeczę, a sędzę, że o to ci chodzi, to pamiętaj, że jestem ostatnią w świecie osobą, która by coś podobnego zrobiła. To poniżające, by ze mnie wyłudzano nikomu niepotrzebne zapewnienia.

Wyszła z pokoju, Eleonora zaś nie odważyła się iść za nią i tłumaczyć, gdyż krępowała ją dana Lucy obietnica, a nie mogła przekonać Marianny, nie wyjawiając faktów. Choć rozumiała, że dalsze tkwienie w błędzie będzie drogo kosztowało Mariannę, musiała się z tym pogodzić. Mogła się tylko spodziewać - i nie bez racji - że Edward nieczęsto zechce wystawiać ją i siebie na przykrość wysłuchiwanie bezpodstawnych serdeczności Marianny czy też na inne nieprzyjemności, jakie towarzyszyły ostatniemu ich spotkaniu.

ROZDZIAŁ XXXVI

W kilka dni później gazety obwieściły całemu światu, iż małżonka JW Pana Tomasza Palmera, obywatela ziemskiego, urodziła zdrowo syna i dziedzica - bardzo treściwa i ciekawa notatka, zwłaszcza dla najbliższych, którzy już o tym wiedzieli. To tak istotne dla szczęścia pani Jennings wydarzenie spowodowało chwilowe zmiany w jej rozkładzie zajęć i w podobnym stopniu wpłynęło również na rozkład zajęć młodych jej przyjaciółek, chciała bowiem jak najwięcej czasu spędzać z Charlottą i jechała do niej rano, niemal zaraz po przebudzeniu, wracała zaś późnym wieczorem. Na prośbę państwa Middleton obie panny Dashwood spędzały całe dni na Conduit Street. Gdyby kierowały się własnymi chęciami, pozostawałyby, przynajmniej przed południem, w domu pani Jennings, nie mogły jednak postępować wbrew życzeniu wszystkich. Prawo do ich czasu zostało więc przekazane lady Middleton i dwom pannom Steele, które w istocie równie nisko sobie ceniły ich towarzystwo, jak głośno się go dopominały.

Eleonora i Marianna były osobami zbyt rozumnymi, by pani domu dobrze się przy nich czuła, panny Steele patrzyły na nie zazdrosnym okiem, jak na intruzki wchodzące na ich grunt, dzielące z nimi łaski, które pragnęły zmonopolizować dla siebie. Choć trudno o grzeczniejsze zachowanie niż lady Middleton wobec Eleonory i Marianny, w gruncie rzeczy nie lubiła obu panien. Nie prawili słodkich słówek ani jej, ani jej dzieciom, wobec czego nie mogła się w nich dopatrzeć serca, a ponieważ bardzo lubiły czytać, uważała je za sawantki, nie wiedząc zapewne, co to słowo właściwie znaczy - ale to drobiazg. Był to zarzut w częstym użytku, stawiany bardzo łatwo.

Ich obecność krępowała zarówno panią domu, jak Lucy. Pierwszej utrudniała bezczynność, drugiej - aktywność. Lady Middleton wstydziła się przy nich swego próżniactwa, a Lucy, dumna z wymyślonych przez siebie i wygłaszanych uprzednio pochlebstw, musiała ich teraz zaniechać z obawy przed wzgardą młodych dam. Starszą pannę Steele najmniej ich obecność wytrącała z równowagi, mogłyby zresztą łatwo wprawić ją w dobry nastrój. Gdyby jedna z nich opowiedziała jej w sekrecie, choćby w najkrótszych słowach, historię młodszej panny Dashwood i pana Willoughby'ego, Anna widziałaby w tym pełną rekompensatę za odstąpienie Mariannie najlepszego miejsca przy kominku po obiedzie. Nic takiego jednak nie zaszło i chociaż często powtarzała Eleonorze, jak bardzo współczuje jej siostrze, i niejednokrotnie rzucała przy Mariannie uwagi o niestałości kawalerów, nie przynosiło to żadnego skutku, prócz obojętnego spojrzenia jednej i odrazy drugiej. Mogłyby zresztą jeszcze mniejszym wysiłkiem zdobyć jej życzliwość - gdyby tylko pokpiwały z niej i

z doktora! Nie były jednak tak samo jak inni skłonne do świadczenia jej podobnych uprzejmości, toteż jeśli sir Johna nie było w domu, mogła przez cały dzień nie usłyszeć żadnych kpinek na ten temat z wyjątkiem tych, które sama była łaskawa sobie zaaplikować.

Pani Jennings nie podejrzewała w najmniejszym stopniu owej zazdrości i niezadowolenia i ogromnie była rada, iż panny są razem. Co wieczór gratulowała swoim gościom, że tak długo udaje im się unikać towarzystwa głupiej starej baby. Widywała się z nimi od czasu do czasu czy to u sir Johna, czy u siebie w domu, zawsze w wybornym humorze, dumna i zachwycona, przypisując sobie zasługę za świetne samopoczucie Charlotty, gotowa opowiadać o niej wszystko ze szczegółami, jakich już tylko starsza panna Steele była ciekawa. Jedno ją tylko martwiło i na jedno narzekała codziennie. Pan Palmer wyrażał powszechną u mężczyzn, lecz sprzeczną z ojcowskimi uczuciami opinię, iż wszystkie niemowlęta są jednakowe. I chociaż ona dostrzegała ciągle uderzające podobieństwo między tym dzieckiem a wszystkimi krewnymi ojca po mieczu i po kądzieli, jego nie można było o tym przekonać. Nie można mu też było w żaden sposób wytłumaczyć, że niemowlę różni się od wszystkich innych niemowląt w tym wieku; gorzej, nie można było nawet sprawić, by przyjął wniosek najbardziej oczywisty, mianowicie, że jest to najpiękniejsze niemowlę na świecie.

Zaczynam teraz relację o nieszczęściu, jakie w tym mniej więcej okresie przydarzyło się pani Fanny Dashwood. Tak się przypadkiem złożyło, że podczas pierwszej wizyty jej szwagierki i pani Jennings na Harley Street, zaszła do niej akurat inna znajoma - zdarzenie, które samo w sobie nie zapowiadało nieszczęścia. Choć wyobraźnia łatwo skłania ludzi do podejmowania niewłaściwych o nas sądów na podstawie pozorów, szczęście nasze zawsze w pewnej mierze zależy od zbiegu okoliczności. W opisywanym wypadku owa ostatnio przybyła znajoma pozwoliła swej wyobraźni tak dalece rozminąć się z rzeczywistością i prawdopodobieństwem, że usłyszawszy tylko nazwiska panien Dashwood oraz wiadomość, iż są to siostry pana Dashwooda, wywiodła z tego wniosek, że panny mieszkają na Harley Street, która to pomyłka spowodowała w kilka dni później zaproszenie ich obu jak również ich brata i bratowej na skromny wieczór muzyczny w domu owej pani. W rezultacie pani Dashwood mej tylko musiała znieść ogromną niewygodę, jaką było wysłanie powozu po szwagierki, ale też ścierpieć przykrość, jaką było udawanie, że odnosi się do nich z szacunkiem; a przecież kto mógłby przewidzieć, czy nie przyjdzie im do głowy spodziewać się, że zabierze je gdzieś po raz drugi? Co prawda, zawsze może sprawić im zawód, ten argument jednak nie wystarczał; kiedy bowiem ludzie decydują się na świadomie złe postępowanie, czują się urażeni, jeśli ktoś spodziewa się po nich czegoś dobrego.

Marianna powoli tak przywykła do codziennego bywania, że stało się jej zupełnie obojętne, czy wychodzi, czy zostaje w domu. Przygotowywała się więc spokojnie i machinalnie na każdy wieczór, choć nigdy nie spodziewała się zaznać przyjemności, a często do ostatniej chwili nie wiedziała nawet, dokąd się wybiera.

Jej strój i wygląd zewnętrzny stał się dla niej tak obojętny, że nie poświęcała swojej toalecie nawet połowy tej uwagi, jaką skupiała na niej starsza panna Steele przez pierwsze pięć minut po spotkaniu. Żaden szczegół nie uszedł jej oczom i ciekawości; wszystko musiała obejrzeć, o wszystko wypytać, nie spoczęła, póki nie dowiedziała się ceny każdej części stroju Marianny, potrafiłaby lepiej od niej zgadnąć, ile ma sukien w szafie, i wyraźnie liczyła, że nim się rozstaną, dowie się, ile wydaje tygodniowo na pranie i ile ma rocznie na swoje wydatki. Tego rodzaju bezczelne pytania kończyła zwykle komplementem, który, choć w założeniu miał być wyrazem hołdu, przyjmowany był przez Mariannę jako najwyższa impertynencja. Wiedziała, że kiedy skończy się sprawdzanie ceny, jakości jej sukni, koloru pantofelków i rodzaju fryzury, padną nieuniknione słowa: „Słowo daję, wygląda pani strasznie elegancko, na pewno będzie panią oblegał tłum kawalerów”.

Ten zachęcający komplement odprowadzał ją i tym razem do karety brata, do której wsiadły zaraz, gdy zajechała. Punktualność ta nie poszła w smak jej bratowej, która pojechała przodem do domu owych znajomych licząc, że panny się spóźnią i sprawią kłopot czy to jej, czy to stangretowi.

Wieczór nie przyniósł nic ciekawego. Towarzystwo, jak zwykle na wieczorach muzycznych, składało się w dużej części z ludzi, którzy mieli prawdziwe zamiłowanie do muzyki, i z o wiele większej części takich, którzy go wcale nie mieli, wykonawcy zaś byli, jak zawsze w przekonaniu własnym i najbliższych przyjaciół, najlepszymi kameralnymi wykonawcami w całej Anglii.

Eleonora ani nie była muzykalna, ani tego nie udawała, toteż bez żadnych ceregieli odwracała wzrok od fortepianu za każdym razem, kiedy jej na to przyszła ochota, a nie powstrzymywana nawet obecnością harfy i wiolonczeli przyglądała się różnym innym przedmiotom w pokoju. Jednym takim wędrującym spojrzeniem ogarnęła w pewnej chwili grupę młodych mężczyzn, a wśród nich zobaczyła tego, który miał wykład na temat szkatulek na wykałaczki w sklepie Graya. Po chwili zauważyła, że spogląda w jej stronę i mówi coś poufale do jej brata; już postanowiła zapytać, kim jest ów młody człowiek, kiedy obaj zbliżyli się do niej i brat przedstawił jej pana Roberta Ferrarsa.

Młodzieniec zwrócił się do niej ze swobodną uprzejmością i wykręcił głowę w ukłonie, który upewnił ją bardziej dowodnie niż słowa, że jest owym fanfaronem z opisu

Lucy. Dobrze by było, gdyby jej uczucie do Edwarda opierało się nie tyle na jego zaletach, co na zaletach jego najbliższej rodziny, wówczas bowiem ten ukłon brata musiałby ją chyba dobić, po wszystkich złościwościach jego matki i siostry. Kiedy się jednak zastanowiła nad odmiennością tych dwóch młodych ludzi, nie stwierdziła, by zarozumiałstwo i pustogłowie jednego kazało jej bezlitośnie zapomnieć o skromności i zacności drugiego. Skąd się wzięła między nimi ta różnica - wyjaśnił jej sam Robert podczas piętnastominutowej rozmowy. Mówiąc o bracie, lamentując nad jego straszną gaucherie*, będącą, jego zdaniem, przyczyną, dla której Edward nie obraca się we właściwym towarzystwie, przypisał to szlachetnie i bezstronnie nie tyle jakimś wrodzonym ułomnościom brata, ile nieszczęściu, jakim była prywatna edukacja. Przecież on sam, nie będąc chyba obdarzony przez naturę większymi, bardziej cennymi przymiotami, tylko dzięki temu, że uczęszczał do szkoły publicznej, umie swobodnie obracać się wśród ludzi.

- Na moją duszę - dodał - sędzę, że cała rzecz ma tę jedną przyczynę, i często powtarzam to mojej matce, kiedy się o niego martwi. „Droga mammo, powiadam, proszę, niechże się mama uspokoi. Zło dokonało się nieodwracalnie i tylko mama jest za to odpowiedzialna. Czemu się mama dała przekonać naszemu wujowi, sir Robertowi, i oddała Edwarda prywatnemu wychowawcy w najbardziej niebezpiecznym okresie jego życia? Gdyby go mama posłała do szkoły w Westminster, tak jak mnie, zamiast go posyłać do pana Pratta, nigdy by do tego nie doszło”. Tak właśnie widzę całą sprawę, a moja matka jest w pełni świadoma popełnionego błędu.

Eleonora nie oponowała, gdyż bez względu na własne zdanie o wyższości szkół publicznych, nie mogła myśleć z najmniejszą choćby satysfakcją o pobycie Edwarda w rodzinie pana Pratta.

- Pani mieszka w Devonshire, prawda? - zapytał po chwili. - W wiejskim domku gdzieś koło Dawlish.

Eleonora wyprowadziła go z błędu, jemu zaś wydawało się wprost zdumiewające, że ktoś może mieszkać w Devonshire nie mieszkając koło Dawlish. Złożył jej jednak wyrazy szczerego uznania w związku z wyborem domu.

- Jeśli o mnie idzie - oświadczył - niezmiernie lubię wiejskie chatki, takie są wygodne, takie eleganckie. I zawsze mówię, że gdybym miał leżącą gotówkę, kupiłbym kawałek ziemi i zbudowałbym sobie wiejski domek pod Londynem, gdzie mógłbym dojechać gigiem, kiedy bym tylko zapragnął zebrać paru przyjaciół i się bawić. Każdemu, kto się chce budować, radzę, żeby budował taki domek. Kilka dni temu przyszedł do mnie mój przyjaciel, lord

*Gaucherie (fr.) - niezręczność, niezgrabność.

Courtland, prosząc o radę i położył przede mną trzy projekty Bononiego*. Miałem zdecydować, który najlepszy. „Mój drogi przyjacielu - powiedziałem Courtlandowi, wrzucając natychmiast wszystkie trzy do ognia - nie wybieraj żadnego z nich, ale koniecznie zbuduj sobie wiejską chatkę”. I sędzę, że tym się skończy. Są ludzie, którzy sobie wyobrażają, że w takim domku nie ma przestrzeni, nie ma wygód, ale to wszystko nieprawda. W zeszłym miesiącu byłem u mego przyjaciela Elliotta, koło Dartfordu. Lady Elliott chciała urządzić tańce. „Jakżeby to zrobić? - zwróciła się do mnie. - Poradź mi, jak to zrobić, przyjacielu. W tym domku żaden pokój nie pomieści dziesięciu par, a gdzie podać kolację?” Natychmiast zorientowałem się, że można to zrobić bez najmniejszego trudu, powiedziałem więc: „Droga lady Elliott, proszę się nie niepokoić. Jadalnia pomieści łatwo osiemnaście par, stoliki do kart można rozstawić w saloniku, bibliotekę można otworzyć i przygotować w niej herbatę i inne napoje, a kolację można podać w salonie”. Lady Elliott zachwycona była tym projektem. Wymierzaliśmy jadalnię i stwierdziliśmy, że pomieści akurat osiemnaście par, i wszystko zostało przygotowane ściśle według moich wskazówek. Widzisz więc, pani, że w gruncie rzeczy, jeśli ktoś wie, jak się do tego zabrać, może w wiejskiej chatce zaznać tych samych wygód co w najobszerniejszych budynkach.

Eleonora przytakiwała wszystkiemu, nie uważała bowiem, by zasługiwał na komplement rzeczowego sprzeciwu.

John Dashwood nie większą znajdował przyjemność w muzyce niż jego siostra, toteż myśli jego mogły błąkać się swobodnie. W ten sposób przyszedł mu do głowy pomysł, z którym wystąpił po powrocie do domu, prosząc żonę o aprobatę. Zastanowiwszy się nad pomyłką popełnioną przez panią Dennison, która wzięła panny Dashwood za ich gości, doszedł do wniosku, że byłoby stosowne, zaprosić siostry do nich na okres, w którym zajęcia nie pozwalają pani Jennings zająć się nimi. Wydatek będzie żaden, a niewygody również znikome. Wrażliwe sumienie mówiło mu, że ten dowód uwagi dla sióstr jest niezbędny dla zdobycia całkowitej pewności, iż spełnił daną ojcu obietnicę. Fanny była zaskoczona propozycją.

- Nie widzę, jak by to można było zrobić - powiedziała - nie obrażając lady Middleton, boć przecież całe dnie spędzają u niej. Inaczej chętnie bym na to przystała. Wiesz, że zawsze gotowa okazywać im wszelkie możliwe względy, czego dowodem, że zabrałam je dziś wieczór. Ale są przecież gośćmi lady Middleton. Jakże ja mogę prosić, żeby stamtąd poszły?

Mąż jej zauważył uniżenie, że te zastrzeżenia nie wydają mu się istotne. - Spędziły już

*Joseph Bononi (1739 - 1808) - znany architekt.

tam cały tydzień i lady Middleton nie może mieć im za złe, jeśli tyle samo czasu spędzą u bliskiej rodziny.

Fanny zastanowiła się chwilę, po czym podjęła ze świeżą siłą:

- Moje serce, zaprosiłabym je najchętniej, gdyby to było w mojej mocy. Ale właśnie podjęłam decyzję, że zaproszę do nas na kilka dni panny Steele. To dobrze wychowane, miłe dziewczęta, sądzę, że należą im się pewne względy, jako że ich wuj tak się Edwardowi zasłużył. Możemy zaprosić twoje siostry innego roku, ale panny Steele, być może, nigdy już nie przyjadą do Londynu. Na pewno je polubisz, a właściwie lubisz je już teraz, mamusia tak samo, a nasz Harry wprost przepada za nimi!

Pan Dashwood dał się przekonać. Dostrzegł konieczność natychmiastowego zaproszenia panien Steele, a sumienie uspokoił postanowieniem, że zaprosi siostry w przyszłym roku; podejrzewał też sprytnie, że w przyszłym roku zaproszenie będzie zbędne, gdyż Eleonora przyjedzie do Londynu jako żona pułkownika Brandona, a Marianna jako ich gość.

Fanny ucieszona, że jej się udało wybrnąć z kłopotu, i dumna, że szybka orientacja podsunęła jej wyjście, napisała następnego dnia do Lucy, zapraszając ją wraz z siostrą na kilka dni na Harley Street, kiedy tylko lady Middleton będzie się mogła z nimi rozstać. To wystarczyło; Lucy miała teraz rzetelne i uzasadnione podstawy do radości. Doprawdy, można by sądzić, że sama pani Dashwood robi wszystko, by jej pomóc; karmi jej nadzieję, sprzyja jej zamiarom! Sposobność przebywania z Edwardem i jego rodziną była dla interesów Lucy wprost decydująca, a nadto cóż to dla niej za satysfakcja otrzymać podobne zaproszenie! Żadna wdzięczność nie może być za to zbyt wielka, żaden pośpiech nie wystarczy. Okazało się natychmiast, że pobyt u lady Middleton, którego długość nie była dotychczas określona, miał od początku trwać tylko dwa dni.

Zobaczywszy liścik bratowej, który został jej pokazany w dziesięć minut po przyjściu, Eleonora zaczęła po raz pierwszy podzielać w pewnym stopniu nadzieje Lucy. Takie świadectwo niebywałych względów, złożone po tak krótkiej znajomości, dowodziło, że życzliwość dla niej wyrosła z czegoś więcej niż tylko z niechęci do Eleonory, i że czas i odpowiednia układność mogą jeszcze doprowadzić Lucy do celu. Podbiła już swymi pochlebstwami dumną lady Middleton i wkradła się w serce pani Dashwood, a takie osiągnięcia rokowały wielkie dokonania.

Panny Steele przeniosły się na Harley Street, a wszystko, co dochodziło uszu Eleonory, świadczyło o ich rosnącym wpływie i kazało oczekiwać wielkiego ewenementu. Sir John, który kilka razy je odwiedzał, opowiadał, że okazywane im względy zwracają uwagę

każdego. Pani Dashwood powiada, że jeszcze żadne młode panny tak bardzo jej się nie podobały, ofiarowała każdej po igielniczce, zrobionej przez jakąś emigrantkę, zwracała się do Lucy po imieniu i nie wiedziała, doprawdy, czy będzie się mogła kiedykolwiek z nimi rozstać.

ROZDZIAŁ XXXVII

Pod koniec drugiego tygodnia pani Palmer czuła się tak dobrze, że matka nie uważała za konieczne poświęcać jej całego swego czasu. Zadowolona się jedną czy dwoma wizytami u córki w ciągu dnia i powróciła do własnego domu i własnego trybu życia, w którym panny Dashwood gotowe były natychmiast wziąć, jak poprzednio, udział.

Trzeciego czy czwartego dnia po tym powrocie do dawnego porządku pani Jennings, wracając ze zwykłej porannej wizyty u pani Palmer, wpadła do salonu, a wyraz jej twarzy świadczył, że ma do powiedzenia coś doniosłego i niezwykłego; nim Eleonora, która tam siedziała sama, zdążyła się otrząsnąć z oszołomienia, zacna dama usprawiedliwiła całkowicie wstrząs, jaki wywołała swoim wejściem.

- Wielki Boże, czyś już słyszała nowiny, moja droga?

- Nie, proszę pani. A co się stało?

- Coś strasznie dziwnego! Ale opowiem ci wszystko. Kiedy przyszedłam do Palmerów, zastałam Charlotte w panice, była pewna, że dziecko jest chore. Mały płakał, marudził, był cały w pryszczach. Spojrzałam tylko na niego i zaraz powiedziałam: „Moja droga, to nic innego, jak zwykła wysypka niemowlęca”. Pielęgniarka powiedziała to samo, ale Charlotta wciąż się niepokoiła, posłano więc po doktora Donavana. Na szczęście właśnie wychodził z Harley Street i mógł przyjść natychmiast. Zaraz obejrzał małego i stwierdził, że to nic innego, jak niemowlęca wysypka, więc Charlotta się uspokoiła. Ale kiedy już się wybierał w drogę, przyszło mi do głowy, sama nie wiem skąd, żeby go spytać, czy nie ma jakichś świeżych nowinek. Na to on zaczął się głupio uśmiechać i robić miny, potem spowaźniał, no, jednym słowem wyglądał, jakby coś wiedział. Wreszcie wydusił szeptem: „Ponieważ obawiam się, że do uszu młodych dam, będących pod pani opieką, mogą dojść przykre wiadomości o zasłabnięciu ich bratowej, uważam za wskazane poinformować panią, iż nie ma poważnych powodów do obaw. Mam nadzieję, że pani Dashwood szybko wróci do zdrowia”.

- Co?! Czyżby Fanny zachorowała?

- Zadałam słowo w słowo takie samo pytanie, moja droga! „O, Boże, czyżby pani Dashwood zachorowała?” No i wtedy bomba pękła - mówiąc krótko i niczego nie owijając w bawełnę, z tego, czego się mogłam dowiedzieć, sprawa wygląda tak. Otóż pan Edward Ferrars, właśnie ten młody człowiek, którego ci żartem wymawiałam, moja droga (ale po tym, co teraz wiem, jestem bardzo, ale to bardzo rada, że nigdy nie było w tym żdźbła prawdy), otóż okazuje się, że ten pan Edward Ferrars jest od ponad roku zaręczony z moją kuzynką Lucy. Ot, proszę, moja droga, co ty na to! I nikt, ale to nikt o tym nie wiedział, oprócz Anny!

Uwierzyłybyś, że coś podobnego jest możliwe? Trudno się dziwić, że się sobie nawzajem spodobali, ale że sprawy zaszły aż tak daleko i nikt niczego nie podejrzewał! To zdumiewające! Tak się złożyło, że nigdy ich nie widziałam razem, inaczej na pewno bym się wszystkiego domyśliła. No więc, utrzymywali to w sekrecie ze strachu przed panią Ferrars i ani ona, ani twój brat czy bratowa nie podejrzewali niczego, ale to zupełnie niczego aż do dzisiejszego ranka, kiedy to biedna Anna, która, jak wiesz, jest poczciwa, ale prochu nie wymyśli, że wszystkim się wygadała. „Mój Boże, myślała, przecież oni tak strasznie lubią Lucy, na pewno nie będą jej przeciwni”. No i poszła do twojej bratowej, która akurat siedziała sama przy pracy nad kilimkiem, nie przypuszczając nawet, co za chwilę usłyszy, bo właśnie przed pięcioma minutami mówiła swojemu bratu o zamierzonym przez nią mariażu pana Edwarda z córką jakiegoś lorda, zapomniałam jakiego. Możesz więc sobie wyobrazić, znając jej dumę i próżność, co to był dla niej za cios. Zaraz dostała ostrego ataku hysterii i zaczęła tak wrzeszczeć, że aż to usłyszał twój brat, który siedział na dole w swojej garderobie i właśnie miał pisać list do rządcy na wsi. No więc, zaraz pobiegł na górę, a tam zobaczył okropną scenę, bo przed nim przyszła Lucy, nie mając o niczym pojęcia. Biedaczka, jakże jej współczuję! Bo trzeba powiedzieć, że bardzo się brzydko wobec niej zachowano. Twoja bratowa zaczęła na nią krzyczeć jak nieprzytomna i doprowadziła ją w końcu do omdlenia. Anna upadła na kolana i okropnie płakała, a twój brat chodził po pokoju i powiadał, że nie wie, co robić. Jego żona oświadczyła, że Anna i Lucy nie mogą ani chwili dłużej przebywać pod jej dachem, a wtedy twój brat musiał też paść na kolana i błagać, żeby im pozwoliła chociaż się spakować. Na to ona znowu dostała hysterii, a on się tak przestraszył, że posłał po doktora Donavana, który przyszedł i widział to całe zamieszanie. Powóz stał przed drzwiami, a moje kuzynki właśnie wychodziły, kiedy on wchodził do domu, biedna Lucy, powiadał, w takim stanie, że ledwie powłóczyła nogami, a Anna nie w lepszym. Okropnie mnie ta twoja bratowa irytuje i z całego serca pragnę, żeby wbrew niej ten mariaż doszedł do skutku. Mój Boże, cóż to za straszne przeżycie dla pana Edwarda! Żeby tak lekceważąco potraktować jego ukochaną! Powiadają, że on świata za nią nie widzi, no i słusznie! Wcale bym się nie dziwiła, gdyby wpadł w straszną pasję... a doktor Donovan też tego nie uważa za wykluczone. Ujadaliśmy się z nim do syta i omówiliśmy całą sprawę, a najlepsze, że on wrócił na Harley Street, żeby być pod ręką, kiedy zawiadomią o wszystkim panią Ferrars, bo posłali po nią zaraz po wyjeździe moich kuzynek, a twoja bratowa przypuszczała, że matka też zaraz wpadnie w histerię, niech sobie wpada, dobrze jej tak! Nie żal mi ani jednej, ani drugiej. Nie lubię ludzi, którzy przywiązują tak wielką wagę do pieniędzy i stanowisk. Nie ma żadnego powodu, dla którego Lucy i pan Edward nie mieliby się pobrać, bo pewna jestem, że

panią Ferrars stać na to, żeby zapewnić synowi dostatni byt, a chociaż Lucy nie ma prawie nic, potrafi z większym niż ktokolwiek pożytkiem wykorzystać każdego pensa. I gdyby pani Ferrars data mu choćby pięćset funtów rocznie, ona by z tego żyła tak, jak inni z ośmiuset. Boże wielki, jak wygodnie mogliby się urządzić w takim małym domku wiejskim, jak wasz... albo nieco większym... dwie pokojowe i dwóch służących, a myślę, że mogłabym im pomóc w znalezieniu pokojowej, bo moja Betty ma siostrę, która jest teraz bez zajęcia i byłaby dla nich akurat w sam raz.

Tu pani Jennings przerwała, a że Eleonora miała dość czasu, by zebrać myśli, zdołała odpowiedzieć i skomentować całą tę sprawę tak, jak można się tego było spodziewać. Szczęśliwa była, że pani Jennings nie podejrzewała jej w tym wypadku o osobiste zainteresowanie, że przestała sobie wyobrazać, iż łączy ją z Edwardem uczucie (zresztą ostatnio już chyba tak nie myślała), a nade wszystko rada była z nieobecności Marianny, mogła więc rozmawiać o wydarzeniu bez zakłopotania i wydać opinię, jak sądziła, bezstronną, o zachowaniu poszczególnych osób.

Nie potrafiła odpowiedzieć sobie na pytanie, czego się sama po tym wszystkim spodziewa, choć starała się usilnie odpędzić myśl, że sprawa może się ostatecznie skończyć czymś innym niż małżeństwem Edwarda i Lucy. Chciałaby bardzo usłyszeć, co powie i uczyni pani Ferrars, choć nie miała wątpliwości co do jej nastawienia, a jeszcze bardziej była ciekawa, jak się zachowa Edward. Dla niego miała ogromne współczucie, dla Lucy - bardzo niewielkie, i to wymuszone, dla pozostałych - ani cienia.

Ponieważ pani Jennings nie potrafiła mówić o niczym innym, stało się oczywiste, że trzeba przygotować Mariannę do rozmów na ten temat. Należy jak najszybciej zdjąć jej łuski z oczu i zapoznać z prawdą tak, by potrafiła słuchać cudzych komentarzy, nie zdradzając się z troską o siostrę i niechęcią w stosunku do Edwarda.

Eleonorę czekało przykre zadanie. Musiała pozbawić siostrę jej największej pociechy... Powiedzieć o Edwardzie to, co, jak się obawiała, zniweczy jej dobre o nim mniemanie, sprawić, że podobieństwo sytuacji, w jakich się obie znalazły, z pewnością każe młodej panie ponownie przeżywać własny zawód. Lecz to zadanie, choć przykre, musiało być wykonane, Eleonora pospieszyła więc na górę.

Nie pragnęła występować w roli cierpiénicy czy rozwodzić się nad swymi przeżyciami, chyba że po to, by ból i opanowanie, jakie sobie narzuciła od chwili, kiedy się dowiedziała o zaręczynach Edwarda, stały się dla Marianny wskazówką. Opowiedziała jej wszystko jasno i prosto, a choć nie mogła się wyzbyć przejęcia, mówiła bez gwałtownego wzruszenia czy wybuchów rozpacz... Wyręczyła ją w tym Marianna, która słuchała z

przerażeniem i płakała rozpaczliwie. Eleonora musiała więc grać rolę pocieszycielki nie tylko w cudzych smutkach, ale i w swoich własnych; zapewniła skwapliwie, że jest zupełnie spokojna, i z całą powagą starała się oczyścić Edwarda z wszelkich zarzutów prócz lekkomyślności i nierozwagi.

Ale przez pewien czas Marianna nie chciała dać wiary ani jednemu, ani drugiemu. Edward wydawał się jej taki sam jak pan Willoughby, a że Eleonora kochała go najszczerzej, nie można było przypuścić, by mniej od siostry cierpiała. Jeśli idzie o Lucy Steele, uważała ją za tak niesympatyczną osobę, tak całkowicie niezdolną do pozyskania uczucia rozumnego mężczyzny, że z początku nie mogła uwierzyć w dawniej powzięty sentyment, a potem nie mogła mu go wybaczyć. Nie chciała nawet przyznać, iż był on całkiem naturalny, aż Eleonora użyła wreszcie jedyne skutecznego argumentu - stwierdziła, że lepiej zna się na ludziach.

Pierwsza wiadomość ograniczała się do stwierdzenia, że Edward i Lucy są zaręczeni i od jak dawna. Już w tym momencie uczucia Marianny doszły do głosu, uniemożliwiając przekazywanie jej dalszych szczegółów. Przez pewien czas można było tylko łagodzić jej rozpacz, pomniejszając obawy, i uciszać gniew. Pierwsze pytanie, które zadała, a które wymagało dalszych wyjaśnień, brzmiało:

- Od jak dawna wiedziałas o tym, Eleonoro? Czy on napisał do ciebie?

- Od czterech miesięcy. Kiedy Lucy przyjechała do Barton Park w listopadzie, powiedziała mi w zaufaniu o swoich zaręczynach.

Na te słowa oczy Marianny wyraziły niewysłowioną zdumienie. Wreszcie wybuchnęła:

- Cztery miesiące! Wiedziałaś o tym od czterech miesięcy!

Eleonora przytaknęła.

- Przez cały ten czas, kiedy wspierałaś mnie w moim nieszczęściu, to leżało ci ciężarem na sercu! A ja ci wyrzucałam, żeś szczęśliwa!

- Nie byłoby właściwe, byś właśnie wtedy dowiedziała się, jak bardzo się mylisz.

- Od czterech miesięcy! - powtórzyła Marianna. - Taka spokojna! Taka pogodna! Co ci dawało siły?

- Poczucie, że spełniam mój obowiązek. Obiecałam Lucy, że zachowam jej zwierzenia w sekrecie, byłam więc zobowiązana nie zdradzić się ani słowem. Byłam również zobowiązana wobec mojej rodziny i przyjaciół - nie miałam prawa wzbudzać w nich niepokoju, którego nie mogłabym uśmierzyć.

Na Mariannie zrobiło to duże wrażenie.

- Często pragnęłam wyprowadzić z błędu ciebie i mamę - ciągnęła Eleonora - i kilka

razy nawet próbowałam, ale nie mogłam was przekonać, nie łamiąc danego słowa.

- Cztery miesiące! A przecież go kochałaś!

- Tak. Ale kochałam nie tylko jego. Drogi mi był również spokój innych i rada byłam oszczędzić im świadomości mojego cierpienia. Teraz mogę o tym mówić i myśleć bez szczególnego przejęcia. Nie chcę, żebyś się mną gryzła. Zapewniam cię, że mnie to już tak mocno nie boli. Mam wiele argumentów na pociechę. Wiem, że nikogo nie zawiodłam swoją nierozwagą, że nikogo nie obarczałam własnym cierpieniem. Nie oskarżam Edwarda o podły postępek. Życzę mu szczęścia, a jestem pewna, iż zawsze będzie spełniał swój obowiązek, przypuszczam więc, że choć teraz może mieć trochę żalu w sercu, będzie jeszcze kiedyś szczęśliwy. Lucy nie brakuje rozsądku, a na takim gruncie można zbudować wiele dobrego. A poza tym, Marianno, poza wszystkim, co takie jest urzekające w idei jednej, dozgonnej miłości, mimo wszystkie piękne słowa o tym, że nasze szczęście może zależeć wyłącznie od jednej tylko osoby... nie znaczy... nie jest właściwe... nie jest możliwe... żeby tak było. Edward ożeni się z Lucy, ożeni się z kobietą przewyższającą rozumem i urodą połowę kobiet na świecie. Czas i przyzwyczajenie każą mu zapomnieć, że kiedykolwiek myślał o kimś, kto ją z kolei przewyższał.

- Jeśli tak uważasz - powiedziała Marianna - jeśli utratę kogoś najdroższego można tak łatwo powetować, może mniej należy się dziwić twojemu spokojowi i opanowaniu. Nietrudno mi je teraz wytłumaczyć.

- Rozumiem. Nie sądzisz, bym kiedykolwiek wiele czuła. Słuchaj, Marianno, przez cztery miesiące ta świadomość ciążyła mi na sercu, a nie miałam nikogo, z kim mogłabym się nią podzielić. Wiedziałam, że gdybym wam wszystko powiedziała, odczułybyście to ogromnie boleśnie, a przecież nie miałam możliwości przygotować was ani trochę na ten cios. Zostało mi to powiedziane... w jakiś sposób została mi ta wiadomość wtłoczona siłą... przez tę właśnie osobę, której wcześniejsze zaręczyny zniweczyły wszystkie moje nadzieje... i zostało mi to powiedziane, jak myślałam, z triumfem. Musiałam więc stłumić podejrzenia tej osoby, starając się przybrać pozory obojętności w sprawie najgłębiej mnie dotyczącej... Musiałam to robić nieraz. Musiałam wysłuchiwać bez końca jej triumfalnych uniesień... jej nadziei. Wiedziałam, że zostałam z Edwardem rozdzielona na zawsze, nie usłyszawszy nic, ale to nic, co mogłoby sprawić, bym mniej pragnęła z nim związku... Nic nie świadczyło o jego niegodziwości, o obojętności w stosunku do mnie... Musiałam stawić czoło niechęci jego siostry, znosić ubliżające zachowanie jego matki, musiałam cierpieć karę za moje uczucie, nie otrzymując nic w zamian... A wszystko to działo się w czasie, kiedy, jak dobrze to wiesz, miałam jeszcze inne zgrzyoty... Jeśli uważasz, że jestem w ogóle zdolna coś odczuwać,

musisz przyznać, że cierpiałam. Spokój wewnętrzny, jaki narzuciłam sobie teraz w stosunku do tej sprawy, pociecha, jaką skłonna jestem dziś przyjąć, to wszystko skutki ciągłych, niezmordowanych wysiłków, to nie przyszło z niczego... To z początku nie dawało ulgi. Nie, Marianno. Gdybym wtedy nie musiała milczeć, nic nie mogłoby mnie powstrzymać, nic, nawet powinność wobec najbliższych, od okazania jawnie, jak bardzo jestem nieszczęśliwa.

Marianna była pokonana.

- Och, Eleonoro - zawołała - teraz powinnam się zniechęcić do końca życia! Jakaż ja byłam dla ciebie podła! Dla ciebie, któraś mi była jedyną pociechą, która wspierałaś mnie cierpliwie w moim nieszczęściu! I taką okazałam ci wdzięczność! I w ten tylko sposób potrafiłam ci się odplacić! Próbowałam odmówić ci zalet, bo tak oczywiście ujawniały moje słabości!

Po tych wyznaniach przyszła kolej na najczulsze słowa. W tym stanie ducha Marianna przyrzekła Eleonorze wszystko, czego zażądała. Obiecała więc nie okazywać nigdy ani cienia goryczy, mówiąc z kimkolwiek o tej sprawie... Obiecała, że przy spotkaniu z Lucy nie zdradzi niczym, że jeszcze bardziej jej teraz nie lubi... a jeśli los kiedykolwiek zetknie je z Edwardem, będzie dla niego tak samo jak dotychczas serdeczna. Wielkie to były ustępstwa, kiedy jednak Marianna uznała swój błąd, wszystko wydawało jej się niedostatecznym zadośćuczynieniem.

Spełniła do podziwienia obietnicę dyskrecji. Wysłuchiwała tego, co pani Jennings miała jej do powiedzenia, nie zmieniawszy wyrazu twarzy, nie zaprzeczywszy jej ani razu, i trzykrotnie powtórzyła głośno: „Tak, proszę pani”. Słuchała jej zachwyty nad Lucy, przenosząc się jedynie z krzesła na krzesło, a kiedy pani Jennings mówiła o uczuciu Edwarda, dostała tylko skurczu gardła. Eleonora, widząc heroiczne wysiłki siostry, sama czuła się niemal zdolna do wszystkiego.

Następny dzień poddał je nowej próbie, przyszedł bowiem ich brat, by z poważną miną omówić z siostrami okropne wydarzenie oraz powiadomić je o stanie zdrowia żony.

- Słyszałyście zapewne - rozpoczął uroczyście natychmiast, gdy usiadł - o potwornym odkryciu, jakiego dokonaliśmy wczoraj pod własnym dachem?

Potwierdziły to spojrzeniem; chwila była zbyt straszna na słowa.

- Bratowa wasza - ciągnął - przeżyła to bardzo ciężko. Pani Ferrars również. Krótko mówiąc, dom nasz był sceną skomplikowanej tragedii... Mam jednak nadzieję, że burza minie, nie obalwszy nikogo z nas. Biedna Fanny! Cierpiała wczoraj cały dzień na histerię. Nie chcę jednak zbytnio was przerażać. Donavan powiada, że nie widzi poważnych powodów do obaw. Jest zdrowej konstytucji i ma niezwykle silną wolę. Zniosła to wszystko z anielskim męstwem. Powiada, że nigdy już w życiu nie będzie o nikim dobrze myślała, a trudno się

temu dziwić po takim zawodzie! Po takiej niewdzięczności za okazaną dobroć i zaufanie! Przecież zaprosiła te młode panny do domu jedynie z anielskiego serca, tylko dlatego, że uważała, iż należą im się pewne względy, że to nieszkodliwe, dobrze wychowane dziewczęta, które jej będą miłymi towarzyszkami, inaczej zaprosilibyśmy ciebie i Mariannę na czas, kiedy droga wasza przyjaciółka będzie pielęgnować córkę. I taką dostać nagrodę! „O ileż byłoby lepiej - powiada biedna Fanny z największą czułością - żebyśmy zaprosili twoje siostry zamiast nich!”

Tu przerwał, by usłyszeć podziękowania, a otrzymawszy je, mówił dalej:

- Trudno opisać, co wycierpiała nieszczęsna pani Ferrars, kiedy Fanny wszystko jej powiedziała! Czyż mogła przypuścić, że podczas gdy ona powodowana najczulszym matczynym uczuciem szykuje mu najlepszy mariaż, on jest sekretnie zaręczony z jakąś inną? Nigdy jej takie przypuszczenie w głowie nie powstało. Jeśli podejrzewała u niego skłonność do jakiegóż innej osoby, to z pewnością nie w tym kierunku! „Tutaj - powiedziała - mogłam się najmniej spodziewać niebezpieczeństwa”. Jakże ona to strasznie przeżyła! Zaczęliśmy jednak radzić, co robić, i wreszcie moja teściowa postanowiła posłać po Edwarda. Przyszedł. Przykro mi opowiadać, co było dalej. Na nic się zdało to, co powiedziała pani Ferrars, by go nakłonić do zerwania zaręczyn, ani to, co ja powiedziałem, wspierając jej argumenty, na nic również błagania Fanny. Zlekceważył wszystko: i obowiązki, i uczucie. Nigdy nie myślałem, że Edward jest uparty, taki bez serca. Matka przedstawiła mu swoje wielkoduszne plany, powiedziała, że jeśli poślubi pannę Morton, przepisze na niego majątność w hrabstwie Norfolk, która, po potrąceniu podatku ziemskiego, przynosi na czysto dobre tysiąc funtów rocznie, a kiedy sprawa zaczęła źle wyglądać, posunęła się nawet do tysiąca dwustu funtów i jednocześnie podkreśliła, iż jeśli będzie obstawał przy tym mezaliansie, znajdzie się w skrajnym ubóstwie. Dwa tysiące funtów, jakie posiada, będą całym jego majątkiem, ona nigdy już nie zechce go widzieć i tak będzie jej daleka chęć udzielenia mu pomocy, że gdyby pragnąc powiększyć dochody, jął się jakiegoś zawodu, matka uczyni wszystko, by mu przeszkodzić w jakichkolwiek w tym zawodzie postępach.

Tu Marianna, którą rozpierało oburzenie, klasnęła w ręce wołając: - Wielki Boże, czy to możliwe!

- Słusznie się dziwisz, Marianno - odparł jej brat - że jego upór ostał się wobec takich argumentów. Twoje zdumienie jakże jest oczywiste.

Marianna już chciała mu odpowiedzieć, kiedy przypomniała sobie daną obietnicę i zamilkła.

- Wszystko to - ciągnął pan Dashwood - nie przyniosło żadnych skutków. Edward

mówił niewiele, ale to, co powiedział, brzmiało bardzo stanowczo. Nic nie skłoni go do zerwania zaręczyn. Ma zamiar przy nich trwać bez względu na cenę, jaką będzie musiał zapłacić.

- Wobec tego - zakrzyknęła pani Jennings szczerze i otwarcie, gdyż nie mogła już dłużej zachować milczenia - wobec tego postąpił jak uczciwy człowiek! Bardzo pana przepraszam, ale gdyby się zachował inaczej, uważałabym go za łajdaka. Jak pan dobrze wie, mnie też coś łączy z tą sprawą, bo Lucy Steele to moja kuzynka, i powiadam, nie ma lepszej dziewczyny na świecie. Zasługuje na dobrego męża jak mało która.

John Dashwood zdumiał się ogromnie, ale że z usposobienia był spokojny i niełatwo go było sprowokować, a nadto nigdy nie chciał obrazić nikogo, a zwłaszcza osoby mającej, przeto odparł bez najmniejszego oburzenia:

- Nigdy w życiu nie odezwałbym się bez szacunku o kimkolwiek z twojej, pani, rodziny. Panna Steele jest osobą zasługującą, myślę, ze wszech miar na szacunek, ale rozumie pani, że jeśli idzie o obecny przypadek, związek jest niemożliwy. Może też, wszystko razem wzięwszy, dosyć są niezwykle te sekretne zaręczyny z podopiecznym wujem, synem kogoś tak bardzo mającego. Krótko mówiąc, nie mam zamiaru krytykować zachowania osoby, którą łaskawa pani otacza względami. Wszyscy życzymy jej wiele szczęścia, a postępowanie pani Ferrars w całej tej sprawie jest takie, jakie obrałaby w podobnych okolicznościach każda matka sumiennie wypełniająca swe obowiązki. Jest to zachowanie godne i wielkoduszne. Edward wybrał swój los, a obawiam się, że będzie to zły los.

Marianna westchnęła, dzielając jego obawy, a Eleonorze ścisnęło się serce na myśl o Edwardzie, stawiającym czoło groźbom matki dla kobiety, która nie mogła być mu za to nagrodą.

- Jak to się wszystko skończyło? - spytała pani Jennings.

- Przykro mi mówić, droga pani, ale skończyło się bardzo bolesnym zerwaniem. Matka wyrzekła się Edwarda na zawsze. Opuścił wczoraj jej dom, ale dokąd się udał i czy jest jeszcze w Londynie, tego nie wiem, gdyż, rzecz jasna, my się nie możemy o to dopytywać.

- Biedak! I co z nim będzie?

- Ot, właśnie, co będzie, bardzo to przygnębiające pytanie. Urodzony z takimi widokami na bogactwo] Trudno sobie wyobrazić bardziej pożałowania godną sytuację. Procenty od dwóch tysięcy funtów - czy można z tego wyżyć? A kiedy się w dodatku pomyśli, że gdyby nie jego własne szaleństwo, mógłby za trzy miesiące mieć dwa i pół tysiąca rocznego przychodu (bo panna Morton ma trzydzieści tysięcy), to doprawdy, trudno sobie wyobrazić większe nieszczęście. Wszyscy musimy mu współczuć, tym bardziej że

pomóc mu nie jesteśmy w stanie.

- Biedak! - powtórzyła pani Jennings. - Ja tam najserdeczniej ofiarowałabym mu mieszkanie i utrzymanie pod moim dachem i jak go tylko spotkam, zaraz mu to zaproponuję. Nie wypada, żeby mieszkał teraz na własny koszt gdzieś w najętych pokojach czy gospodach.

Eleonora podziękowała jej w głębi serca za dobroć dla Edwarda, choć nie mogła powstrzymać uśmiechu słysząc, w jaką została ubrana formę.

- Gdyby wobec samego siebie postąpił tak, jak wszyscy jego najbliżsi chcieli postąpić wobec niego - oznajmił John Dashwood - nie znalazłby się w tej sytuacji i niczego by mu nie brakowało. Ale obecnie nikt nie jest w stanie mu pomóc. A szykuje się coś jeszcze gorszego - matka jego, pod wpływem zrozumiałych uczuć, postanowiła natychmiast przepisać na Roberta majątek, który stałby się własnością Edwarda, gdyby spełnił jej warunki. Zostawiłem ją, wychodząc, z prawnikiem, z którym to omawiała.

- No cóż - powiedziała pani Jennings - to jej zemsta. Każdy ma swoje sposoby. Ale ja tam bym nie potrafiła dawać majątku jednemu synowi tylko dlatego, że drugi mi dojadł.

Marianna wstała i zaczęła chodzić po pokoju.

- Czy może być coś gorszego dla człowieka niż świadomość, że młodszy brat wchodzi w posiadanie majątku, który mógłby stanowić jego własność? - ciągnął John. - Biedny Edward! Szczerze mu współczuję!

Po kilku jeszcze minutach podobnych wynurzeń pan John Dashwood zakończył wizytę i zapewniwszy wielokrotnie siostry, iż jego zdaniem Fanny naprawdę nie zagraża prawdziwe niebezpieczeństwo i że mogą być o nią spokojne - wyszedł, zostawiając trzy damy całkowicie w tym wypadku zgodne w swych poglądach co do postępowania pani Ferrars, państwa Dashwoodów i Edwarda.

Natychmiast, gdy brat wyszedł z pokoju, Marianna wybuchnęła tak gwałtownym oburzeniem, że Eleonora nie mogła, a pani Jennings nie uważała w ogóle za wskazane zachowywać rezerwy i trzy panie zjednoczyły się w ostrym potępieniu towarzystwa z Harley Street.

ROZDZIAŁ XXXVIII

Pani Jennings wynosiła pod niebiosa postępowanie Edwarda, ale tylko Eleonora i Marianna знаły prawdziwą wartość jego decyzji. Tylko one wiedziały, jak niewielką miał ochotę wypowiedzieć posłuszeństwo matce, jak znikomą, oprócz świadomości uczciwego postępowania, otrzymywał nagrodę za utratę majątku i przyjaciół. Eleonora chlubiła się jego prawością, a Marianna wybaczyła mu z litości wszystkie przewiny, rozumiejąc, jak drogo za nie płaci. Lecz chociaż publiczne ujawnienie jego zaręczyn przywróciło między siostrami dawne zaufanie, nie lubiły podejmować tego tematu, będąc sam na sam. Eleonora unikała go z zasady, gdyż żarliwe, pełne przekonania zapewnienia Marianny, iż Edward kocha ją w dalszym ciągu, potwierdzały jej własne przypuszczenia, które usiłowała sobie wyperswadować. Mariannę zaś odeszła wkrótce odwaga do zaczynania rozmów, po których zawsze budził się w niej żal do samej siebie, gdyż prowadziły nieuchronnie do porównania jej zachowania z zachowaniem Eleonory.

Widziała teraz bardzo wyraźnie ową różnicę, lecz wbrew nadziejom siostry nie skłoniło jej to bynajmniej do pracy nad sobą i wysiłków. Wciąż wyrzucała sobie, że nigdy nie usiłowała postępować inaczej, ale były to wszystko męki skruchy, bez nadziei na poprawę. Tak bardzo osłabła na duchu, że wciąż sobie wyobrażała, iż wszelki wysiłek nie leży w jej możliwościach, co pogłębiało tylko jej przygnębienie.

Przez kilka dni nie dochodziły ich żadne nowiny o tym, co się dzieje na Harley Street czy w Bartlet's Buildings. Miały jednak dostatecznie dużo wiadomości, by pani Jennings była wciąż zajęta przekazywaniem ich dalej i nie potrzebowała rozglądać się za nowymi. Mimo to postanowiła jak najspieszniej zobaczyć się z kuzynkami, niosąc im pocieszenie w zamian za garść nowinek, i dawno by to zrobiła, gdyby nie powstrzymywała jej niezwykła liczba odwiedzających.

Na trzeci dzień po wizycie Johna Dashwooda zawitała piękna, słoneczna pogoda, nęcąc tłumy do Ogrodów Kensingtonskich, choć był dopiero drugi tydzień marca. Pani Jennings z Eleonorą znalazły się wśród spacerowiczów, Marianna jednak wolała zostać w domu, niż ukazywać się w publicznym miejscu, dowiedziała się bowiem o przyjeździe państwa Willoughbych do Londynu i bała się, że ich spotka.

Natychmiast po wejściu do Ogrodów przyłączyli się do nich bliscy znajomi pani Jennings, a Eleonora wcale nie żałowała, że zaabsorbowali całą uwagę jej towarzyszek, gdyż mogła sobie pozwolić na chwilę spokojnych rozmyślań. Nie spotkała państwa Willoughbych, nie spotkała Edwarda i przez pewien czas jeszcze nie spotkała nikogo, wesołego czy

smutnego, kto by ją zainteresował. Lecz w pewnej chwili, ku swojemu zdziwieniu, zobaczyła zbliżającą się starszą pannę Steele, która z nieśmiałym spojrzeniem wyraziła radość, że je widzi, a zachęcona niezmiernie życzliwym powitaniem pani Jennings, zostawiła na chwilę swoje towarzystwo i przyłączyła się do nich. Pani Jennings szepnęła zaraz Eleonorze:

- Wyciągnij z niej, co tylko się da, moja kochana. Ona ci wszystko powie, wystarczy zapytać. Widzisz, że nie mogę zostawić pani Clarke samej.

Szczęśliwie i dla pani Jennings, i Eleonory, starsza panna Steele skłonna była mówić i bez pytań, inaczej bowiem niczego by się nie dowiedziały.

- Takam rada, że cię, pani, widzę - mówiła panna Steele, biorąc poufale Eleonorę pod rękę - bo niczego tak nie pragnęłam, jak spotkania z tobą. - Po czym zniżyła głos: - Pewno pani Jennings już wszystko wie. Czy bardzo się gniewa?

- Na pewno nie na panią.

- To dobrze. A lady Middleton? Czy ona się gniewa?

- Nie wyobrażam sobie, aby to było możliwe.

- Potwornie się cieszę. Wielkie nieba! Co ja przeszłam! Nigdy jeszcze nie widziałam Lucy tak rozzłoszczonej! Najpierw zaklinała się, że do końca życia nie odświeży mi czepeczka nowymi zdobieniami i w ogóle nic dla mnie nie zrobi, ale teraz już się uspokoiła i jesteśmy w dobrej komitywie, jak dawniej. Ot, widzisz, pani, zrobiła mi to wiązanie do kapelusza i wczoraj wieczór wsunęła mi tu jeszcze pióro. No, proszę, też będziesz się ze mnie śmiała! Czemu nie miałabym nosić różowych wstążek? A cóż mnie obchodzi, że to ulubiony kolor doktora! Jeśli o mnie idzie, nigdy bym się tego nie domyśliła, gdyby przypadkiem sam nie powiedział. Moje kuzynki tak się ze mnie okropnie naśmiewają! Doprawdy, czasem w ich obecności nie wiem, gdzie oczy podziać.

Myśli jej odbiegły ku sprawie, w której Eleonora nie miała nic do powiedzenia, szybko więc uznała za stosowne wrócić do poprzedniego tematu.

- No więc, widzisz, pani - mówiła triumfalnie - mogą sobie ludzie gadać, co im ślina na język przyniesie, że pan Ferrars wyparł się zaręczyn z Lucy, a tymczasem nic podobnego, wcale się nie wyparł, zapewniam panią. To wstyd, żeby rozsiewać takie plotki. Choćby nawet sama Lucy to myślała, nikt nie miał prawa gadać o tym jako o rzeczy pewnej.

- Zapewniam panią, że nigdy nie słyszała nawet podobnej wzmianki - uspokoiła ją Eleonora.

- Naprawdę? No, ale ludzie tak mówili, wiem dobrze, i to wielu. Panna Godby powiedziała panie Sparks, że nikt przy zdrowych zmysłach nie może przypuszczać, żeby pan Ferrars zrezygnował z takiej kandydatki na żonę jak panna Morton, co ma trzydzieści tysięcy

funtów majątku, dla Lucy Steele, która nic nie ma, a sama to słyszałam od panny Sparks. A i mój kuzyn, Ryszard, też powiedział, że jak co do czego przyjdzie, pan Ferrars da nogę, a kiedy Edward nie pojawił się u nas przez trzy dni, to już sama nie wiedziałam, co myśleć, zresztą w głębi serca przypuszczam, że i Lucy uważała sprawę za przegraną, bo od pani braterstwa wyjechałyśmy we środę, a przez czwartek, piątek i sobotę nie wiedziałyśmy, co się z nim dzieje. Raz Lucy już chciała do niego pisać, ale ambicja jej nie pozwoliła. No, ale dziś rano przyszedł, akurat kiedy wracałyśmy do domu z kościoła, i dowiedziałyśmy się wszystkiego, jak to we środę posłali po niego z Harley Street i matka, i pozostali próbowali go od tego odmówić, a on im oświadczył, że nie kocha żadnej innej, tylko Lucy, i nie chce za żonę innej, tylko ją. I tak się tym wszystkim zdenerwował, że zaraz, jak tylko wyszedł z domu matki, wsiadł na konia i pojechał na wieś, dokądś tam, i przesiedział w jakiejś gospodzie cały czwartek i piątek, żeby dojść do siebie. A kiedy wszystko gruntownie przemyślał, doszedł do wniosku, że jak już nie ma żadnego majątku i w ogóle nic nie ma, postąpi bardzo nieładnie, jeśli jej nie zwróci danego słowa, bo ona będzie stratna, jak on ma tylko dwa tysiące funtów i żadnych nadziei na więcej, a jeśli przyjmie święcenia, nad czym się trochę zastanawia, to najwyżej dostanie wikariat, i jak z tego wyżyją? Nie mógł znieść myśli, że ona cierpiałaby biedę, prosił ją więc, żeby zaraz zerwali zaręczyny, jeśli ona ma na to najmniejszą choćby ochotę, a on już sam da sobie radę. Słyszałam to na własne uszy. I tylko przez wzgląd na nią, na jej dobro mówił o zwolnieniu się ze słowa, wcale mu nie chodziło o siebie. Ani słówkiem nie wspomniał, że ma jej dość czy że chce się ożenić z panną Morton, czy coś takiego, mogę przysiąc. No, ale oczywiście Lucy nie chciała słuchać takiego gadania i zaraz mu to powiedziała - z różnymi takimi, że słodki, że kochany, wiesz, pani, i w ogóle... och, ale przecież się nie powtarza takich rzeczy... No, więc powiedziała mu zaraz, że ani jej w głowie zwracać mu słowo, bo może żyć z nim za byle co, choćby miał tyle co nic, a ona i tak będzie rada, no wiesz, pani, takie tam różne. No, a wtedy on był potwornie szczęśliwy i przez pewien czas się zastanawiał, co teraz powinni robić, no i doszli do wniosku, że on musi się zaraz wyświęcić i trzeba poczekać ze ślubem, aż dostanie jakąś prebendę. No, a potem już nic więcej nie słyszałam, bo mój kuzyn zawołał z dołu, że pani Richardson przyjechała powozem i weźmie jedną z nas na przejażdżkę do Ogrodów Kensingtonskich, musiałam więc wejść do pokoju, przerwać im i spytać Lucy, czyby nie pojechała, ale ona nie chciała zostawiać Edwarda, pobiegłam więc tylko na górę, włożyłam jedwabne pończochy i przyjechałam z Richardsonami.

- Nie rozumiem, co, pani, chcesz powiedzieć przez to, że im przerwałaś. Przecież byliście w tym samym pokoju!

- Ale też! Skąd! Czy pani sądzi, panno Dashwood, że ludzie się kochają przy świadkach? Też! Przecież na pewno wie pani dobrze, jak to jest - tu zachichotała sztucznie. - Nie, nie, siedzieli we dwójkę zamknięci w salonie, a ja słyszałam wszystko, stojąc pod drzwiami.

- Co takiego? - krzyknęła Eleonora. - Powtarzasz mi, pani, to, co podsłuchałaś pod drzwiami? Jakże żałuję, że o tym wcześniej nie wiedziałam, nie ścierpiałabym na pewno, żebyś mi przekazywała szczegóły rozmowy, której znać nie powinnaś! Jak mogłaś się, pani, tak brzydko zachować wobec własnej siostry?

- Też! A co to znowu takiego! Stałam tylko pod drzwiami i słuchałam, co mi w ucho wpadło. Jestem pewna, że Lucy zrobiłaby to samo, bo przed rokiem czy dwoma, kiedy miałam tyle sekretów z Martą Sharpe, to zawsze bez skrępowania kryła się w schowku na ubrania albo za kominkiem, żeby podsłuchiwać, o czym mówimy.

Eleonora próbowała zmienić temat, ale panna Steele potrafiła tylko krótką chwilę mówić o czymś innym niż to, co ją interesowało najbardziej.

- Edward powiada, że wkrótce wyjedzie do Oksfordu, ale teraz mieszka pod numerem... na Pall Mall. Jaka to niedobra kobieta ta jego matka, prawda? A twój brat i bratowa, pani, też nie lepsi. Co prawda, nie będę się przed tobą na nich uskarżała, zresztą odesłali nas do domu własnym powozem, a już tego wcale nie oczekiwałam. Jeśli o mnie idzie, strasznie się bałam, że pani Dashwood każe nam oddać te igielniczki, które nam dała przed kilku dniami, ale jakoś o tym nie było mowy, a ja już dopilnowałam, żeby moja nie wpadła jej w oczy. Edward powiada, że ma coś do załatwienia w Oksfordzie, musi więc tam pojechać na jakiś czas, a potem, zaraz, jak tylko uda mu się złapać jakiegoś biskupa, to otrzyma święcenia. Ciekawam, jaki też dostanie wikariat! Wielki Boże! - tu zachichotała - wiem dobrze, co moi kuzyni powiedzą, jak to usłyszą, mogłabym się nie wiem o co założyć. Powiedzą mi, że powinnam napisać do doktora, żeby zdobył Edwardowi wikariat przy swojej nowej prebendzie. Na pewno tak powiedzą, ale przecież za nic w świecie nie zrobiłabym czegoś podobnego. „Też - powiem im na to - nie wiem, jak mogło wam coś podobnego przyjść do głowy! Żebym ja miała pisać do doktora! Też coś!”

- No cóż - powiedziała Eleonora. - Dobrze być przygotowanym na najgorsze. Masz, pani, gotową odpowiedź.

Panna Steele chciała jeszcze coś na ten temat powiedzieć, ale że nadeszło właśnie jej towarzystwo, musiała się pożegnać.

- O, proszę, idą państwo Richardson. Mam ci, pani, jeszcze wiele do powiedzenia, ale muszę już do nich wracać. To ludzie z towarzystwa, proszę mi wierzyć. On robi ogromne

pieniądze i trzymają własny ekwipaż. Nie mam czasu rozmawiać z panią Jennings, ale powiedz jej, pani, proszę, że jestem taka szczęśliwa słysząc, iż się na nas nie gniewa, i to samo lady Middleton, a gdyby coś takiego wypadło i musiałabyś, pani, wyjechać z siostrą, a pani Jennings chciałaby mieć kogoś do towarzystwa, to my dwie byłybyśmy bardzo rade przyjechać do niej i zostać tak długo, jak długo by chciała. Przypuszczam, że lady Middleton już nas więcej nie zaprosi. Do widzenia. Bardzo żałuję, że nie było tu panny Marianny. Pozdrów ją, proszę, ode mnie. Och, widzę, że włożyłaś ten muślin w kropeczki!... Że też nie bałaś się go podrzeć!

Tym się martwiła na odchodnym, potem bowiem zdążyła już tylko pożegnać się z panią Jennings, nim pani Richardson przywołała ją do swego boku. Eleonora została z wiadomościami, którymi mogła przez pewien czas zająć myśli, choć dowiedziała się niewiele ponad to, co przypuszczała i przewidywała. Małżeństwo Edwarda z Lucy zostało definitywnie postanowione, a jego termin - całkowicie nieokreślony, tak jak myślała. Wszystko, zgodnie z jej przewidywaniami, zależało od zdobycia stanowiska kościelnego, na które w chwili obecnej Edward nie miał najmniejszych nadziei.

Gdy znalazły się w powozie, pani Jennings poprosiła o nowiny, ale Eleonora nie chciała rozgłaszać wiadomości zdobytych w tak brzydki sposób przez starszą pannę Steele, ograniczyła się więc do krótkiego powtórzenia najważniejszych informacji, którym Lucy na pewno chciałaby nadać rozgłos ze względu na własny prestiż. Stwierdziła więc, że zaręczyny są utrzymane, powiedziała, jakim sposobem młodzi chcą dojść do celu - i tyle. Pani Jennings opatrzyła to własnym komentarzem:

- Czekać, aż dostanie prebendę! Cóż, wiemy dobrze, czym to się skończy. Będą czekać rok, stwierdzą, że nic z tego, i wezmą wikariat za pięćdziesiąt funtów rocznie. Do tego dodać przychód z jego dwóch tysięcy i jakąś niewielką sumkę, jaką będzie mógł im dać pan Steele i pan Pratt! No i potem - co rok to prorok! Niech Bóg ich zachowa w swojej opiece! Jakże im bieda dokuczy! Muszę sprawdzić, co też bym mogła dać im z umeblowania. Dwie pokojowe i dwóch służących, też! A tak mówiłam jeszcze kilka dni temu. Nie, nie, muszą mieć silną, hożą dziewczynę do wszystkiego. Siostra Betty to teraz nie dla nich!

Następnego ranka przyszedł do Eleonory miejską pocztą list od Lucy. Brzmiał następująco:

Bartlet's Buildings, marzec

Tuszę, że droga panna Dashwood wybaczy mi śmiałość, jaką jest ten list, wiem jednak, że dzięki przyjaźni, jaką mnie obdarza, przyjmie chętnie dobre wiadomości o mnie i drogim moim Edwardzie po wszystkich przejściach, jakie byty ostatnio naszym udziałem. Nie będę

więc dłużej przeproszać, powiem tylko, że Bogu dzięki, choć przecierpeliśmy wiele, jesteśmy oboje w dobrym zdrowiu, szczęście znajdując we wzajemnej miłości, jak już odtąd będzie zawsze. Przeszliśmy ciężkie próby i prześladowania, ale jednocześnie z wdzięcznością myślimy o tych, co dali świadectwo swojej dla nas przyjaźni, o Tobie, Pani, przede wszystkim, której za Jej wielką życzliwość zawsze będę dłużniczką, tak samo jak Edward, gdyż o wszystkim mu powiedziałam. Z pewnością rada będziesz się dowiedzieć, a i droga pani Jennings również, że spędziłam z nim wczoraj po południu dwie szczęśliwe godziny, że nie chciał nawet słyszeć o rozstaniu, chociaż prosiłam go o to, zgodnie z poczuciem obowiązku, podkreślając względy roztropności, i rozstałabym się z nim natychmiast, gdyby na to pozwolił, ale on powiedział, że nie dopuści do tego nigdy w życiu, niestraszny mu gniew matki, jeśli może zachować mój afekt. Nie mamy przed sobą najlepszych widoków, to pewne, trzeba czekać i mieć w sercu nadzieję. Niedługo otrzyma święcenia, a gdyby kiedykolwiek nadarzyła Ci się, Pani, okazja polecenia go komuś, kto rozporządza jakąś prebendą, wiem, że Pani, o nas nie zapomnisz i kochana pani Jennings także na pewno wstawi się za nami dobrym słowem do sir Johna czy pana Palmera, czy kogokolwiek z naszych przyjaciół, kto mógłby nam pomóc. Anna, biedaczka, ciężko zawiniła, ale miała najlepsze chęci, więc trudno, nic jej już nie mówię. Mam nadzieję, że dla pani Jennings nie będzie zbyt wielkim kłopotem zajechać do nas kiedyś przed południem, jeśli znajdzie się w tej akurat okolicy. Wyświadczyłaby mi wielką łaskę, a dla moich kuzynostwa byłby to ogromny zaszczyt. Papier przypomina mi, że trzeba kończyć, pozostaję więc z największym szacunkiem dla Ciebie, Pani, i sir Johna, i lady Middleton i proszę, uściskaj dzieci, jeśli je tylko zobaczysz, i serdeczności dla panny Marianny łączę

Oddana itd., itd.

Przeczytawszy list, Eleonora zrobiła to, o co, jak sądziła, najbardziej chodziło jego autorce, mianowicie oddała go pani Jennings, która odczytała go głośno, opatrując przychylnymi, pochwalnymi uwagami.

- Bardzo dobrze, bardzo dobrze... Jak ona ładnie pisze!... No tak, bardzo słusznie, trzeba mu było pozwolić iść, jeśliby miał ochotę... Cała Lucy!... Biedaczka, jakżebym chciała, żeby było w mojej mocy zdobyć mu prebendę!... Powiada o mnie „kochana pani Jennings”, widzicie?! Jaka to dobra dziewczyna! Bardzo dobrze, oczywiście, jak ona to zgrabnie ułożyła... Tak, pojedę ją odwiedzić, oczywista. Jaka ona uważna, o każdym pomyślała!... Dziękuję, moja kochana, żeś mi ten list pokazała. Bardzo to ładny list i dobrze świadczy o rozumie i sercu Lucy.

ROZDZIAŁ XXXIX

Panny Dashwood były już w Londynie przeszło dwa miesiące, a Marianna coraz niecierpliwiej wyglądała powrotu do domu. Tęskniła za powietrzem, swobodą i wiejskim spokojem i wyobrażała sobie, że jeśli w ogóle będzie kiedyś mogła odzyskać duchową równowagę, to tylko w Barton. Eleonorze nie mniej niż siostrze pilno było do domu, ale nie upierała się, by jechać natychmiast, gdyż dobrze zdawała sobie sprawę z lekceważonych przez Mariannę trudów towarzyszących tak dalekiej podróży. Zaczęła jednak coraz poważniej myśleć o powrocie i wspomniała o tym zacnej pani domu, która zaraz się sprzeciwiła, wytaczając wszystkie z serca płynące argumenty; wówczas pojawił się nowy projekt, bardziej, zdaniem Eleonory, odpowiedni niż wszystkie inne, choć opóźniający o kilka tygodni powrót pańien do domu. W końcu marca państwo Palmerowie mieli jechać do Cleveland na Wielkanoc, a Charlotta zaprosiła serdecznie matkę i obie jej młode podopieczne, by pojechały z nimi. Zaproszenie samej Charlotty nie wystarczyłoby wrażliwej pannie, ale żonę poparł z nie udawaną grzecznością pan Palmer, którego zachowanie w stosunku do pańien Dashwood ogromnie się poprawiło, odkąd się dowiedział, że Marianna jest nieszczęśliwa, toteż Eleonora chętnie przyjęła zaproszenie.

Kiedy zakomunikowała wiadomość młodszej siostrze, pierwsza odpowiedź brzmiała niezachęcająco.

- Cleveland! - zawołała Marianna poruszona. - Nie, nie, ja nie mogę jechać do Cleveland!

- Zapominasz - tłumaczyła łagodnie Eleonora - że ten majątek nie leży... że nie jest w sąsiedztwie...

- Ale w hrabstwie Somerset. Nie mogę pojechać do tego hrabstwa. Tam, dokąd tak pragnęłam jechać... Nie, Eleonoro, nie możesz tego ode mnie wymagać.

Zamiast przekonywać siostrę, że należy tłumić podobne uczucia, Eleonora próbowała przeciwstawić im inne. Tłumaczyła więc Mariannie, że przyjmując propozycję Charlotty, ustala termin podróży powrotnej do tak bardzo kochanej i tak bardzo wytęsknionej matki, i to podróży właściwszej i wygodniejszej niż jakakolwiek inna, a pociągającej za sobą niewielką tylko zwłokę. Z Cleveland, leżącego o kilka mil od Bristolu, jechało się do Barton jeden dzień, jeden długi dzień, a więc służący matki mógłby tam bez trudu przyjechać i odwieźć je do domu. Ponieważ nie ma powodu, by pozostawały w Cleveland dłużej niż tydzień, mogą wrócić do domu za trzy tygodnie i kilka dni. Uczucie Marianny do matki było prawdziwe i szczerze, bez trudu więc wzięło górę nad wyimaginowanymi trudnościami.

Pani Jennings nie była ani trochę zmęczona swoimi gośćmi i nalegała usilnie, by panny wróciły z nią do Londynu po wizycie w Cleveland, lecz Eleonora, choć wdzięczna za jej życzliwość, nie chciała zmieniać planów. Matka chętnie dała zgodę i załatwiono wszystko, co wiązało się z ich powrotem do domu. Marianna znalazła pewną ulgę w liczeniu godzin dzielących ją od spotkania z matką.

- Ach, panie pułkowniku, co też my pocniemy tutaj bez panien Dashwood! - zakrzyknęła pani Jennings, kiedy pułkownik przyszedł z wizytą pierwszy raz po podjęciu przez panny decyzji wyjazdu. - Wyobraźcie sobie, zdecydowały się jechać do domu wprost od Palmerów i co ja pocznę sama po powrocie! Boże Wielki, będziemy tu siedzieli we dwójkę i gapili się jedno w drugie jak sroka w gnat.

Niewykluczone, że pani Jennings w tak wyrazistych słowach malując mu czekającą ich nudę, chciała go sprowokować do złożenia propozycji, która by go od tej nudy uchroniła. Jeśli tak, miała powody przypuszczać, że dopięła swego, kiedy bowiem Eleonora przesunęła się po chwili do okna, by szybciej wymierzyć sztych, który miała skopiować dla przyjaciółki, pułkownik z wiele mówiącą miną poszedł za nią i rozmawiał przez kilka minut. Efekt, jaki jego słowa zrobiły na pannie, nie mógł umknąć uwagi pani Jennings, która choć zbyt uczciwa, by słuchać, choć przesiadła się bliżej fortepianu, na którym grała Marianna, by nie słyszeć, musiała jednak zobaczyć, że Eleonora się czerwieni, że słucha z uwagą i że jest zbyt przejęta słowami pułkownika, by skończyć to, co zacięła. Na potwierdzenie tych przypuszczeń do uszu pani Jennings doszły - kiedy Marianna przerwała na chwilę grę, przechodząc do następnej lekcji - słowa pułkownika, w których jakby się usprawiedliwiał, że dom jest bardzo skromny. To przesądzało sprawę. Troszkę się zdziwiła, że pułkownik uważał za konieczne omawiać stan domu, doszła jednak do wniosku, że może należy to do dobrego tonu. Nie dosłyszała odpowiedzi Eleonory, ale z ruchu jej warg wywnioskowała, że panna nie uznała sprawy za istotną przeszkodę, a pani Jennings w głębi serca pochwaliła ją za wielkoduszność. Potem rozmawiali jeszcze przez kilka minut, lecz nie doszło jej już ani słowo, wreszcie następna mile widziana przerwa w grze Marianny przyniosła jej taką oto spokojną wypowiedź pułkownika:

- Obawiam się, że to nie będzie mogło mieć miejsca w najbliższym czasie.

Zdumiona i zgorziona tymi słowami, tak nie licującymi z rolą starającego, o mało nie zakrzyknęła: - Boże, a z czymże tu zwlekać! - ale opanowała się i tylko pomyślała: „Jakież to dziwne! Przecież nie potrzebuje czekać, aż będzie starszy”.

Lecz zwłoka, o jakiej mówił pułkownik, ani nie uraziła, ani nie dotknęła jego wdzięcznej towarzyszki, gdyż w chwilę później, kiedy kończyli rozmowę i rozchodzili się w

różne strony, Eleonora powiedziała dobitnie, tak że pani Jennings wyraźnie ją słyszała, głosem, w którym brzmiało szczere przejęcie:

- Będę się zawsze uważała za wielce wobec pana zobowiązaną.

Pani Jennings, zachwycona jej wdzięcznością, dziwiła się tylko, że pułkownik zdolny jest zaraz po tych słowach wyjść, co uczynił z zimną krwią! I to wyjść bez odpowiedzi! Nie przypuszczała, że jej stary przyjaciel okaże się tak powściągliwym wielbicielem.

To, co zaszło między Eleonorą a pułkownikiem, wyglądało w rzeczywistości następująco:

- Słyszałem - zaczął współczującym tonem - o niesprawiedliwości, jaka spotkała pani przyjaciela, pana Ferrarsa, od jego rodziny. Jeślim dobrze zrozumiał, został wydziedziczony za to, że dotrzymał słowa danego bardzo zacnej młodej osobie. Czy moje informacje są prawdziwe?

Eleonora przytaknęła.

- Co za okrucieństwo... cóż za nierozumne okrucieństwo - mówił z przejęciem - rozdzielać czy też usiłować rozdzielić dwoje młodych od dawna związanych uczuciem... to straszne... Pani Ferrars nie zdaje sobie sprawy, co czyni... do czego może doprowadzić własnego syna. Spotkałem kilkakrotnie pana Ferrarsa na Harley Street, ogromnie mi się spodobał. Nie należy do tych młodych ludzi, z którymi się można w krótkim czasie bardzo zbliżyć, ale to, co widziałem, wystarcza, żebym mu dobrze życzył, a jako przyjacielowi pań, życzę mu jeszcze lepiej. Z tego, co słyszałem, rozumiem, że chce przyjąć święcenia. Czy byłaby pani tak dobra i zawiadomiła go, że prebenda Delaford, która, jak dowiedziałem się z dzisiejszej poczty, została zwolniona, jest do jego dyspozycji, jeśli uzna, że mu odpowiada... lecz co do tego, skoro się znalazł w tak nieszczęsnej sytuacji, trudno chyba mieć wątpliwości. Pragnąłbym, aby dawała większy dochód. Jest tam plebania, ale mała. Ostatni beneficjant miał nie więcej jak dwieście funtów rocznie, a choć na pewno można by sprawić, by przynosiła więcej, nie przypuszczam, by suma mogła wzrosnąć do wysokości zapewniającej dostatek. W każdym razie, będę miał wielką przyjemność, ofiarowując mu ją taką, jaka jest. Proszę, zawiadom go o tym, pani.

Gdyby pułkownik naprawdę zrobił jej propozycję małżeństwa, Eleonora nie byłaby bardziej zdumiona niż w tym momencie. Stanowisko kościelne, które jeszcze przed kilkoma dniami uważała za nieosiągalne dla Edwarda, spadało mu z nieba i umożliwiała małżeństwo. I to ona, właśnie ona, została wybrana, by mu je ofiarować. Była bardzo przejęta, co pani Jennings przypisała zupełnie innym przyczynom, a Eleonora, choćby nawet odczuwała pewne dodatkowe emocje, mniej czyste i radosne, pełna była gorącej wdzięczności dla pułkownika

oraz szacunku za dobroć i życzliwość, które skłoniły go do złożenia tej propozycji. Dziękowała mu więc z całego serca, z najgłębszym przekonaniem wynosiła, pod niebiosa zasady i charakter Edwarda i obiecała, że z przyjemnością wykona tak miłe zadanie, jeśli naprawdę pułkownik chce je komuś zlecić. Sądziła jednak, że nikt nie mógłby zrobić tego lepiej niż on. Krótko mówiąc, chętnie zrzekłaby się tego posłannictwa, chcąc oszczędzić Edwardowi przykrości, jaką będzie świadomość zaciągnięcia wobec niej zobowiązania. Lecz pułkownik Brandon, powstrzymywany podobną delikatnością, również nie chciał sam tego załatwić i dawał wyraźnie do zrozumienia, że bardzo mu zależy, aby podjęła się tego pośrednictwa, nie mogła więc oponować dłużej. Przypuszczała, że Edward jest jeszcze w Londynie, i na szczęście miała od panny Steele jego adres. Mogła się więc zobowiązać, że przekaże mu tę wiadomość w ciągu dnia. Pułkownik zaczął natychmiast mówić, jak wiele sam zyskuje, zdobywając tak miłego i godnego szacunku sąsiada, i wówczas właśnie napomknął z żalem, że dom jest mały i skromny, co Eleonora, jak się słusznie wydało pani Jennings, zbagatelizowała, przynajmniej w zakresie rozmiarów budynku.

- To, że dom jest niewielki - powiedziała - nie powinno stanowić dla nich, moim zdaniem, przeszkody, gdyż będzie w proporcji do wielkości ich rodziny i dochodów.

Na co pułkownik zdziwił się, że Eleonora uważa ich małżeństwo za oczywiste następstwo jego oferty, nie sądzi bowiem, by prebenda mogła przynieść dochód pozwalający na założenie rodziny komuś, kto żyje na takiej, jak pan Ferrars, stopie.

- Ta prebenda może jedynie pozwolić panu Ferrarsowi na dostatnie życie w kawalerskim stanie, nie na ożenek. Przykro mi, ale to wszystko, czym mogę mu służyć, na tym bowiem kończą się moje możliwości. Gdyby się jednak niespodzianie tak złożyło, że byłbym w stanie w czymś mu jeszcze pomóc, zawsze to uczynię z taką samą chęcią jak dzisiaj, chyba żebym całkowicie zmienił o nim opinię. To, co teraz robię, wydaje mi się błahostką, gdyż niewiele mu pomoże w osiągnięciu jedyne go celu, w dojściu do szczęścia. Małżeństwo jego musi wszakże pozostać jeszcze szczęściem odległym. Obawiam się, że to nie będzie mogło mieć miejsca w najbliższym czasie.

To właśnie zdanie, opacznie zrozumiane, uraziło, rzecz jasna, subtelną panią Jennings, lecz teraz, kiedy wiemy już, jak brzmiała prawdziwa rozmowa prowadzona pod oknem przez Eleonorę i pułkownika, możemy chyba przyznać, że wdzięczność panny była nie mniej oczywista i zrozumiała, niż gdyby jej powodem była propozycja małżeństwa.

ROZDZIAŁ XL

- No cóż, panno Eleonoro - zaczęła pani Jennings z domyślnym uśmiechem natychmiast, gdy ich gość wyszedł. - Nie pytam, co ci mówił pułkownik, bo choć, na honor, starałam się nic nie słyszeć, doszło mnie, chcąc nie chcąc, tyle, żeby zrozumieć, o co mu chodziło. I zapewniam cię, że nigdy w życiu bardziej się nie cieszyłam i z całego serca życzę ci wiele z tego radości.

- Dziękuję pani - odparła Eleonora. - Dla mnie to doprawdy wielka radość i głęboko odczuwam dobroć pułkownika. Niewielu ludzi tak by postąpiło. Mało można znaleźć podobnie litościwych serc. Nigdy w życiu nie byłam taka zdumiona.

- O Boże, jakaś ty skromniutka! Ja tam nic nie jestem zdumiona, bo ostatnio często myślałam, że to ogromnie prawdopodobne.

- Pani tak uważała, znając jego szlachetność, ale przecież nie mogła pani przewidzieć, że tak szybko nadarzy się podobna okazja.

- Okazja? - powtórzyła pani Jennings. - Och, jeśli o to idzie, mężczyzna, jak się już raz zdecyduje, zawsze jakoś znajdzie okazję. No cóż, kochana moja, życzę ci jeszcze raz wiele radości, a jeśli kiedykolwiek zechcę popatrzeć na szczęśliwą parę, to już będę wiedziała, gdzie jej szukać.

- Zapewne pojedzie pani za nią do Delaford? - Eleonora uśmiechnęła się lekko.

- Na pewno, moja droga, na pewno. A jeśli idzie o to, że dom jest taki skromny, to doprawdy nie wiem, co pułkownik chciał przez to powiedzieć, bo to wcale nie było jakiś dom.

- Pułkownik mówił, że wymaga remontu.

- No, a czyja to wina? Czemu go nie remontuje? Kto to ma zrobić, jak nie on?

Tu przerwał im służący, który zameldował, że powóz stoi przed domem, a pani Jennings kończyła, szykując się do wyjścia:

- No cóż, kochanie, muszę już jechać, nim zdążyłam się z tobą nagadać, ale możemy to sobie powetować wieczorem, bo będziemy zupełnie same. Nie proszę, żebyś ze mną jechała, bo za dużo masz, myślę, w głowie, żebyś chciała towarzystwa, a poza tym pewno marzysz, żeby wszystko powiedzieć siostrze.

Marianna wyszła z pokoju, nim się ta rozmowa zaczęła.

- Z pewnością powiem o tym Mariannie, ale poza tym nie wspomnę nikomu.

- No cóż, trudno - westchnęła pani Jennings z pewnym rozczarowaniem. - Pewno więc nie chcesz, żebym powiedziała Lucy, bo myślę dzisiaj pojechać aż na Holborn.

- Nie, proszę pani, nawet Lucy, jeśli łaska. Jeden dzień zwłoki niewiele sprawi, a

sądzę, że nikt nie powinien o tym wiedzieć, póki nie napiszę do pana Ferrarsa. Zrobię to natychmiast. Bardzo jest ważne, żeby go zawiadomić, gdyż czeka go, rzecz jasna, wiele jeszcze spraw w związku ze święceniami.

Te słowa zdumiały panią Jennings ogromnie. Czemu trzeba z takim pośpiechem pisać do pana Ferrarsa? Nie mogła tego w pierwszej chwili pojąć. Po chwili zastanowienia znalazła szczęśliwe rozwiązanie zagadki:

- Och, rozumiem. Pan Ferrars ma temu pobłogosławić. No cóż, tym lepiej dla niego. No, oczywiście, musi zaraz otrzymać święcenia. Rada słyszę, że wszystko już tak dalece uzgodnione. Ale, moja droga, czy to naprawdę właściwe? Czy pułkownik nie powinien sam napisać?... Przecież to należy do niego...

Eleonora nie ze wszystkim zrozumiała to, co pani Jennings mówiła na początku, nie sądziła też, by warto było się dopytywać, odpowiedziała więc tylko na ostatnie pytanie:

- Pułkownik Brandon jest człowiekiem tak delikatnym, że życzył sobie, by pan Ferrars został powiadomiony o jego intencjach przez kogoś innego.

- No cóż, wobec tego musisz to zrobić. Przyznam, że to dość osobliwa delikatność. Ale nie będę ci przeszkadzać (zauważyła, że Eleonora szykuje się do pisania). Sama najlepiej potrafisz się w swoich sprawach rozeznąć. No, to do widzenia, kochana, takam rada, odkąd Charlotta urodziła, nie miałam miłszej wiadomości.

Po czym wyszła, lecz wróciła za chwilę.

- Pomyślałam właśnie, moja duszko, o siostrze Betty. Bardzo bym chciała znaleźć jej dobre miejsce. Tylko nie mam pewności, czy będzie się nadawała na garderobianą. To doskonała pokojowa i bardzo zręczna do igły. No, w każdym razie pomyśl o tym, jak będziesz miała wolną głowę.

- Oczywiście, proszę pani - odparła Eleonora, niewiele z tego słysząc, gdyż bardziej chciała być sama, niż zrozumieć, o co zacnej damie chodzi.

Jak zacząć, jak to wszystko wyrazić w krótkim liściku do Edwarda - teraz mogła myśleć tylko o tym. Szczególna sytuacja, w jakiej się znaleźli, sprawiała, że to, co wobec kogo innego byłoby najłatwiejsze na świecie, w tym wypadku wydawało się ogromnie trudne; bała się napisać za mało i za dużo, siedziała więc tak nad kartką papieru, deliberując, aż przerwało jej wejście Edwarda we własnej osobie.

Przyszedł zostawić swój bilet wizytowy na pożegnanie i przed domem spotkał wsiadającą akurat do powozu panią Jennings, która przeprosiwszy, że sama nie może z nim wrócić, kazała mu wejść, gdyż panna Dashwood jest w domu i chce z nim pomówić w pewnej ważnej sprawie.

Skłopotana Eleonora pocieszała się właśnie, że choć trudno wyłożyć należycie sprawę w liście, lepsze to niż konieczność przedstawienia jej w bezpośredniej rozmowie, kiedy wszedł Edward, zmuszając ją akurat do tego, co uważała za trudniejsze. Była zaskoczona i speszona. Nie widzieli się, odkąd się wydały jego zaręczyny, a więc odkąd zdawał sobie sprawę, że Eleonora musi o nich wiedzieć, a to, razem z wszystkim, co myślała, i tym, co mu miała do zakomunikowania, wprawiło ją w ogromne zaambarasowanie. On również był bardzo zmieszany, usiedli więc i siedzieli przez chwilę obiecująco zakłopotani. Edward nie mógł sobie przypomnieć, czy wchodząc do pokoju przeprosił ją za najście, czy .nic, postanowił więc na wszelki wypadek złożyć należne wyjaśnienia i wykrztusił wreszcie, gdy zdołał dobyć głosu:

- Pani Jennings powiadomiła mnie, iż chcesz, pani, mówić ze mną, przynajmniej tak mi się wydało, inaczej nie byłbym ci się narzucał moją osobą, choć jednocześnie byłoby mi ogromnie przykro wyjeżdżać z Londynu bez zobaczenia ciebie i twojej siostry, zwłaszcza że upłynie wiele czasu, nim będę miał szczęście ponownie was oglądać. Jutro wyjeżdżam do Oksfordu.

- Nie odjechałbyś pan przecież - Eleonora odzyskała wreszcie głos, postanawiając jak najszybciej przejść przez to wszystko, czego się tak bardzo obawiała - bez naszych dobrych życzeń, nawet gdybyśmy ich nie mogły przekazać osobiście. Pani Jennings dobrze zrobiła prosząc, byś wszedł na górę. Mam ci do zakomunikowania coś ważnego, co właśnie zamierzałam przekazać listownie. Powierzono mi ogromnie miłe zadanie (tu zaczęła nieco szybciej oddychać). Pułkownik Brandon, który wyszedł stąd przed chwilą, prosił, bym ci powiedziała, że rozumiejąc, iż zamierzasz pan przyjąć święcenia, ofiarowuje ci z ogromną przyjemnością prebendę Delaford, wolną w tej chwili, i pragnąłby tylko, by więcej była warta. Pozwól, że ci pogratuluję przyjaciela tak godnego szacunku i postępującego tak rozumnie i przyłączę się do jego życzenia, by prebenda - daje około dwustu funtów rocznie - przynosiła o wiele więcej, żeby ci umożliwiła... żeby stanowiła dla ciebie nie tylko tymczasowe rozwiązanie... jednym słowem, żeby pozwoliła ci zaznać szczęścia.

Ponieważ Edward nie potrafił wyrazić tego, co czuje, trudno wymagać, żeby wyraził to ktoś inny. Całe zdumienie, jakie musiała wywołać ta niespodziewana wiadomość, odmalowało się na jego twarzy, ale wymówił tylko dwa słowa:

- Pułkownik Brandon!

- Tak - ciągnęła Eleonora bardziej rezolutnie teraz, kiedy najgorsze minęło. - Pułkownik Brandon pragnie w ten sposób zadokumentować swój stosunek do ostatnich wydarzeń... do niewybaczalnego postępowania twojej rodziny, która postawiła cię w tak

ciężkiej sytuacji... a mogę cię zapewnić, że i ja, i Marianna, i wszyscy twoi przyjaciele czujemy to samo, co on... i pragnie również wyrazić w ten sposób najwyższe uznanie dla twego charakteru i szczególną aprobatę dla twego postępowania.

- Pułkownik Brandon ofiarowuje mi prebendę... Czy to możliwe?!

- Niezyczliwość własnej rodziny każe ci się dziwić, że inni okazują ci dowody przyjaźni?

- Nie - odparł, przytomniejąc gwałtownie - nie dziwię się, otrzymując je, pani, od ciebie. Nie mogę przecież zamykać oczu na to, że tobie, twojej dobroci, zawdzięczam to wszystko. Czuję... Pragnąłbym móc to wyrazić, ale jak wiesz, nietęgi ze mnie orator.

- Mylisz się pan bardzo. Zapewniam cię, że zawdzięczasz to wyłącznie, przynajmniej niemal wyłącznie, własnym zaletom i temu, że pułkownik Brandon poznał się na nich. Ja w tym nie miałam żadnego udziału. Nie wiedziałam nawet, że prebenda jest wolna, póki nie usłyszałam jego propozycji, nawet mi w głowie nie powstało, że istnieje podobna możliwość... Jako człowiek przyjazny mnie, mojej rodzinie, mógł pewno mieć... właściwie wiem, że miał jeszcze większą przyjemność, ofiarowując ci tę prebendę, ale na honor, nic pan nie zawdzięczasz moim staraniom.

Uczciwość kazała jej przyznać sobie niewielki w tym udział, tak bardzo jednak nie chciała wydać się dobrodziejką Edwarda, że wypowiedziała te słowa z ogromnym wahaniem, co zapewne jeszcze mocniej ugruntowało jego podejrzenia. Przez chwilę siedział głęboko zamyślony, wreszcie powiedział jakby z wysiłkiem:

- Pułkownik Brandon sprawia wrażenie człowieka bardzo zacnego, ze wszech miar godnego szacunku. Zawsze tak o nim słyszałem, a brat twój, pani, wyraża się o nim w słowach najwyższego uznania. Jest to człowiek niewątpliwie rozumny, o obejściu prawdziwego dżentelmena.

- Sądzę - rzekła Eleonora - że bliższa znajomość potwierdzi wszystko, co pan o nim słyszałeś. Będziecie przecież bliskimi sąsiadami, gdyż jak wiem, plebania leży tuż przy dworze, tym bardziej więc jest ważne, żeby się to sprawdziło.

Edward nie odpowiedział, lecz gdy Eleonora odwróciła głowę, rzucił na nią spojrzenie tak poważne, tak smutne, jakby zapragnął, by odległość między plebanią a dworem była o wiele większa.

- O ile wiem, pułkownik Brandon mieszka na St. James's Street? - zapytał po chwili, wstając z krzesła.

Eleonora podała mu numer domu.

- Muszę więc pójść i złożyć mu podziękowania, jakich ty, pani, nie pozwalasz złożyć

sobie, a również zapewnić go, że uczynił mnie bardzo... niezwykle szczęśliwym człowiekiem.

Eleonora nie próbowała go wstrzymywać, rozstali się więc, przy czym ona zapewniła go najpoważniej, że zawsze, w każdej jego sytuacji życiowej, będzie mu jak najlepiej życzyć, on pragnął odpowiedzieć takimi samymi życzeniami, ale nie zdołał.

- Kiedy go ponownie zobaczę - powiedziała do siebie Eleonora, gdy drzwi się za nim zamknęły - będzie już mężem Lucy.

Mając tak miłe widoki na przyszłość, zasiadła, by przebiec myślą wszystko, co zaszło, przywołać wypowiedziane słowa, spróbować zrozumieć uczucia Edwarda, no i, oczywista, z goryczą zastanowić się nad własnymi.

Pani Jennings, która wróciła do domu po zawarciu jakichś nowych znajomości, a więc z masą nowin o świeżo poznanych ludziach, tak była mimo to przejęta swoim ważnym sekretem, że na widok Eleonory natychmiast zaczęła o tym mówić.

- No, moja kochana - zawołała - przysłałam ci tego młodego człowieka! Chyba dobrze zrobiłam, co? No, przypuszczam, że nie miałaś wielkich trudności... Nie spotkałaś się z odmową z jego strony?

- Nie, proszę pani, to było mało prawdopodobne.

- No, a kiedy on już będzie gotów? Bo, jak mi się zdaje, wszystko od tego zależy.

- Doprawdy - odparła Eleonora - tak mało się znam na tych sprawach, że trudno mi nawet zgadywać, ile trzeba czasu na niezbędne przygotowania, ale przypuszczam, że za kilka miesięcy otrzyma święcenia.

- Za kilka miesięcy! - zakrzyknęła pani Jennings. - Wielki Boże, i ty to tak spokojnie mówisz! I pułkownik może czekać kilka miesięcy? Coś podobnego... Ja bym na pewno straciła cierpliwość! I chociaż każdy chętnie wyświadczyłby przysługę biednemu panu Ferrarsowi, nie myślę, żeby warto było czekać na niego kilka miesięcy. Na pewno można znaleźć kogoś, kto by się równie dobrze do tego nadawał, kogoś, kto już ma święcenia.

- Ależ droga pani! - zawołała Eleonora. - O czymże też pani myśli. Przecież pułkownikowi idzie jedynie o to, żeby pomóc panu Ferrarsowi.

- Moja kochana, nie chcesz mi chyba wmówić, że pułkownik żeni się z tobą tylko po to, żeby dać panu Ferrarsowi dziesięć gwinei.

W tym punkcie nieporozumienie musiało się wydać. Nastąpiły wyjaśnienia i obie damy setnie się uśmieły, żadna bowiem nie przeżyła rozczarowania; pani Jennings zmieniała tylko powód do radości, nie wyrzekając się wcale nadziei, że i poprzedni stanie się kiedyś realny.

- No tak, plebania jest mała - stwierdziła, kiedy skończyły się pierwsze wybuchy

zdumienia i uciechy - i to prawda, że wymaga napraw, ale słyszeć, że ktoś, jak myślałam, usprawiedliwia się, iż oferuje dom, który, o ile wiem, ma na parterze pięć wielkich pokoi, a na górze może pomieścić piętnaście łóżek - i to usprawiedliwia się przed tobą, która mieszkasz w domku wiejskim w Barton! To mi się wydawało wprost humorystyczne. Ale, moja droga, musimy nakłonić pułkownika, żeby odnowił tę plebanię i urządził ją wygodnie, nim Lucy się tam wprowadzi.

- Wydaje mi się, że pułkownikowi nawet w głowie nie powstało, by dochód z prebendy wystarczył im na założenie rodziny.

- Pułkownik jest kiep, moja kochana. Ma dwa tysiące rocznie i myśli, że nikt za mniej nie zwiąże końca z końcem. Zapamiętaj moje słowa, jeśli dożyję, to przed świętym Michałem złożę wizytę na plebanii Delaford, a przecież nie jechałabym, gdyby tam Lucy nie było.

Eleonora również przypuszczała, że młoda para nie będzie czekać na nic więcej.

ROZDZIAŁ XLI

Złożywszy podziękowania pułkownikowi Brandonowi, Edward pośpieszył do Lucy z wiadomością o swoim szczęściu, które, gdy doszedł do Bartlett's Buildings, tak bardzo wzrosło, że panna powiedziała pani Jennings, przybyłej następnego dnia z wizytą gratulacyjną, iż nigdy jeszcze w życiu nie widziała go w tak wybornym humorze.

A w każdym razie co do jej szczęścia i dobrego humoru nie mogło być najmniejszych wątpliwości, i całym sercem potwierdziła przewidywania zacnej matrony, że przed świętym Michałem spotkają się wszyscy w wygodnym zaciszu plebanii Delaford. Bez najmniejszej niechęci przyznawała też Eleonorze zasługi, jakie przypisywał jej Edward, i to tak dalece, że z najgorętszą wdzięcznością wyrażała się o jej dla nich obojga przyjaźni, gotowa przyznać, że mają wobec niej zobowiązania, i powiedziała otwarcie, że nigdy jej nie zadziwią żadne trudy, jakie panna Dashwood podejmie dla ich dobra, czy teraz, czy w przyszłości, gdyż uważa ją za osobę zdolną do zrobienia absolutnie wszystkiego, by dopomóc ludziom, których wysoko ceni. Jeśli idzie o pułkownika Brandona, nie tylko była skłonna czcić go jak świętego, ale gorąco pragnęła, by mógł być uważany za takiego również i w sprawach ziemskich: pragnęła, by płacone przez niego na kościół dziesięciny wzrosły, ile się tylko da, i w duszy postanawiała, iż w Delaford będzie do woli korzystała z jego służby, powozu, obory i kurnika.

Minął już tydzień, odkąd John Dashwood złożył paniom wizytę, a siostry przez cały ten czas zasięgły tylko raz informacji o stanie zdrowia bratowej, Eleonora doszła więc do wniosku, że wypada jej złożyć wizytę. Był to obowiązek przeciwny jej chęciom, w dodatku znikąd nie otrzymała wsparcia. Marianna nie tylko odmówiła pójścia, ale gorąco namawiała siostrę, by sama nie chodziła do braterstwa, pani Jennings zaś, choć podkreśliła, że jej powóz jest zawsze do dyspozycji Eleonory, tyle miała odrazy do pani Dashwood, że ani ciekawość, jak wygląda po dokonaniu ostatniego odkrycia, ani pragnienie, by dokuczyć jej, zachwalając zachowanie Edwarda, nie mogło przemóc jej niechęci do tych odwiedzin. Skutek był taki, że Eleonora wyruszyła samotnie, by złożyć wizytę, na którą z pewnością miała najmniejszą z nich wszystkich ochotę, ryzykując *tete - a - tete* z kobietą, do której żadna z nich nie mogła mieć tak uzasadnionej antypatii.

Pani Dashwood nie przyjmowała, nim jednak powóz Eleonory zdążył odjechać sprzed drzwi domu, wyszedł z nich akurat John Dashwood. Ogromnie się ucieszył ze spotkania z siostrą, powiedział, że właśnie się wybierał na Berkeley Street i zapewniając ją, że Fanny przyjmie ją chętnie, poprosił, by weszła.

Poszli na górę do salonu. Był pusty.

- Fanny jest pewno u siebie w pokoju. Pójdę zaraz do niej, jestem pewny, że nie będzie miała najmniejszych obiekcji przeciw zobaczeniu się z tobą... żadnych, doprawdy. Zwłaszcza teraz nie może już mieć... ale zresztą ona zawsze ogromnie lubiła i ciebie, i Mariannę. Czemu Marianna nie przyszła?

Eleonora usprawiedliwiła siostrę, jak umiała.

- Nie żałuję wcale, że cię widzę samą - ciągnął - bo mam ci wiele do powiedzenia. Ta prebenda pułkownika Brandona. Czy to możliwe? Czy on ją naprawdę dał Edwardowi? Dowiedziałem się o tym przypadkiem wczoraj i wybierałem się do ciebie, żeby się dowiedzieć czegoś więcej.

- To prawdziwa wiadomość. Pułkownik Brandon dał Edwardowi prebendę Delaford.

- Doprawdy! Zdumiewające!... Żadnego pokrewieństwa... żadnych związków!... I to teraz, kiedy prebendy są w takiej cenie!... Ile ona przynosi?

- Około dwustu funtów rocznie.

- No, więc za prezentę* takiego beneficjum... założywszy, że ostatni beneficjant był stary, schorowany i nie miał już wiele przed sobą... mógłby dostać, powiedzmy... tysiąc czterysta funtów. Jak to się stało, że pułkownik nie załatwił tej sprawy przed jego śmiercią?... Teraz, oczy wista, już za późno na sprzedaż, ale też, żeby ktoś tak rozumny jak pułkownik Brandon... Aż dziw, że mógł się okazać tak niezapobiegliwy w sprawie tak oczywistej, tak zwyczajnej... No cóż, niemal każdy człowiek okazuje czasem pewien brak konsekwencji. Ale, po namyśle... sędzę, że sprawa wedle wszelkiego prawdopodobieństwa przedstawia się tak: Edward ma otrzymać prebendę czasowo, do chwili, kiedy osoba, której pułkownik jako kolator** sprzedał prezentę, dorosnie do jej objęcia... Tak, tak, wierzaj mi, na pewno tak jest!

Eleonora zaprzeczyła stanowczo i opowiedziała bratu, że pułkownik Brandon ją właśnie prosił o pośrednictwo w tej sprawie, a więc została poinformowana o wszystkich warunkach, na jakich propozycja została złożona. John Dashwood musiał jej uwierzyć.

- To doprawdy zdumiewające! - zawołał. - Jaka też mogła być tego przyczyna?

- Bardzo prosta: pułkownik chciał dopomóc panu Ferrarsowi.

- No, no. Cokolwiek by się powiedziało o pułkowniku Brandonie, Edward miał ogromne szczęście... Nie wspominaj jednak o tym Fanny, bo chociaż sam jej przekazałem tę wiadomość, a ona przyjęła ją bardzo dzielnie, pewno nie chciałyby, żeby wiele przy niej o

*Właściciel dworu jako patron miał prawo prezentowania władzom kościelnym swego kandydata na plebana - tzw. prawo prezenty, które nierzadko bywało przedmiotem handlu.

**Kolator - osoba mająca prawo obsadzania urzędów kościelnych, zwykle fundator kościoła lub spadkobierca fundatora.

tym mówiono.

Eleonora z dużym wysiłkiem powstrzymała się od uwagi, iż Fanny mogłaby chyba całkiem spokojnie przyjąć wiadomość, że jej brat wzbogacił się kosztem nie jej czy jej dziecka, lecz cudzym.

- Pani Ferrars - dodał zniżając głos, jak przystało, wspominając o tak ważnej osobie - dotychczas nic o tym nie wie i sędzę, że najlepiej ukrywać to przed nią, jak długo się da. Obawiam się, że po ślubie Edwarda wszystko będzie musiało wyjść na jaw.

- Ale po co ta cała ostrożność? Jasne, iż pani Ferrars nie może odczuć najmniejszego zadowolenia dowiadując się, że jej syn ma z czego żyć... To sprawa oczywista... ale jak można przypuszczać po jej ostatnich postępkach, że w ogóle zdolna jest odczuwać cokolwiek? Zerwała ze swoim synem, wyrzekła się go na zawsze i zmusiła wszystkich, na których miała wpływ, żeby się go również wyrzekli. Po tym wszystkim trudno przypuścić, by mogła się czy to smucić, czy cieszyć z jego powodu... Nic, co się z nim dzieje, nie może jej interesować... Przecież nie może być tak słaba, by wyrzekając się pociechy, jaką jest dziecko, zachować jednocześnie matczyną troskę o nie.

- Och, Eleonoro - powiedział John - wszystko, co mówisz, jest bardzo piękne, ale opiera się na nieznanym natury ludzkiej. Wierzaj mi, że kiedy zostanie zawarty ten nieszczęsny związek, matka odczuje to równie boleśnie, jakby nigdy nie wyrzekła się dziecka, dlatego też należy przed nią ukrywać wszelkie okoliczności, które mogą przyspieszyć ową straszną chwilę. Pani Ferrars nigdy nie zapomni, że Edward jest jej synem.

- Zdumiewasz mnie. Sądziłam, że musiała to już całkowicie wymazać z pamięci.

- Ogromnie ją krzywdzisz. Pani Ferrars jest jedną z najbardziej kochających matek na świecie.

Eleonora milczała.

- Przemyślimy teraz - podjął pan Dashwood po chwili - nad tym, żeby Robert ożenił się z panną Morton.

Eleonora uśmiechnęła się, słysząc w głosie brata ton doniosłej powagi, i zauważyła spokojnie:

- Widzę, że owa dama niewiele ma do powiedzenia.

- Do powiedzenia? O czym ty mówisz?

- Mówię tylko o tym, że sądząc z twoich słów, pannie Morton musi być wszystko jedno, czy poślubi Edwarda, czy Roberta.

- No cóż, nie ma przecież żadnej różnicy, gdyż teraz Robert, praktycznie biorąc, może być uważany za pierwородnego, a jeśli idzie o pozostałe sprawy, obaj są miłymi młodymi

ludźmi i nie sędzę, żeby jeden w czymkolwiek przewyższał drugiego.

Eleonora nie powiedziała już ani słowa, a i John milczał przez pewien czas. Potem zakończył następująco swoje rozważania:

- Co do jednej rzeczy - tu ujął ją życzliwie za rękę i zniżył głos do okropnego szeptu - mogę cię zapewnić, droga siostró, i zrobię to, gdyż wiem, że sprawi ci to satysfakcję. Otóż mam powody sądzić... a właściwie słyshałem z najlepszych źródeł, inaczej bym tego nie mówił, gdyż byłoby bardzo niewłaściwie podnosić ten temat... ale słyshałem, powtarzam, z najlepszych źródeł... to nie znaczy, że bym się tego dowiedział bezpośrednio od pani Ferrars... ale jej córka słyshała i od niej to wiem... Krótko mówiąc, bez względu na zastrzeżenia, jakie mogła mieć przeciwko pewnemu związkowi... rozumiesz mnie... byłby on w jej pojęciu o wiele lepszy... jednym słowem, przyniósłby jej o wiele mniej strapienia niż ten. Było mi niezwykle miło usłyszeć, że pani Ferrars widzi sprawę w takim świetle... to satysfakcja dla nas wszystkich. „Tu nie może być w ogóle porównania - oświadczyła. - Stałoby się o wiele mniejsze zło i dzisiaj chętnie bym się z nim pogodziła”. No, ale teraz to już poniewczasie... ani o tym myśleć, ani wspominać... żadne uczucie... wszystko już niemożliwe... minęło. Chciałem ci to jednak powiedzieć, wiedząc, jakie odczujesz zadowolenie. Co nie znaczy, żebyś miała powody czegokolwiek żałować, droga siostró. Nie ma wątpliwości co do tego, że masz przed sobą doskonałe widoki... równie dobre albo nawet, zważywszy wszystko, jeszcze lepsze. Czy pułkownik Brandon był ostatnio u ciebie?

To, co Eleonora usłyszała, wystarczyło może nie tyle na to, by zadowolila swoją próżność i nabrała o sobie lepszego mniemania, ile na to, by się zdenerwowała i skłopotala. Z przyjemnością więc stwierdziła, że nie musi wiele odpowiadać ani wysłuchiwać dalej wywodów brata, gdyż do pokoju wszedł pan Robert Ferrars. Po kilkuminutowej rozmowie pan John Dashwood przypomniał sobie, że Fanny nie wie dotąd o przyjsciu gościa, i wyszedł z pokoju, by jej poszukać, Eleonora zaś została, by pogłębić swą znajomość z panem Robertem Ferrarsem, o którego głowie i sercu powziela najgorsze mniemanie, widząc rozkoszną obojętność, wesołość i zadowolenie, jakie okazywał, korzystając z nieuczciwego podziału matczynych uczuć i pieniędzy kosztem wydziedziczonego brata, którego jedyną winą była prawość, podczas gdy jego jedyną zasługą był hulaszcy sposób życia.

Nie minęły dwie minuty, kiedy zaczęli mówić o Edwardzie, Robert bowiem również już słyshał o prebendzie i niezmiernie był ciekaw wszystkich szczegółów. Eleonora powtórzyła wszystko, co przed chwilą powiedziała Johnowi, a skutek, jaki ta wiadomość wywarła, choć inny, był również zdumiewający. Robert zaczął się śmiać jak szalony. Myśl, że jego brat będzie duchownym i zamieszka na małej plebanii, rozbawiła go ponad miarę, kiedy

zaś wyobraził sobie w dodatku, jak Edward, odziany w białą komżę, będzie odczytywał modlitwy i ogłaszał zapowiedzi o małżeństwie Johna Smitha z Mary Brown - uznał, że, doprawdy, trudno o coś zabawniejszego.

Eleonora czekała w milczeniu, z niewzruszoną powagą, na zakończenie tych błazeństw, lecz nie mogła się powstrzymać, by nie utkwąć w nim pełnego pogardy wzroku. Bardzo to było właściwe spojrzenie, gdyż jej przynosiło ulgę, a jemu nic nie mówiło. Nie przywołała go do rozsądku jej przygana, lecz własna delikatność uczuć.

- No cóż, możemy to uważać za żart - powiedział, przytomniejąc wreszcie po ataku sztucznego śmiechu, którym przedłużył swoje prawdziwe rozbawienie - ale, na moją duszę, sprawa jest niezwykle poważna. Biedny Edward! To człowiek skończony na zawsze. Ogromnie mi go żal, gdyż wiem, że to chłopisko o przezacnym sercu i najlepszych w świecie intencjach. Niech go pani nie sądzi na podstawie pobieżnej znajomości. Biedny Edward! Maniery ma, to prawda, nie najszcześliwsze... ale nie wszyscy się rodzimy równie mili... równie ujmujący... Biedak!... patrzeć, jak się zachowuje wśród obcych... to było doprawdy bardzo przykre... ale klnę się na moją duszę, że ma złote serce, toteż oświadczam uroczyście i zapewniam panią, że nigdy w życiu nie byłem tak wstrząśnięty jak w chwili, kiedy się to wszystko wydało. Wprost nie mogłem uwierzyć... Matka była pierwszą osobą, która mi to zakomunikowała, a ja, widząc, że muszę zająć zdecydowane stanowisko, oświadczyłem natychmiast: „Nie wiem, co mama zamierza zrobić w tej sprawie, ja jednak muszę oświadczyć, że jeśli Edward ożeni się z tą młodą kobietą, nie chcę go więcej oglądać na oczy”. Tak powiedziałem, z punktu... Byłem naprawdę niebywale wstrząśnięty... Biedny Edward... założył sobie stryczek na szyję... Wykluczył się na zawsze z przyzwoitego towarzystwa... ale, jak powiedziałem matce, wcale mnie to nie dziwi, przy tego rodzaju wykształceniu można się tego było spodziewać. Biedna matka mało nie oszalała.

- Czy pan zna ową damę?

- Tak, kiedy tu mieszkała, wpadłem kiedyś na dziesięć minut, wystarczy to, co widziałem. Zwykła, toporna wiejska dziewczyna, bez stylu, elegancji i niemal bez urody. Pamiętam ją doskonale. Taka właśnie dziewczyna najbardziej się, moim zdaniem, mogła Edwardowi spodobać. Kiedy matka opowiedziała mi o całej sprawie, zaproponowałem natychmiast, że z nim porozmawiam i wyperswaduję mu ten związek, ale wówczas było już za późno, gdyż tak się nieszczęśliwie złożyło, że nie było mnie z początku, a dowiedziałem się o wszystkim, kiedy już nastąpiło zerwanie i kiedy, rozumie pani, nie mogłem się już wtrącać. Ale gdyby mi o tym powiedziano kilka godzin wcześniej, to wcale niewykluczone, że coś bym wskórał. Na pewno przedstawiłbym to Edwardowi w bardzo jasnym świetle. „Mój

drogi - powiedziałbym do niego - zastanów się, co robisz. Wchodzisz w haniebnny związek, który twoja rodzina jednomyślnie potępia”. Jednym słowem, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że może dałoby się znaleźć jakieś wyjście. Ale teraz już za późno na wszystko. Musi zginąć śmiercią głodową, rozumie pani! Zginie śmiercią głodową!

Stwierdził to z całym spokojem. Wejście pani Dashwood w następnej chwili musiało uciąć dalszą rozmowę na ten temat. Choć poza najbliższą rodziną nigdy nie rozmawiała o sprawie Edwarda, znać było na niej skutki tego przejścia, gdyż wchodząc miała na twarzy wyraz jakby zmieszania i starała się okazać Eleonorze pewną serdeczność. Doszło nawet do tego, że przejęła się wiadomością, iż szwagierki wyjeżdżają wkrótce z Londynu. Okazało się, że miała nadzieję częściej je widywać. Mąż, który wszedł z nią do pokoju i wsłuchiwał się miłośnie w brzmienie jej głosu, wychwytywał wszystko, co było w nim miłe i serdeczne.

ROZDZIAŁ XLII

Jeszcze jedna wizyta na Harley Street, podczas której Eleonora usłyszała gratulacje Johna, że odbywają za darmo tak długą podróż w kierunku Barton i że pułkownik Brandon ma za parę dni ruszyć za nimi do Cleveland - i na tym zakończyły się londyńskie spotkania brata z siostrami; Fanny złożyła dość nieokreślone zaproszenie, by przyjechały do Norland, kiedy im to wypadnie po drodze, co było jedną z najmniej prawdopodobnych ewentualności, a brat dodał cieplejsze, choć w cztery oczy złożone Eleonorze zapewnienie, że jak najspieszniej złoży jej wizytę w Delaford - i tyle było planów co do ich przyszłych spotkań na wsi.

Eleonorę bawiła myśl, że wszyscy przyjaciele zjednoczyli się, by ją wysłać do Delaford - miejsca, które ze wszystkich najmniej chciała oglądać czy mieć za mieszkanie; nie tylko bowiem pani Jennings i brat widzieli tam jej przyszły dom, ale i Lucy przy rozstaniu zapraszała ją usilnie na plebanię.

Na początku kwietnia, wczesnym rankiem, dwa towarzystwa z Hanover Square i Berkeley Street - wyruszyły, by spotkać się, zgodnie z umową, w drodze. Ze względu na wygodę Charlotty i dziecka podróż miała trwać ponad dwa dni, a pan Palmer i pułkownik Brandon, którzy nieco szybciej podróżowali, mieli przyłączyć się do pań wkrótce po ich przyjeździe na miejsce.

Choć Marianna niewiele zaznała w Londynie miłych chwil i od dawna pragnęła wyjechać, nie potrafiła jednak pożegnać bez bólu domu, w którym po raz ostatni radowała się martwą już teraz nadzieją i wiarą w pana Willoughby'ego. Nie potrafiła też bez obfitych łez opuścić miejsca, gdzie on pozostawał pochłonięty nowymi obowiązkami, robiąc nowe projekty, w których ona nie miała udziału.

Radość Eleonory z wyjazdu miała bardziej zdecydowany charakter. Myśli jej na niczym się tu nie zatrzymywały, nie zostawiała ani jednej istoty, z którą nie mogłaby się bez żalu rozstać na wieki, cieszyła się, że zostaje uwolniona od natrętnej przyjaźni Lucy, cieszyła się, że wywozi siostrę, uniknąwszy spotkania z panem Willoughbym po jego ślubie, i z nadzieją myślała, że kilka miesięcy ciszy w Barton pomoże Mariannie odzyskać spokój ducha, a jej utrwalić się w swoim.

Podróż minęła bez przygód. Drugiego dnia wjechały do wyglądane go czy też zakazanego hrabstwa Somerset, bo takim się ono kolejno wydawało Mariannie, a przed południem trzeciego dnia znalazły się w Cleveland.

Dwór, obszerny i nowoczesny, leżał na porośniętym trawą zboczu. Nie był otoczony

parkiem, miał jednak rozległe tereny spacerowe i jak każdy dwór, tak wielki i dostojny, posiadał aleję wysadzaną drzewami i bujną krzewinę. Żwirowany podjazd, wijąc się wśród pól, prowadził pod drzwi domu, na trawniku tu i ówdzie rosły drzewa, sam dom osłaniały jodły, jarzębiny i akacje, przemieszane z wysokimi topolami, odcinając zbitą gęstwą oficyny.

Marianna weszła do domu bardzo wzruszona, gdyż zaledwie osiemdziesiąt mil dzieliło ją od Barton, a niecałe trzydzieści od Combe Magna, po kilku więc minutach, gdy inni wraz z Charlottą pokazywali dziecko gospodyni, wyszła na dwór i przeszedłszy przez wijące się zarośla, które właśnie zaczynały okrywać się zielenią, weszła na odległy pagórek, skąd, z greckiej świątyni, potoczyła wzrokiem daleko na południowy wschód i z przejęciem zatrzymała go na najdalej wysuniętym grzbiecie wzgórz, wyobrażając sobie, że stamtąd można ujrzyć Combe Magna.

W owej chwili wielkiej, ekstatycznej rozpaczy cieszyła się, szlochając spazmatycznie, że jest w Cleveland. Kiedy wracała inną, okrężną drogą do domu, rozkoszując się wiejskim przywilejem swobody, luksusem poruszania się w niczym nie skrepowanej samotności, postanowiła spędzać niemal każdą godzinę pobytu u Palmerów na takich samotnych spacerach.

Wróciła, kiedy panie wychodziły z domu na nieco bliższą przechadzkę, by resztę przedpołudnia umilać sobie oglądaniem ogrodu warzywnego, kwitnących pod murami drzew owocowych, wysłuchiowaniem lamentów ogrodnika na temat zwarzonych roślin, marudzeniem w oranżerii, gdzie strata ulubionych kwiatów nieopatrznie wyniesionych na dwór i ściętych przymrozkiem wywołała śmiech Charlotty, oraz wizytą w kurniku, gdzie kolejne klęski drobiarki, takie jak: gniazda porzucone przez kwoki, kwoki kradzione przez lisy oraz nagłe padanie świetnie zapowiadających się kurcząt - również wywoływały wybuchy radości pani domu.

Ranek był piękny i pogodny, a Marianna, planując długie spacerowanie, nie przewidziała zmiany pogody podczas swego pobytu w Cleveland. Ogromnie była zaskoczona, kiedy stwierdziła, że ulewny deszcz nie pozwala jej ponownie iść na spacer po wczesnym obiedzie. Liczyła, że przy zmierzchającym świetle uda się do owej greckiej świątyni i może nawet obejrzeć cały teren. Pewno nie powstrzymałby jej zwykły chłód i mżawka, ale nawet ona nie potrafiła sobie wmówić, że ulewny, miarowy deszcz to dobra, odpowiednia na spacer pogoda.

Towarzystwo było nieliczne i czas płynął spokojnie. Pani Palmer miała swoje dziecko, pani Jennings - swoją robótkę tkacką, rozmawiały o pozostawionych w Londynie znajomych, zgadywały porządek towarzyskich zajęć lady Middleton i zastanawiały, się czy pan Palmer i pułkownik dojadą przed nocą dalej niż do Reading. Eleonora, choć mało ją to interesowało,

przyłączyła się do rozmowy, a Marianna, która miała talent odnajdywania w każdym domu drogi do biblioteki, choćby rodzina gospodarzy nie wiem jak tej drogi unikała, wkrótce znalazła sobie książkę.

Nieznienna pogoda i życzliwość pani Palmer sprawiały, że panny dobrze się czuły w jej domu. Jej serdeczność i otwarte obejście wynagradzało z naddatkiem brak powściągliwości i elegancji, który często sprawiał, że nie dostawało jej zewnętrznych objawów dobrego wychowania; jej dobroć w połączeniu z ładną buzią była ujmująca, jej bezmyślność, choć tak oczywista, nie budziła odrazy, gdyż nie łączyła się z zarozumiałstwem, a Eleonora zdolna była jej wybaczyć wszystko prócz owych chichotów.

Dwaj panowie przyjechali następnego dnia na bardzo późny obiad. Powitano ich mile, nie tylko bowiem powiększyli zebrane grono, ale wnosili wielce pożądane urozmaicenie do konwersacji, bardzo ostatnio ospałej po długim dniu nieustannego deszczu.

Eleonora rzadko widywała dotąd pana Palmera, a w czasie tej krótkiej znajomości jego stosunek do niej i Marianny tak się zmieniał, że nie potrafiła sobie wyobrazić, jaki też się okaże we własnym domu. Stwierdziła teraz, że wobec wszystkich gości zachowuje się jak skończony dżentelmen, a wobec żony i teściowej jest niegrzeczny tylko czasami. Stwierdziła też, że potrafi być bardzo miły w towarzystwie, lecz nie zawsze, gdyż ma zbyt silną skłonność do wyobrażania sobie, że jest lepszy niż inni w ogóle, a już Charlotta i pani Jennings w szczególności. Jeśli idzie o pozostałe jego przyzwyczajenia i cechy charakteru, to, o ile mogła sądzić, nie odznaczał się niczym wyjątkowym dla swojej płci i wieku. Był miły przy stole, niepunktualny, uwielbiał swoje dziecko, lecz udawał, że go ono nic nie obchodzi, i całe przedpołudnia marnował na bilardzie, choć powinien zajmować się interesami. Polubiła go jednak, wszystko razem wzięwszy, bardziej, niż się spodziewała, a w głębi serca nie żał jej było, że nie może go lubić jeszcze bardziej; nie żałowała, że patrząc na jego epikureizm, samolubstwo i zarozumiałstwo, może się błogo zadumać nad wielkoduszością Edwarda, prostotą jego upodobań i nieśmiałością uczuć.

Miała teraz wiadomości o Edwardzie, a raczej o pewnych tyjących go sprawach, gdyż pułkownik Brandon był niedawno w hrabstwie Dorset, a uważając ją za bezinteresownie życzliwą przyjaciółkę pana Ferrarsa, jak również własną zacną powiernicę, rozmawiał z nią często o plebanii Delaford, opisywał jej braki i powiadał, co zamierza przedsięwziąć, by je usunąć. Jego zachowanie zarówno w związku z tym, jak wszystkim innym, jawna radość na jej widok po zaledwie dziesięciodniowym rozstaniu, chęć prowadzenia z nią rozmowy i szacunek dla jej zdania - wszystko to mogło całkowicie usprawiedliwić przekonanie pani Jennings o jego uczuciu i może wystarczyłoby również, żeby i Eleonora powzięła takie

mniemanie, gdyby nie sądziła, jak dawniej, że pułkownik kocha się w Mariannie. A i nawet bez tego podobne przypuszczenie nigdy by jej w głowie nie powstało, gdyby nie pani Jennings; młoda panna pochlebiała sobie jednak, że jest lepszym od niej obserwatorem - ona sądziła po jego oczach, podczas gdy pani Jennings sądziła po jego zachowaniu. Obserwacjom zacnej damy umknęły jego niespokojne spojrzenia rzucane na Mariannę, troska o jej samopoczucie, o ból gardła i głowy, przypuszczenia, że to mogą być początki silnej grypy - nie zauważyła tego, co nie zostało wyrażone w słowach, podczas gdy Eleonora widziała w tym żywe uczucie i bezpodstawne obawy człowieka zakochanego.

Po dwóch rozkosznych spacerach o zmierzchu trzeciego i czwartego dnia po przyjeździe, spacerach nie tylko po żwirowanych, osłoniętych drzewami ścieżkach, ale po całej posiadłości, zwłaszcza najdalszych, najdzikszych miejscach, gdzie rosły najstarsze drzewa, a trawa była najwyższa i najbardziej wilgotna, Marianna, która na dokładkę była tak nierozważna, że nie zmieniła mokrych bucików i pończoch, zaziębiła się wreszcie tak mocno, że choć przez pierwsze dwa dni lekceważyła sobie chorobę lub wręcz zaprzeczała jej istnieniu, musiała wreszcie przyznać się do niej, trawiona coraz silniejszymi dolegliwościami, i pozwolić, by zatroskali się o nią inni. Każdy, jak to zwykle bywa, doradzał jakieś leki, lecz nie chciała nic przyjąć. Otepiała, rozgorączkowana, z obolałym gardłem i rwaniem w rękach i nogach, kaszłająca, uważała, że zdrowy mocny sen całkowicie ją wyleczy, i kiedy położyła się do łóżka, Eleonora z trudem wymogła na niej, by zażyła jakiś najprostszy specyfik.

ROZDZIAŁ XLIII

Następnego ranka Marianna wstała o tej samej co zwykle porze. Na wszystkie pytania odpowiadała, że czuje się lepiej, i starała się tego dowieść, zabierając się do zwykłych codziennych zajęć. Lecz ten dzień, spędzony czy to w fotelu przy kominku, gdy dygotała nad książką, której nie mogła czytać, czy to na sofie, gdzie się kładła zmęczona i osłabła, nie świadczył o poprawie jej zdrowia i kiedy wreszcie poszła wcześniej do łóżka, coraz bardziej niedysponowana, pułkownik Brandon zdumiewał się spokojem Eleonory, która choć przez cały dzień opiekowała się Marianną, a wieczorem wbrew jej chęci przymusiła ją do wzięcia odpowiednich lekarstw, wierzyła, podobnie jak siostra, w skuteczność snu i nie była bardzo zaniepokojona.

Lecz niespokojna noc w gorączce zawiodła oczekiwania obydwu sióstr i kiedy Marianna, która upierała się, by wstać, wyznała, że nie może usiedzieć, i z własnej woli wróciła do łóżka, Eleonora gotowa była skorzystać z rady pani Jennings i posłać po medyka państwa Palmerów.

Przyszedł, zbadał pacjentkę i chociaż oświadczył z optymizmem, że za kilka dni wróci do zdrowia, wspomniał coś jednak o dyfterytowym charakterze choroby i wymówił słowo „infekcja”, co natychmiast wzbudziło obawy pani Palmer o dziecko. Po wysłuchaniu zdania doktora Harrisa pani Jennings, która od początku skłonna była uważać, iż choroba Marianny jest poważniejsza, niż przypuszczała Eleonora, potwierdziła obawy Charlotty i uznała, że przezorność każe natychmiast wywieźć małego. Pan Palmer, choć uważał, że są to bezpodstawne lęki, uległ jednak niepokojom i naleganiom żony, zdecydowano się więc na wyjazd. W godzinę po wizycie medyka pani Palmer ruszyła z niemowlęciem i niańką do domu bliskich krewnych męża mieszkających kilka mil za Bath, on zaś, pod wpływem jej prośb, obiecał przyjechać do niej za kilka dni. Błagała również usilnie matkę, by z nią jechała, ale pani Jennings, z najczulszą dobrocią, która sprawiła, że Eleonora naprawdę ją teraz pokochała, oświadczyła, że nie ruszy się z Cleveland, póki Marianna nie wróci do zdrowia, i otaczając ją troskliwą opieką, będzie się starała zastąpić jej matkę, od której ją wzięła. Była przez cały czas pomocna Eleonorze we wszystkim, zawsze chętna do zastąpienia jej w trudach, a często, dzięki większemu doświadczeniu w pielęgnacji chorych, okazywała się wprost niezastąpiona.

Biedna Marianna, słaba i znękana chorobą, czuła się bardzo źle i nie mogła już liczyć, że następnego dnia wstanie zdrowa z pościeli, a wszystkie jej dolegliwości zaostrzała jeszcze myśl, czym byłoby jutro, gdyby nie nieszczęsna choroba. Nazajutrz bowiem planowały

ruszyć w drogę powrotną do domu, pod opieką służącego pani Jennings, który miał z nimi jechać aż do Barton, tak aby mogły przed południem dnia następnego zrobić matce radosną niespodziankę. Niewiele mówiła i tylko lamentowała nad tą zwłoką, choć Eleonora próbowała ją pocieszyć i tłumaczyła, zgodnie zresztą z własnym przekonaniem, że będzie to zwłoka krótkotrwała.

Następnego dnia w stanie zdrowia Marianny nie zaszła żadna zmiana; nie czuła się lepiej, ale też i nie gorzej, tyle że nie było poprawy. Towarzystwo we dworze znowu się zmniejszyło, gdyż pan Palmer, acz niechętny wyjazdowi, od którego powstrzymywała go nie tylko zacność i dobroć, lecz i obawa, by nie przypuszczano, że wypłoszyła go żona, uległ wreszcie namowom pułkownika i spełnił daną żonie obietnicę. Kiedy się szykował do podróży, pułkownik jeszcze bardziej niechętnie zaczął sam mówić o wyjeździe. Temu jednak przeciwstawiła się w swojej dobroci pani Jennings, co zostało bardzo mile przyjęte; uważała bowiem, że odsyłanie pułkownika, kiedy jego ukochana tak bardzo się niepokoi o zdrowie siostry, byłoby odebraniem obydwójgu wszelkiej pociechy. Powiedziała mu więc zaraz, że sama bardzo potrzebuje go w Cleveland, gdyż chce z nim grać w pikietę wieczorami, kiedy panna Dashwood jest na górze u chorej itd., i tak prosiła, że pułkownik, który ulegając jej życzeniom, zaspokajał przede wszystkim własne, nie mógł długo udawać sprzeciwu, zwłaszcza że do próśb pani Jennings dołączył się gorąco pan Palmer, któremu widoczną ulgę dawała świadomość, że zostawia kogoś, kto może pomóc czy doradzić panie Dashwood w razie potrzeby.

Mariannie, rzecz jasna, nie powiedziano o tym wszystkim. Nie wiedziała, że przez nią właściciele Cleveland wyjechali z domu w tydzień po przyjeździe. „Wcale się nie dziwiła, że nie widuje pani Palmer, a że nic ją to nie interesowało, ani razu nie wspomniała jej imienia.

Od wyjazdu pana Palmera minęły dwa dni, a stan Marianny z małymi wahaniami pozostawał bez zmian. Medyk, który był u niej co dzień, w dalszym ciągu mówił z przekonaniem o rychłym powrocie do zdrowia, a Eleonora była równie dobrej myśli, inni jednak tracili otuchę. Pani Jennings bardzo wcześnie, na samym początku choroby, uznała, że Marianna z niej nie wyjdzie, a pułkownik Brandon, który musiał wysłuchiwać większości tych ponurych przepowiedni, był w takim stanie, że nie potrafił im się nie poddawać. Próbował rozumowo wyperswadować sobie obawy tłumacząc, że przecież wobec opinii medyka słowa zacnej damy brzmią wręcz absurdalnie, ale długie godziny spędzone w samotności sprzyjały smutnym myślom, toteż nie mógł się wyzbyć przekonania, że już nie zobaczy Marianny.

Lecz ranek trzeciego dnia zadał kłam ponurym przewidywaniom obojga, medyk

bowiem stwierdził po przyjściu poważne polepszenie zdrowia pacjentki. Puls miała silniejszy, a wszystkie objawy świadczyły o poprawie w stosunku do dnia poprzedniego. Eleonora, utwierdzona w swoich nadziejach, promienna i radosna, cieszyła się, że pisząc do matki, nie posłuchała rad pani Jennings, a kierując się własnym rozsądkiem, zbagatelizowała chorobę siostry i wyznaczyła niemal datę, kiedy Marianna będzie mogła ruszyć w podróż powrotną.

Ale dzień nie skończył się równie pomyślnie, jak się zaczął. Pod wieczór stan Marianny znowu się pogorszył; chora była bardziej niż poprzednio ociężała, niespokojna, cierpiąca. Eleonora jednak, wciąż dobrej myśli, dalej skłonna była przypisywać zmianę zmęczeniu, gdyż przesadzono chorą na krzesło przy prześcielaniu łóżka. Skrupulatnie odmierzyła jej przepisane medykamenty i z zadowoleniem stwierdziła, że siostra zapada wreszcie w drzemkę, po której wiele sobie obiecywała. Sen chorej nie był tak spokojny, jak by tego Eleonora pragnęła, trwał jednak dość długo; chcąc więc sprawdzić, jakie przyniesie rezultaty, czuwała cały czas przy siostrze. Pani Jennings nie wiedziała nic o tym pogorszeniu i poszła spać wcześniej niż zwykle. Jej pokojowa, która była jedną z głównych pomocnic w pielęgnowaniu chorej, wypoczywała w pokoju gospodyni, a Eleonora została sama z Marianną.

Chora spała coraz bardziej niespokojnie. Siostra, która z niesłabnącą uwagą obserwowała ciągle zmiany pozycji i słyszała częste, choć niezrozumiałe słowa skargi, dobywające się z jej ust, gotowa już była wyrwać ją z męczącej drzemki, kiedy Marianna zbudzona jakimś przypadkowym hałasem, poderwała się gwałtownie na poduszkach i zawołała z gorączkowym podnieceniem:

- Czy mama przyjeżdża?

- Jeszcze nie - odparła Eleonora, skrywając przerażenie i pomagając siostrze położyć się z powrotem - ale mam nadzieję, że niedługo będzie. Wiesz przecież, że stąd daleko do Barton.

- Ale niech nie jedzie naokoło przez Londyn! - wołała gorączkowo Marianna. - Nigdy jej nie zobaczę, jeśli pojedzie okrężnie przez Londyn!

Eleonora stwierdziła z przerażeniem, że siostra zaczyna majaczyć, a próbując ją uspokoić, zbadła natychmiast jej puls. Był słabszy niż dotąd i przyspieszony. Marianna wciąż bredziła o mamie i Eleonora w gwałtownie rosnącym strachu postanowiła zaraz posłać po medyka i wyprawić posłańca do Barton po matkę. W następnej chwili przyszło jej do głowy, żeby w tej drugiej sprawie naradzić się z pułkownikiem, zadzwoniła więc na pokojową, by zajęła jej miejsce przy chorej, i pośpieszyła na dół do salonu, gdzie, jak wiedziała, można go było na ogół znaleźć nawet o wiele późniejszej godzinie.

Nie miała czasu na wahania. Przedstawiła mu natychmiast swoje obawy i trudności - Brakło mu odwagi i przekonania, by starać się uśmierzyć jej lęki... Słuchał ich z przygnębieniem, bez słowa, lecz trudnościom zaradził natychmiast, gdyż z gotowością, która zdawała się świadczyć, że przewidział już tę sytuację i powziął odpowiednią decyzję, obiecał jechać sam zamiast posłańca i przywieźć panią Dashwood. Eleonora nie stawiała wielkich oporów. Podziękowała mu zwięźle, lecz % żarliwą wdzięcznością, i podczas gdy pułkownik wysłał biegiem służącego po medyka i konie pocztowe, napisała kilka słów do matki.

Cóż za pociecha mieć w podobnej chwili takiego przyjaciela!... takiego towarzysza podróży dla matki... Jakże mu była wdzięczna... towarzysza, którego rozsądek wskaże im drogę... którego obecność przyniesie ulgę... Którego przyjaźń musi koić... Jeśli w ogóle można zmniejszyć wstrząs wywołany tym wezwaniem, pomoc pułkownika, jego obecność, zachowanie na pewno to sprawią.

Tymczasem on, bez względu na to, co czuł, działał stanowczo i z opanowaniem, wydał szybko wszystkie niezbędne polecenia i wyliczył dokładnie, o jakiej porze będzie mogła oczekiwać jego powrotu. Nie zmitrężono ani chwili. Konie zajechały prędzej, niż się spodziewali, i pułkownik, uściskawszy tylko jej dłoń, z poważnym spojrzeniem rzucił kilka słów, ale zbyt cicho, by je dosłyszała, i pospieszył do powozu. Była godzina dwunasta. Eleonora wróciła do pokoju chorej, by czekać na przybycie medyka i czuwać przy niej całą noc. Tej nocy obie siostry przechodziły niemal równe katusze. Nim zjawił się pan Harris, godziny mijały Mariannie na bezsennych męczarniach i majaczeniach, Eleonorze - na okrutnym niepokoju. Za dotychczasowy spokój i poczucie bezpieczeństwa płaciła teraz z naddatkiem najgorszymi przewidywaniami, a służąca, która z nią czuwała - gdyż Eleonora nie pozwoliła zbudzić pani Jennings - powiększała jeszcze udrękę, wspominając co chwila słowa swojej pani.

Myśli Marianny co pewien czas krążyły bezładnie wokół matki, a za każdym razem, gdy wymawiała jej imię, Eleonora czuła ukłucie w sercu, wyrzucała sobie, że tak długo bagatelizowała chorobę, i wypatrując rozpaczliwie rychłej pomocy, myślała jednocześnie, że za chwilę wszelka pomoc może być daremna, że ze wszystkim ponad miarę zwlekała, i wyobrażała sobie zboląłą matkę, która przyjeżdża za późno, by zobaczyć ukochane dziecko przy życiu czy też przy zdrowych zmysłach.

Miała już posyłać po raz wtóry po medyka i prosić, by jeśli nie może przyjść, dał jej jakąś radę, kiedy - była już jednak piąta - przyjechał. Jego zdanie przyniosło pewną rekompensatę za zwłokę, chociaż bowiem przyznał, że nastąpiło nieprzewidziane pogorszenie, nie uważał wcale, by chorej groziło istotne niebezpieczeństwo, zapowiadał

niewątpliwą poprawę po użyciu nowych medykamentów z przekonaniem, które, acz w mniejszym stopniu, udzieliło się jednak Eleonorze. Obiecał, że przyjdzie znowu za trzy lub cztery godziny i zostawił zarówno pacjentkę, jak jej troskliwą opiekunkę o wiele teraz spokojniejsze.

Pani Jennings wysłuchiwała rano z przejęciem sprawozdania z tego, co zaszło w nocy, wyrzucając Eleonorze, że po nią nie posłała. Ożyły jej poprzednie obawy, bardziej teraz usprawiedliwione, i nie miała wątpliwości, jak się sprawa skończy. Chociaż starała się pocieszyć Eleonorę, była tak przekonana o zagrażającym chorej niebezpieczeństwie, że nie mogła ofiarować jej siostrze jednej pociechy - pociechy nadziei. Szczerze bolała nad Marianną. Nagły kres, wczesna śmierć dziewczyny tak młodej, tak uroczej jak Marianna musiałyby okryć smutkiem nawet mniej z nią związaną osobę, lecz chora miała przecież specjalne prawa do współczucia pani Jennings. Była przez trzy miesiące jej towarzyszką, znajdowała się wciąż pod jej opieką, doznała ogromnej krzywdy i była bardzo nieszczęśliwa. Zaczynała musiła również przeżywać rozpacz jej siostry, swojej ulubienicy. Co zaś do matki - kiedy pani Jennings wyobraziła sobie, że Marianna mogłaby być dla swojej matki tym, czym Charlotta jest dla niej - najszczerzej współczuła jej cierpieniom.

Medyk przyszedł punktualnie, jak obiecał, lecz stwierdził, że się zawiódł co do ostatnio zaaplikowanych leków. Nie przyniosły poprawy... gorączka nie spadła, a Marianna leżała spokojniejsza tylko, lecz wciąż nieprzytomna, w zupełnym odrętwieniu. Eleonora, pojmując w lot wszystkie jego obawy, a nawet je wyolbrzymiając, chciała poprosić kogoś o dodatkową poradę, on jednak nie uważał tego za konieczne. Miał jeszcze jedno lekarstwo, które chciał wypróbować, jakiś najświeższy medykament, był go niemal tak pewny, jak poprzedniego, toteż zakończył wizytę krzepiącymi zapewnieniami, które trafiły do ucha, lecz nie mogły trafić do serca panny Dashwood. Była spokojna, jeśli nie myślała o matce, lecz nie miała już niemal żadnej nadziei. W takim stanie trwała aż do południa, prawie nie ruszając się od łóżka siostry. W myślach widziała jeden obraz cierpienia po drugim, jednego po drugim zboliałych przyjaciół, a rozpacz jej dosięgła szczytu po rozmowie z panią Jennings, która nie wahała się twierdzić, że groźba tej choroby wynika z uprzedniej wielotygodniowej niedyspozycji Marianny, spowodowanej przeżytym zawodem. Eleonora pojęła całą słuszność tego rozumowania, co wzmogło tylko jej desperację.

Ale około południa zaczęło się jej wydawać... lecz była ostrożna... obawa przed rozczarowaniem nie pozwoliła jej nawet wspomnieć o tym pani Jennings... Zaczęło jej się zdawać, że puls siostry odrobinę się poprawił... Czekwała, wpatrując się w nią bacznie, i sprawdziła raz jeszcze, a potem jeszcze raz... i wreszcie, z przejęciem, które trudniej jej było

ukryć pod maską spokoju niż poprzednią rozpacz, odważyła się zawiadomić panią Jennings. Ta, choć zobaczywszy chorą musiała przyznać, że nastąpiła chwilowa poprawa, starała się nie dopuścić, by Eleonora uwierzyła w jej trwałość, ona zaś powtarzając w myślach wszystkie argumenty nakazujące zwątpienie, również wzbraniała przystępu nadziei. Było jednak za późno. Dokonało się. Nadzieja zawitała, a Eleonora, czując w sobie jej niespokojny dreszcz, pochyliła się nad siostrą, czekając... nie bardzo wiedziała, na co. Pół godziny minęło i, chwala Bogu, wszystkie objawy utrzymywały się w dalszym ciągu, więcej, bo pojawiły się nowe, które potwierdzały poprzednie. Oddech chorej, barwa skóry i warg - wszystko składało się na radosne świadectwo poprawy i Marianna utkwiała w siostrze przytomny, choć ociężyła wzrok. Eleonora, miotana między niepokojem a nadzieją, wprost nie mogła wysiedzieć do czwartej, kiedy to przyszedł medyk. Jego gratulacje z racji powrotu siostry do zdrowia, zapewnienia o polepszeniu ponad przewidywania przyniosły pewność, pociechę i łzy radości.

Marianna czuła się o wiele lepiej i pan Harris orzekł, że wyszła z niebezpieczeństwa. Pani Jennings, której zapewne wystarczyło częściowe spełnienie jej ponurych przewidywań w niedawno przeżytym strachu, pozwoliła sobie zaufać zdaniu medyka i oznajmiła z nieklamana radością, a potem wręcz weselem, że chora może jeszcze całkowicie powrócić do zdrowia.

Eleonora nie potrafiła weselić się tak jak zacna dama. Cieszyła się w inny sposób, który wyrażał się we wszystkim, tylko nie w wesołości. Myśl o Mariannie przywróconej życiu, zdrowiu, przyjaciołom i kochającej matce wypełniała jej serce najcudowniejszą słodyczą i najwyższą wdzięcznością, ale nie uzewnętrzniała się w radosnych słowach czy uśmiechach. Serce Eleonory wezbrało wielkim, milczącym szczęściem.

Przez całe popołudnie siedziała przy siostrze, niemal bez przerwy, kojąc jej obawy, odpowiadając na wszystkie pytania, zaspokajając każdą potrzebę, wciąż czujnie bacząc na każde niemal spojrzenie, każdy oddech. W pewnych chwilach nachodziły ją, rzecz jasna, obawy przed nawrotem choroby i znów zjawiał się strach, kiedy jednak nieustanna i baczna obserwacja chorej potwierdziła, że utrzymują się wszystkie oznaki powrotu do zdrowia, a o szóstej Marianna zapadła w cichy, równomierny i z pozoru sądząc, spokojny sen - Eleonora nie mogła dłużej wątpić.

Zbliżała się pora, kiedy można się było spodziewać powrotu pułkownika Brandona. Przypuszczała, że o dziesiątej, a przynajmniej niewiele później, matka pozbędzie się tego strasznego niepokoju, w jakim teraz tu jedzie, a i pułkownik - przecież jemu nie mniej można współczuć. Och, jak wolno mijał czas, dzielący ich od poznania prawdy!

O siódmej zeszła na dół na herbatę z panią Jennings, zostawiając Mariannę pogrążoną w spokojnym śnie. Strach nie pozwolił jej zjeść tego dnia śniadania, obiad - gdy nastąpiła

gwałtowna odmiana - ledwie napoczęła, toteż obecny posiłek, do którego zasiadła w radosnym nastroju, był jej bardzo potrzebny. Pani Jennings próbowała pod koniec namówić ją na chwilę spoczynku przed przyjazdem matki i ofiarowała się sama siedzieć przy chorej, lecz Eleonora nie odczuwała potrzeby snu, nie odczuwała zmęczenia i ani jednej zbędnej chwili nie chciała spędzić poza sypialnią siostry. Zaczynała poszła więc z nią na górę do chorej, by się osobiście upewnić, że w dalszym ciągu wszystko jest dobrze, zostawiła ją tam własnym myśłom i obowiązkom i udała się do siebie, gdzie miała napisać jakieś listy i pójść spać.

Noc była zimna i wietrzna. Wicher wył wokół domu, a deszcz bębnił o szyby, lecz Eleonora, ogarnięta szczęściem, nie zwracała na to uwagi. Marianna spała, nie słysząc wycia wiatru, a na podróży czekała nie byle jaka nagroda za ich trudy.

Zegar wybił ósmą. Gdyby to była dziesiąta, Eleonora byłaby pewna, że słyszy zajeżdżający przed dom powóz. Złudzenie było tak silne, że mimo wręcz nieprawdopodobieństwa przyjazdu matki o tej porze, przeszła do sąsiedniej garderoby i podniosła żaluzje, by sprawdzić, co się dzieje. Zobaczyła, że słuch jej nie zmylił. Ujrzała jarzące się latarnie powozu. W ich migotliwym świetle zdawało jej się, że dostrzega w zaprzęgu cztery konie, co tłumaczyło tak wczesny przyjazd, a przy tym świadczyło o rozmiarach niepokoju nieszczęsnej matki.

Nigdy jeszcze w życiu nie było Eleonorze tak trudno zachować spokój. Świadomość tego, co przeżywa matka, siedząc w powozie przed drzwiami domu... zwątpienie... strach... może i rozpacz... świadomość tego, co ma im do powiedzenia... w takiej sytuacji nie sposób zachować zimną krew. Wszystko, co trzeba było zrobić w pokoju chorej, załatwiła w jednej chwili, i zostawiwszy pokojową pani Jennings z Marianną, pośpieszyła na dół.

Idąc korytarzem, usłyszała głosy w hallu, pewna więc była, że już są w domu. Rzuciła się do drzwi salonu, weszła... i zobaczyła tylko pana Willoughby'ego.

ROZDZIAŁ XLIV

Na jego widok Eleonora cofnęła się z przerażeniem i odrazą, i w pierwszym odruchu odwróciła się natychmiast, chcąc wyjść z pokoju. Ręka jej już sięgała gałki, kiedy zatrzymał ją, podchodząc szybko i mówiąc głosem, w którym brzmiał rozkaz raczej niż prośba:

- Panno Dashwood... na pół godziny... na dziesięć minut... błagam, niech pani zostanie.

- Nie - odparła stanowczo. - Nie zostanę. Pan nie może mieć do mnie żadnych spraw. Zapewne służba zapomniała powiedzieć, że pana Palmera nie ma w domu.

- Gdyby mi powiedzieli - krzyknął porywczo - że pana Palmera z całą rodziną diabli wzięli, nie zawróciłbym od tych drzwi. Chcę widzieć się z panią i tylko z panią!

- Ze mną? - zdumiała się Eleonora. - No cóż... Proszę mówić krótko... i, jeśli łaska, mniej gwałtownie.

- Niech pani usiądzie, zastosuję się do pani życzenia. - Zawahała się. Nie wiedziała, jak postąpić. Przeleciało jej przez głowę, że może go tutaj zastać pułkownik Brandon. Obiecała go jednak wysłuchać, nadto w grę wchodził nie tylko honor, lecz i ciekawość. Po chwili zastanowienia uznała, że roztropność nakazuje pośpiech, a więc należy przystać na jego żądanie. Podeszła w milczeniu do stołu i usiadła. On zajął miejsce naprzeciwko i przez chwilę oboje trwali w milczeniu.

- Proszę, mów pan szybko - powiedziała niecierpliwie Eleonora. - Nie mam czasu.

Siedział w głębokim zamyśleniu, jakby jej nie słyszał.

- Siostra pani - odezwał się nagle po chwili - wyszła z niebezpieczeństwa. Słyszałem to od służby. Bogu niech będą dzięki. Ale czy to prawda? Czy to aby prawda?

Eleonora nie chciała odpowiadać. Powtórzył pytanie jeszcze bardziej gwałtownie.

- Na litość boską, proszę mi powiedzieć, czy grozi jej niebezpieczeństwo, czy nie?

- Mamy nadzieję, że nie.

Wstał i zaczął chodzić po pokoju.

- Gdybym to wiedział przed półgodziną... Ale ponieważ już tu jestem - mówił z wymuszonym ożywieniem, wracając do krzesła - sprawą jest bez znaczenia... Raz wreszcie... i pewno raz ostatni... cieszymy się wspólnie... Jestem w odpowiednim do tego nastroju... Proszę, powiedz mi, pani, uczciwie - tu głęboki rumieniec oblał mu policzki - czy uważasz mnie za łotra, czy raczej za głupca?

Eleonora patrzyła na niego z większym niż dotąd zdumieniem. Zaczęła przypuszczać, że musi być pijany. Trudno inaczej wytłumaczyć tę dziwną wizytę i takie zachowanie, wstała

więc szybko, mówiąc:

- Radzę, byś pan zaraz wrócił do Combe... Nie mogę siedzieć tu z panem dłużej. Jeśli masz pan do mnie jakąś sprawę, lepiej ją sobie przypomnisz i wyłożysz jutro.

- Rozumiem - powiedział zupełnie spokojnym głosem, uśmiechając się przy tym znacząco. - Tak, jestem bardzo pijany. Kufel portera do zimnej wołowiny w Marlborough wystarczył, żeby mnie zwalić z nóg.

- W Marlborough! - zakrzyknęła Eleonora, już zupełnie nie rozumiejąc, o czym on mówi.

- Tak. Wyjechałem z Londynu dziś rano o ósmej, a jedyne dziesięć minut, jakie spędziłem od tej pory poza karetką, pozwoliły mi tylko na przekąskę w Marlborough.

Jego spokojna postawa i rozumne spojrzenie upewniły młodą pannę, że bez względu na to, jakie szaleństwo przywiodło go tutaj, nie było to podchmielenie, powiedziała więc po chwili zastanowienia:

- Panie Willoughby, musi pan zdawać sobie sprawę - tak samo jak ja - że po tym, co zaszło, pański przyjazd tutaj i narzucenie mi się swoją osobą wymaga nie byle jakiego usprawiedliwienia. O co panu chodzi? Czego pan chce?

- Chcę - powiedział poważnie i z przejęciem - sprawić, jeśli tylko zdołam, byś mnie pani nienawidziła trochę mniej niż teraz. Chcę przedstawić coś w rodzaju wyjaśnienia... usprawiedliwienia... tego, co się stało. Chcę przed panią otworzyć całe moje serce i przekonać panią, że chociaż zawsze byłem głupcem, nie zawsze byłem łotrem, chcę otrzymać coś, co przypominałoby przebaczenie... od Mar... od twojej siostry.

- Czy to jest prawdziwy powód twego przyjazdu?

- Na mą duszę, tak - odparł z żarem, który natychmiast przypomniawszy jej dawnego pana Willoughby'ego i wbrew niej samej kazał uwierzyć w jego szczerłość.

- Jeśli tylko o to idzie, możesz pan być spokojny, gdyż Marianna już... ona ci już dawno wybaczyła.

- Naprawdę! - zakrzyknął tym samym żywym głosem. - Wobec tego uczyniła to przedwcześnie. Ale wybaczy mi po raz drugi, tyle że wiedzioną rozsądkiem. A teraz, czy wysłuchasz mnie, pani?

Eleonora skinęła głową.

- Nie wiem - zaczął po chwili zastanowienia, a jej wyczekiwania - czym tłumaczyłaś sobie, pani, moje zachowanie wobec siostry, jakie mi przypisałaś szatańskie motywy... Może niewiele lepiej będziesz o mnie myślała... ale warto spróbować, dowiesz się wszystkiego. Na początku mojej znajomości z waszą rodziną nie miałem żadnych innych intencji, żadnych

innych zamiarów, jak to, by umilić sobie bardziej niż kiedykolwiek czas, jaki musiałem spędzić w hrabstwie Devon. Wdzięk, uroda i interesujące obejście twojej siostry, pani, musiały mi się spodobać, a jej zachowanie w stosunku do mnie było niemal od pierwszej chwili... Zdumiewające, gdy wspomnę, jakie ono było... i jaka ona była... że też moje serce mogło pozostać tak obojętne. Ale muszę wyznać, że na początku czułem się tylko pochlebiony w mojej próżności. Nie dbając o jej szczęście, myśląc tylko o własnej rozrywce, folgując uczuciom, którym zawsze zwykłem zbyt folgować, starałem się, jak mogłem, przypodobać pannie, nie mając najmniejszego zamiaru odwzajemnić się jej podobnym uczuciem.

W tym momencie Eleonora, obrzucając go spojrzeniem pełnym gniewnej pogardy, przerwała:

- Wydaje mi się, panie Willoughby, że nie warto panu dalej opowiadać, a mnie słuchać. Po takim początku wszystko jest już jasne. Proszę nie sprawiać mi przykrości, mówiąc więcej o tej sprawie.

- Żądam, abyś, pani, wysłuchała wszystkiego do końca - odparł. - Fortunę miałem niewielką, a zawsze żyłem rozrzutnie, miałem zwyczaj szukać towarzystwa ludzi zamożniejszych od siebie. Odkąd doszedłem lat, albo nawet wcześniej, powiększałem długi, a chociaż śmierć mojej dalekiej kuzynki, pani Smith, miała mnie od nich uwolnić, była rzeczą odległą i niepewną, toteż już od dłuższego czasu chciałem poprawić bogatym ożenkiem moją sytuację majątkową. Z tego względu miłość do siostry pani nie wchodziła w rachubę, toteż z podłym, samolubnym okrucieństwem, którego żadne gniewne, żadne pogardliwe spojrzenie, nawet pani spojrzenie, nie może dostatecznie potępić, starałem się pozyskać jej uczucie, nie mając zamiaru odplacić własnym. Jedno tylko można za mną powiedzieć: nawet wówczas, kiedy rządziła mną ta straszna samolubna próżność, nie znałem rozmiarów krzywdy, jaką miałem wyrządzić, gdyż nie wiedziałem jeszcze co to miłość. Ale czy kiedykolwiek się tego dowiedziałem? Można w to wątpić. Gdybym bowiem naprawdę kochał, czy poświęciłbym moje uczucie, aby zaspokoić próżność, chciwość?... albo, co więcej, czy poświęciłabym jej uczucie? A przecież to uczyniłem. Chcąc uniknąć względnej biedy, która w jej towarzystwie i przy jej uczuciu nie byłaby wcale taka straszna, zdobyłem majątek, tracąc jednocześnie wszystko, co mogłoby go uczynić błogosławieństwem.

- A więc - powiedziała Eleonora nieco miększym tonem - sądziłeś pan kiedyś, że jesteś w niej zakochany?

- Czy jest na świecie człowiek, który oparłby się takim wdziękowi, takiej słodyczy? Tak, stwierdziłem, że bezwiednie, krok po kroku, oddałem serce twojej siostrze, a

najszczęśliwsze w życiu godziny spędziłem u jej boku, sądząc, że zamiary moje są uczciwe, a uczucia, bez skazy. Ale nawet wówczas, zdecydowany się oświadczyć, pozwoliłem sobie odkładać to nieroztropnie z dnia na dzień, niechętnie myśląc o zaręczynach w momencie, kiedy moje sprawy finansowe są tak zawikłane. Nie będę się nad tym rozwodził... ani też nie przerwę, byś mogła, pani, powiedzieć, jak absurdalne i gorzej niż absurdalne były wahania przed związaniem się słowem tam, gdzie byłem już związany honorem. Dowiodło to, że byłem chytrym głupcem, który przezornie szykował sobie drogę do upodlenia i unieszczęśliwienia się na zawsze. Wreszcie podjąłem decyzję. Postanowiłem przy pierwszej okazji, kiedy znajdę ją samą, usprawiedliwić nieustannie okazywane atencje i otwarcie zapewnić ją o uczuciu, którego przecież tak jawne starałem się dawać dowody. Lecz tak się nie stało... właśnie w ciągu tych kilku godzin, które mnie dzieliły od możliwości porozmawiania z nią sam na sam, zaszła pewna okoliczność... nieszczęsna okoliczność, która zniweczyła moje postanowienie i razem z nim moje szczęście. Wyszła na jaw pewna sprawa... - tu zawahał się i spuścił wzrok. - Pani Smith dowiedziała się, w ten czy inny sposób, przypuszczam, że od pewnego dalekiego krewnego, w którego interesie leżało pozbawienie mnie jej łask... otóż dowiedziała się o pewnej historii... pewnym związku... ale chyba nie trzeba dalszych wyjaśnień - dodał, spoglądając na nią z rumieńcem na policzkach i pytaniem w oczach. - Tak bliski znajomy... pani zapewne od dawna wiesz o wszystkim.

- Wiem - odparła Eleonora, rumieniąc się również i ponownie zamykając litości dostęp do swego serca. - Wiem wszystko. I jak wytłumaczysz pan choć część swej winy w tej okropnej sprawie... wyznam, że to przechodzi moje pojęcie.

- Proszę pamiętać - zawołał Willoughby - od kogo wszystko słyszałaś, pani! Czy te słowa mogą być bezstronne? Przyznaję, że powinienem był uszanować i jej położenie, i reputację. Nie mam zamiaru się tłumaczyć, ale jednocześnie nie mogę pozwolić, byś pani sądziła, że nie mam nic na usprawiedliwienie... że ponieważ została skrzywdzona, musiała być bez skazy, a ponieważ ja byłem libertynem, ona musiała być świętą. Jeśli gwałtowność jej namiętności, brak rozsądku... to nie znaczy, że bym miał się bronić. Jej uczucie dla mnie zasługiwało na lepsze potraktowanie i często z wyrzutem wspominałem jej czułość, która, przez bardzo krótki okres, znajdowała odzew. Pragnąłbym... pragnąłbym z całego serca, żeby to się było nigdy nie stało. Ale skrzywdziłem nie tylko ją. Skrzywdziłem osobę, której uczucie dla mnie... czy mogę to powiedzieć?... było niemal równie gorące, a której umysł! Och, nieskończenie wyższy!

- Ale pańska obojętność wobec tej nieszczęsnej dziewczyny! Muszę powiedzieć, chociaż rozmowa na ten temat jest dla mnie zrozumiale przykra - pańska obojętność nie może

usprawiedliwić okrucieństwa, jakim było jej porzucenie. Nie sądz pan, że słabość tej panny czy jej przyrodzony brak rozsądku mogą tłumaczyć twoje rozwiązanie i tak oczywiste okrucieństwo. Przecież na pewno wiedziałeś, że kiedy ty bawiłeś się w Devonshire, mając już nowe projekty w głowie, zawsze wesół, zawsze rad, ona musiała się znajdować w najsroźszej biedzie.

- Ale, na ma duszę, ja nic nie wiedziałem - zapewnił ją żarliwie. - Zapomniałem, że jej nie dał adresu, a najzwyczajniejszy rozsądek powiedziałby jej, jak mnie znaleźć.

- No więc, cóż powiedziała pani Smith?

- Zarzuciła mi w oczy moją przewinę. Łatwo sobie wyobrazić moje pomieszenie. Wszystko zjednoczyło się przeciwko mnie - czystość jej życia, sztywne pojęcia, nieznamość świata. Samego uczynku nie sposób było się zaprzeczyć, a wszelkie wysiłki, by go pomniejszyć, na nic się zdały. Już uprzednio skłonna była, sądzę, wątpić w moralność mego postępowania, nadto ubodło ją, że zbyt mało uwagi, zbyt mało czasu poświęcałem jej podczas ostatniej wizyty. Krótko mówiąc, skończyło się całkowitym zerwaniem. Ofiarowała mi tylko jeden sposób ratunku. Zaczyna kobieta, w najgłębszym poczuciu odpowiedzialności moralnej, obiecała, że puści przeszłość w niepamięć, jeśli ożeni się z Elizą. To było niemożliwe - formalnie wymówiła mi więc dom i względy. Całą następną noc - bo miałem wyjechać rano - spędziłem na rozważaniach, jak mam postąpić dalej. Ciężką stoczyłem z sobą walkę, ale zbyt szybko uległem. Całe moje uczucie do Marianny, moje przekonanie o jej wzajemności, wszystko to nie zdołało przeważać obawy przed ubóstwem czy też rozwiać fałszywych wyobrażeń o niezbędności bogactwa, do jakich z natury byłem skłonny, a jakie ugruntowało jeszcze we mnie towarzystwo, w którym się obracałem. Miałem powody sądzić, że jeśli zechcę, zdobędę moją obecną żonę, i wytłumaczyłem sobie, że zdrowy rozsądek nie pozwala mi na inne wyjście. Oczekiwały mnie jednak ciężkie chwile przed wyjazdem z Devonshire... Miałem tego dnia jeść kolację w domku pań, musiałem więc znaleźć jakieś usprawiedliwienie mojej nieobecności. Ale czy napisać list, czy przyjechać osobiście, to właśnie było tematem moich drugich deliberacji. Wiedziałem, że spotkanie z Marianną będzie dla mnie ciężkim przeżyciem, nawet wątpiłem, czy będę potrafił wytrwać w powziętym postanowieniu. Lecz okazało się, że nie doceniałem moich możliwości w tym względzie, jak tego dowiodły wypadki: pojechałem bowiem, stwierdziłem, że jest nieszczęśliwa, i opuściłem ją, i to opuściłem w nadziei, że nigdy więcej jej nie zobaczę.

- Ale czemu pan przyjeżdżał? - zapytała z wyrzutem Eleonora. - Wystarczyłby przecież krótki liścik. Czemu trzeba było przyjeżdżać?

- Nakazywała mi to moja duma. Nie mogłem znieść myśli, że wyjadę z okolicy

pozwalając, by panie i sąsiedzi zaczęli się domyślać, co zaszło pomiędzy panią Smith i mną. Postanowiłem więc zajechać do Barton w drodze do Honiton. Ale widok twojej drogiej siostry, pani, był strasznym przeżyciem, a na domiar złego zastałem Mariannę samą. Wszystkie panie wyszły, nie wiem dokąd. Rozstałem się z nią poprzedniego wieczora z tak silnym, tak nieodwołalnym postanowieniem, że zachowam się uczciwie. Za kilka godzin miała się ze mną związać na zawsze i pamiętam, jaki byłem szczęśliwy, wesół, kiedy wracałem wówczas do Allenham, zadowolony z siebie, zachwycony wszystkim. Ale podczas naszego ostatniego przyjaznego spotkania miałem w sercu poczucie winy, które niemal odbierało mi możliwość obłudnej gry. Jej ból, zawód, jej rozpacz, kiedy powiedziałem, że muszę natychmiast wyjeżdżać z hrabstwa Devon... Nigdy tego nie zapomnę... i tyle do mnie zaufania... tyle wiary... Och, Boże, jaki ze mnie był łotr bez serca!

Przez chwilę milczeli oboje. Eleonora przemówiła pierwsza:

- Czy pan jej powiedział, że wkrótce wróci?

- Nie wiem, com jej mówił - odparł gwałtownie. - Z pewnością mniej, niż należało ze względu na przeszłość, i według wszelkiego prawdopodobieństwa o wiele więcej, niż usprawiedliwiała przyszłość. Nie mogę o tym myśleć. To mi się na nic nie zda... Potem przyszła kochana wasza matka, by dręczyć mnie dalej swą dobrocią, ufnością. Dzięki Bogu, przechodziłem męki! Byłem nieszczęśliwy! Panno Dashwood, pani nie może sobie nawet wyobrazić, jaką pociechą jest dla mnie powrót myślami do tamtej udręki. Taki mam do siebie żal o to głupie, podle szaleństwo mojego serca, że wszystkie ówczesne związane z nim cierpienia są dzisiaj tylko triumfalną radością. No cóż, pojechałem, zostawiłem tych, których kochałem, i ruszyłem do tych, którzy, w najlepszym wypadku, byli mi tylko obojętni. Podróż do Londynu - własnymi końmi, więc powoli... do nikogo ust otworzyć... te pogodne myśli... ta zachęcająca przyszłość... ten kojący obraz przeszłości w Barton... och, cóż to była za wspaniała podróż!

Zamilkł.

- No i - zaczęła Eleonora, która, choć mu współczuła, zaczęła już pragnąć, by wyjechał - czy to wszystko?

- Wszystko? Nie... Czyżbyś pani zapomniała o tym, co było w Londynie? Ten haniebny list? Czy ona ci go, pani, pokazała?

- Tak, widziałam wszystko, co napisaliście do siebie.

- Kiedy dostałem jej pierwszy list... a dostałem go natychmiast, gdyż przez cały czas byłem w Londynie... tego, co czułem... jak to się pospolicie mówi... nie można wyrazić, a mówiąc prościej... może zbyt prosto, by to mogło wywołać jakiegokolwiek wrażenie... czułem

wielki, wielki ból... Każda linijka, każde słowo było... używając wyświechtanej metafory, której droga Marianna zabroniłaby mi tu użyć... było sztyletem wbijanym mi w serce. Wiadomość, że Marianna jest w Londynie, była - używając tego samego języka - gromem. Grom i sztylet! Jakżeby mi wyrzucała takie porównania... Jej gusta, jej sądy... myślę, że znam je lepiej niż własne... a na pewno są mi droższe. .

Serce Eleonory, w którym gościły różne uczucia podczas tej niezwyklej rozmowy, znowu zmiękło, uważała jednak za swój obowiązek pohamować podobne wynurzenia swojego towarzysza.

- Tak nie wolno, panie Willoughby. Proszę, pamiętaj pan, żeś jest człowiekiem żonatym. Opowiadaj tylko to, co w swym sumieniu uważasz za konieczne.

- List Marianny, który mówił, że wciąż jestem jej równie drogi jak dawniej, że mimo wielu, wielu tygodni rozłąki jest stała w swoich uczuciach i ufna w stałość moich, obudził moje skrupuły. Powiadam, obudził, gdyż czas i miasto, zajęcia i hulanki uspiły je w dużej mierze. Zrobił się ze mnie zatwardziały łotr, który wyobrażał sobie, że zobojętniał wobec niej, i wmawiał w siebie dla wygody, że i ona musiała stać się obojętna. O naszym dawnym uczuciu mówiłem sobie jako o przelotnej błahostce, wzruszając na dowód ramionami, uciszając sumienie; dławiąc wszelkie skrupuły powtarzaniem sobie od czasu do czasu: „Będę serdecznie rad, gdy usłyszę, że dobrze wyszła za mąż”. Ale ten liścik pozwolił mi poznać, co czuję. Zrozumiałem, że jest mi droższa niż jakakolwiek inna kobieta na świecie i że zachowałem się wobec niej haniebnie. Ale między panną Grey i mną wszystko już było wtedy ułożone. Nie mogłem się wycofać. Mogłem jedynie unikać was obu. Nie odpowiedziałem na liścik Marianny, postanawiając w ten sposób uniemożliwić jej dalszą korespondencję, i przez pewien czas chciałem nawet nie składać wizyty na Berkeley Street, lecz w końcu doszedłem do wniosku, że mądrzej postąpię, przybierając postawę zwykłego, obojętnego znajomego. Pewnego ranka, sprawdzwszy, że wyszłyście z domu, wszedłem i zostawiłem bilet wizytowy.

- Sprawdziwszy, że wyszłyśmy!

- Nawet i to. Zdumiałabyś się, pani, usłyszawszy, jak często was obserwowałem, jak często byliśmy bliscy spotkania. Ileż to razy wchodziłem do sklepu, by skryć się przed waszym wzrokiem, gdy przejeżdżałyście powozem. Mieszkając na Bond Street, niemal każdego dnia musiałem widzieć którąś z was i tylko moja nieustanna czujność i ciągle pragnienie, by się z wami nie spotkać, sprawiały, że nie widzieliśmy się tak długo. Unikałem, jak mogłem, Middletonów, jak zresztą wszystkich, którzy mogli być wspólnymi naszymi znajomymi. Nie wiedząc jeszcze, że są w Londynie, natknąłem się kiedyś przypadkowo na sir

Johna, chyba w dzień ich przyjazdu, a następnego dnia po złożeniu przeze mnie biletu u pani Jennings. Zaprosił mnie na przyjęcie, na tańce do siebie tego wieczora. Gdyby mi nawet nie powiedział, w formie zachęty, że będziesz tam ty, pani, i twoja siostra, uważałbym to za zbyt pewne, by ryzykować spotkanie. Następnego ranka przyszedł drugi liścik od Marianny... W dalszym ciągu serdeczny, otwarty, szczery, ufny... Było w nim wszystko, co kazało mi się brzydzić własnym postępowaniem. Nie mogłem jej odpowiedzieć. Próbowałem, lecz nie potrafiłem sklecić jednego zdania. Ale myślałem o niej przez cały dzień, bez przerwy, w każdej minucie. Jeśli możesz, pani, litować się nade mną, pomyśl, w jakiej byłem wtedy sytuacji - doprawdy godnej litości. Mając głowę i serce zaprzątnięte tylko twoją siostrą, musiałem odgrywać rolę szczęśliwego kochanka przy boku innej. Te trzy czy cztery tygodnie były najgorsze ze wszystkiego. No i wreszcie, nie potrzebuję zresztą tego mówić, nastąpiło nasze nieuniknione spotkanie. Na jakiego wyszedłem potwora! Tu Marianna, piękna jak anioł, wzywająca mnie takim tonem!... O, Boże... wyciągała do mnie rękę, prosiła o wytłumaczenie... i te urzekające oczy wpatrzone we mnie z wyrazem takiego niepokoju!... z drugiej strony Zofia, zazdrosna jak diabli, z piekłem w twarzy... No cóż, to już nie ma znaczenia, skończyło się... Co za wieczór! Uciekłem od was, kiedy tylko mogłem, ale zobaczyłem jeszcze słodką twarz Marianny, bladą jak śmierć. Taką ją widziałem ostatni, ostatni raz... Taką mi się ostatni raz pokazała... Straszny obraz. Lecz kiedy myślałem o niej dzisiaj jak o umierającej, było mi niemal pociechą, iż wiem, jak ją ujrzą ci, co ją będą oglądać ostatni raz na tym świecie. Stała mi przed oczami, stała mi cały czas przed oczami, kiedy tu jechałem, z tym samym spojrzeniem, z tą samą bladością.

Nastąpiła chwila ciszy - oboje pograżyli się w zamyśleniu. Willoughby przerwał je pierwszy:

- No cóż, czas jechać. Siostra twoja, pani, czuje się na pewno lepiej? Nic jej już nie grozi?

- Tak nas zapewniono.

- I nieszczęsna matka! Ona uwielbia Mariannę.

- Ale list, panie Willoughby, list. Czy o nim nie masz pan nic do powiedzenia?

- O tak, o nim przede wszystkim. Marianna napisała do mnie ponownie, następnego ranka. Wiesz, pani, co było w jej liściku. Śniadałem właśnie u Ellisonów... list jej razem z kilkoma innymi przyniesiono tam z mojego mieszkania. Zauważyłem wzrok Zofii, która dostrzegła liścik przede mną... jego rozmiar, elegancki papier, pismo, wszystko wzbudziło w niej natychmiast podejrzenia. Doszły ją już uprzednio jakieś niejasne pogłoski o moim uczuciu do pewnej damy w Devonshire, a z tego, co poprzedniego wieczora zauważyła,

wywnioskowała, kim jest owa dama, co wzbudziło zazdrość większą niż dotychczas. Z udaną żartobliwością, tak wdzięczną u kobiety kochanej, sięgnęła po list, otworzyła go i przeczytała. Ciężko zapłacała za swoją zuchwałość... To, co przeczytała, musiało ją wprawić w rozpacz. Jej rozpacz mógłbym znieść, ale jej pasję... złość... Trzeba je było koniecznie uciszyć. Krótko mówiąc, co sądzisz, pani, o stylu mojej żony? Delikatny... czuły... prawdziwie kobiecy, co?

- Żony?! Przecież list był pisany pańską ręką!

- Tak, ale miałem tylko zaszczyt przepisywania niewolniczo zdań, pod którymi wstyd mi się było podpisać. Ona jest prawdziwą autorką tego listu... to jej urocze myśli, jej wdzięczny styl. Cóż jednak mogłem zrobić? Byliśmy zaręczeni, wszystko przygotowane, termin ślubu wyznaczony... Ale gadam jak głupiec. Przygotowania! Terminy! Mówiąc uczciwie, jej pieniądze były mi nieodzowne, w mojej sytuacji musiałem zrobić wszystko, by zapobiec zerwaniu. Poza tym, czy dla Marianny i jej bliskich będzie miało jakiegokolwiek znaczenie, jakim językiem zredagowana jest moja odpowiedź? Czy powezmą o mnie inne zdanie? Przecież mogą o mnie myśleć tylko jedno. Moją sprawą było dowieść, że jestem łajdak, a czy to uczynię szarmancko, czy jak prostak, na to samo wyjdzie. „Jestem skończony w ich oczach - myślałem - i na zawsze wykreślony z ich towarzystwa, uważają mnie za człowieka bez zasad, a ten list im pokaże, że jestem podlec”. Tak rozumowałem i z jakąś desperacką bez troską przepisałem słowa mojej żony i rozstałem się z ostatnimi pamiątkami po Mariannie. Trzy jej liściki - na nieszczęście miałem je przy sobie w portfelu, inaczej zaprzeczyłbym ich istnieniu i zachował do końca życia. Zmuszono mnie, bym je oddał, nie mogłem ich nawet ucałować. I pukiel włosów, również nosiłem go zawsze przy sobie w portfelu, który został teraz przeszukany przez panią z przymilnym jadem - kochany mój pukiel - zabrano mi wszystko, wszystkie moje pamiątki!

- Postępujesz pan bardzo niewłaściwie, wręcz karygodnie - mówiła Eleonora, której głos, wbrew woli, zdradzał współczucie i wzruszenie. - Nie powinieneś tak mówić ani o swojej żonie, ani o mojej siostrze. Dokonałeś pan wyboru. Nikt cię do tego wyboru nie zmuszał. Żona ma prawo do pańskiej grzeczności, a przynajmniej do szacunku. Musi być do ciebie przywiązana, inaczej nie zdecydowałaby się na to małżeństwo. Nieżyczliwe jej traktowanie, lekceważące słowa nie są rekompensatą dla Marianny, a również, sądzę, nie mogą przynieść ulgi pańskiemu sumieniu.

- Nie mów, pani, o mojej żonie - odparł z ciężkim westchnieniem. - Nie zasługuje na twoją litość. Wiedziała, że nie jestem do niej przywiązany, kiedy braliśmy ślub. No cóż, pobraliśmy się i pojechaliśmy do Combe Magna szukać szczęścia, a potem do Londynu szukać rozrywek. A teraz, czy pani mi współczuje, panno Dashwood? Czy też opowiedziałem

wszystko niepotrzebnie? Czy wydaję się pani teraz - niechże to będzie choćby drobna różnica - trochę mniej winny? Przecież moje intencje nie zawsze były podłe. Czy usprawiedliwiłem choćby w części moje postępy?

- Tak, niewątpliwie, oczyściłeś się pan z pewnych... z niewielu... Dowiodłeś pan ogólnie biorąc, że mniej zawiniłeś, niż przypuszczałam... że w sercu nie jesteś taki niegodziwy... o wiele mniej niegodziwy... Ale nie wiem doprawdy... tyle nieszczęścia, ileś pan wyrządził... doprawdy, nie wiem, czy można było sprawić więcej?

- Czy powtórzysz, pani, siostrze, kiedy przyjdzie do zdrowia, to, co tu powiedziałem? Niechże się choć w części oczyszcze w jej oczach, jak w twoich. Powiedziałaś, pani, że ona mi już przebaczyła. Niechże mi wolno będzie wyobrażać sobie, że poznawszy lepiej moje serce i obecne uczucia udzieli mi przebaczenia bardziej spontanicznie i naturalnie, bardziej serdecznie niż wyniosłe. Powiedz jej o moim bólu i pokucie... powiedz, że serce moje ani przez chwilę nie przestało być jej wierne, i jeśli to zechcesz powiedzieć, że jest mi dzisiaj droższa niż kiedykolwiek.

- Powiem jej wszystko, co jest konieczne dla, nazwijmy to oględnie, usprawiedliwienia pana. Ale nie wyjaśniłeś mi, jaki był szczególny powód tego przyjazdu ani jak się dowiedziałeś o jej chorobie.

- Wczoraj wieczór w westybulu teatru Drury Lane natknąłem się na sir Johna Middletona, a on nie odwrócił ode mnie oczu... po raz pierwszy od dwóch miesięcy... i odezwał się do mnie. To, że zerwał ze mną znajomość po naszym ślubie, przyjąłem bez zdziwienia czy urazy, ale teraz ten ucziwy, zacny cymbał, pełen oburzenia na mnie i troski o twoją, pani, siostrę, nie mógł się oprzeć pokusie powiedzenia mi tego, co jak wiedział, powinno - chociaż może i miał i co do tego wątpliwości - straszliwie mnie zranić. Tak więc, bez żadnych osłonek powiedział mi, że Marianna Dashwood umiera na gorączkę dyfterytową w Cleveland, że otrzymał rano list od pani Jennings, która mówi o grożącym w każdej chwili nieszczęściu... że Palmerowie uciekli przerażeni itd... Byłem zbyt wstrząśnięty, by nawet tak marny obserwator, jak sir John, tego nie dostrzegł. Serce mu zmiękło, gdy zobaczył, jak cierpię, i uraza minęła mu tak dalece, że kiedyśmy się rozstawali, niemal uściskał mi rękę, przypominając jednocześnie o obiecany szczeniaku po mojej pointerce. Co czułem, słysząc, że Marianna umiera... umiera, uważając mnie za największego na świecie nikczemnika, gardzi mną, nienawidzi w ostatnich chwilach życia... Skąd bowiem mogłem wiedzieć, jak straszliwe przypisywano mi zamiary? Pewny byłem, że jeden przynajmniej człowiek mógł być mnie przedstawić jako zdolnego do wszystkiego. Nie da się opisać tego, co czułem. Szybko podjąłem decyzję i o ósmej rano siedziałem w powozie. Teraz już wiesz, pani,

wszystko.

Eleonora nie odpowiadała. Myślami ogarniała w milczeniu niepowetowane zło, jakie przyniosła przedwczesna niezależność i wynikające z niej przyzwyczajenie do gnuśnego, hulaszczego życia w zbytku - zło, które wycisnęło swoje piętno na charakterze, umyśle i szczęściu człowieka, który z miłą powierzchownością i wrodzonymi zdolnościami łączył szczerze z urodzenia usposobienie i wrażliwe, czułe serce. Świat uczynił go rozrzutnym i próżnym. Rozrzutność i próżność uczyniły go zimnym i samolubnym. Próżność, szukając występnych zwycięstw cudzym kosztem, doprowadziła go do prawdziwego uczucia, które z kolei musiał poświęcić na ołtarzu rozrzutności czy też jej konsekwencji - potrzeby pieniędzy. Każda zła skłonność, wiodąc do grzechu, wiodła go również do kary. Miłość, którą zewnątrz odtrącił, wbrew honorowi, sercu, wbrew własnej korzyści, teraz, gdy już dlań była niedostępna, opanowała wszystkie jego myśli, a związek, dla którego bez najmniejszych skrępowań pogroził jej siostrę w niedoli, stał się dla niego źródłem nieodwracalnej tragedii. Z takich rozmyślań wyrwał ją po kilku minutach pan Willoughby, który ocknąwszy się również z przykrej zadumy, wstał i szykując się do wyjścia, powiedział:

- Nic tu po mnie. Trzeba jechać. - Wracasz pan do Londynu?

- Nie, do Combe Magna. Mam tam sprawy do załatwienia. Stamtąd za kilka dni do Londynu. Do widzenia.

Wyciągnął rękę. Nie mogła mu odmówić swojej - uścisnął ją serdecznie.

- Czy myślisz, pani, o mnie teraz trochę lepiej? - zapytał, puszczać jej dłoń i opierając się o gzyms kominka, jakby zapomniał, że trzeba jechać.

Eleonora zapewniła go o tym... Powiedziała, że mu przebacza... współczuje... że mu dobrze życzy... że pragnie jego szczęścia, rzuciła też dobrotliwie kilka wskazówek, jak winien postępować, by starać się je zdobyć. Odpowiedź jego była mało optymistyczna.

- Jeśli o to idzie - powiedział - muszę sobie radzić, jak się da. Szczęście domowe nie wchodzi w rachubę. Jeśli jednak wolno mi będzie sądzić, że pani i jej najbliżsi interesują się moim losem i poczynaniami, to może dzięki temu... może mi to każe się pilnować... przynajmniej będzie po co żyć. Mariannę straciłem na zawsze. Gdybym jakimś szczęśliwym trafem stał się człowiekiem wolnym...

Eleonora przerwała mu z wyrzutem.

- No cóż - powiedział. - Jeszcze raz... żegnaj. Odjadę teraz i będę żył lękając się tylko jednego.

- O czym pan mówisz?

- O małżeństwie Marianny.

- Jesteś pan w wielkim błędzie. Nigdy nie może być dla ciebie bardziej nieosiągalna niż teraz.

- Ale zdobędzie ją ktoś inny. A jeśli tym kimś będzie człowiek, o którym najtrudniej mi myśleć... Ale zamilczę już, by nie utracić całej twojej współczującej dobroci, pani, dowodząc, że tam, gdzie krzywdziłem najbardziej, najmniej potrafię wybaczać. Żegnaj. Zostańcie z Bogiem.

Z tymi słowy niemal wybiegł z pokoju.

ROZDZIAŁ XLV

Przez pewien czas po jego wyjściu, nawet kiedy już ucichł turkot powozu, Eleonora siedziała w ciężkim natłoku najróżniejszych myśli, które napawały ją takim smutkiem, że niemal zapomniała o siostrze.

Willoughby, którym jeszcze przed godziną gardziła jako największym łotrem, Willoughby, mimo wszystkich swoich przewin, wzbudził w niej gorące współczucie cierpieniem, jakie nań te przewiny ściągnęły, i myślała o nim teraz z serdecznością i żalem, bardziej, jak sobie po chwili uświadomiła, odpowiadającym jego życzeniom niż postępkom. Zdała sobie sprawę, że przemawiają za nim dodatkowo czynniki, które logicznie biorąc, nie powinny mieć znaczenia: wyjątkowo pociągająca powierzchowność, szczere, serdeczne, żywe obejście, które nie było jego zasługą, i wciąż żarliwa miłość do Marianny, o której nie powinien mówić, choćby ze względu na przyzwoitość. Wiedziała, że tak jest, a jednak długo nie mogła się z tego otrząsnąć.

Kiedy wróciła wreszcie do nieprzytomnej Marianny, ta właśnie się budziła, pokrzepiona, jak na to siostra liczyła, długim, rozkosznym snem. Serce Eleonory wezbrało po brzegi. Przeszłość, czas obecny, przyszłość, wizyta pana Willoughby'ego, wyzdrowienie Marianny, oczekiwany przyjazd matki, wszystko to razem wprowadziło ją w podniecenie, przewyciężające wszystkie objawy zmęczenia, i bała się tylko, że się zdradzi przed siostrą. Ale niedługi był okres tego lęku, gdyż w pół godziny po wyjeździe pana Willoughby'ego ściągnął ją znowu na dół turkot nadjeżdżającego powozu. Pragnąc oszczędzić matce najkrótszej nawet chwili zbędnej niepewności, pobiegła natychmiast do hallu i dopadła drzwi wejściowych akurat w czas, by wprowadzić i podtrzymać przybyłą.

Pani Dashwood, którą strach, w miarę jak zbliżali się do domu, doprowadził niemal do przekonania, iż Marianny nie ma już na tym świecie, nie mogła dobyć głosu i zapytać, nawet zapytać, ale Eleonora, nie czekając ani na pytania, ani na powitanie, od razu przekazała jej radosną wiadomość. Matka, jak zwykle krańcowa w uczuciach, była w chwilę później tak uradowana, jak przed chwilą - przerażona. Wspierając się na córce i pułkowniku, weszła do salonu i tam lejąc łzy radości, wciąż nie mogąc dobyć słowa, brała raz po raz Eleonorę w ramiona, to znowu obracała się do pułkownika, by ścisnąć mu dłoń, ze spojrzeniem, które wyrażało i wdzięczność, i przekonanie, że dzieli z nią radosne uniesienie. Dzielił je jednak w jeszcze większej niż ona ciszy.

Gdy pani Dashwood przysła do siebie, chciała natychmiast zobaczyć Mariannę i w kilka minut później była przy swoim ukochanym dziecku, które rozłąka, nieszczęście,

niebezpieczeństwo uczyniły jej teraz jeszcze droższym. Jedynym cieniem na szczęściu Eleonory była obawa, czy obecność matki nie odbierze Mariannie snu, ale pani Dashwood potrafiła być spokojna, potrafiła być nawet rozważna, kiedy w grę wchodziło życie jej dziecka, a Marianna, której wystarczała bliskość matki i która rozumiała, że jest zbyt słaba na rozmowę, zgodziła się chętnie na ciszę i spokój zalecane przez wszystkich opiekunów. Pani Dashwood z całą stanowczością postanowiła czuwać nocą przy chorej, a Eleonora ustąpiła matce i poszła spać. Lecz wewnętrzne podniecenie nie pozwoliło jej zaznać spoczynku tak potrzebnego po nie przespanej nocy i wielogodzinnym męczącym niepokoju. Pan Willoughby, „ten biedak”, jak pozwalała go sobie teraz nazywać, ustawicznie gościł w jej myślach. Za żadne skarby świata nie wyrzekłaby się wysłuchania jego usprawiedliwień, i to sobie zarzucała ostre sądzenie go w przeszłości, to znowu się uniewinniała. Wciąż się martwiła złożoną obietnicą, iż powtórzy wszystko siostrze. Bała się to uczynić, bała się także wrażenia, jakie te słowa zrobią na Mariannie, wątpiła, czy siostra będzie mogła potem zaznać kiedykolwiek szczęścia z innym mężczyzną, i przez moment nawet pragnęła, by Willoughby został wdowcem, lecz wspomniawszy pułkownika Brandona, wyrzuciła to sobie ostro, rozumiejąc, że w nagrodę za swoje cierpienia i wierność o wiele bardziej zasłużył na jej siostrę, i już pragnęła wszystkiego, tylko nie śmierci pani Willoughby.

Przybycie pułkownika nie było dla pani Dashwood wstrząsem, jakiego się obawiali, gdyż tak się niepokoiła o Mariannę, że sama postanowiła jechać do Cleveland i miała wyruszyć tego samego dnia, nie czekając na dalsze wiadomości. Wszystko już sobie ułożyła, mieli tylko przyjechać państwo Careyowie i zabrać do siebie Małgorzatę, gdyż matka nie chciała jej wozic tam, gdzie mogła być infekcja.

Marianna poprawiała się z każdym dniem, a pani Dashwood oznajmiała raz po raz wszem wobec, że jest najszczęśliwszą kobietą pod słońcem, o czym świadczył jej wyborny humor i promienna wesołość. Eleonora, słuchając tych deklaracji i widząc potwierdzające je świadectwa, zastanawiała się czasami, czy matka myśli kiedykolwiek o Edwardzie. Pani Dashwood jednak, wierząc przysłanemu jej przez starszą córkę opisowi umiarkowanego zawodu, jaki przeżyła, a uniesiona teraz radością myślała tylko o tym, co by mogło ową radość powiększyć. Marianna wyszła cało z groźnej choroby, w którą wtrąciła ją po części i matka - z czego zaczęła sobie zdawać sprawę - pochwalając nieroztropnie ową nieszczęsną miłość, nadto powrót córki do zdrowia był dla pani Dashwood źródłem radości z jeszcze jednej przyczyny, o której Eleonora nawet nie pomyślała. Dowiedziała się o niej w następujący sposób, kiedy nadarzyła się pierwsza sposobność rozmowy z matką sam na sam.

- Wreszcie jesteśmy same, Eleonoro. Nawet nie znasz całego mojego szczęścia.

Pułkownik Brandon kocha Mariannę. Sam mi to powiedział.

Eleonora, rada i nierada, zdumiona i niezdzumiona, czekała w milczeniu, co będzie dalej.

- Gdybyś była podobna do mnie, córeczko, musiałabym się dziwić, żeś taka spokojna. Jeślibym miała usiąść i zastanowić się, co byłoby największym szczęściem dla naszej rodziny, powiedziałabym: żeby pułkownik Brandon ożenił się z jedną z moich córek. I sędzę, że z was dwóch Marianna będzie z nim szczęśliwsza.

Eleonora miała ochotę spytać, na czym opiera to przekonanie, nie mogła bowiem dojrzeć żadnych obiektywnych po temu racji, takich jak zgodność charakterów, wieku i uczuć - lecz wiedziała, że matkę zawsze ponosi wyobraźnia, kiedy mówi o czymś, czym się żywo przejmuje, zamiast więc pytać, tylko się uśmiechnęła.

- Wczoraj, w czasie podróży, otworzył przede mną całe serce. To się stało niechcący, niemal bezwolnie... Ja, wyobrażasz sobie, nie potrafiłam mówić o niczym innym jak o moim dziecku... On nie potrafił ukryć swej rozpacz. Widziałam, że równa jest mojej, a on myśląc zapewne, że w dzisiejszym świecie zwykła przyjaźń nie może usprawiedliwić tak gorącego współczucia... czy raczej, jak sędzę, nie myśląc wcale, tylko nie mogąc się oprzeć chęci zwierzeń, powiedział mi o swojej czulej, wiernej, poważnej miłości do Marianny. Moja droga, toż on ją kocha od pierwszej chwili, od pierwszego wejrzenia.

Tu już Eleonora poznała nie słowa, nie zwierzenia pułkownika, lecz wrodzone talenty zdobnicze bujnej fantazji matki, nadającej wszystkiemu kształty, jakie jej samej najbardziej przypadają do gustu.

- Uczucie dla niej, przekraczające absolutnie wszystko, co Willoughby kiedykolwiek czuł czy udawał, że czuje, bo bardziej gorące, stałe i szczere, zresztą wszystko jedno, jak je określimy, zdławił, gdy zdał sobie sprawę z nieszczęsnej skłonności Marianny do tego wyzutego z czci i wiary młodego człowieka... i bez najmniejszego samolubstwa... bez cienia nadziei! Gdyby ją widział szczęśliwą z innym... Co za szlachetna dusza! Co za szczerłość, otwartość! On nikogo nie zwiedzie!

- Pułkownik Brandon - powiedziała Eleonora - jest powszechnie znany jako człowiek wielkiego charakteru.

- Wiem o tym - odparła poważnie matka - gdyż po takim doświadczeniu byłabym ostatnią na świecie osobą, która by aprobowała jego afekt czy choćby była zeń rada. Ale ten przyjazd po mnie, z taką gotowością, tak natychmiastowy, życzliwy, wystarczy, bym go uważała za najzacniejszego człowieka na świecie.

- Jego reputacja - dodała Eleonora - nie opiera się na jednym zacnym uczynku, do

którego mogła go popchnąć nie tylko ludzkość i dobroć, lecz również miłość do Marianny. Dobrze i długo znają go Middletonowie i pani Jennings, którzy szanują go i kochają, a chociaż sama znam go od niedawna, również wiem o nim wiele i mam o nim wysokie mniemanie. Jeśli tylko Marianna będzie mogła być z nim szczęśliwa, gotowa jestem uważać, podobnie jak mamusia, że ten związek byłby dla nas największym błogosławieństwem. Jaka dała mu mamusia odpowiedź? Czy zostawiła mu mamusia nadzieję?

- Och, moje serce, nie mogłam mówić o nadziei ani jemu, ani sobie. W tym momencie Marianna mogła przecież umierać. Ale on nie prosił o nadzieję czy poparcie. To było mimowolne wyznanie, nieodparte zwierzenie złożone życzliwemu przyjacielowi... to nie była prośba złożona matce. Ale po pewnym czasie powiedziałam, bom z początku była zupełnie oszołomiona... że jeśli żyje, a wierzę, że żyje, będzie dla mnie największym szczęściem doprowadzić do tego związku. Po naszym przyjeździe, kiedy zdobyliśmy to cudowne poczucie bezpieczeństwa, powtórzyłam mu to jeszcze wyraźniej i dałam pełną aprobatę. Czas, i to wcale niedługi czas, powiedziałam, dokona wszystkiego. Przecież serce Marianny nie może zostać na zawsze spustoszone przez takiego człowieka jak Willoughby. Wkrótce pułkownik zdobędzie je swymi zaletami.

- Ale sądząc po nastroju pułkownika, nie natchnęła go mama podobną nadzieją.

- Nie. On uważa, iż uczucie Marianny zbyt było głębokie, by jakieś zmiany mogły zająć w jej sercu przed upływem długiego, długiego czasu, a nawet gdyby było wolne, nie wierzy - jest na to zbyt skromny - by przy takiej różnicy wieku i usposobień mógł kiedykolwiek zdobyć jej uczucie. Tu się wszelako myli. Taka różnica wieku jest tylko z korzyścią, gdyż jego charakter i poglądy zdążyły już okrzepnąć, a jeśli idzie o usposobienie, przekonana jestem, że właśnie takie, a nie inne może uszczęśliwić twoją siostrę. Jego wygląd zewnętrzny, maniery, wszystko przemawia na jego korzyść. Przecież nie zaślepia mnie stronniczość: on z pewnością nie jest tak przystojny, jak Willoughby, ale jednocześnie jest w jego twarzy coś o wiele bardziej ujmującego... Było zawsze coś... pamiętasz?... w oczach Willoughby'ego, co mi się czasami nie podobało.

Eleonora nie mogła sobie tego w żaden sposób przypomnieć, lecz matka, nie czekając na przytaknięcie, ciągnęła:

- A jego obejście... obejście pułkownika nie tylko podoba mi się o wiele bardziej niż Willoughby'ego, ale, wiem na pewno, o wiele bardziej pociąga Mariannę. Ta jego delikatność, niekłamana uprzejmość wobec innych, ta męska, niewyszukana prostota - wszystko o wiele bardziej odpowiada istotnym jej skłonnościom niż żywość, często udawana, często niewczesna, tamtego. Jestem zupełnie pewna, że gdyby nawet Willoughby był równie

miły, jak okazał się podły, Marianna nigdy nie byłaby z nim tak szczęśliwa, jak z pułkownikiem.

Przerwała. Eleonora nie ze wszystkim się z nią zgadzała, ale że różnica zdań nie została ujawniona, nie uraziła nikogo.

- W Delaford będzie ode mnie bardzo niedaleko - dodała pani Dashwood - nawet gdybym została w Barton. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, bo słyszę, że to duża wieś, znajdzie się gdzieś blisko jakiś mały domek czy chatka, która odpowiadałaby nam równie dobrze, jak nasze obecne mieszkanie.

Biedna Eleonora! Oto nowy projekt osadzenia jej w Delaford. W duszy pozostała jednak nieugięta.

- No i jego majątek... Widzisz, w moim wieku każdy musi się i o to troszczyć... i chociaż ani wiem, ani chcę wiedzieć, ile wynosi naprawdę, jestem przekonana, że musi być okazały.

W tym momencie przerwało im czyjeś wejście i Eleonora wyszła, by przemyśleć wszystko na osobności. Życzyła powodzenia pułkownikowi, a jednocześnie - czuła lekkie ukłucie w sercu z powodu pana Willoughby'ego.

ROZDZIAŁ XLVI

Chociaż choroba ogromnie osłabiła Mariannę, nie trwała na tyle długo, by rekonwalescencja musiała się przewlekać. Młodość, wrodzona siła i obecność matki sprawiły, że wszystko poszło gładko i po czterech dniach od przybycia pani Dashwood można było przeprowadzić chorą do gotowalni pani Palmer. Tam właśnie, na jej specjalną prośbę, gdyż chciała jak najszybciej podziękować za przywiezienie matki, poproszono pułkownika Brandona.

Kiedy wszedł do pokoju i zobaczył jej zmieniony wygląd, kiedy ujął wyciągniętą natychmiast ku niemu białą dłoń, ogarnęło go wzruszenie, którego źródłem, jak sądziła Eleonora, musiało być coś więcej niż uczucie do Marianny i świadomość, że inni o nim wiedzą. Nie potrzebowała długo myśleć, by zgadnąć, widząc, jak mieni się na twarzy, gdy patrzy na chorą melancholijnym wzrokiem, że zapewne wracają mu na pamięć dawne smutne sceny przywołane fizycznym podobieństwem między Elizą i Marianną, pogłębionym jeszcze przez jej zapadnięte policzki, chorowitą cerę, półleżącą pozycję znamionującą słabość i gorące podziękowania za wielkoduszną pomoc.

Pani Dashwood nie mniej pilnie niż córka baczyła, co się dzieje, ale że myśli jej podążały zupełnie innym torem, jej baczenie przynosiło więc całkiem odmienne rezultaty: w zachowaniu pułkownika widziała tylko najprostsze i najbardziej oczywiste wzruszenie, podczas gdy w słowach i czynach Marianny zaczynała już dopatrywać się czegoś więcej niż jedynie wdzięczności.

Po kilku następnych dniach stałej poprawy zdrowia i sił Marianny pani Dashwood z własnej chęci i na prośbę córki zaczęła mówić o powrocie do Barton. Od tej decyzji zależały dalsze plany pozostałych osób: pani Jennings nie mogła opuścić dworu przed wyjazdem pań Dashwood, a pułkownik, ulegając prośbom wszystkich, uznał, że jego obecność w Cleveland, choć może nie tak nieodzowna, jak pani Jennings, musi trwać tyle samo. Z kolei, na prośbę jego i pani Jennings, pani Dashwood zgodziła się jechać w podróż powrotną powozem pułkownika, wygodniejszym dla chorej. Następnie pułkownik - otrzymawszy łącznie zaproszenie od pani Dashwood i pani Jennings, która powodowana energiczną dobrocią okazywała życzliwość i gościnność w imieniu własnym i cudzym - chętnie zgodził się odebrać ekwipaż przyjeżdżając za kilka tygodni z wizytą do małego domku w Barton.

Nadszedł dzień rozstania i wyjazdu. Marianna żegnała się szczególnie długo i serdecznie z panią Jennings, życzyła jej zdrowia, dziękowała za wszystko z szacunkiem i powagą, jakby spełniając potrzebę serca, składała sekretnie zadośćuczynienie za dawne

wobec zacnej damy zaniedbania. Pożegnała się też serdecznie, przyjacielsko z pułkownikiem Brandonem, który usadowił ją pieczołowicie w powozie, pragnąc w swej troskliwości, by zajęła tam co najmniej połowę miejsca. Potem wsiadła pani Dashwood z Eleonorą i pozostała dwójka mogła już teraz tylko nudzić się i rozmawiać o tych, co odjechali. Wreszcie pani Jennings wsiadła do swojego powoziku, gdzie plotkami ze swą pokojową mogła się pocieszać po stracie dwóch młodych towarzyszek, a pułkownik w chwilę później ruszył samotnie do Delaford.

Panie spędziły w drodze dwa dni, a Marianna zniosła podróż bez szkodliwego dla zdrowia zmęczenia. Dwie zapobiegliwe towarzyszki pilnie i serdecznie troskały się o jej wygody, a ich wysiłki zostały sownie nagrodzone dobrym fizycznym i duchowym samopoczuciem rekonwalescentki. Eleonorę szczególnie cieszył ten wewnętrzny spokój. Przez tyle tygodni była świadkiem, jak siostra cierpiała serdeczny ból, nie mając odwagi o nim mówić, ale też i nie mając dość siły, by go ukryć, że z nieopisaną radością patrzyła teraz na widoczne opanowanie Marianny, które, będąc zapewne wynikiem poważnych przemyśleń, musi doprowadzić w przyszłości do spokoju i pogody ducha.

Kiedy zbliżyli się do Barton i wjechali na teren, gdzie każde pole i każde drzewo budziły jakieś określone i smutne wspomnienia, Marianna zamilkła i zamyśliła się, a odwróciwszy twarz od swych towarzyszek, wyglądała poważnie przez okno. Eleonora nie mogła ani się dziwić, ani mieć jej tego za złe, a kiedy, pomagając siostrze przy wysiadaniu, zobaczyła jej łzy, uznała je za oczywistą reakcję, godną współczucia, a również pochwały, z uwagi na swoją dyskretność. W całym jej dalszym zachowaniu dostrzegła wyraz woli pobudzonej do rozumnego wysiłku, natychmiast bowiem po wejściu do bawialni Marianna obrzuciła pokój stanowczym spojrzeniem, jakby chciała od razu przyzwyczaić się do widoku każdego przedmiotu, z którym wiązały się dawne wspomnienia. Mówiła niewiele, ale każde jej zdanie miało wprowadzić nastrój pogody i chociaż od czasu do czasu wyrwało jej się z piersi westchnienie, natychmiast równoważyła je uśmiechem. Po kolacji chciała spróbować gry na fortepianie. Podeszła, pierwszymi nutami, na jakie padł jej wzrok, była przyniesiona przez pana Willoughby'ego opera z jakimiś ich ulubionymi duetami; na okładce widniało wypisane jego ręką nazwisko i imię Marianny. To do niczego dobrego nie prowadziło. Potrząsnęła głową, odłożyła nuty, przez chwilę przebiegała palcami po klawiszach, po czym, narzekając na słabość palców, zamknęła instrument, oświadczając stanowczo, że w przyszłości będzie dużo ćwiczyć.

Następnego dnia owe dobrze rokujące objawy bynajmniej nie ustąpiły. Wręcz przeciwnie, Marianna wzmocniona na duszy i ciele nocnym spoczynkiem rozmawiała żywo,

wyglądała z zadowoleniem przyjazdu Małgorzaty i mówiła o pogodnym życiu w rodzinnym gronie jako o jedynym szczęściu, jakiego warto pragnąć.

- Kiedy pogoda się ustali, a ja odzyskam siły - mówiła - będziemy chodziły codziennie na dalekie spacer. Pójdziemy do tej farmy na wzgórzu i zobaczymy, co porabiają dzieci, pójdziemy obejrzyć nowe pola, które sir John wziął pod uprawę w Barton Cross i Abbeyland, i często będziemy chodziły do ruin, starając się odnaleźć ich fundamenty, tam gdzie, jak nam mówiono, sięgały. Wiem, że będzie nam dobrze. Wiem, że lato minie nam pogodnie. Postanowiłam nigdy nie wstawać później jak o szóstej i od rana do obiadu cały czas poświęcać muzyce i lekturze. Zrobiłam odpowiednie plany i chcę poważnie zabrać się do nauki. Naszą bibliotekę znam już niemal na pamięć, mogę tam szukać jedynie rozrywki, ale we dworze wiele jest dzieł godnych czytania, a są jeszcze inne, bardziej współczesne, które, jak myślę, będę mogła pożyczyć od pułkownika Brandona. Jeśli będę czytać sześć godzin dziennie, mogę w ciągu roku zdobyć bardzo dużą wiedzę, której brak ogromnie teraz odczuwam.

Eleonora wyraziła uznanie dla tak szlachetnych planów, choć jednocześnie uśmiechała się w duszy, widząc, że ta sama żywa fantazja, która doprowadziła siostrę do ospałości, bezwładu i samolubnych skarg, teraz znowu wiedzie do przesady w planowaniu racjonalnych zajęć i chwalebnej chęci narzucenia sobie dyscypliny. Uśmiech jednak ustąpił westchnieniu na myśl, że nie spełniła jeszcze danego panu Willoughby'emu przyrzeczenia; obawiała się, że to, co ma do przekazania siostrze, może znowu zakłócić jej równowagę i zamącić, przynajmniej na jakiś czas, tę piękną wizję pracowitego spokoju. Pragnąc odsunąć przykrą chwilę, postanowiła zaczekać, póki siostra nie wróci do sił. Ale wkrótce odstąpiła od tego postanowienia.

Dopiero w kilka dni po powrocie do Barton pogoda pozwoliła rekonwalescentce odważyć się na wyjście. Nadszedł bezchmurny, łagodny ranek, taki właśnie, jakiego wyglądała córka, a nie obawiała się matka, i Mariannie pozwolono wyjść na drogę przed domem i pospacerować, aby się tylko nie zmęczyć, wspierając się na ramieniu Eleonory.

Siostry ruszyły wolnym krokiem, jak tego wymagał stan zdrowia Marianny, która próbowała swych sił pierwszy raz od choroby. Doszły tylko do tego miejsca za domem, z którego rozpościerał się widok na wzgórze, to ważne wzgórze, i Marianna z oczyma zwróconymi w tym kierunku przystanęła i powiedziała spokojnie:

- Tam, o, tam, dokładnie w tamtym miejscu, na tym sterczącym kopcu, tam upadłam... i tam go pierwszy raz zobaczyłam.

Głos jej się załamał, ale natychmiast się opanowała i mówiła dalej:

- Taka jestem rada, że, jak się okazuje, mogę patrzeć na to miejsce bez wielkiego bólu... Czy będziemy w ogóle mówić na ten temat, Eleonoro? - spytała wahająco. - Czy to nie będzie złe? Bo ja potrafię już mówić o tym jak powinnam, przynajmniej tak mi się zdaje.

Eleonora serdecznie namawiała ją do otwartości.

- Jeśli idzie o niego - mówiła Marianna - przestałam już żałować. Nie chcę ci opowiadać, co czułam do niego kiedyś, ale co czuję teraz. Gdybym dzisiaj była co do jednego przekonana, gdybym mogła myśleć, że on nie zawsze grał wobec mnie, że nie zawsze mnie oszukiwał... a nade wszystko, gdybym mogła być pewna, że nigdy nie był aż tak nikczemny, jak to sobie czasami wyobrażałam w moim lęku, poznawszy historię tej nieszczęsnej dziewczyny...

Przerwała. Eleonora z radością chowała w sercu jej słowa.

- A gdybyś miała pewność co do tego, byłoby ci lżej? - zapytała.

- Tak. Od tego zależy mój spokój i to w dwójnasób, bo nie tylko strach podejrzewać o takie zamysły człowieka, który był dla mnie tym, czym on... ale też... jakże ja sama wyglądam we własnych oczach? Na co w takiej jak moja sytuacji mogłoby mnie narazić to nieogłędne uczucie, którego mi teraz wstyd?

- Czymże więc - spytała siostra - chciałabyś tłumaczyć jego zachowanie?

- Chciałabym myśleć, och, jak bardzo chciałabym myśleć, że był niestały... tylko i jedynie niestały!

Eleonora nie powiedziała nic więcej. Zastanawiała się w duszy, czy lepiej wyjawić wszystko od razu, czy odłożyć do chwili, kiedy Marianna nabierze więcej sił... tak szły jakiś czas w milczeniu.

- Przecież nie życzę mu zbyt wiele dobrego - podjęła z westchnieniem Marianna - jeśli pragnę, by jego sekretne myśli nie były przykrzejsze od moich. Dostyc się przez nie wycierpi.

- Czy porównujesz jego postępowanie ze swoim?

- Nie. Porównuję moje postępowanie z tym, czym być powinno: z twoim.

- Nasze sytuacje były różne.

- Nie tak różne, jak nasze postępowanie. Siostrzyczko kochana, niechże twoja dobroć nie broni tego, co rozum musi potępiać. Choroba pozwoliła mi się zastanowić. Miałam czas i spokój na poważne z sobą rozrachunki. Na długo przedtem, nim zebrałam siły na rozmowę, zdolna już byłam do myślenia. Zastanawiałam się nad przeszłością. W moim zachowaniu, od samego początku naszej znajomości, dostrzegłam ogromną nieostrożność, jeśli idzie o samą siebie, i całkowity brak względów dla innych. Zrozumiałam, że to moje własne uczucia sprowadziły na mnie cierpienia, że brak męstwa w ich znoszeniu przywiódł mnie nieledwie

do grobu. Wiem dobrze, że sama doprowadziłam się do choroby, zaniedbując zdrowie, choć świadoma byłam, że postępuję źle. Gdybym umarła, byłoby to samobójstwo. Nie znałam rozmiarów niebezpieczeństwa, póki nie minęło, ale dziwię się, że wróciłam do zdrowia, zważywszy uczucia, jakie budziły się we mnie pod wpływem rozmyślań, dziwię się, że nie zabiła mnie z miejsca ta żarliwa chęć do życia, do tego, by mieć czas na zadośćuczynienie Panu Bogu i wam wszystkim. Gdybym umarła, w jak strasznym nieszczęściu pograżyłabym ciebie, moją pielęgniarkę, przyjaciółkę, siostrę. Ciebie, która była świadkiem tego płaczliwego samolubstwa moich ostatnich dni, która znała wszystkie szept mego serca... Jakąż ja bym została w twojej pamięci. A i matka! Jakżebyś ją mogła pocieszyć! Trudno opisać, jak wielki powstał we mnie wstręt do samej siebie. Za każdym razem, gdy spoglądałam w przeszłość, dostrzegałam jakiś nie spełniony obowiązek czy słabostkę, której pobbżałam. Krzywdziłam wszystkich wokół. Za dobroć, nieustanną dobroć pani Jennings odplacałam niewdzięcznością i wzgardą. Wobec Middletonów, Palmerów, panien Steele, wobec wszystkich zwykłych znajomych byłam lekceważąca i niesprawiedliwa, serce miałam nieczułe na ich zalety, denerwowały mnie nawet okazywane mi względy. Johnowi, Fanny - tak, nawet im, choć nie na wiele zasługują, dawałam mniej, niżby się należało. Ale przede wszystkim, bardziej nawet niż matkę, krzywdziłam ciebie. Ja i tylko ja znałam twoje serce i twoje smutki, a przecież co z tego przyszło? Nie współczucie, z którego ty czy ja miałybyśmy jakiś pożytek. Twój przykład miałam przed oczyma, ale czy z niego skorzystałam? Czy większe miałam starania o ciebie, czy próbowałam cię pocieszyć? Czy naśladowałam twoją wyrozumiałość, czy umniejszałam twoje trudy, biorąc na siebie część obowiązków zwykłej uprzejmości czy szczególnej wdzięczności, jakie w rezultacie obciążały tylko ciebie? Nie, i wtedy, kiedy wiedziałam, żeś nieszczęśliwa, i wówczas, gdy sądziłam, żeś zadowolona i spokojna, zawsze wzbraniałam się od wszelkich wysiłków, czy to dyktowanych obowiązkiem, czy przyjaźnią, uważając, że ból może istnieć tylko w moim sercu, płacząc tylko za tym, który mnie opuścił i skrzywdził, pozwalając, byś ty, której deklarowałam bezgraniczne przywiązanie, cierpiała z mojego powodu.

Tu urwał się gwałtowny potok samooskarżeń, a Eleonora, chętna do łagodzenia, choć zbyt uczciwa na próżne komplementy, pochwaliła ją zaraz i pokrzepiła tak, jak na to zasługiwała przez okazaną szczerłość i skrucę. Marianna uścisnęła jej dłoń i odparła:

- Jesteś bardzo dobra. Przyszłość dowiedzie, jaka jestem. Ułożyłam sobie plan i jeśli będę zdolna go wykonać... uczucia moje zostaną zdyscyplinowane, a moje usposobienie ulegnie poprawie. Przystanę być strapieniem dla innych i udreką dla siebie. Będę żyła wyłącznie dla rodziny. Od teraz ty, mama i Małgorzata będziecie całym moim światem... Wy

tylko cieszyć się będziecie moimi uczuciami. Nie będę miała nigdy najmniejszej ochoty ruszyć się od was, z mojego domu, a jeśli znajdę się w innym towarzystwie, to tylko po to, by dowieść, że duch mój spokorniał, serce dostało nauczkę i że potrafię spokojnie i wyrozumiale okazywać grzeczność, ten kolejny obowiązek życiowy. Jeśli idzie o pana Willoughby'ego, daremnie byłoby mówić, że go wkrótce czy kiedykolwiek zapomnę. Żadna zmiana okoliczności czy opinii nie wymaże go z mojej pamięci. Ale przycisną to i stłumią religia, rozsądek i nieustanne zajęcia.

Przerwała i dodała cichszym już głosem: - Gdybym tylko знаła prawdę o jego sercu, wszystko stałoby się łatwiejsze.

Eleonora od pewnego już czasu zastanawiała się na ryzykiem powiedzenia siostrze o wszystkim, a gdy to usłyszała, zaczęła mówić, stwierdziwszy, że zastanawianie na nic się nie zda i trzeba podjąć decyzję.

Poszło jej, jak sądziła, zgrabnie: ostrożnie przygotowała niecierpliwą słuchaczkę, zrelacjonowała prosto i uczciwie wszystko, w czym Willoughby widział swe usprawiedliwienie, opisała rzetelnie jego skrucę i stuszowała tylko deklarację o ciągłym uczuciu dla Marianny. Ta nie powiedziała ani słowa. Drżała, oczy wbiła w ziemię, wargi miała bledsze niż podczas choroby. Tysięczne pytania cisnęły się jej na usta, lecz nie śmiała wypowiedzieć ani jednego. Chwytała łączywie każdą sylabę, dłoń jej nieświadomie ścisnęła dłoń siostry, a łzy spływały po policzkach.

Eleonora, w obawie, by nie okazało się to ponad siły siostry, prowadziła ją do domu, a rozumiejąc, jak bardzo musi być ciekawa, choć nie pozwalała sobie na żadne pytanie, mówiła przez cały czas tylko o panu Willoughbym i owej rozmowie: drobiazgowo opisywała, co powiedział i jak wyglądał, jeśli uważała, że te szczegóły można bezpiecznie wyjawić. Kiedy doszły do domu, Marianna, ucałowawszy z wdzięcznością siostrę, szepnęła jej dwa słowa: „powiedz mamie”, ledwo dosłyszalne wśród szlochów, a sama powoli poszła na górę. Eleonora nie próbowała naruszać tej tak potrzebnej samotności i przewidując z góry jej skutki, postanowiła, że wróci do poruszonego tematu, nawet jeśli Marianna sama o to nie poprosi, a tymczasem skierowała się do bawialni, by spełnić prośbę siostry.

ROZDZIAŁ XLVII

Pani Dashwood nie bez wzruszenia przyjęła rehabilitację swego dawniejszego faworyta. Cieszyła się, że został oczyszczony z części zarzucanych mu przewin... Było jej go żal... Życzyła mu szczęścia. Nie mogła jednak przywołać dawnych uczuć. Nic nie mogło go wrócić Mariannie, jako człowieka bez skazy, który dochował wiary... Nic nie mogło wymazać z pamięci cierpień, jakie jej zadał, ani przekreślić jego winy wobec Elizy. Nic, jednym słowem, nie mogło mu przywrócić jej dawnego szacunku czy narazić na szwank interesów pułkownika Brandona.

Może gdyby pani Dashwood, tak jak jej córka, słyszała osobiście wyznanie pana Willoughby'ego, gdyby poznała jego rozpacz, gdyby widziała jego twarz i zachowanie, może okazałaby mu większe współczucie, Eleonora jednak ani nie mogła, ani nie chciała budzić u nikogo uczuć, jakie w niej zrodziły jego słowa. Rozmyślenia przydały spokoju jej sądom i trzeźwo rozumiała teraz, na co młody człowiek zasługuje - pragnęła więc przekazać tylko najoczywistszą prawdę i wyjawić te fakty, które mogłyby mieć istotny wpływ na jego reputację, bez pobudzającej wyobraźnię czulej ornamentyki.

Wieczorem, kiedy wszystkie trzy znalazły się razem, Marianna własnowolnie podjęła znowu ten temat - uczyniła to jednak z wysiłkiem, po chwili niespokojnego zamyślenia, głosem niepewnym i z rumieńcem na policzkach.

- Chciałam zapewnić was obie - powiedziała - że widzę wszystko tak... jak mogłyście tego pragnąć.

Pani Dashwood przerwała jej natychmiast kojącymi i czułymi słowy, gdyby Eleonora, która chciała usłyszeć bezstronne zdanie siostry, nie poprosiła jej ruchem ręki o milczenie. Marianna mówiła powoli:

- Wielką przyniosło mi ulgę... to, co Eleonora powiedziała rano. Usłyszałam to właśnie, co tak bardzo pragnęłam usłyszeć... - Przez chwilę nie mogła dobyć głosu, lecz szybko się opanowała i dodała jeszcze spokojniej: - Jestem teraz zadowolona. Nie pragnę żadnej zmiany. Nie mogłabym nigdy być z nim szczęśliwa, wiedząc... bo wcześniej czy później musiałabym się dowiedzieć o wszystkim... Nie miałabym do niego szacunku, zaufania... Nic nie mogłoby wymazać tej świadomości z mojego serca.

- Wiem, wiem! - zawołała matka. - Szczęśliwa z człowiekiem o libertyńskich obyczajach!... Z kimś, kto zburzył spokój najlepszego z naszych przyjaciół i najlepszego z ludzi. Nie! Serce mojej Marianny nie pozwoliłoby jej zaznać szczęścia z takim człowiekiem! Jej sumienie, jej wrażliwe sumienie dręczyłoby się tym, czym powinno się dręczyć sumienie

jej męża!

Marianna westchnęła i powtórzyła: - Nie pragnę żadnej zmiany.

- Patrzysz na to - powiedziała Eleonora - tak właśnie, jak powinna patrzeć osoba zdrowa na duchu i umyśle. Widzisz, podobnie jak ja, wystarczające powody - na które składa się i ta okoliczność, i wiele innych - by mieć pewność, że wasze małżeństwo musiałyby ci nieuchronnie przynieść wiele trosk, a jego uczucie, jak widać dość wątpliwe, byłoby ci nędzną pociechą. Gdybyście się pobrali, byłibyście zawsze biedni. Jego rozrzutność znana jest nawet jemu samemu, a wszystkie postęпки świadczą, że słowo „wyrzeczenie” jest mu zupełnie obce. Jego wymagania i twoje niedoświadczenie w połączeniu z małym, bardzo małym dochodem musiałyby w rezultacie sprowadzić na was kłopoty, dla ciebie może nawet bardziej przykre, boś ich nigdy nie zaznała ani o nich nie myślała. Wiem, że zrozumiałwszy swoją sytuację, musiałybyś, wiedziona uczciwością i honorem, próbować oszczędności w wydatkach i może, jak długo te oszczędności odbijałyby się na twojej jedynie wygodzie, znosiłabyś wszystko, ale co z tego... Czy wiele mogłyby przynieść wysiłki, podejmowane tylko przez ciebie? Czy mogłyby zapobiec ruinie, która zagrażała mu jeszcze przed waszym małżeństwem? A ponadto, gdybyś próbowała choć trochę ograniczyć jego przyjemności, bez wątpienia skończyłoby się na tym, że zamiast uzyskać zgodę jego samolubnego serca, ograniczyłabyś tylko swój wpływ na niego i w rezultacie zacząłby żałować związku, który przyniósł mu takie troski.

Wargi Marianny drżały, kiedy powtórzyła słowo: „samolubnego”, jakby pytała: „Czy naprawdę uważasz go za człowieka samolubnego?”

- Całe jego zachowanie - odparła Eleonora - od początku do końca miało swe źródło w egoizmie. To egoizm kazał mu najpierw igrać z twoim uczuciem, to egoizm później, kiedy sam się zakochał, kazał mu odwlekać wyznanie uczucia i ostatecznie skłonił do wyjazdu z Barton. Własna przyjemność czy własna wygoda były głównym motywem jego postępowania we wszystkich sytuacjach.

- To szczerza prawda. Nigdy mu nie chodziło o moje szczęście.

- Teraz - ciągnęła Eleonora - żałuje tego, co zrobił. Ale dlaczego żałuje? Bo stwierdził, że mu to nie wyszło na dobre. Nie przyniosło mu szczęścia. Zyskał swobodę finansową... W tej dziedzinie niczego mu nie brak, a myśli tylko o tym, że ożenił się z kobietą o daleko mniej ujmującym charakterze niż twój. Ale czy z tego wynika, że gdyby się ożenił z tobą, byłby szczęśliwy? Miałby kłopoty innego rodzaju. Dokuczałyby mu wówczas trudności finansowe, które dziś uważa za nic zgoła, ponieważ ich nie ma. Miałby żonę, na której charakter nie mógłby narzekać, ale znajdowałby się w ustawicznej potrzebie, w ciągłym niedostatku, i

zapewne po niedługim czasie uznałyby, że wszystkie wygody, jakie daje nie zadłużona majątność i dobry przychód, są nawet o wiele istotniejsze dla domowego szczęścia niż charakter żony.

- Nie mam co do tego wątpliwości - oświadczyła Marianna - i nie mam czego żałować... z wyjątkiem własnego szaleństwa.

- Powiedz raczej, nieroztropności swojej matki, moje dziecko - powiedziała pani Dashwood. - Ona winna za to odpowiadać.

Marianna nie pozwoliła jej mówić dalej, a Eleonora, zadowolona, że każda zrozumiała swój błąd, wołała uniknąć rozpamiętywania przeszłości, obawiając się pogorszenia nastroju siostry, natychmiast więc podjęła poprzedni temat.

- Sądzę, że z całej tej sprawy można uczciwie wyciągnąć jeden wniosek, ten mianowicie, że wszystkie kłopoty Willoughby'ego mają swój początek w jego pierwszym występku przeciw cnotce, w jego postępowaniu wobec Elizy Williams. Z tej zbrodni wyrosły inne, mniejsze, i w niej mają źródło wszystkie jego dzisiejsze zmartwienia.

Marianna przytaknęła jej z przekonaniem, a pani Dashwood zaczęła wyliczać wszystkie wyniki z tego nieszczęścia pułkownika Brandona, jak również jego szlachetne postęпки, jakie zdołały jej podsunąć życzliwość dla pułkownika oraz własne chęci. Nie wydawało się jednak, by córka wiele z tego słyszała.

W ciągu kilku następnych dni Eleonora stwierdziła, że zgodnie z jej przewidywaniami Marianna wolniej teraz nabierała sił. Starła się jednak w dalszym ciągu zachować spokojną i pogodną minę, trwała w poprzednich postanowieniach, Eleonora ufała więc, że czas zrobi swoje i siostra powróci do zdrowia.

Przyjechała Małgorzata i rodzina, ponownie złączona, osiadła spokojnie w domeczku, a jeśli nie oddawała się swoim zwykłym zajęciom z takim zapałem, jak zaraz po wprowadzeniu się tutaj, zapowiadała to w każdym razie na przyszłość.

Eleonora coraz niecierpliwiej wyglądała wiadomości o Edwardzie. Od wyjazdu z Londynu nic o nim nie słyszała, nie znała jego planów, nie miała pewności, gdzie się znajduje. Po chorobie Marianny pisała do brata, a w pierwszym liście Johna znalazła takie zdanie: „Nic nie wiemy o nieszczęsnym Edwardzie, nie możemy poruszać zakazanego tematu i zadawać pytań, ale sądzimy, że wciąż przebywa w Oksfordzie”. Była to jedyna wiadomość, jaką jej przyniosła ta korespondencja, bo w następnych listach brat nie wymieniał nawet imienia Edwarda. Nie została jednak skazana na długą niewiedzę o jego poczynaniach.

Pewnego dnia panie wysłały służącego w jakiejś sprawie do Exeter. Po powrocie, usługując przy stole, odpowiadał na pytania swojej pani w sprawie, w której został wysłany,

po czym dodał już od siebie:

- Jasnie pani wie pewno, że pan Ferrars się ożenił.

Marianna drgnęła gwałtownie i utkwiała wzrok w Eleonorze: zobaczyła, że siostra błędnie, i osunęła się na krzesło w ataku hysterii. Oczy pani Dashwood, gdy odpowiadała służącemu, skierowały się bezwiednie w tym samym kierunku. Z przerażeniem wyczytała w twarzy Eleonory, jak bardzo córka cierpi, a po chwili, zobaczywszy z równym przerażeniem, co się dzieje z Marianną, nie wiedziała, którą z nich zająć się najpierw.

Służący dostrzegł tyle tylko, że panna Marianna zachorowała, i miał dość oleju w głowie, by zawołać pokojówkę, która wraz z panią Dashwood przeprowadziła chorą do innego pokoju. Gdy młoda panna poczuła się lepiej, matka zostawiła ją pod opieką Małgorzaty i pokojowej i wróciła do Eleonory, która, choć przeżyła wstrząs, odzyskała już przytomność umysłu i mowę na tyle, że zaczęła wypytywać Tomasza, skąd ma wiadomości. Pani Dashwood natychmiast przejęła trud zadawania pytań i Eleonora mogła słuchać spokojnie.

- Kto ci powiedział, że pan Ferrars się ożenił, Tomaszu?

- Widziałem pana Ferrarsa dzisiaj rano w Exeter na własne oczy, proszę jaśnie pani, a jego małżonkę również, niegdysiejszą pannę Steele. Zatrzymali powóz przed drzwiami Nowego Zajazdu Londyńskiego, a ja tam właśnie wchodziłem, bo miałem wiadomość od Sally ze dworu dla jej brata, który tam pracuje w zajeździe pocztowym. Przypadkiem podniosłem wzrok, przechodząc koło powozu i zobaczyłem zaraz, że to młodsza panna Steele, więc zdjąłem kapelusz, a ona mnie poznała, kazała podejść bliżej, pytała o panią, proszę jaśnie pani, i o panienki, zwłaszcza o pannę Mariannę, i prosiła, żebym przekazał wyrazy uszanowania od niej i od pana Ferrarsa, wyrazy najwyższego uszanowania, i że im przykro, że nie mieli czasu przyjechać i złożyć paniom wizyty, bo tak im się spieszy, jeszcze mają spory kawał drogi przed sobą, ale tak czy siak, jak będą wracali, to do jaśnie pani zajadą.

- Ale czy powiedziała, Tomaszu, że wyszła za mąż?

- Tak, proszę jaśnie pani. Uśmiechała się i powiedziała, że odkąd u nas była, to zmieniła nazwisko. Zawsze była z niej przystępna, łaskawa pani i taka grzeczna. Pozwoliłem więc sobie życzyć jej wszystkiego najlepszego.

- Czy pan Ferrars był z nią w powozie?

- Tak, proszę jaśnie pani, widziałem, jak siedział głęboko oparty, ale nie podniósł głowy... On to już nigdy nie był skory do rozmów.

Serce tłumaczyło Eleonorze, dlaczego nie wychylił się z powozu, a zapewne pani Dashwood to samo myślała.

- Czy w powozie był ktoś jeszcze?

- Nie, proszę pani, tylko dwoje państwa.

- Czy wiesz, skąd jechali?

- Jechali prosto z Londynu, tak mi powiedziała panna Lucy... pani Ferrars.

- I wybierali się dalej na zachód?

- Tak, proszę jaśnie pani, ale nie na długo, będą zaraz wracać i na pewno tu zajadą z wizytą.

Pani Dashwood spojrzała teraz na córkę, ale Eleonora wiedziała dobrze, że nie należy ich oczekiwać. W tym, co mówił służący, była cała Lucy, wypisz wymaluj. Eleonora była pewna, że Edward nigdy się do nich nie zbliży. Powiedziała ściszym głosem matce, że zapewne jechali do pana Pratta, pod Plymouth.

Tomasz wyczerpał już chyba zapas wiadomości. Eleonora miała taką minę, jakby pragnęła jeszcze coś usłyszeć.

- Czy widziałeś, jak ruszali?

- Nie, proszę jaśnie pani, akurat wyprowadzili konie, ale ja już nie mogłem dłużej się zatrzymywać, bałem się, że się spóźnię.

- Czy pani Ferrars dobrze wyglądała?

- Tak, proszę jaśnie pani, sama powiadała, że ma się dobrze, a na mój rozum zawsze z niej była ładna panna, i wydawała się bardzo rada.

Pani Dashwood nie przychodziły już do głowy żadne pytania, a że zarówno Tomasz, jak obrus stali się zbędni, odesłała ich. Marianna już powiedziała, że nie będzie jadła, pani Dashwood i Eleonora również straciły apetyt, a Małgorzata mogła uważać, że ma szczęście, jeśli mimo wszystkich przykrości, jakie przeżywały ostatnio obie jej siostry, mimo tylu powodów, by zapominać o jedzeniu, ona nigdy jeszcze nie musiała się obywać bez kolacji.

Przy deserze i winie Eleonora została sama z matką i długo siedziały w milczeniu, pogrążone w podobnych myślach. Pani Dashwood nie ryzykowała żadnych uwag, nie odważała się pocieszać Eleonor}'. Pojęła teraz, że popełniła błąd, dając wiarę słowom córki, która z całą pewnością przedstawiła sytuację w lepszych barwach, chcąc oszczędzić bólu matce cierpiącej i tak z powodu Marianny. Zrozumiała, że dzięki zapobiegliwości, troskliwym staraniom Eleonory uznała jej uczucie, kiedyś tak dla niej oczywiste, za mniej gorące, niż niegdyś myślała i niż się dzisiaj okazało. Obawiała się, że wskutek tego była niesprawiedliwa, nieogłędna i niemal niedobra dla Eleonory. Cierpienia Marianny, tak jawnie okazywane, tak nie tajone, pochłonęły całą jej czułość i kazały zapomnieć, że Eleonora może cierpieć równie mocno, lecz na pewno z większym samozaparciem i męstwem.

ROZDZIAŁ XLVIII

Eleonora poznała teraz, na czym polega różnica między oczekiwaniem przykrego wydarzenia, choćby nie wiem jak pewnego, a ostateczną pewnością. Stwierdziła, że wbrew samej sobie, dopóki Edward się nie ożenił, żywiła w sercu nikłą nadzieję, iż zajdzie coś, co zapobiegnie jego małżeństwu z Lucy: albo on podejmie jakąś decyzję, albo interwencja przyjaciół zrobi swoje, albo może pannie nadarzy się lepsza partia - i w ten sposób wszyscy będą szczęśliwi. Ale już się ożenił, potępiła więc swoje serce za tę skrytą próżność, która teraz zwiększała tylko jej ból.

Z początku zdumiało ją nieco, że ożenił się tak szybko, nim jeszcze (jak sądziła) uzyskał święcenia, a więc nie mógł objąć obowiązków plebana. Wkrótce jednak domyśliła się, że Lucy, dla pewności, chcąc jak najszybciej związać go z sobą, wolała ryzykować wszystko, byle nie zwłokę. Wzięli ślub, wzięli ślub w Londynie i teraz jadą do jej wuja. Co czuł Edward, znalazłszy się o cztery mile od Barton, widząc służącego jej matki, słysząc, co mu przekazuje Lucy!

„Wkrótce - myślała - osiadą w Delaford”. Delaford - ileż było powodów, by to miejsce budziło jej ciekawość! Pragnęła je poznać, a jednocześnie pragnęła go unikać. Natychmiast ujrzała młodą parę w ich domu, na plebanii. Lucy - obrotna, zaradna, gospodarna, łącząca w sobie chęć elegancji i takie sknerstwo, że ona sama musiałaby się wstydzić, gdyby ją podejrzewano o choćby połowę podobnych gospodarskich praktyk, Lucy, interesowna w każdej myśli, zabiegająca o względy pułkownika Brandona, pani Jennings, wszystkich bogatych przyjaciół. I Edward - nie, jego nie mogła sobie wyobrazić, nie wiedziała nawet, jakim chciałaby go widzieć - szczęśliwym czy nieszczęśliwym - nic jej nie zadowalało, odsuwała od siebie wszystkie ewentualności.

Pochlebiała sobie, że ktoś ze wspólnych znajomych w Londynie napisze i zawiadomi ich o tym wydarzeniu, podając szczegóły, ale dzień za dniem mijał i ani listu, ani wiadomości. Choć nie była pewna, czy wolno jej kogoś winić, miała pretensje do wszystkich londyńskich przyjaciół. Wszyscy byli bezmyślni i leniwi.

- Kiedy będzie mamusia pisała do pułkownika Brandona? - pytała niecierpliwie, by coś się wreszcie wydarzyło.

- Pisałam do niego, serce, w zeszłym tygodniu i spodziewam się prędzej jego samego niż listu. Prosiłam bardzo, by do nas przyjechał, i nie zdziwiłabym się, gdybym go tu zobaczyła dzisiaj, jutro czy kiedykolwiek.

To już było coś, coś, na co można oczekiwać. Pułkownik Brandon musi przywieźć

jakieś wiadomości.

Właśnie kiedy to sobie tłumaczyła, zobaczyła nagle przez okno jeźdźca na koniu. Zatrzymał się przed ich furtką. Był to dżentelmen, był to pułkownik Brandon. Teraz dowie się czegoś więcej, wprost drżała z niecierpliwości. Ale... to nie pułkownik... nie jego ruchy... nie ten wzrost. Gdyby to było możliwe, powiedziałyby, że to Edward. Spojrzała raz jeszcze. Właśnie zsiadł z konia... Nie mogła się pomylić... to Edward. Odsunęła się od okna i usiadła. „Przyjechał od pana Pratta, żeby nam złożyć wizytę. Będę spokojna. Będę opanowana”.

W chwilę później zobaczyła, że inni również spostrzegli swoją omyłkę. Zobaczyła, że Marianna i matka mienia się na twarzy, patrzą na nią, mówią coś do siebie szeptem. Dałyby wszystko, żeby móc dobrać głosu... powiedzieć im, żeby swoim zachowaniem nie okazały mu śladu chłodu... czy lekceważenia... ale jakby jej mowę odjęło, musiała więc pozostawić to ich domyślności.

Nie padło ani jedno słowo. Panie czekały w milczeniu na wejście gościa. Rozległy się jego kroki na zwirowanej ścieżce, w chwilę później znalazł się w korytarzu, w następnej wszedł do pokoju.

Nawet Eleonorze nie wydawało się, by miał specjalnie uradowaną minę. Twarz pobladła mu ze wzruszenia, wydawał się niepewny przyjęcia, wiedział, że nie zasłużył na życzliwość. Pani Dashwood jednak, spełniając, jak sądziła, życzenie córki, której w żarliwości swego serca postanowiła odtąd słuchać we wszystkim, wyszła ku niemu z wymuszonym spokojem, podała mu rękę i złożyła najlepsze życzenia.

Zaczerwienił się i wyjąkał coś niezrozumiale. Eleonora poruszała ustami, gdy matka mówiła, a kiedy skończyła się chwila powitania, żałowała, że nie podała mu również ręki. Ale było już za późno, więc z twarzą, która miała być jasna i otwarta, usiadła i zaczęła mówić o pogodzie.

Marianna usunęła się w kąt, by ukryć zmartwioną minę. Małgorzata rozumiała tylko trochę, nie wszystko, uważała jednak, że jej obowiązkiem jest zachowywać się z godnością, usiadła więc jak najdalej od gościa i milczała zawzięcie.

Kiedy Eleonora przestała się zachwycać brakiem deszczu, nastąpiła okropna chwila ciszy. Przerwała ją pani Dashwood, która uważała za swój obowiązek wyrazić nadzieję, iż pani Ferrars czuje się dobrze. Odpowiedział spieszenie, że owszem.

Znowu milczenie.

Eleonora zmusiła się do wysiłku, choć bała się własnego głosu:

- Czy pani Ferrars jest w Longstaple? - spytała.

- W Longstaple? - w głosie jego brzmiało zdumienie. - Nie, matka jest w Londynie.

- Chciałam - powiedziała Eleonora biorąc jakąś robótkę ze stołu - zapytać o panią Edwardową Ferrars.

Nie śmiała podnieść wzroku - lecz matka i Marianna patrzyły na niego. Zaczerwienił się, zmieszał... jakby w coś powątpiewał, wreszcie, po chwili wahania, powiedział:

- Może masz, pani, na myśli mego brata... myślisz, pani... o... pani Robertowej Ferrars.

- Pani Robertowej Ferrars? - powtórzyła matka i Marianna tonem największego zdumienia, a Eleonora, choć nie mogła mówić, utkwiała w nim wzrok, który zadawał to samo niecierpliwe pytanie. Młody człowiek wstał z miejsca i podszedł do okna, wyraźnie nie wiedząc, co robić; wziął ze stołu nożyczki i niszcząc je, a także pochewkę, gdyż mówiąc krajał ją na kawałki, powiedział spieszenie:

- Może nie wiecie, panie... może nie doszła was wiadomość, że mój brat ożenił się niedawno z młodszą... z panną Lucy Steele.

Niewypowiedziane zdumienie zebranych odpowiedziało na te słowa, tylko Eleonora siedziała, spuściwszy głowę nad robótką, nie bardzo zdając sobie w pomieszeniu sprawę, gdzie się znajduje.

- Tak - powiedział. - Pobrali się w zeszłym tygodniu i teraz są w Dawlish.

Eleonora nie mogła usiedzieć dłużej. Niemał wybiegła z pokoju, a kiedy drzwi zamknęły się za nią, wybuchła niepowstrzymanymi łzami radości. Edward, który dotąd patrzył wszędzie, byle nie w jej kierunku, zobaczył, jak spieszenie wychodzi, i może dojrzał... a nawet dosłyszał jej wzruszenie, natychmiast bowiem popadł w zadumę, z której nie zdołały go wyrwać żadne uwagi, żadne serdeczności pani Dashwood i wreszcie wyszedł bez słowa z pokoju, kierując się ku wiosce. Panie zostały osłupiałe, zdumione tą nagłą, tą cudowną odmianą, próbując w najróżniejszych domysłach znaleźć rozwiązanie zagadki.

ROZDZIAŁ XLIX

Choć okoliczności, dzięki którym Edward odzyskał wolność, mogły się wydać nieprawdopodobne, jedno nie ulegało wątpliwości: był wolny. Jak skorzysta z tej wolności - równie łatwo można było odgadnąć, zaznawszy bowiem rozkoszy jednego nierozważnego narzeczeństwa, zawartego bez zgody matki przed czterema przeszło laty, zamierzał, jak wszyscy przypuszczali, natychmiast po jego zerwaniu zawrzeć następne.

Przyjechał do Barton w bardzo prostym celu. Chciał tylko poprosić Eleonorę, by została jego żoną. Zważywszy, że miał już w takich sprawach pewne doświadczenie, można się dziwić jego skrępowaniu w obecnym wypadku, potrzebie spaceru na świeżym powietrzu oraz szukaniu zachęty u panny.

Nie potrzeba opowiadać tutaj ze szczegółami, jak szybko owo świeże powietrze na spacerze pomogło mu zdobyć się na odwagę, jak szybko nadarzyła się sposobność wprowadzenia postanowienia w życie czy też w jakich słowach wypowiedział swoją prośbę i jak została ona przyjęta. Wystarczy jedno: kiedy o godzinie czwartej, w trzy godziny po jego przyjeździe, zasiadali wszyscy do stołu, panna dała mu już swoją zgodę, matka przystała na związek, a on sam nie tylko składał entuzjastyczne wyznania zakochanego, ale naprawdę i rzeczywiście był jednym z najszczęśliwszych w świecie ludzi. Doprawdy okoliczności złożyły się niepowszednio szczęśliwie. Serce i duszę rozpierało mu nie tylko zwykłe poczucie triumfu człowieka, który uzyskał zgodę swej wybranki, ale i świadomość, że bez skazy na reputacji wydobył się z matni, która od dawna była jego nieszczęściem, uwolnił się od kobiety, którą od dawna przestał kochać, a w to miejsce zaszczycony został słowem i zgodą tej, której pragnął i o której dotąd myślał z rozpaczą. Nie od obaw i niepewności, ale od niedoli przyszedł do szczęścia, a mówił o tym jawnie ze szczerą, otwartą, radosną wdzięcznością dotychczas u niego nie znaną.

Otworzył teraz serce przed Eleonorą. Wyznał wszystkie swoje słabości, wszystkie błędy, traktując pierwsze chłopięce uczucie do Lucy z całą filozoficzną godnością dwudziestoczteroletniego mężczyzny.

- Była to z mojej strony głupia, przelotna sympatia - mówił - powzięta na skutek nieznajomości świata i nadmiaru wolnego czasu. Gdyby moja matka dała mi jakieś zajęcie, kiedy jako osiemnastolatek wyszedłem spod opieki pana Pratta, myślę, nie, nawet jestem pewny, że nigdy by się to nie stało. Owszem, kiedy wyjeżdżałem z Longstaple, byłem przeświadczony, że wywożę w sercu niezwykłe uczucie dla siostrzenicy pana Pratta, ale gdybym miał jakiś cel, jakieś dążenie, które wypełniłoby mój czas i przez kilka miesięcy

utrzymało z dala od niej, z pewnością szybko zmądrzałbym na tyle, by się otrząsnąć z wyimaginowanego uczucia, zwłaszcza gdybym się trochę bardziej otarł przy okazji między ludźmi. Ale zamiast dać mi jakieś zajęcie, zamiast mi wybrać czy pozwolić wybrać jakiś zawód, kazano mi wrócić do domu do całkowitej bezczynności i przez dwanaście miesięcy nie miałem nawet formalnego zajęcia, jakim byłyby studia na uniwersytecie, gdyż do Oksfordu poszedłem dopiero mając lat dziewiętnaście. Nie miałem więc nic do roboty, chyba to tylko, żeby sobie wyobrazać, że jestem zakochany. Matka nie uczyniła z naszego domu miejsca, o którym bym marzył, w bracie nie miałem przyjaciela ani kolegi, nowych znajomości nie lubiłem zawierać, nic więc dziwnego, że często jeździłem do Longstaple, gdzie zawsze się czułem jak w domu. Dlatego tam właśnie spędziłem większość czasu między osiemnastym i dziewiętnastym rokiem życia. Lucy wydawała mi się niezwykle miła i sympatyczna. Była też ładna... przynajmniej tak wówczas sądziłem, a że mało znałem innych kobiet, nie mogłem robić porównań i nie dostrzegałem wad. Zważywszy więc wszystko, choć te zaręczyny były głupotą, chociaż to, co nastąpiło później, dowiodło, że były głupotą, trudno je uznać za niezwykle i niepojęte szaleństwo w owym czasie.

Zmiana, jaka w ciągu kilku godzin dokonała się w świadomości i losie pań Dashwood, była taka... taka wielka., że zapowiadała wszystkim satysfakcję bezsennej nocy. Pani Dashwood, której szczęście nie pozwalało zaznać spokoju, nie wiedziała, jak okazać Edwardowi swoje uczucie, jak się nachwalić Eleonory, jak okazywać radość z odzyskanej przez młodego człowieka wolności, żeby go przy tym nie urazić, ani też, jak dać im możliwość nieskrępowanej rozmowy w cztery oczy, a jednocześnie radować się całym czasem ich widokiem.

Marianna umiała tylko łzami wyrazić swą radość. Nasuwały się porównania... rodził się żal... a radość jej, choć równie szczerą jak miłość do siostry, nie znajdowała ujścia ani w słowach, ani w uniesieniu.

Ale Eleonora? Jakże opisać to, co przeżywała? Od chwili, kiedy się dowiedziała, że Lucy wyszła za mąż za innego, że Edward jest wolny, do chwili, kiedy nadzieje natychmiast zbudzone przemieniły się w pewność, przejmowały ją wszystkie po kolei uczucia z wyjątkiem spokoju. Ale kiedy nie miała już obaw, kiedy usunięte zostały wszystkie jej wątpliwości, wszystkie troski, kiedy porównywała to, co ma teraz, z tym, co miała tak jeszcze niedawno... że Edward bez utraty czci uwolnił się z narzeczeńskich więzów, że natychmiast skorzystał ze swojej wolności i wyznał jej swoje uczucie, tak stałe i gorące, jak to sobie wyobrażała - przejęła ją i niemal przytłoczyła świadomość własnego szczęścia. Lecz, że każda istota ludzka łatwo potrafi oswoić się ze zmianą na lepsze, po kilku godzinach wróciła do równowagi, a w sercu jej zagościł spokój.

Edward osiadł w domeczku co najmniej na tydzień. Bez względu na inne zobowiązania nie mógł krócej niż przez tydzień cieszyć się towarzystwem Eleonory, a ten tydzień i tak nie wystarczył na powiedzenie choćby połowy tego, co było do powiedzenia o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Choć z większością tematów, które mogą być wspólne dwom rozumnym istotom, można się, dołożywszy starań, uporać w ciągu kilku zaledwie godzin nie przerywanej rozmowy, z zakochanymi rzecz ma się inaczej. Oni nie mogą wyczerpać żadnego tematu, oni się nie mogą dogadać, zanim nie powtórzą wszystkiego przynajmniej dwadzieścia razy.

Początkowo rozmowy zakochanych obracały się wciąż wokół Lucy, której małżeństwo było stałym i zrozumiałym powodem ogólnego zdumienia. Eleonora, która dobrze znała i ją, i obecnego jej męża, uważała ich mariaż za coś niezwykłego i niepojętego pod każdym względem. Co ich połączyło, jak to się stało, że Robert ożenił się z dziewczyną, o której urodzie wyrażał się przy Eleonorze bez zachwyty, nadto z dziewczyną, której zaręczyny z Edwardem spowodowały jego zerwanie z rodziną - wszystko to przechodziło jej rozumienie. Serce jej radowało się tym małżeństwem, wyobraźnia znajdowała w nim powód do śmiechu, lecz rozum, rozsądek stawały wobec nieodgadnionej zagadki.

Edward przypuszczał, że podczas pierwszego przypadkowego spotkania Lucy umiała odpowiednio schlebić próżności Roberta i od tej chwili wszystko powoli zaczęło się toczyć ku obecnemu rozwiązaniu. Eleonora przypominała sobie, jak Robert mówił jej na Harley Street, że mógłby wiele dokonać, pośrednicząc w sprawie brata, gdyby został powiadomiony w porę. Powtórzyła to Edwardowi.

- To typowe dla Roberta - odparł natychmiast. - I taki zamiar - dodał po chwili - mógł żywić na początku ich znajomości. A Lucy chodziło chyba najpierw o to, by zyskać dla mnie jego przychyłność. Inne plany przyszły jej pewno później do głowy.

Od jak dawna wszystko to się ciągnęło - tego ani on, ani Eleonora nie mogli się domyślić. W Oksfordzie, dokąd Edward się przeniósł z własnej woli po wyjeździe z Londynu, miał o niej wiadomości tylko od niej samej, a że pisała równie często jak dawniej i była tak samo czuła, nie żywił żadnych podejrzeń, które by go przygotowały na to, co nastąpiło. Kiedy uderzył grom - wiadomość przyszła w liście samej Lucy - był przez jakiś czas ogłuszony, osłupiały ze zdumienia, zgrozy i radości. Podał Eleonorze list Lucy.

Drogi Panie,

Będąc przekonana, że dawno już straciłam Twój afekt, uważałam, iż wolno mi obdarzyć nim kogoś innego, z kim, nie wątpię, będę szczęśliwa, tak jak kiedyś wyobrażałam

sobie, że mogę być z Tobą, gardzę jednak ręką, kiedy serce Twoje należy do innej. Szczerze życzę Ci szczęścia, a nie moja będzie wina, jeśli nie pozostaniemy przyjaciółmi, jak tego wymagają obecne nasze bliskie więzy. Mogę uczciwie powiedzieć, że nie mam do Ciebie pretensji i wiem, że jesteś zbyt szlachetny, by próbować nam szkodzić. Brat Twój zdobył całkowicie moje serce, a że nie możemy żyć bez siebie, właśnie wróciliśmy od ołtarza i jedziemy do Dawlish na kilka tygodni, gdyż brat Twój ogromnie jest ciekaw tego miejsca, ale ja myślałam, że najpierw napiszę do Ciebie te kilka słów.

*Pozostaję życzliwą Ci bratową i przyjaciółką
Lucy Ferrars*

Spaliłam Twoje listy i przy pierwszej okazji zwrócę Ci Twoją podobiznę. Proszę, zniszcz moje bazgroły - ale pierścionek z puklem włosów możesz sobie zatrzymać.

Eleonora zwróciła list bez komentarzy.

- Nie pytam o zdanie co do kompozycji - powiedział Edward. - Za żadne skarby świata nie pokazałbym ci dawniej listu przez nią pisanego... Na bratową są dostatecznie okropne, a już na żonę!... Jak ja się rumieniłem, czytając jej listy... Muszę powiedzieć, że od drugiego półrocza tych głupich zaręczyn... to pierwszy list, którego treść jest mi zadośćuczynieniem za braki stylu.

- Jak do tego doszło, tak doszło - powiedziała Eleonora po chwili milczenia - i nie ma wątpliwości, że się pobrali. A twoja matka ściągnęła na siebie najstosowniejszą karę. Właśnie ta niezależność finansowa, jaką z niechęci do ciebie dała Robertowi, pozwoliła mu dokonać wyboru według własnej woli. W rezultacie właściwie przekupiła jednego syna tysiącem funtów rocznie, żeby zrobił dokładnie to, za co wydziedziczyła drugiego. Przypuszczam, że małżeństwo Roberta i Lucy będzie ją bolało nie mniej, niż bolałoby ją twoje.

- Będzie o wiele dotkliwiej zraniona, gdyż Robert był zawsze jej ulubieńcem. Będzie dotkliwiej zraniona i przez to właśnie szybciej mu wybaczy.

Nie wiedział, jak stoją sprawy między młodym małżeństwem a rodziną, ponieważ nie próbował nawiązać z nikim kontaktu. Wyjechał z Oksfordu w dwadzieścia cztery godziny po nadejściu listu Lucy, szukając tylko jednego - najbliższej drogi do Barton - i nie miał czasu na żadne inne projekty prócz tych, które wiązały się bezpośrednio z tą drogą. Nie mógł nic zrobić, póki się nie upewnił o swoim losie, otrzymując odpowiedź z ust Eleonory, a sądząc z pośpiechu, z jakim przyjechał po ten wyrok, należy przypuszczać, że pomimo zazdrości, z

jaką myślał był niegdyś o pułkowniku Brandonie, mimo skromności w ocenie własnych zalet i grzeczności, z jaką opisywał pannie swą niepewność - nie spodziewał się bardzo okrutnej odpowiedzi. Ale jego sprawą było powiedzieć, co powiedział, i zrobił to z wielkim wdziękiem. Trzeba się odwołać do wyobraźni mężów i żon, by odgadnąć, co powiedziałyby na ten temat po roku.

Eleonorze wydawało się oczywiste, że Lucy, przesyłając wiadomość przez Tomasza, chciała ich umyślnie zwiść i że była to pożegnalna złośliwość w stosunku do Edwarda. On, znając już teraz dobrze jej charakter, bez trudu uwierzył, że jest zdolna do najbardziej bezinteresownej nikczemności. Chociaż nim jeszcze poznał Eleonorę, miał już oczy otwarte na nieuctwo Lucy i parafiańszczyznę jej przekonań, kładł to wszystko na karb braku wykształcenia i do chwili otrzymania ostatniego jej listu wierzył zawsze, że jest złą, dobrą dziewczyną, gorąco do niego przywiązaną. Tylko to przeświadczenie nie pozwalało mu zerwać zaręczyn, które bardzo mu ciążyły i dolegały, na długo przedtem, nim wiadomość o nich ściągnęła na niego gniew matki.

- Uważałem za swój obowiązek - powiedział - niezależnie od moich uczuć zostawić jej wybór co do utrzymania czy zerwania naszych zaręczyn, kiedy matka się mnie wyrzekła i kiedy mogło się zdawać, że jestem sam jak palec, bez jednego przyjaciela na świecie. Jakże mogłem przypuścić w takiej sytuacji, nie mając nic, co mogłoby kusić czyjąś chciwość czy próżność, i słuchając jej poważnych, gorących zapewnień, że pragnie dzielić mój los, jakże mogłem przypuścić, że kieruje się czymś innym niż bezinteresownym uczuciem? I do dziś nie pojmuję, czym się kierowała, jakie widziała w wyobraźni korzyści ze związku z człowiekiem, do którego nic nie czuła, a który miał całego majątku dwa tysiące funtów. Przecież nie mogła przewidzieć, że pułkownik Brandon da mi prebendę.

- Nie, ale mogła przypuszczać, że zdarzy się coś, co poprawi twój los... że po pewnym czasie twoja rodzina ulegnie. Zresztą, tak czy inaczej, nic nie traciła, będąc dalej z tobą zaręczona, dowiodła bowiem, że nie krępowało to ani jej uczuć, ani postępowania. Związek z tobą był niewątpliwie związkiem z dżentelmenem i zapewnił jej mir wśród znajomych, a w braku innej okazji lepiej było wyjść za ciebie, niż zostać starą panną.

Edward oczywiście natychmiast uznał, że nie mogło być nic bardziej naturalnego, jak postępowanie Lucy, ani bardziej oczywistego, jak jego przyczyny.

Eleonora wypomniała mu ostro, tak jak to damy wypominają często nieroztropność, która im schlebia, że tyle czasu spędzał z nimi w Norland, rozumiejąc przecież, iż jest niestały wobec Lucy.

- Zachowywałeś się bardzo niewłaściwie, gdyż nie mówiąc już o wyobrażeniach, jakie

sama powzięłam, pozwoliłeś całej naszej rodzinie sądzić i spodziewać się czegoś, co ze względu na twoją sytuację w ogóle nie było możliwe.

Mógł się tłumaczyć tylko nieznaną własnego serca i zwodniczym zaufaniem w siłę swoich zaręczyn.

- Byłem na tyle naiwny, by sądzić, że jeśli jestem słowem związany z inną, nic mi nie grozi w twoim towarzystwie i że świadomość owych zaręczyn uchowa w czystości zarówno moje serce, jak honor. Czułem, że budzisz mój zachwyt, ale wmawiałem w siebie, że to tylko przyjaźń, i nie zdawałem sobie sprawy, dokąd mnie to wiedzie, dopóki nie zacząłem robić porównań między tobą a Lucy. Potem dalsze pozostawanie w Sussex było już bardzo nieroztropne, ale uspokajałem się taką argumentacją: „Tylko ja jestem w niebezpieczeństwie. Krzywdzę jedynie siebie, nikogo poza tym”.

Eleonora uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

Edward z radością przyjął wiadomość, że panie oczekują wizyty pułkownika Brandona, gdyż szczerze pragnął nie tylko bliżej się z nim poznać, ale nadto przekonać go, że nie ma już do niego żalu o darowanie mu prebendy Delaford. - Gdyż - tłumaczył - po tak niechętnych podziękowaniach, jakie mu wówczas złożyłem, musi sądzić, że nie wybaczyłem mu tego prezentu.

Teraz sam się dziwił, że dotychczas jeszcze nie odwiedził Delaford. Tak go ono dotąd mało ciekawiło, że wszystkie wiadomości o domu, ogrodzie, glebie, wielkości parafii, stanie gruntów uprawnych i wysokości parafialnych podatków na kościół - zawdzięczał Eleonorze, która tak pilnie i często słuchała pułkownika Brandona, że stała się znawcą przedmiotu.

Pozostawała teraz nie rozstrzygnięta jedna tylko kwestia, jedną trudność mieli do przebycia. Złączyło ich wzajemne uczucie, otrzymali gorącą aprobatę swoich bliskich i znali się doskonale - wszystko to było niemal całkowitą gwarancją szczęścia - musieli jeszcze tylko z czegoś żyć. Edward miał dwa tysiące funtów, Eleonora tysiąc i to, wraz z prebendą Delaford, stanowiło cały ich majątek. Pani Dashwood nie mogła im nic dać ze swego kapitaliku, a obydwójce nie byli zakochani do tego stopnia, by sądzić, że trzysta pięćdziesiąt funtów rocznie zapewni im dostatnie życie.

Edward nie wyzbył się jeszcze myśli, że w sercu pani Ferrars dokona się jakaś odmiana, i w tym pokładał nadzieje na uzupełnienie dochodów. Eleonora jednak nie liczyła na to, Edward przecież i tym razem nie żenił się z panną Morton, a wybierając na żonę ją, a nie Lucy, wybiera tylko, używając pochlebnego zwrotu pani Ferrars, mniejsze zło, obawiała się więc, że przestępstwo Roberta przyniesie w rezultacie jedynie wzrost majątku Fanny.

W cztery dni po przyjeździe Edwarda zjawił się pułkownik Brandon i pani Dashwood

przeżywała pełnię szczęścia oraz zaszczyt przyjmowania po raz pierwszy, od czasu zamieszkania w Barton, większej liczby gości, niż mogła pomieścić w swoim domu. Edwardowi pozwolono skorzystać z przywileju pierwszego przyjeźdnego i pułkownik Brandon maszerował co wieczór do swoich dawnych apartamentów we dworze, skąd przychodził na ogół wcześniej rano, przerywając pierwsze *tete - a - tete* zakochanych jeszcze przed śniadaniem.

Trzytygodniowy pobyt w Delaford, gdzie wieczorami zwłaszcza niewiele miał do roboty, wobec czego zastanawiał się nad różnicą, jaka dzieli trzydzieści sześć od siedemnastu - wprawił go w fatalny nastrój. Trzeba było poprawy w wyglądzie Marianny, serdeczności, z jaką go przywitała, i słów zachęty ze strony matki, by się rozpogodził. Ale pośród takich przyjaciół, zaznawszy tak życzliwego przyjęcia, odzyskał humor. Nie doszły go jeszcze wieści o małżeństwie Lucy, nie znał ostatnich wydarzeń, przez pierwsze godziny po przyjeździe słuchał więc tylko i nie mógł się nadziwić. Pani Dashwood wyjaśniła mu wszystko, a on miał nowy powód do radości, że ofiarował Edwardowi prebendę, gdyż jak się okazało, przysłużył się również Eleonorze.

Nie trzeba mówić, że im lepiej się obaj panowie poznawali, tym większego nabierali dla siebie szacunku, gdyż nie mogło być inaczej. Zapewne do nawiązania się więzi przyjaźni wystarczyłoby im podobieństwo zasad, usposobień, rozumnego sposobu myślenia, zbędne byłyby inne bodźce, ale fakt, że kochali się w dwóch siostrach i że te siostry kochały się nawzajem, sprawił, że ich przyjaźń była nieuchronna i nawiązała się natychmiast, choć w innych okolicznościach mogłaby się nieco odwlec i przyjść jako rezultat czasu i namysłu.

- Nadeszły listy z Londynu - kilka dni temu Eleonora drżałaby na całym ciele, uniesiona radosnym zachwytem, teraz czytała je nie tyle z przejęciem, co rozbawieniem. Pani Jennings przekazywała im niesłychaną nowinę, dawała upust szlachetnemu oburzeniu na tę kokietkę i rozpaczała nad nieszczęsnym panem Edwardem, który, wiedziała o tym dobrze, uwielbiał był to niepocziwe ladaco i teraz wedle wszelkiego prawdopodobieństwa siedzi ze złamanym sercem w Oksfordzie.

Powiadam Wam - pisała - niczego na świecie nie zrobiono jeszcze tak przebiegle, toć przecież ledwo dwa dni przed swoim ślubem Lucy siedziała u mnie przez kilka godzin. Nikt nic nie podejrzewał, nawet Anna, biedaczka, przyszła do mnie następnego dnia cała we łzach, w okropnym strachu przed panią Ferrars, a i dlatego, że nie miała jak się dostać do Plymouth, bo Lucy, jak się okazuje, pożyczyła od niej, jadąc na ślub, wszystkie pieniądze, pewno chciała się pokazać, a biedna Anna została bez szylingów... No więc, rada byłam dać jej pięć gwinei, żeby mogła jechać do Exeter, gdzie chce zostać kilka tygodni z panią Burgess w

nadziei, jak jej powiedziałam, że spotka znowu doktora. Moim zdaniem, najgorsze ze wszystkiego jest to, że Lucy nie zabrała jej z sobą karetką. Biedny pan Edward! Nie mogę przestać o nim myśleć, musisz go koniecznie zaprosić do Barton, niechże panna Marianna spróbuje go pocieszyć.

Styl pana Dashwooda był bardziej uroczy. Pani Ferrars jest najniezwyklejszą kobietą na świecie... Biedna Fanny przy swojej wrażliwości przeżywa katusze... Fakt, że po takim ciosie obie jeszcze żyją, uważa za cud prawdziwy, za który trzeba dziękować Niebiosom. Wina Roberta jest niewybaczalna, a Lucy nieskończenie większa. Imienia żadnego z nich nie wolno wymawiać w obecności pani Ferrars, a jeśli nawet nakłoni się ją do wybaczenia synowi, nigdy nie uzna jego żony za swoją synową i nigdy nigdzie się z nią nie pokaże. Fakt, że cała sprawa została przeprowadzona w sekrecie, uznano, zrozumiale, za dodatkowe obciążenie, gdyby bowiem rodzina zaczęła cokolwiek podejrzewać, podjęłyby odpowiednie kroki, by zapobiec owemu małżeństwu. Zwracał się do Eleonory, by żałowała wraz z nim, iż Lucy nie wyszła już za Edwarda, zamiast szerzyć dalej nieszczęście w rodzinie. Pisał tak:

Pani Ferrars nigdy dotąd nie wymieniła imienia Edwarda, co nas nie dziwi, ale ku naszemu zdumieniu on nie napisał do nas ani słowa w związku z tym wydarzeniem. Być może milczy, obawiając się urazić matkę, wobec czego dam mu znać do Oksfordu, że uważamy wraz z jego siostrą, iż list wyrażający należyłą skruchę, adresowany może do Fanny i przez nią pokazany matce, nie zostałby pewno wzięty za złe, wszyscy bowiem znamy czułe serce pani Ferrars oraz to, że niczego tak nie pragnie, jak dobrych stosunków ze swymi dziećmi.

Ten ustęp był ważny ze względu na dalsze widoki i postępowanie Edwarda. Uznał, że powinien szukać pojednania, choć nie tak, jak to sugerowała siostra i szwagier.

- List wyrażający należyłą skruchę! - powtórzył. - Czy chcieliby, bym błagał matkę o przebaczenie za to, że Robert okazał się w stosunku do niej niewdzięcznikiem?... Że wobec mnie postąpił niehonorowo?... Żadnej skruchy! To, co się stało, nie uczyniło mnie ani pokornym, ani skruszonym... Uczyniło mnie bardzo szczęśliwym, ale to ich nic nie obchodzi... Żadna skrucha nie jest w tym wypadku odpowiednia.

- Możesz niewątpliwie prosić o przebaczenie - powiedziała Eleonora - ponieważ zawiniłeś. I ośmielam się sądzić, że teraz mógłbyś odważyć się na przykład na wyznanie odrobiny żalu z powodu zaręczyn, które ściągnęły na ciebie gniew matki.

Przyznał, że mógłby to zrobić.

- A kiedy ci już wybaczy, może przydałaby się odrobina pokory, kiedy będziesz ją zawiadamiał o następnych zaręczynach, w jej oczach niemal równie nierozważnych jak

pierwsze.

Nie znajdował przeciwko temu żadnych argumentów, wciąż tylko odrzucał pomysł z listem wyrażającym należyłą skruchę. Ponieważ oświadczył, że łatwiej mu przyjdą skromne ustępstwa w słowach niż na papierze, postanowiono, by mu ułatwić sprawę, że zamiast pisać do Fanny, pojedzie do Londynu i osobiście poprosi, by wstawiła się za nim do matki. - A jeśli się okaże - powiedziała Marianna w nowej roli osoby bezstronnej - że naprawdę im zależy na doprowadzeniu do pojednania, to pomyślę, że nawet John i Fanny nie są ludźmi ze szczętem pozbawionymi zalet.

Po kilkudniowej wizycie pułkownika Brandona obaj panowie wyjechali razem z Barton. Zamierzali jechać wprost do Delaford, gdzie Edward miał zobaczyć swój przyszły dom i pomóc swemu przyjacielowi i patronowi w podjęciu decyzji, jakich trzeba dokonać w budynku przerwóbek, a stamtąd, po kilku dniach, miał ruszyć dalej do Londynu.

ROZDZIAŁ L

Po należytych sprzeciwach, dostatecznie gwałtownych i upartych, by ją zdołały uchronić od zarzutu, którego zawsze się bała, mianowicie od zarzutu, że jest zbyt miła, pani Ferrars dopuściła Edwarda przed swoje oblicze i uznała go ponownie za syna.

Liczba jej dzieci bywała ostatnio dosyć płynna. Przez długie lata miała dwóch synów. Zbrodnia Edwarda i wykreślenie go z listy potomstwa pozbawiły ją, przed kilkoma tygodniami, jednego. W dwa tygodnie później wykreśliła również Roberta, pozbawiając się drugiego syna. Teraz, wskrzesiwszy Edwarda, znowu miała jednego.

Edward, mimo iż otrzymał zezwolenie na powrót do życia, nie był zupełnie pewny dalszego swego istnienia, póki się nie przyznał, że jest ponownie zaręczony, obawiał się bowiem, że ujawnienie tego faktu może dokonać zasadniczego zwrotu w jego sytuacji prawnej i skazać go na nieistnienie równie szybko, jak poprzednio. Ostrożnie więc i z obawą powiedział o wszystkim i został wysłuchany z nieoczekiwanym spokojem. Z początku pani Ferrars próbowała go rozsądnie odmówić od małżeństwa z panną Dashwood, używając wszelkich dostępnych argumentów: powiedziała, że w panie Morton znajdzie kobietę z wyższej sfery i z większym majątkiem, wzmocniła ten argument, podkreślając, że panna Morton, jest córką człowieka utytułowanego i ma trzydzieści tysięcy funtów, podczas gdy panna Dashwood jest tylko córką właściciela ziemskiego i ma zaledwie trzy, kiedy jednak stwierdziła, że syn, choć nie neguje tych faktów, nie jest jednocześnie w najmniejszym stopniu skłonny kierować się nimi w wyborze małżonki, uznała, iż - po ostatnich doświadczeniach - rozsądniej zrobi ustępując. Tak więc po przykrej zwłoce, która była niezbędna dla zachowania godności i uniemożliwienia jakichkolwiek podejrzeń o dobrą wolę, dała wreszcie zgodę na małżeństwo Edwarda i Eleonory.

Następnie stanęło pytanie, co zrobi, by poprawić ich dochody, i tu się okazało, że choć Edward był teraz jedynym jej synem, nie był w żadnym wypadku pierworodnym; podczas bowiem, gdy Robert otrzymał od niej nieodwracalnie tysiąc funtów rocznie, pani Ferrars nie miała najmniejszych zastrzeżeń, by Edward przyjął święcenia dla - w najlepszym wypadku - dwustu pięćdziesięciu rocznie, i nie obiecywała ani teraz, ani w przyszłości nic więcej ponad dziesięć tysięcy, czyli tyle, ile przy zamążpójściu dostała Fanny.

Ale było to akurat tyle, ile trzeba, a nawet więcej, niż się Edward i Eleonora spodziewali, i pani Ferrars ze swymi wykrętnymi tłumaczeniami wydawała się jedyną osobą zdumioną, że dała tylko tyle.

Teraz, kiedy ich dochody mogły wystarczyć na zaspokojenie potrzeb, a Edward

wszedł w posiadanie prebendy, pozostawało już tylko czekać na wykończenie domu, w którym pułkownik Brandon, pragnąc gorąco stworzyć Eleonorze wygodne mieszkanie, robił okazałe przeróbki. Czekali najpierw przez dłuższy czas na zakończenie robót, a kiedy spotkały ich, jak to zwykle, tysiączne zawody i zmiany terminów, spowodowane niepojętą opieszałością robotników, Eleonora, jak zwykle, odstąpiła od pierwszej niewzruszonej decyzji, że będą czekać do zakończenia robót, i wczesną jesienią wzięli ślub w kościele w Barton.

Pierwszy miesiąc po ślubie spędzili u swego przyjaciela we dworze, skąd mogli pilnować robót na plebanii i na miejscu podejmować decyzje - wybierać tapety, sadzić według planu krzewy i wytyczać podjazd. Przepowiednie pani Jennings, choć nastąpiło w nich pewne pomieszenie, w głównych punktach jednak się sprawdziły, gdyż mogła złożyć wizytę Edwardowi i jego żonie na plebanii jeszcze przed świętym Michałem i, jak się spodziewała, znalazła tam jedną z najszcześliwszych na świecie par. Właściwie nie mieli już o czym marzyć, z wyjątkiem małżeństwa pułkownika z Marianną i może nieco lepszego pastwiska dla swoich krów.

Kiedy młoda para osiadła na plebanii, niemal wszyscy krewni i przyjaciele złożyli im wizyty. Pani Ferrars przyjechała zobaczyć szczęście, które usankcjonowała, czego jej było niemal wstyd, i nawet państwo Dashwood zdecydowali się na wydatek, jakim była podróż do Sussex, by zaszczyścić młodych swymi odwiedzinami.

- Nie powiem, że bym był rozczarowany, siostrzyczko - zwrócił się do Eleonory John Dashwood, kiedy pewnego dnia spacerowali we dwójkę przed bramą wiodącą do dworu Delaford. - To byłoby za wiele powiedziane, boć przecież tak jak jest, można cię uważać za jedną z młodych kobiet, do których los bardzo się uśmiechnął. Ale przyznam, że byłbym ogromnie rad, mogąc nazwać pułkownika Brandona moim szwagrem. Ten majątek, park, dom, wszystko takie dostatnie, tak dobrze utrzymane. A te jego lasy!... Nigdzie w hrabstwie Dorset nie widziałem takiego drzewa, jakie rośnie na stoku Delaford... I chociaż Marianna nie wydaje mi się panną w jego guście, myślę, że postąpiłabyś bardzo rozsądnie, gdybyś ją tu często zapraszała, pułkownik przecież wiele przebywa w domu i kto wie, co się może zdarzyć... bo, widzisz, jak ludzie dużo z sobą przebywają, a mało mają innego towarzystwa... no, to... i zawsze będziesz mogła dopilnować, żeby jak najładniej wyglądała i w ogóle... Jednym słowem, powinnaś jej pozwolić spróbować... rozumiesz?

Choć pani Ferrars złożyła im wizytę i zawsze okazywała pozory należytej serdeczności, nigdy im nie uchybiła, obdarzając ich prawdziwą przychylnością i łaską. Te otrzymał Robert za swoje szaleństwo i Lucy za swoją przebiegłość, i to po kilku zaledwie

miesiącach. Chytry egoizm Lucy, przyczyna początkowych kłopotów jej męża, stał się głównym narzędziem, które uwolniło go od tych kłopotów; uniżone, gorliwe atencje i niezliczone pochlebstwa, którymi Lucy zasypała panią Ferrars przy pierwszej nadarzającej się sposobności, sprawiły, iż pogodziła się z wyborem dokonany przez syna i przywróciła go całkowicie do łask.

Całe postępowanie Lucy oraz fortunka, która je ukoronowała, mogą stanowić niezwykle zachęcający przykład tego, że poważna i nieustanna dbałość o własne interesy - nawet jeśli napotyka pewne przeszkody - może zapewnić człowiekowi wszelkie dary losu, zdobyte wyłącznie kosztem czasu i sumienia. Kiedy Robert po raz pierwszy poszedł ją odwiedzić w Bartlet's Buildings, miał na myśli jedynie to, co przypuszczał brat. Chciał tylko nakłonić pannę do poniechania zaręczyn, a że przeszkoda była drobna - wzajemne uczucie dwojga ludzi - sądził, że w ciągu kilku minut załatwi sprawę. W tym punkcie - i jedynie w tym - zblądził. Choć bowiem Lucy pozwoliła mu natychmiast przypuścić, że w odpowiednim czasie ulegnie jego wymowie, zawsze się okazywało, że potrzebna jest w tym celu jeszcze krótka wizyta. Zawsze nękały ją jeszcze jakieś wątpliwości, które mogła rozwiać tylko następna półgodzinna rozmowa z Robertem. W ten sposób zapewniła sobie jego odwiedziny, a reszta była już tylko ich konsekwencją. Zamiast rozmawiać o Edwardzie, zaczęli stopniowo rozmawiać o Robertcie - który to temat zawsze go zajmował bardziej niż wszystkie inne, a którym i ona zaczynała się coraz żywiej interesować. Krótko mówiąc, w niedługim czasie stwierdzili obydwójce, że Robert zajął ze wszystkim miejsce Edwarda. Robert był dumny, że dokonał podboju, dumny, że wystrychnął Edwarda na dudka, i bardzo dumny z tego, że ożenił się w tajemnicy, bez zgody matki. Wiadomo, co nastąpiło później. Spędzili w Dawlish kilka szczęśliwych miesięcy, gdyż Lucy miała tam wielu krewnych i znajomych, wobec których mogła zadzierać nosa - a on rysował różne projekty wspaniałych domków wiejskich. Stamtąd wrócili do Londynu, gdzie on uzyskał przebaczenie matki w niezwykle prosty sposób, mianowicie prosząc o nie, za namową Lucy. Z początku przebaczenie, ze zrozumiałych względów, obejmowało tylko Roberta. Lucy, która nie miała żadnych zobowiązań wobec jego matki, a więc nie mogła w stosunku do niej zawinić, nie otrzymywała przebaczenia jeszcze przez kilka tygodni. Lecz uporczywa pokora, okazywana w postępkach i słowach, w przyjmowaniu na siebie winy Roberta, w płaceniu wdzięcznością za niechęć, z jaką była traktowana, przyniosła jej w rezultacie najpierw wyniosłą uwagę, którą przyjęła jako niezasłużoną łaskę, a następnie, i to bardzo szybko - ogromne uczucie teściowej oraz wielkie wpływy. Lucy stała się jej tak niezbędna jak Robert czy Fanny, i chociaż pani Ferrars nigdy w głębi serca nie wybaczyła Edwardowi, że kiedyś chciał się ożenić z Lucy, a o Eleonorze,

stojącej od niej wyżej i urodzeniem, i fortuną, zawsze mówiła jak o intruzie, żona Roberta była zawsze pod każdym względem jawnie uważana za najukochańsze dziecko. Osiedli w Londynie, otrzymali hojną pomoc pani Ferrars i żyli w najlepszych stosunkach z państwem Dashwood. Gdyby nie mówić o zazdrości i niechęci, jaka istniała zawsze między obydwoma paniami, a w jakiej mieli także udział ich mężowie, a również gdyby nie mówić o częstych nieporozumieniach domowych między Robertem i Lucy, nic nie mogłoby zamącić harmonii ich pożycia.

Wielu ludzi mogłoby się głowić nad tym, co uczynił Edward, by postradać prawo pierworództwa, a jeszcze mocniej nad tym, co uczynił Robert, by je zdobyć. Była to sytuacja, którą usprawiedliwiały nie przyczyny, lecz skutki, nigdy bowiem Robert nie okazał w zachowaniu czy słowach nic, co by mogło nasunąć przypuszczenie, że wysokość jego dochodów sprawiała mu przykrość, ponieważ jego brat miał wskutek tego za mało czy też on sam miał za wiele. Jeśliby zaś wyciągać wnioski z tego, jak chętnie Edward spełniał wszystkie swoje nawet najdrobniejsze obowiązki, jak wzrastało jego uczucie dla żony i domu, jak bardzo był zawsze wesół - można by sądzić, że był nie mniej niż brat zadowolony ze swego losu i również nie pragnął żadnej zmiany.

Małżeństwo Eleonory rozdzieliło ją z rodziną na tyle tylko, na ile to było konieczne, jeśli domek w Barton miał im być do czegoś potrzebny; matka i siostry bowiem większość czasu spędzały z młodą mężatką. Pani Dashwood, składając tak częste wizyty w Delaford, kierowała się zarówno rozmysłem, jak własną chęcią, gdyż pragnęła związku Marianny z pułkownikiem Brandonem nie mniej gorąco, choć może z mniejszym wyrachowaniem niż John. Był to teraz jej wymarzony cel. Choć ceniła sobie ogromnie towarzystwo córki, niczego bardziej nie pragnęła, jak rezygnacji z tej radości na rzecz pułkownika, a Edward i Eleonora również chcieli widzieć Mariannę jako panią we dworze. Oboje współczuli pułkownikowi w jego strapieniach, zdawali też sobie sprawę z własnych zobowiązań, a Marianna, za ogólną zgodą, miała być nagrodą za wszystko.

I cóż mogła począć, mając przeciwko sobie taki spisek - znając tak dobrze zacność pułkownika - świadoma jego najczulszej miłości, z której nagle zdała sobie sprawę, choć wszyscy wiedzieli o niej od dawna.

Mariannie Dashwood przeznaczony był niezwykajny los. Skazana została na uznanie swoich sądów za fałszywe, na podważenie własnym postępowaniem prawdziwości ulubionych maksym. Skazana została na zdławienie afektu powziętego w późnym wieku siedemnastu lat i na dobrowolne oddanie swej ręki - a nie towarzyszyło temu żadne inne uczucie prócz ogromnego szacunku i żywej przyjaźni - innemu!... Tym innym zaś był

mężczyzna, który, podobnie jak ona, doznał już był niegdyś zawodu w pierwszej miłości, mężczyzna, którego przed dwoma laty uważała za zbyt starego na małżeństwo i który wciąż jeszcze chronił swoje zdrowie, nosząc flanelową kamizelkę.

Ale tak się stało. Zamiast paść ofiarą nieodpartej namiętności, czego oczekiwała niegdyś, chlubiąc się tym naiwnie, zamiast pozostać na zawsze przy matce i znajdować jedyną przyjemność w samotności i lekturze, jak to postanowiła w nieco późniejszym okresie spokojniejszego już i bardziej trzeźwego myślenia - nagle w wieku lat dziewiętnastu uległa innym uczuciom, przyjęła nowe obowiązki, osiadła pod nowym dachem jako żona, pani domu, patronka wsi.

Pułkownik Brandon był teraz tak szczęśliwy, jak na to zasługiwał zdaniem tych, którzy go kochali. W żonie znalazł nagrodę za wszystkie swoje niedole - jej szacunek, jej towarzystwo ożywiły go i rozpogodziły, a przyjaciele stwierdzili z zachwytem, że Marianna, budując jego szczęście, znalazła własne. Nigdy nie potrafiła kochać inaczej jak całym sercem i po pewnym czasie całe swe serce oddała mężowi, tak jak niegdyś panu Willoughby'emu.

Wiadomość o jej małżeństwie musiała mu sprawić ból. Miara jego kary dopełniła się, kiedy pani Smith przebaczyła mu z własnej woli, uznając jego małżeństwo z kobietą o dobrej reputacji za powód do okazania łaskawości; mógł teraz przypuszczać, że gdyby się był uczciwie zachował wobec Marianny, zdobyłby razem i bogactwo, i szczęście. Nie można wątpić, że szczerze żałował postępowania, za które poniósł taką karę, ani też, że długo myślał z zazdrością o pułkowniku, a z żalem o Mariannie. Nie należy jednak sądzić, że został niepokieszony, że stronił od towarzystwa, że trwał całe życie w smutku czy że serce mu pękło - nic podobnego. Wiódł życie bujne, a często wesołe. Żona jego nie zawsze bywała przykra, a dom nie zawsze niemły, nadto znajdował wiele domowego szczęścia w hodowaniu psów i koni oraz we wszelakich sportach.

Zachował jednak dla Marianny - choć nie okazał się dość elegancki, by umrzeć z żalu po jej stracie - zachował dla niej na zawsze szczególne względy - interesował się wszystkim, co się z nią działo, widział w niej wzór cnót kobiecych i potrafił później lekceważyć wiele wschodzących piękności uważając, iż nie wytrzymują porównania z panią Brandon.

Pani Dashwood była na tyle roztropna, by zostać w Barton i nie próbowała przeprowadzki do Delaford. Na szczęście dla sir Johna i pani Jennings, kiedy zabrano im Mariannę, Małgorzata wchodziła już w wiek całkiem odpowiedni na tańce i zaczynała świtać możliwość, że będzie miała starającego.

Między Barton i Delaford utrzymywana była ciągła łączność, oczywista przy tak silnych więzach rodzinnych, a w cnotach i szczęściu Eleonory i Marianny niech nie zostanie

pominięty i zlekceważony fakt, że chociaż siostry mieszkały o kilka kroków od siebie, potrafiły żyć bez nieporozumień i nie wytworzyć najmniejszego chłodu w stosunkach między swoimi mężami.